

# Twarz z przeszłości

Fern Michaels



calibre 0.9.43

**Fern Michaels**

**Twarz z przeszłości**

# About Face

Przełożył Maciej Raginiak

Wystawione na obracającym się stojaku niemodne już okulary przeciwsłoneczne pokrył

kurz, a zapach zwietrzałego dymu ciężko zawisł w powietrzu. Casey Edwards rozejrzała się ukradkiem. Dawno zapomniane reklamy syropu na kaszel Creomolton i farby do włosów Miss Clairol ozdabiały zielone jak groszek ściany sklepu Reeda. Tom Clarence i Howard Lynch siedzieli w barze przekąskowym w głębi; przed nimi stały kubki z kawą, z ust niedbale zwisały im papierosy. Casey wiedziała, że jak co dzień będą opowiadać o Wielkiej Wojnie.

Howard i Tom urzędowali tu od lat. Każdy z nich rozprawiał o tym, jak to niewiele brakowało, żeby nie wrócił do domu. Casey, chcąc nie chcąc, słyszała tę opowieść tyle razy, że znała ją na pamięć. Wiedziała, kiedy przerwą na chwilę, popatrzą na siebie, a potem pokręcą siwiejącymi głowami i wznowią pogawędkę. Byli tak samo nieodłączną częścią Sweetwater jak ziemia, na której pobudowano miasteczko. Każdy z nich uniósł rękę w jej stronę w geście pozdrowienia, gdy przechodziła do działu kosmetycznego. Uśmiechnęła się i pomachała im. Nie była dziś w nastroju do rozmowy. Znalazła krem, którego potrzebowała, i ruszyła szybkim krokiem do kasy.

Pragnęła, aby nikt nie zwracał na nią uwagi.

Po raz ostatni kupowała krem maskujący. Konieczność ukrycia siniaka, który został jej po ostatniej kłótni, przesądziła sprawę. Ponownie w ciągu trzech tygodni musiała wymykać się do sklepu Reeda, żeby kupić kolejną tubkę kremu, który zatuszuje najświeższą fioletową plamę pod okiem.

Sheldon Reed, jedyny aptekarz w Sweetwater, przyglądał się jej podejrzliwie. Laurie Phelps–Parker — z dywizem, co godne uwagi — która nigdy od czasu śmierci pani Reed nie obniżyłaby swoich wysokich aspiracji (cóż, może tymczasowo, jak zwykła mawiać), żeby być kasjerką u Sheldortf, cmoknęła językiem, kiedy Casey podchodziła do kasy. Casey zastanawiała się, czy Laurie pamięta, jak ją tata zostawił z mamą na pastwę losu. W dodatku wszystko ze sobą zabrał. Uciekł z dziewczyną młodszą od córki. Teraz musiała pracować.

Wszyscy w miasteczku znali tę historię. Laurie podjęła pracę u Reeda mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jej zarozumiała mama zatrudniła się jako kasjerka w Kasie Oszczędnościowo–Pożyczkowej w Sweetwater. Miały wybór między pracą a głodowaniem.

Casey poprawiła okulary przeciwsłoneczne i położyła tubkę kremu maskującego na ladzie.

— Hm — mruknęła Laurie, gdy wystukiwała cenę, naciskając jaskrawoczerwonymi paznokciami klawisze kasy. — Zdaje się, że kupujesz ostatnio mnóstwo kremu maskującego.

— Popatrzyła na Casey z wszystkowiedzącym uśmiechem.

— Chyba Kyle chce teraz mieć ostrą kobietę. Wiesz, kiedy on i ja... — Casey rzuciła na ladę odliczone drobne i chwyciła krem. Otwierając drzwi z siatką przeciw owadom, usłyszała jeszcze, jak Laurie mówi: „Cóż, ja nigdy...”, po czym zamknęła je z głuchym trzaśnięciem i uciekła.

Gdyby tylko Laurie wiedziała, pomyślna Casey, gdybym tylko mogła komuś powiedzieć o horrorze, w jaki zmieniło się moje życie.

U babci Gracie przeżyła osiem krótkich, szczęśliwych lat. Matka jej ojca chroniła ją i traktowała jak córkę. Żyło się jej wtedy dobrze. Miała nadzieje, marzenia i oczekiwania. Gdy stała się starsza, nauczyła się, że lepiej nie mieć oczekiwań. Wiedziała, że wtedy nigdy nie dozna rozczarowania.

\* \* \*

Włożyła krem do torebki, idąc szybko główną ulicą miasta Sweetwater. Musiała być w domu, zanim matka wróci z salonu fryzjerskiego Idy Lou, bo inaczej piekielnie drogo będzie ją to kosztować.

Gdy była już bezpieczna w swoim pokoju, przypomniała sobie, dlaczego zaryzykowała wypad do miasteczka.

Kyle. Nie mogła pozwolić, by zobaczył, że ma podbite oko. Byłby zszokowany, a jego rodzice patrzyliby na nią jeszcze bardziej z góry niż dotychczas. Kyle zapewniał ją, że rodzice nie mają złych zamiarów, po prostu tacy już są. Była u nich zaledwie kilka razy, a mimo to zawsze po wyjściu stamtąd czuła się fatalnie. Fiona, świętoszkowata matka Kyle'a, robiła, co tylko mogła, aby dla Casey było jasne, że jest niepożądanym gościem. To Kyle nakłaniał

Casey do każdej wizyty, tłumacząc, że nalegają na to jego rodzice.

Podczas pierwszych odwiedzin Kyle zaprowadził ją do jadalni, gdzie kobieta o skórze koloru karmelu, ze śnieżnobiałymi włosami i zębami wyszczerzonymi w uśmiechu, podała jej szklankę mleka oraz talerz świeżo upieczonych czekoladowych ciasteczek. Oświadczyła, że nazywa się Myrtus i jest pomocą domową. Gdy stała przy drzwiach, czekając na dalsze polecenia, powiedziała, że przyjaciele mówią na nią Murty, i błysnęła w uśmiechu bielą wystających zębów. Kyle zaśmiał się, kiedy usiedli przy długim ciemnym stole.

— Boże, Murty, można by pomyśleć, że jesteśmy dziećmi z podstawówki, a ty podajesz nam ciasteczka i tak dalej. — Słowa Kyle'a były zaprawione sarkazmem, mówił z typowym dla południowców przeciąganiem głosek. Casey zapamiętała spojrzenie, jakie skierowała na niego Myrtus — zimne i srogie.

— Trzeba się z tym pogodzić, panie Wallace. — Popatrzyła na Casey i mrugnęła, gdy wychodziła z jadalni.

— Nie zwracaj uwagi na tę starą sukę. Od lat próbuje mną komenderować. Nie rozumiem, dlaczego mama wciąż ją trzyma.

Casey ugryzła ciasteczko i pomyślała, że to jest wystarczający powód. Nigdy wcześniej nie jadła tak dobrych ciasteczek, nawet u babci.

— Przepraszam, Kyle — zaskrzeczał z korytarza cienki głos. Casey uniosła wzrok znad talerza i napotkała martwe brązowe oczy Fiony Wallace.

Wstała, ocierając okruchy z ust serwetką, i wyciągnęła rękę do pani Wallace. Gest zawisł

w powietrzu, wiotcząc niczym cieplarniana stokrotka, podczas gdy Fiona Wallace odwróciła się w stronę Kyle'a. Zakłopotana Casey wcisnęła ręce w kieszenie spódniczki.

— Na Boga, synu. Myślałam, że uzgodniliśmy, że nie będziesz przyprowadzał —

wyszeptała wysoka, chuda kobieta i wskazała stożkową głową Casey — takich jak ona do tego domu.

Casey poczuła, jak rumieniec, wędrując z karku, obejmuje jej twarz. Potykając się, odstąpiła od stołu. Niezgrabny ruch sprawił, że krzesło się przechyliło i upadło na podłogę.

Biegając do głównych drzwi, słyszała, jak Kyle krzyczy na matkę. Reszta była zamazaną plamą. I nie chciała, aby to się zmieniło.

Stała na werandzie, oddychając świeżym powietrzem, gdy drzwi z siatką najpierw zaskrzypiały, a potem uderzyły o ścianę. Kyle podszedł blisko, ale Casey cofnęła się o krok i spojrzała na niego z gniewem.

— Casey, przepraszam, mama też. Wzięła cię za kogoś innego. Wiem, że to brzmi nieprzekonująco, ale proszę, kochanie, wróć do środka. Daj mamie jeszcze jedną szansę.

Nie spuszczała z niego wzroku. Był przystojny, ze swoimi jasnymi włosami, wyrazistymi rysami i roześmianymi niebieskimi oczami. Trochę za chudy, podobnie jak jego matka, ale Casey i tak uważała, że ma najwięcej szczęścia ze wszystkich dziewczyn w Sweetwater, skoro Kyle jest jej chłopakiem. Zastanawiała się, jak jego mama mogła pomylić ją z kimś innym. Postanowiła spytać o to później.

Może jego mama naprawdę myślała, że jestem kimś innym. Kyle spotykał się już z wieloma dziewczynami. Może chodziło o Brendę. Brenda zawsze wybierała najprzystojniejszych facetów w szkole.

— Chyba powinnam, bo tak byłoby grzecznie, ale, Kyle... — urwała, gdy otoczył ją ramieniem i ponownie wprowadził do domu.

— Mama prosiła, żebym ci powiedział, że jest jej przykro. Nie rozumie, jak mogła... —

Nie dokończył zdania. Gdy znaleźli się w środku, natychmiast wytłumaczył, że ma coś ważnego do zrobienia, i odszedł, zapominając, że nalegał, by została. Pani Wallace też nie wróciła, żeby ją przeprosić. Casey zrozumiała, że przeprosin nie będzie, kiedy usłyszała, jak pani Wallace rozmawia przez znajdujący się na korytarzu telefon.

— Kyle przyprowadził do domu jakąś lafiryndę. Wiesz, jak to jest, musi się wyszaleć za młodu. — Fiona zaśmiała się.

Casey nie chciała słyszeć nic więcej.

Upokorzona poszła do domu. Z wolna ogarnęła ją wściekłość, która z każdym krokiem stawała się silniejsza, zanim jednak dotarła na miejsce, uspokoiła się, przypominając sobie, co by straciła, gdyby Kyle z nią zerwał.

Zadzwonił następnego dnia, żeby przeprosić i zaprosić ją na obiad.

Ostatnio sytuacja wyglądała trochę lepiej.

\* \* \*

Dziś wieczorem zdołała przekonać mamę, że źle się czuje, i położyła się wcześniej do łóżka. Po półgodzinie wyszła przez okno z torbą na książki, w której ukryła jedyną porządną sukienkę, jaką miała. Zamierzała wstąpić po drodze do swojej najlepszej przyjaciółki, żeby się przebrać.

— Cholera, Casey, dlaczego znosisz to gównno? Masz prawie osiemnaście lat, a dalej musisz się wymykać. — Przeciągły akcent Darlene był gęsty jak miód, jej słowa płynęły wolno i słodko.

Casey popatrzyła na nią tak, jakby jej przyjaciółka straciła rozum.

— Wiesz dlaczego. Nie chcę znów tego powtarzać. Daj mi po prostu swoją lokówkę, tę, która karbuje. — Casey usiadła przed toaletką, a Darlene włożyła wtyczkę do kontaktu.

Stanęła za Casey i powoli przeciągała jej gęste włosy przez karbownicę.

— Nie mogę uwierzyć, że wciąż robisz to, czego zażąda ta podła stara małpa. I ten twój zboczony przyrodni brat. Skóra mi cierpie, kiedy go widzę. — Darlene udała, że trzęsie się ze strachu, zamierzając się trzymanym żelazkiem jak bronią.

— Jak tylko Kyle i ja się pobierzemy, to się skończy. — Casey opowiadała przyjaciółce o pobiciach i ciągłych pogroźkach.

Darlene przechyliła głowę Casey i zmusiła ją do wpatrzenia się we własne odbicie.

— Popatrz w lustro. Mój Boże! No nie, ten sukinsyn znów cię uderzył. Czemu go nie zabijesz, Casey? Mój tata jest adwokatem. Obiecuję, że wyciągnie cię z więzienia po minucie.

Jestem już prawie gotowa iść tam i sama skopać temu całemu Kyle'owi tyłek.

Casey uśmiechnęła się.

Darlene była prawdziwą południową pięknoscią, blondynką o wzroście tylko nieznacznie przekraczającym metr pięćdziesiąt, z odrobiną północnej złośliwości. Casey szybko nauczyła się doceniać Darlene, która miała zdecydowane, wyrobione poglądy na wszystko.

Powtarzała, że następnego dnia po ukończeniu przez nie szkoły pojedzie na Północ, aby zacząć nowe życie, i że nigdy, przenigdy nie wróci do Sweetwater.

Gdy przyjaciółka szcztokowała jej włosy, Casey zamknęła oczy i zastanawiała się, jak wyglądałoby jej własne życie, gdyby miała matkę, która troszczyłaby się o nią tak bardzo, jak matka Darlene o swoją córkę. Pokój, urządony w kolorze różowym, białym i złocistym, był

istnym rajem. Casey doskonale pamiętała, kiedy zmieniono wystrój tego pokoju, bo bardzo wtedy zazdrościła Darlene. Przyznała się do tego przyjaciółce, która obiecała, że będzie dzielić się z nią wszystkim, co ma. Ostatecznie, czy nie były najlepszymi przyjaciółkami?

— Jak wyglądam? — Casey zakręciła się, biała, lekka jak mgiełka sukienka zafalowała wokół jej nóg.

— Wyglądasz doskonale. Idź. Zadziw ich!

Darlene uścisnęła Casey po raz ostatni, a potem wypchnęła ją za drzwi.

— W drogę!

Śmiech Darlene brzmiał w uszach Casey, gdy szła ulicami Sweetwater. Pora obiadu, zupełny bezruch. Modliła się, żeby nie zobaczyła jej żadna z przyjaciółek jej matki. Co prawda, nie zapuszczały się na ten koniec wyspy, ale nigdy nie wiadomo.

Okazałe domy z długimi, rozległymi trawnikami tkwiły z dala od ulicy, ich wygląd nakazywał szacunek dla wszystkiego, co w sobie mieściły, czy na to zasługiwało, czy nie.

Casey minęła budkę ochroniarza przy bramie rezydencji Worthingtonów. Pani Worthington była prezeską Klubu Zamężnych Kobiet, dopóki nie umarła jakiś czas temu. Casey gardziła członkiniami klubu. Wydawały jej się małostkowe. „Sweetwater Sentinel” relacjonował

spotkania w klubie tak, jakby miały znaczenie ogólnonarodowe. Opisywał szczegółowo, kto włożył białe rękawiczki, kto poplamiał biały lniany obrus, kto jadł za dużo i kto przyszedł w sukni z zeszłego roku. Żalodne.

Casey nie miała za złe uprzywilejowanym kobietom tego, że spotykały się we własnym gronie, nie mogła tylko ścierpieć rozwlekłych zachwytych swojej matki nad klubowymi zebraniem. Casey wiedziała, że matka pragnie brać udział w tych comiesięcznych spotkaniach. Nie mogła, ponieważ nie była żoną zamożnego mężczyzny. Nieszczęśliwie dla Casey mama jak dotąd nie wyszła ponownie za mąż, była tylko zaręczona. Z samym Johnem Worthingtonem.

Matka często narzekała, że członkinie klubu zachowują się tak, jakby pochodziły z królewskich rodów, i bez wahania lekceważą tych, którzy niewolniczo harują w ich fabrykach dywanów.

— Przypomnij sobie tylko swojego ojca — mówiła. — Ile kosztowała go praca dla tych sukinsynów! Żalonna namiastka mężczyzny. W końcu mógł zrobić jeszcze tylko tyle, że umarł dla tych sukinsynów.

Casey przystanęła, kiedy doszła do domu Kyle'a. Nie mógł równać się z pałacem Worthingtonów, ale nie była to też zaniedbana rudera. Budynek z białej cegły miał dwie kondygnacje. Weranda otaczająca front, ozdobiona białymi meblami z wikliny i paprociami w wielkich donicach, sprawiała,



że dom wyglądał na komfortowy, a zarazem uroczy. Casey nie zdradziła się przed Kyle'em, że zazdrości mu tego miejsca. Może pewnego dnia ona też będzie miała własny dom. Taki, z którego będzie mogła być dumna. Taki, w którym nie będzie musiała się bać.

Nacisnęła dzwonek i czekała. Miała nadzieję, że tym razem rodzice Kyle'a nie będą wpajać jej zasad obowiązujących w wyższych sferach. Był rok 1987, na Boga, a oni wciąż zachowywali się tak, jakby żyli w czasach Margaret Mitchell.

Drzwi otworzył Kyle. Kiedy przyciągnął ją do siebie, wzdrygnęła się. To było coś, do czego musi przywyknąć, jeśli zamierza wyjść za Kyle'a. Po prostu zamknie oczy i będzie udawać...

— Casey, czy mnie słuchasz? — niski głos Kyle'a wyrwał ją z zadumy.

Popatrzyła na mężczyznę, z którym była zaręczona. Wysoki i jasnowłosy Kyle o szaroniebieskich oczach był jak marzenie. Zawrócił w głowie wielu dziewczynom, zanim zdecydował się na Casey, o czym dość często jej ostatnio przypominał. Zwłaszcza kiedy siedzieli w samochodzie nad Zatoczką Zakochanych. Chciała mu wtedy powiedzieć, żeby nadal uganiał się za tymi wszystkimi dziewczynami i dał jej spokój. Pamiętała jednak, gdzie mieszka. Jeśli Kyle chciał przechwalać się od czasu do czasu, niech tak będzie.

— Jak mogłabym nie słuchać najprzystojniejszego mężczyzny w okolicy? Tęskniłam za tobą. — Casey uwolniła się z objęć Kyle'a i uśmiechnęła. Zorientowała się, że zrobiła na nim wrażenie swoim wyglądem.

— Dobry Boże, Casey, gdzie kupiłaś tę sukienkę? — Kyle cofnął się o krok i nadal taksował ją wzrokiem.

— To moja najlepsza. Podoba ci się? — Casey obróciła się szybko wkoło, tak że mógł dostrzec jej opalone łydki.

— Oczywiście. Jest na tobie cudowna, skarbie. Chodzi tylko o to, że... moi rodzice...

Casey poczuła się tak, jakby została oblana kubłem zimnej wody. Jakimś sposobem Kyle zawsze potrafił włączyć do ich rozmowy swoich rodziców.

Wyglądał na zamyślonego.

— Co takiego, Kyle? — Casey stała pod łagodną poświatą lampy na werandzie, nie zdając sobie sprawy, jak atrakcyjnie wygląda w bladym świetle.

— Nieważne. Jesteś piękna. Mówiłem ci to ostatnio? — Kyle ujął ją za łokieć jak dżentelmen z Południa, którym zresztą był, i wprowadził ją do środka.

Casey była tak zdenerwowana, że mało nie wyskoczyła ze skóry. Czego chcieli rodzice Kyle'a? Wiedzieli o ich zaręczynach. Wiedzieli też, że chcą poczekać ze ślubem do czasu ukończenia przez nią szkoły. Może będą próbowali przekonać Kyle'a, by odłożył ślub, dopóki nie skończy college'u.

Wieczór minął powoli. Casey parę razy przyłapała się na tym, że tłumi ziewnięcie. Po dwóch godzinach rozmowy o niczym w końcu odważyła się powiedzieć, że jej mama będzie się niepokoić, jeśli nie wróci na czas. Uśmiechnęła się przeprasząco i wyszła szybko na korytarz prowadzący do drzwi frontowych, a Kyle podążył za nią.

— Odwiozę cię do domu, kochanie — powiedział.

Żałowała, że nie może po prostu wyrzucić z siebie, że matka by ją zabiła, gdyby się dowiedziała, że jej pokój jest pusty.

— Nie, naprawdę, wolę się przejść. Będę miała czas, żeby pomyśleć o nas. I o innych sprawach. — Wiedziała, że Kyle w końcu ustąpi i pozwoli jej zrobić, jak zechce.

— Casey, nie wychodzisz chyba? — zawołała Fiona Wallace, gdy dziewczyna otwierała już drzwi, za którymi była frontowa weranda.

— Przykro mi, pani Wallace. Muszę wracać do domu. — Zimny dreszcz przebiegł jej po ramionach, gdy zobaczyła spojrzenia, jakie wymienili matka i syn.

— Chciałam porozmawiać z tobą wcześniej, Casey, ale nie wiedziałam, jak poruszyć ten temat.

Równie wysoka jak Kyle i chuda jak patyk Fiona Wallace była nieatrakcyjną kobietą, niemal brzydką, i miała odpowiednie do wyglądu usposobienie. Przypominała Casey Olive Oyl, tyle że brakowało jej przyjacielskiej osobowości tej rysunkowej postaci. Fiona nigdy nie zwracała sobie głowy makijażem czy modną fryzurą. Nosila dawno kupione ubrania i buty ze startymi obcasami. Casey cieszyła się, że Kyle odziedziczył wygląd po ojcu.

Była przygotowana na złe wiadomości, bo takich się spodziewała, i ogarnęło ją zdumienie, kiedy usłyszała słowa płynące spomiędzy cienkich, ściągniętych warg pani Wallace.

— Pan Wallace i ja uznaliśmy, że może ty i Kyle chcielibyście mieć małe przyjęcie weselne tutaj, w naszym domu.

Casey sięgnęła do gałki na drzwiach, żeby nie stracić równowagi.

— Nie wiem, co powiedzieć — odparła niepewnie. Popatrzyła na Kyle'a opartego o ścianę: miał minę kota, który zjadł kanarka. Było dla niej oczywiste, że już wcześniej wiedział o „małej” niespodziance swojej matki.

— Sam dowiedziałem się o tym dopiero dziś po południu. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli mama ci powie. — Kyle popatrzył na matkę, której cienki nos sterczał prawie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Dlaczego Fiona Wallace to robi? Casey zastanawiała się, czy wygląda jak idiotka. Z

pewnością tak właśnie się czuła. Czy spodziewali się może, że zaczną krzyczeć z radości, że porwie ich w ramiona? Czy oczekiwali, że podziękują im z głębi serca? Nie w tym życiu. To był pomysł

Kyle'a, żeby uciec i zaoszczędzić wszystkim całego tego zamieszania i kłopotu.

Skąd się wzięła ta nonsensowna propozycja wesela? Znowu poczuła, jak zimny dreszcz przebiega jej po ramionach.

— Casey, co ty na to? — Kyle wziął ją za ramię i odciągnął od drzwi.

— Jestem zbyt wstrząśnięta. Brak mi słów.

— Widzisz, mamó. Mówiłem ci. Nie musisz zupełnie nic robić, kochanie. Niech mama zajmie się wszystkimi szczegółami, a będzie o nas mówiło całe Sweetwater.

— Ale, Kyle, sądziłam, że my... — Casey czuła, jak mocno bije jej serce. Już sama myśl o obecności jej mamy i Fiony Wallace w jednym pokoju była nie do przyjęcia. Nie będą musieli przygotowywać wesela, pójdą na jej pogrzeb, bo ona tego nie wytrzyma.

— Nie zaprzataj sobie niczym tej swojej ślicznej główki. Zostaw to mamie. Musisz tylko zdecydować o kolorze lukru na torcie. — Kyle odwrócił się w stronę matki. — Jeśli moglibyśmy zostać przez minutkę sami, to potem wrócę i wypijemy razem wieczornego drinka.

Fiona skinęła głową.

— Oczywiście, skarbie. Będę musiała porozmawiać z twoją matką, Casey. Zadzwoń do niej w którymś momencie. — Casey kiwnęła głową. Nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić. Fiona i jej matka w tym samym pokoju! Byłaby to nieuchronna katastrofa.

— Co o tym sądzisz? Jesteś zaskoczona? — spytał Kyle. — Całe miasto będzie o tobie mówić. Nie martw się o nic, mama wszystko załatwi. Jest dobra w takich sprawach. Zyskasz czas na myślenie o sposobach, w jakie ty i ja możemy...

— Na Boga, Kyle! Czy tylko o tym jesteś w stanie myśleć? — Nagle ożyły wszystkie jej poprzednie wątpliwości. Czy potrafi doprowadzić to do końca? Może powinna powiedzieć Kyle'owi prawdę. Czy nadal będzie chciał się z nią ożenić?

Pociągnął ją w kąt werandy, z dala od drzwi wejściowych, po czym objął ją, chwycił za pośladki i ścisnął je, przyciągając ją do swoich lędźwi. Casey poczuła jego nabrzmiały, sztywny członek i skuliła się ze strachu.

— Wydaje się, że tak, kiedy jestem przy tobie. — Nadal ocierał się o nią, przesuwał ustami po jej szyi.

— Przestań! — Próbowwała go odepchnąć, ale ją przytrzymał.

— Po prostu się rozluźnij, nie wiesz, co tracisz — mówił bełkotliwie z powodu wina, które wypił podczas obiadu i potem. Sięgnął do jej piersi okrytych cienkim materiałem sukienki.

Casey zamarła. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby udawać. Równie szybko jak przyciągnął

ją do siebie, teraz ją odepchnął.

— Cholera, Casey, zachowujesz się jak jakaś pieprzona dziewczica. Wiem, że nią nie jesteś, więc po prostu skończmy od razu z tym kitem. Moi rodzice są gotowi wydać mnóstwo pieniędzy na wesele, toteż ty powinnaś dać mi przynajmniej zadatek na poczet tego, co dostanę potem. — Popchnął ją tak, że się potknęła. Chwyliła się balustrady werandy.

Odrętwiała wpatrywała się w Kyle'a. Z rozmachem usiadł na bujanym wiklinowym fotelu, na urodziwej twarzy miał głupawy uśmiezek.

— Co w ciebie wstąpiło, Kyle? Dlaczego tak się zachowujesz?

— Nie chodzi o coś, co we mnie „wstąpiło”, jak mówisz, kochanie, tylko o to, co ze mnie wychodzi.  
— Zachichotał.

Casey poczuła mdłości. Myślała, że jest inny, że jest jej szansą na normalne życie.

— Idę do domu. Postaram się zapomnieć, że to się w ogóle zdarzyło. — Zeszła po stopniach w ciemność. Kyle był tylko mężczyzną. Wiedziała, że ma pragnienia i popędy.

Liczyła jednak na to, że będzie wobec niej trochę delikatniejszy. Powiedziała mu, że chce poczekać do ślubu. Do tej pory szanował jej decyzję. Może naprawdę uważał, że jest mu coś winna? Nigdy nie poprosiłaby o nic jego rodziców, nie mówiąc już o tym, żeby zapłacili za ich wesele.

Casey usłyszała, że Kyle ją woła, ale go zignorowała. Chciała znaleźć się w domu, żeby się ukryć. Odgrodzić się od świata i zastanowić, co ma zrobić ze swoim życiem. Czuła się stara i wyniszczona, chociaż miała zaledwie osiemnaście lat.

Kyle był jej szansą na lepsze życie, przy nim miała poczuć się młodo i beztrosko. W tej chwili jednak nic takiego nie odczuwała.

— Casey, cholera, przepraszam. — Usłyszała za sobą kroki Kyle'a i zatrzymała się. Rzucił się na nią. Przewrócili się na ziemię i Kyle przykrył ją swoim ciałem.

— Powiedziałem, że cię przepraszam, czego chcesz więcej? — Czuła, jak jego członek znów nabrzmiewa.

Uniosła kolana między rozrzuconymi nogami Kyle'a, wbiła obcasy w miękką trawę i wysunęła się spod niego. Przez moment ocierał się o trawnik. Gdyby nie była tak przerażona, może by się roześmiała. Wiedziała jednak, co mogłoby się wtedy stać. Nie miała ochoty ryzykować.

Kyle podniósł się, Casey też wstała, strzepując czerwoną ziemię i trawę ze swojej najlepszej sukienki, która teraz była okropnie poplamiona.

Zapachy ziemi i trawy rozeszły się w nocnym powietrzu, gdy Casey, drżąc, stała w ciemności. Kyle wpatrywał się w nią, jednak nic nie mówił. Bała się wypowiedzieć słowa, które wszystko by

przekreśliły. Niech padną z jego ust.

Kyle zrobił krok w jej stronę z rękami wyciągniętymi przed siebie.

— Nie wiem, co we mnie wstąpiło dziś wieczorem. Przepraszam.

Casey wpatrywała się w niego, nie będąc w stanie się poruszyć. Czuła wewnętrzne rozedrganie, drżały też jej ręce. Ścisnęła dłońmi materiał sukienki, żeby to ukryć.

— Czy możemy zapomnieć to, co się zdarzyło, Casey? Kocham cię. — Spojrzenie Kyle'a złagodniało. Zazwyczaj idealnie wyprostowany, przyjął teraz niedbałą pozę, jakby zszedł ze strony magazynu „Southern Gentlemen”.

Wyciągnął rękę w geście pojednania. Chociaż rozum jej to odradzał, rozwarła ramiona.

Przygarnął ją w łagodnym uścisku, kładąc jej głowę na swojej piersi. Robił to, co powinien.

Pocieszał ją. Reszta przyjdzie później, potrzebowała po prostu czasu. Uniosła głowę i popatrzyła na Kyle'a. Ujął jej twarz w obie dłonie i jednocześnie przycisnął do niej biodra.

Mocno, bardzo mocno.

— Przestań! — Pchnęła Kyle'a w pierś, a on ścisnął jej twarz rękami. Szamotała się i cofała.

— Ty podpuszczalska suko. Tylko poczekaj. — Chwycił sukienkę przy szyi i szarpnął.

Biały, przejrzysty materiał rozdarł się jak papier.

Casey stała nieruchomo. Wiedziała, że tak będzie dla niej lepiej.

Następny był stanik. Zsunął ramiączka z jej barków i rozerwał biustonosz, a potem rzucił go na ziemię.

Zakryła piersi drżącymi rękami i modliła się, żeby jej nie zgwałcił.

Mój Boże, to jest Kyle, mężczyzna, za którego mam wyjść za mąż.

W chłodnym nocnym powietrzu sutki jej piersi stwardniały. Kyle wziął każdy między kciuk i palec wskazujący i uszczypnął, a potem się zaśmiał.

Nie była w stanie się ruszyć. Płonęła, każde szarpnięcie wywoływało ból.

— Wiedziałem, że masz duże piersi.

Usłyszała brzęk metalu, gdy rozpiął klamrę przy pasku. Potem zamek.

— Cholera, nie stój tak. Chcesz tego tak samo jak ja.

Popatrzyła za Kyle'a. Było ciemno. Zasłaniały ich drzewa rosnące na końcu trawnika. Nie było szans, że zauważą ich rodzice Kyle'a. Nie miał kto przyjść jej z pomocą, chyba że krzykiem zwróciłaby czyjąś uwagę.

Jasnowłosa głowa Kyle'a była na jej piersiach. Lizał jej sutki, potem zaczął kąsać delikatną skórę.

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy kontynuował pieszczoty.

Po jednym szybkim ruchu jej majtki stały się białą kropką na ciemnym trawniku. Oddech Kyle'a był ciężki i przyśpieszony. Nie stawiała oporu, wiedząc, że jeśli zacznie walczyć, to i tak przegra.

Przycisnął ją do ziemi i opuścił spodnie do kolan. Ponieważ przytrzymał ją tylko jedną ręką, odepchnęła go i przetoczyła się w bok. Zerwała się, przyciskając do ciała podartą sukienkę, i pobiegła przez tylne podwórko, przeskakując ogrodowe węże i krzesła. Pędziła, dopóki nie zabrakło jej tchu. Kiedy natrafiła na gąszcz oleandrów, wsunęła się za nie i kucnęła. Czekwała, bojąc się odetchnąć, dopóki nie nabrała pewności, że może ruszyć dalej.

Owinęła się podartą sukienką. Pobiegła do domu co sił w nogach.

\* \* \*

Ich dom był jednym z najstarszych w tej części miasta. Babcia podarowała go jej ojcu, kiedy dziesięć lat temu przeprowadziła się do nowego mieszkania w domu wielorodzinnym.

Casey nienawidziła tego miejsca, mimo że kiedyś mieszkała tu babcia. Same złe rzeczy przydarzyły się jej w tym domu. Nie mogła się doczekać, kiedy go opuści.

Ten dwukondygnacyjny budynek, z którego płatami odpadała żółta farba, mógłby wyglądać zupełnie inaczej, gdyby jej matka wydawała trochę pieniędzy na remonty. Matka mówiła, że to nieważne, jak dom prezentuje się z zewnątrz. Należy się troszczyć o to, co znajduje się w środku. Ludzie lubią patrzeć na piękne przedmioty, na koronkowe firanki i delikatną porcelanę.

Casey po cichu wyjęła z okna siatkę przeciw owadom i wsunęła ją do wewnątrz pokoju.

Zapach kapryfolium i jaśminu utrzymywał się jeszcze w nocnym powietrzu. Przestraszył ją pisk kota. Zaczerpnęła głęboko powietrza, przekładając nogi przez parapet.

Gdy znalazła się w środku, obiegnęła spojrzeniem pokój, chcąc się upewnić, że nikogo w nim nie ma. Łańcuszek na drzwiach, który czasami zapewniał jej odrobinę bezpieczeństwa, był

nadal na swoim miejscu. Włożenie siatki na miejsce zajęło tylko sekundę.

Oparta o okienną framugę oglądała swój pokój oczami obcego człowieka. Co obcy pomyślałby o podwójnym łóżku z cienkim materacem? O białej kordonkowej kapie wytartej ze starości? O dębowym nocnym stoliku pokrytym nacięciami i kółkami od szklanek?

Komoda była bladoniebieska; sama ją wiele razy malowała. Plakaty, na brzegach zawinięte od

starości, wisały na wyblakłych ścianach. Lampa z baleriną, ta, którą dała jej babcia Gracie, była jedyną dziewczęcą ozdobą w tym przygnębiającym wnętrzu. Nie był to taki pokój, jaki miała Darlene.

Wiedziała, że powinna namoczyć poplamioną sukienkę — w zimnej wodzie, ale musiałaby wyjść poza pokój, a nie miała na to ochoty. Powinna też zadzwonić do Kyle'a i powiedzieć mu, żeby poszedł do diabła. Choć tak rozpaczliwie pragnęła opuścić dom rodzinny, wiedziała teraz, że w żadnym razie nie może wyjść za Kyle'a. Zadzwoni do niego z samego rana i, jeśli będzie jeszcze spał, nagra się na automatyczną sekretarkę. Sukienkę razem z butami schowała głęboko w szafie. Jutro będzie dość czasu, żeby zająć się praniem. Może zresztą nie warto, skoro Kyle rozdarł całą górę sukienki. Popatrzyła na łańcuszek. Lepiej go zdjąć. Matka zrobiłaby piekło, gdyby usiłowała otworzyć drzwi i nie mogła wejść. Tyle miała z tej prywatności! Raz spytała matkę, dlaczego nie pozwala zakładać łańcuszka. Odpowiedź była niczym policzek. Usłyszała, że gdyby nie była taką dziwką, mogłaby zamykać drzwi na łańcuszek. Powiedziała, że nie chce, by jakiś niespodziewany gość powitał ją, kiedy przyjdzie obudzić córkę do szkoły. Ale Casey dobrze wiedziała, że nie to było powodem. I matka też to wiedziała.

Ostrożnie wysunęła łańcuszek z zamka. Położyła się na łóżku, mając nadzieję, że zaśnie.

Modliła się, żeby zostawiono ją w spokoju. Przynajmniej tej nocy. Tej nocy, kiedy czuła, że przeszłość wymyka jej się z rąk, chciała mieć święty spokój.

Obudził ją odgłos zamykania drzwi wejściowych. Odsunęła na bok cienką kołdrę i modliła się, żeby to Ronnie opuścił dom.

Zacisnęła uda. Wciąż obolała po poprzednim wieczorze, wzdrygnęła się, kiedy przypomniała sobie, jak Kyle przestał nad sobą panować. Wskoczyła z łóżka i szybko wsunęła łańcuszek z powrotem na miejsce. Musiała stąd uciec. Nie zamierzała czekać na przeprosiny Kyle'a. Wydarzenia ostatniego wieczoru przekroczyły granice jej wyobraźni.

Małżeństwo z Kyle'em nie może dojść do skutku. Kiedy coś było skończone, to ostatecznie.

Matce powie, że się z Kyle'em pokłócili i postanowili rozstać na jakiś czas. Matka będzie ją łajać, ale była do tego przyzwyczajona.

W głębi szafy, w puszcze po kawie ukryła wszystkie swoje oszczędności. Czteryście siedemdziesiąt trzy dolary i sześćdziesiąt siedem centów. Sama była zdumiona, jakim sposobem zdołała odłożyć aż tyle pieniędzy. Matka kontrolowała każdy cent, który Casey zarobiła na opiece nad dziećmi. Od czasu do czasu, nie mówiąc o tym matce, pomagała Florze, gospodyni u Worthingtonów. Starła się utrzymywać te drobne zajęcia w tajemnicy, bo wiedziała, że nadejdzie dzień, w którym będzie musiała uciec.

Dziś był ten dzień.

Biała sukienka zwinięta w kłębek przypomniła jej o przekreślonych marzeniach. Często wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać jej życie z Kyle'em po ślubie. Mały dom, nie za duży, ale za to z podwórkiem pełnym drzew. I ogródek. Kyle dostawałby świeże warzywa do każdego posiłku. Gdy naczynia byłyby już umyte, zawieszaliby wilgotną ścierkę w kwiaty na brzegu zlewu, ogłaszając w ten sposób, że wieczór należy do nich. Po wypiciu kawy przypomnieliby sobie o psie. Prowadzeni przez labradora, trzymając się za ręce, spacerowaliby spokojnymi ulicami Sweetwater.

To były nierealne marzenia. Nawet ona o tym wiedziała. Nie mogła uwierzyć, że snuła takie fantazje. Jej życie było takie, że miałyby szczęście, gdyby złapała na męża jakiegoś spitego gościa z Paw's, najnowszego klubu w Brunswicku. Takie dziewczyny jak ona nie miały szans usidlić bogatego faceta, najlepszej partii w mieście. Takie jak ona nadawały się jedynie do zaspokajania żądz innych i do pomocy w rodzinie.

Chwyciła czerwoną puszkę i przycisnęła ją do siebie. W tej puszcze była jej przyszłość.

Podniosła torbę na książki z podłogi szafy i przejechała palcami wzdłuż drucianych wieszaków, na których wisiała jej nędzna garderoba. Pierwszą z brzegu była różowa sukienka ze sztucznego kaszmiru, a za nią kilka luźnych bluz. Nieważne, że ostatnio panowała moda na ubrania dopasowane. Ona wolała obszerne, bezkształtne bluzy dresowe i workowate dżinsy.

Zgarnęła z górnej półki starą torebkę z denimu i wrzuciła do niej zawartość puszeki.



Wetknęła torebkę do torby na książki Zdjęcie jej i Kyle'a w towarzystwie Darlene i chłopaka o imieniu Henry stało na komodzie. Chwyciła zdjęcie razem z ramką i też wepchnęła je do torby na książki. Przebiegła jej przez głowę myśl, że może tylko ono będzie jej przypominało, skąd pochodzi, kiedy opuści tę przeklętą wyspę.

Intrygujące było to, że nie miała pojęcia, dokąd się uda. Ruszy na Północ; może zakończy podróż w Nowym Jorku, a może jednak pojedzie najpierw do Atlanty. Później podejmie decyzję. Kiedy będzie miała czas na myślenie i planowanie. Dziś musi wyjść wcześniej ze szkoły i wstąpić do gabinetu doktora Huntera. Zadzwoiła wczoraj i umówiła się na wizytę, więc wszystko było przygotowane.

— Casey, wstawaj! — Burkliwy głos matki przyprawił ją o dreszcz trwogi.

Musiała zachowywać się normalnie.

— Idę, mam. Jestem prawie ubrana. — Przynajmniej to było prawdą.

Modliła się, żeby Ronnie nie wrócił do domu, co mu się czasami zdarzało. Gdyby tak się stało, nie miałaby żadnej szansy na wyjazd.

Położyła wypchaną torbę pod łóżkiem i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Wcale nie wyglądała inaczej. Te same ciemne włosy opadały do pasa. Te same cienie kryły się pod bladozielonymi oczami. Znajomy strach chwycił ją za gardło. To też się nie zmieniło. Nie przestawała wpatrywać się w swoje lustrzane odbicie, ciekawa, czy dostrzeże jakąś zmianę.

Nic się nie stało. Wyglądała tak samo i czuła się tak samo. Jakie to dziwne. Żadnej różnicy.

— Casey! — zawołała szorstko matka z drugiego końca korytarza.

Casey po raz ostatni spojrzała przez ramię na swoje odbicie i nabrała pewności, że matka nie pozna, co się jej przydarzyło.

Nagle uświadomiła sobie, że jednak była pewna różnica. Pomyśli o tym później.

\* \* \*

Weszła do wypełnionej dymem kuchni i pośpieszyła do lodówki, skąd wyciągnęła jajka, masło i boczek. Odkąd pamiętała, szykowała śniadanie dla matki. Jeśli Ronnie był w domu, jemu też robiła śniadanie. Przez cały ten czas matka siedziała w milczeniu, popijając kawę, a Ronnie naśmiewał się z Casey. Czasami matka go zachęcała.

Dzięki Bogu, Ronnie pracował na porannej zmianie w fabryce. On by wiedział, że coś się stało. Wcześniej rano jego oczy nie byłyby szkliste od alkoholu jak oczy matki. Mózg też nie pracowałby tak wolno jak jej mózg. Casey nie mogła niczego Ronniemu wmówić. Umiał

wyciągnąć z niej prawdę.

— Cholera, dziewczyno! Pośpiesz się, jestem głodna. Tylko nie spóźnij się do szkoły.

Casey szybko postawiła żelazną patelnię z kilkoma paskami wędzonego boczku na płycie kuchenki elektrycznej. W ciągu paru chwil kuchnia wypełniła się aromatycznym skwierczeniem boczku i zapachem parzonej kawy. Wirująca trzepaczka uderzała o brzegi miski, gdy Casey ubijała jajka.

— Nie wiem, co się z tobą dzieje, dziewczyno. Ociągasz się. Miałaś wstać, żeby nakarmić Rona. Będzie miał ciężki dzień w fabryce — burczała matka podczas przerw w wydmuchiwanie papierosowego dymu.

— Przepraszam, mamó, nie wiedziałam. — Casey zgarbiła się w oczekiwaniu ciosu. Kiedy go nie otrzymała, odwróciła się i popatrzyła na matkę, która siedziała przy stole, odpalając jednego papierosa od drugiego.

Eve Edwards była piękną kobietą. Regularne rysy niekorzystnie zmienił alkohol i złość, ale Casey wiedziała, że wystarczyło kilka wieczorów z dala od alkoholu, żeby zmarszczki się wygładziły i złagodniała pełna złości mina prawie zawsze obecna na twarzy. Tak, matka potrafiła wyglądać pięknie. Wewnątrz, jak wiedziała Casey, była jednak wypełniona wściekłością. Wściekłością na swój los. Casey nie знаła wszystkich szczegółów z dzieciństwa matki, ale domyślała się, że musiało zdarzyć się coś tragicznego, co zmieniło ją w złą, zgorzkniałą kobietę. To wszystko prawdopodobnie miało się zmienić teraz, kiedy „spotykała się” z Johnem Worthingtonem.

Eve zgmiotła papierosa w popielniczkę i zapaliła następnego. Casey widziała drżenie jej rąk. Zalała ją fala żalu, że nie może mieć takiej matki, jaką zawsze chciała mieć. Że jej matka prowadziła życie takie, a nie inne, a dla swojej córki miała jedynie szorstkie, okrutne słowa.

Przyrzekła sobie, że jeśli kiedyś będzie miała tyle szczęścia, że założy rodzinę, nigdy nie pozwoli, aby zdarzył się choć jeden dzień, w którym nie powie swoim dzieciom, że je kocha.

A kiedy będzie wymawiała te słowa, naprawdę będzie tak czuła.

Przełożyła boczek z patelni i wlała wymieszane jajka do gorącego tłuszczu, dusząc się przy tym od ciężkiego zapachu. Zupełnie nie pojmowała, jak jej matka może jeść coś takiego z samego rana. Ona sama z trudem zmuszała się do przełknięcia lunchu. Wiedziała, że powinna coś jeść, bo inaczej matka zauważy, że straciła na wadze, a wtedy rozpęta się piekło.

— Jeszcze kawy, mamó? — Casey znała ustaloną kolejność czynności. Miała nadzieję, że wykonuje je po raz ostatni.

Eve przesunęła filiżankę na brzeg stołu i czekała, aż Casey naleje gorący napar.

— Jajka są gotowe. — Casey nałożyła na talerz matki jajka, boczek i kromkę białego chleba, lekko posmarowanego masłem dokładnie tak, jak lubiła matka.

— Zajęło ci to dość dużo czasu, dziewczyno. Wydajesz mi się jakaś dziwna.

Casey zamarła.

— Przepraszam, mamó. Ten gruby boczek trzeba smażyć trochę dłużej. Ronnie go lubi.

Myślałam, że będzie jadł śniadanie z tobą.

Wiedziała, że jakakolwiek wzmianka o Ronniem uciszy matkę. Dla Ronniego wszystko.

Casey nie mogła zrozumieć łączącej ich więzi.

— Nie wydaje mi się, żebyś miała dość do roboty w tej przemądrzałej szkole. I pamiętaj, żebyś wróciła do domu na czas. Ja wychodzę dziś wieczorem z panem Worthingtonem —

powiedziała Eve, przeciągając głoski. — Ronnie będzie chciał zjeść kolację wcześniej niż zwykle.

Przerażenie sprawiło, że Casey zatrzęsły się ręce i talerz o mało nie wysliznęła się jej z ręki.

Eve nadziała na widelec kęs jajecznicy i mówiła dalej, a Casey siedziała naprzeciwko, czekając, aż ten codzienny męczący rytuał się skończy, żeby móc iść do szkoły i uciec od matki, od tego domu i od Ronniego.

\* \* \*

Poszła do szkoły dłuższą drogą. Skoro miał to być jej ostatni dzień, nie było ważne, czy się spóźni, czy nie. Zdecydowała się tam pójść tylko dlatego, że matka mogłaby wpaść na pomysł, żeby zadzwonić i sprawdzić, czy Casey jest w szkole. Matka robiła to już wiele razy.

Skręciła za róg i zobaczyła, że doktor Hunter podnosi poranną gazetę z trawnika przed domem. Podbiegła do niego i spytała:

— Doktorze, czy myśli pan, że mógłby pan przyjąć mnie teraz? Jeśli tylko pan ma czas, mogę się trochę spóźnić do szkoły.

Starszy mężczyzna popatrzył na nią znad okularów i skinął głową.

Po trzydziestu minutach oszołomiona Casey wyszła z domu doktora i skierowała się w stronę chodnika. Przetarła oczy, usiłując patrzeć przez łzy.

Podjęła decyzję, że wyjedzie zaraz po ostatniej lekcji. Pójdzie na prom, a potem złapie okazję.

Odwróciła się, kiedy usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Zmarszczyła brwi na widok Flory, która od czasu do czasu pomagała jej matce.

— Casey, poczekaj. Musisz wrócić do domu. Twoją mamę zabrano do szpitala. — Drobną kobietą zasapała się, ale zaczerpnęła głęboko powietrza i mówiła dalej jak nakręcona. —

Zasłam tylko, by powiedzieć twojej mamie, że jej dzisiaj pomogę. Znalazłam ją na podłodze w kuchni, bladą jak ściana. Będiesz musiała zanieść do szpitala jakieś świeże koszule nocne i parę innych rzeczy.

— Co... co jej się stało? Czy powiedzieli? Umrze?

— Nie wiem, dziecko. Nie mogłabyś szybciej przebierać nogami? Szpital może okazać się najlepszą rzeczą dla twojej mamy. Może tym lekarzom uda się ją odzwyczaić od alkoholu.

— Nie wiem, co robić, Floro. Powiedz mi, co mam zrobić.

— Próbuję, dziecino. Najpierw musisz zadzwonić do szpitala. Może powinnaś tam pójść i zanieść mamie potrzebne rzeczy. Już zadzwoniłam do fabryki i powiedziałam Ronniemu.

Pośpiesz się teraz, Casey. Zatelefonuję do ciebie później, żeby się dowiedzieć, jak ona się czuje. Może będziesz chciała wziąć kwiaty z ogrodu.

Powiedziawszy to, ruszyła niemal biegiem ulicą. Skąd ta drobna kobieta brała tyle energii?

Dziesięć minut później Casey weszła do domu drzwiami kuchennymi. Zobaczyła wszystko jednocześnie — naczynia ze śniadania, przepelnioną popielniczkę, zastawiony blat szafki, krzesła poodsuwane od stołu. Jeden z kapci matki leżał pod stołem. Rozejrzała się za drugim, ale nigdzie nie było go widać.

Czy matka umrze? Prawdopodobnie nie. Babcia powiedziała kiedyś, że tylko dobrzy ludzie umierają młodo.

Sięgnęła po telefon. Zadzwoniła do informacji, żeby zapytać o numer szpitala, i zapisała go uważnie. Minęło dziesięć minut, zanim zdołała porozmawiać z kimś, kto wiedział, co się dzieje z jej matką. W końcu pielęgniarka oddziałowa z chirurgii powiedziała, że Eve przechodzi pewne badania i najprawdopodobniej zostanie wypisana jeszcze tego samego dnia.

Casey przetrwała tę informację, podziękowała pielęgniarce i rozłączyła się. Kilka dodatkowych godzin nie będzie miało wpływu na jej plany. Mogła spędzić ten czas na sprzątaniu kuchni, odkurzeniu całego mieszkania i zrobieniu wielkiego prania.

Drzwi kuchenne trzasnęły z hukiem. Dźwięk był tak głośny, że usłyszała go na piętrze.

Ronnie.

Oczywiście, że przyszedł do domu. Każda okazja była dobra, żeby wyrwać się z pracy.

Zacisnęła palce na szczęście, pragnąc, żeby nie przetrząsnął jej torby z książkami i nie znalazł

pieniędzy. Najciszej jak potrafiła, wyszła z pokoju matki, przecięła korytarz i pobiegła do siebie, gdzie zamknęła drzwi i zabezpieczyła je łańcuszkiem. Cała się trzęsła. Niech tylko nie przychodzi tu na górę. Proszę, Boże, niech tego nie robi, niech tu nie przychodzi.

Jej ruchy były nieskoordynowane, gdy chwiejnym krokiem szła przez pokój, żeby otworzyć okno. Ręce drżały jej tak mocno, że upuściła siatkę przeciw owadom na ziemię.

Miała jedną nogę za parapetem, kiedy usłyszała ciężkie buty Ronniego na schodach. Zamarła.

— Otwórz te cholerne drzwi, Casey. Muszę z tobą porozmawiać. Chcę wiedzieć, co się stało mamie.  
— Widział ją przez wąski otwór. Jaką miała szansę? Lepiej wyskoczyć i wziąć nogi za pas.

Uderzyła mocno o ziemię. Na moment zabrakło jej tchu. Z trudem chwytając powietrze, podniosła się i pobiegła wzdłuż domu. To był jej pierwszy błąd. Drugi popełniła, gdy myślała, że może ukryć się w szopie z narzędziami. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś broni.

Zobaczyła kołki ogrodowe oparte o stary drewniany stół. Jeden z nich wzięła do ręki i skupiając wzrok na jego ostrym końcu, pomyślała, że mógłby jej posłużyć jako włócznia.

Poczuła jego zapach w tej samej chwili, w której wpadł przez drzwi z twarzą wykrzywioną wściekłością. Wprost zionął nienawiścią, podobnie jak czasami mama. Wiedziała, do czego jest zdolny, co oznacza każdy ruch, bo Ronnie był tępy i przewidywalny.

Zobaczył, że kucnęła za beczką z torfem. Rzucił się na nią, ale mu się wymknęła. Ponowił

atak. Tym razem pokazała mu włócznię, którą trzymała w ręce. Zaśmiał się, tyle już razy słyszała ten wariacki śmiech. To będzie ostatni raz.

Jej wstyd zostanie z nią na zawsze.

Na zawsze.

Był jej częścią, jak odcisk palca.

Musiała wykazać się sprytem.

Uniosła ramię, mocno ściskając swoją włócznię. Rzucił się i chwycił ją za rękę w chwili, gdy wbiła kołek w jego udo. Wrzasnął piskliwie jak kobieta. Wyszarpnęła kołek i przygotowała się do następnego ciosu. Przeklinał ją, trzymając się za nogę. Zamierzyła się kołkiem drugi raz, ale Ronnie potoczył się na bok i zakrwawiona broń trafiła w zniszczony stół.

Rzucił się na nią z glinianą doniczką w ręce. Przejechał nią po twarzy siostry. Casey się przewróciła. Gdy niezdarnie się osuwała, czuła, jak ciepła krew ścieka kroplami po jej szyi.

Gdzie są kołki, gdzie są kołki? Poczłgała się w stronę drzwi — wtedy Ronnie kopnął ją w brzuch roboczym buciorem. Zgięła się wpół. Znów zaatakował, ale się uchyliła i but trafił w pustkę.

Była teraz na zewnątrz, trzymała się za brzuch, próbując się wyprostować, żeby pobiec do domu. Ronnie ruszył za nią, ciągnąc zranioną nogę po nieheblowanych deskach szopy.

Słyszała, jak klnie.

Musiała uciec. Potykając się i przewracając, dotarła do stopni tylnej werandy i tam upadła, wyczerpana. Sięgnęła do balustrady, żeby podciągnąć się i stanąć. Ronnie znajdował się mniej niż dwadzieścia metrów od niej, kiedy zobaczyła miotłę opartą o schodki.

Wykorzystując resztkę siły, uderzyła nią mocno o poręcz barierki. Poszarpane ostrze kija stało się jej bronią. Wysunęła ją przed siebie.

— Podejdz krok bliżej, a wepchnę ci to w gardło, Ronnie. Naprawdę. Jeszcze jeden krok, zabiję cię.

Albo broń, albo ton głosu sprawiły, że Ronnie zwolnił, dając jej akurat tyle czasu, ile potrzebowała, żeby wejść do domu i zamknąć za sobą drzwi na zamek.

Zaczęła gorączkowo szukać przenośnego aparatu telefonicznego. Rozplakała się, kiedy nigdzie go nie znalazła. Mógł być gdziekolwiek. Matka ciągle zabierała go ze sobą, a potem zostawiała byle gdzie. Musieli czekać, aż telefon zadzwoni, żeby móc go znaleźć. Zaraz, przecież korzystała z telefonu, kiedy przyszła do domu. O Boże, gdzie go zostawiłam? Gdzie?

W całym domu tylko jej pokój był wyposażony w zamek.

Gdy pośpieszyła na piętro, by skryć się w swoim pokoju, wciąż ściskając w ręce kij od miotły, miała wrażenie, że jej brzuch płonie.

Padła na łóżko i dopiero teraz zauważyła, że od drzwi biegnie krwawy ślad. Popatrzyła na łóżko i zobaczyła powiększającą się kałużę krwi.

Jej krwi. Zamknęła oczy i pogrążyła się w ciemności.

Trzy godziny później Eve Edwards weszła do cichego domu. Czuli się głupio, była zakłopotana. Zabrano ją do szpitala z powodu zgagi. A wydawało się, że to atak serca.

Ostrożność nie zawadzi, uznała. To wszystko wina Casey, utopiła te jajka w tłuszczu. Ta dziewczyna niczego nie umie zrobić dobrze. Cóż, czas, żeby się nauczyła.

*Wyspa Sweetwater,*

*sierpień 1997*

Casey rozejrzała się ostatni raz po pokoju, który był jej domem przez ostatnie dziesięć lat.

Smutny uśmiech zagościł w kącikach ust, gdy patrzyła na szare ściany, takie same jak w całym budynku, nieco ożywione przez taniutkie litografie, które zawiesiła niedługo po przybyciu w rzadkiej chwili jasności umysłu. Obrazki wyglądały smętnie — samotne na tle pustej płaszczyzny. Ona też była osamotniona i zmarniała. Cień dawnej Casey.

Światło słoneczne sączyło się do środka przez małe okno na pierwszym piętrze, którego grubą szybę przesłaniała, jak Casey żartobliwie mówiła, nie drucziana siatka przeciw owadom, tylko żelazna. Surowe w swej nagości okno było pozbawione ozdób. Nie próbowała zmienić jego ascetycznego wyglądu. Było to zabronione. Niezmienny widok. Pręty, które trzymały ją w niewoli, czekały na następną ofiarę.

Usłyszała szcęk klucza i wiedziała, że już czas. Jeszcze raz obrzuciła pokój spojrzeniem.

Wielokrotnie zastanawiała się nad tym, jak to będzie, gdy wyjdzie ze szpitala psychiatrycznego. Jej serce nagle zabiło mocniej, gdy Sandra, pielęgniarka, położyła rękę na jej ramieniu. Marzenie Casey zaraz miało się spełnić.

— Już czas, kochana. Chodź. Przygotowałam swoje rzeczy?

— Tak. Jestem gotowa. — Wydawało jej się, że zawsze była.

Sandra otworzyła drzwi i poprowadziła ją korytarzem. Łuszcząca się szara farba pokrywała ściany. W niektórych miejscach było nawet widać, gdzie dziury zalepiono gipsem.

Casey mocno zabiło serce, gdy zrobiła ostatni krok na korytarzu.

Ogarnął ją strach, dusił niczym plastikowa folia. Zaczepnęła głęboko powietrza w nadziei, że opanuje ten nagły atak lęku. Jak to będzie? Czy potrafi funkcjonować poza szpitalem? Czy świat ją zaakceptuje? Wiedząc, co czeka ją na drodze do wolności, przystanęła.

Nieprzygotowana na gwałtowny przyływ uczuć, które ją ogarnęły, zwlekała przez chwilę, zanim zrobiła ten ostatni krok w sali samotnego szaleństwa. Wiedziała, jak tam jest. Była tam.

Pamiętała, że została ukłuta igłą. Głosy, niektóre przytłumione, niektóre boleśnie donośne, pytały, czy pamięta. Miała uczucie, że jej usta są wypełnione watą. Była zamroczona i zdawało się jej, że ma na oczach gorące cegły. Nogi były ciężkie, niemrawe, kiedy próbowała nimi poruszać. Poobcierane. Była cała obolała. I pusta. Potem nastąpiła nicość, długie godziny, kiedy próbowała się skupić, ale jej umysł był jak wyjałowiony.

Po tygodniach, a może miesiącach, tego nie zapamiętała, doktor Macklin zostawił ją w spokoju na jakiś czas. Ale to było, zanim zaczęły się lekarstwa. I koszmary. Żyła tak długo w zamroczeniu, że te ostatnie tygodnie wydawały się nierealne. Żadnych lekarstw.

Naprawdę mogła myśleć. I zaczynała sobie przypominać. Powoli wracała ze swojej podróży do czarnej piekielnej otchłani.

Nadal rozlegały się krzyki zagubionych na pustych korytarzach. Casey była świadoma ich rozpacz. Smutku. To był jej dom, jego mieszkańcy stali się jej rodziną. Musiała odejść. Nie mogła wrócić.

Sandra łagodnie popchnęła ją do przodu, przywracając ją do rzeczywistości.

— No dalej, wyjdiesz stąd raz—dwa — szepnęła pielęgniarka. W matowych zielonych oczach Casey zaśniły łzy.

— Wiem. Po prostu smutno mi, że odchodzę.

Piszczały kółka wózków, na których rozwożono obiad, a brzęk metalowych pokrywek odbijał się od ścian długiego korytarza. Pani Mullens, nazywana przez niektórych panią M., wybrała ten moment, żeby wkroczyć na korytarz.

— Musisz wyjść, Casey — powiedziała Sandra. — Spotkamy się w głównym holu za dziesięć minut. Samochód, który cię zabierze, powinien do tego czasu podjechać. Twoje ubrania, nie zapomnij ich — przypomniała pielęgniarka, spoglądając na zegarek. Przeprosiła i zajęła się starszą kobietą.

— Ależ, pani Mullens, co pani z tym robi? — Chrapliwy głos pielęgniarki było słychać z drugiego końca korytarza, gdy zabierała basen drobnej kobiecie.

— Chcę dać Casey prezent. Jest moją córeczką, wiesz o tym, prawda? Ona o tym wie.

Wszyscy o tym wiedzą. Prawda? Wiesz o tym? — mówiła płaczliwym głosem pani M.

Casey patrzyła, jak Sandra zabiera panią M. do świetlicy i prowadzi ją w stronę zniszczonej zielonej kanapy przy drzwiach.

— Tak, pani Mullens, wiem. Proszę tu posiedzieć, zaraz wrócę. — Przytłumione kroki Sandry było słychać na przeciwległym końcu korytarza.

Gdy trzy tygodnie temu pani M. znalazła się w szpitalu, wyznaczyła sobie rolę matki Casey, ponieważ najwyraźniej nie miała własnej rodziny. A jeśli nawet ją miała, to nikt jej nie odwiedził w tym krótkim czasie, kiedy myślała wystarczająco spójnie, żeby to zauważyć.

Casey uznała, że będzie jej brakować starszej pani i niezwykłych podarunków, jakimi ją obsypywała w ostatnich tygodniach. Weszła do świetlicy i usiadła koło tej biedaczki.

Uścisnęła ją po raz ostatni i odwróciła głowę, żeby staruszka nie zobaczyła łez.



— Do widzenia, pani M. Napiszę do pani. — Zastanawiała się, czy komuś będzie się chciało odczytać jej te listy. Sandra była jedyną przyzwoitą pielęgniarką w całym szpitalu. I tak ledwie starczało jej czasu dla wszystkich pacjentów. Nagle Casey ogarnęły wątpliwości, czy powinna odejść. Co się stanie z panią M?

Gardłowy głos starszej kobiety gwałtownie przywrócił ją do rzeczywistości.

— Tak? Chcę tych wiśni w czekoladzie, takich z białym w środku. — Zatrzymała spojrzenie matowych szarych oczu na Casey, oczekując obietnicy.

— Kupię dla pani najbardziej wypełnione kremem wiśnie, jakie znajdę. — Casey zamrugała powiekami, żeby powstrzymać łzy. Przyrzekła sobie, że nie zapomni o tej kobiecie, która traktowała ją jak córkę. Była wyjątkowo blisko z panią M., odkąd doktorzy przestali przepisywać jej lekarstwa. Nic przypominała sobie, żeby wcześniej do kogoś się zbliżyła. Nigdy. Spróbuje ją odwiedzić. Sandra powiedziała jej, że szpital krzywo patrzy na wizyty dawnych pacjentów, ale też nigdy nie widziała, by coś takiego się zdarzyło. Może Sandra by jej pomogła. Pani M. na powrót pograżyła się w niepamięci, a Casey podeszła do otwartych drzwi i wyjrzała na korytarz.

Dostrzegła, że Sandra rozmawia z Jimmym Johnem Johnsonem, który lubił, gdy mówiono na niego Trzy Jot. Postarała się, żeby pielęgniarka ją zauważyła, i popatrzyła na nią błagalnie: pośpiesz się.

Nadal było słycać szczęk obiadowych tac, zagłuszający ciche jęki i zawodzenia pacjentów. Patrzyła, jak Sandra mocuje płócienną serwetkę wokół indyczej szyi Trzech Jot.

Niedawne doświadczenia podpowiadały jej, że może to zająć całe godziny.

Wyjęła kartkę z kieszeni na piersi i przeczytała po raz tysięczny adres swojej matki.

Łabędzi Dom. Jakie było to miejsce? Czy będzie w stanie tam żyć? Co będą o niej myśleć?

Wetknęła kartkę z powrotem do kieszeni.

Wiedziała od Sandry, że do miasteczka idzie się krótko, bo wyspa miała tylko kilka kilometrów długości. Znajdzie drogę. Sama. Casey spojrzała na swoją ponurą długą koszulę.

No cóż, musi jej to wystarczyć.

Pragnąc jak najszybciej wyjść, ucisnęła panią M. po raz ostatni i podążyła spieszenie korytarzem, nie czekając na zmianę ubrania, którą obiecała Sandra. Minęła po drodze kilkoro ze swoich przyjaciół. Niektórzy machali do niej, inni pomrukiwali i grozili. Rozum innych był w takim stanie, że nie mogli myśleć i nie pojmowali otoczenia.

Wyczuwała ich pustkę, osamotnienie, strach. Gdy skręcała za ostatni załom, zatrzymała się i rozejrzała. Niebieskoszare ściany stały jak pokonani żołnierze po ostatniej potyczce z rycerstwem. Echo powtarzało zawodzenia rannych, trwała walka o przetrwanie. Ona już nie będzie musiała jej toczyć. Dla niej walka się skończyła. Wracała do domu, do własnego życia.

Zabrali jej dziesięć lat. Tych straconych lat nigdy nie odzyska.

Gdy stanęła na schodach podniszczonego budynku, rzuciła ostatnie spojrzenie na pierwsze piętro i wypatrzyła okno swojego dotychczasowego pokoju. Żelazna siatka uwięzi kogoś innego. Ona odsiedziała swoje. Dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie, a żołądek zacisnął się w oczekiwaniu na to, co się zdarzy. Po raz pierwszy w dorosłym życiu była wolna.

\* \* \*

Adres na skrawku papieru nic jej nie mówił. Nie pamiętała, żeby kiedyś tam mieszkała.

Nie miała żadnych skojarzeń.

Jej umysł przypominał startą do czysta tablicę.

Znajdowała się na skraju wyspy Sweetwater, zgodnie z tym, co głosił wyblakły napis na tablicy przybitej do zbutwiałego kołka. Do centrum miasta było jeszcze półtora kilometra.

Najwyraźniej na tym krańcu wyspy nie było utwardzonych dróg. Czerwona glina pozostawiała warstewkę kurzu na szpitalnych tenisówkach. Sierpniowe słońce paliło jej bladą skórę, przypominając, gdzie spędziła ostatnie dziesięć lat. Wychodzenie na dwór nie było zakazane w szpitalu, a jednak Casey nie pamiętała, by spędziła więcej niż godzinę dziennie na zaniedbanych trawnikach szpitala.

Szpital znajdujący się na południowym krańcu wyspy pozostawał odosobniony, podobnie jak jego mieszkańcy. Ceglane mury nie pozwalały wyrzeć poza jego teren. Casey nigdy nie odważyła się wyjść za mury. Teraz, idąc pokrytą kurzem drogą, oglądała wyspę. Szukała czegoś znajomego, co przywołałoby przeszłość i zmieszało ją z przyszłością.

Jej życie w szpitalu było nudne, jeśli wyłączyć potyczki z lekarzami i walkę z igłami, które posyłały ją do krainy marzeń. Stale zamroczona, często odnosiła wrażenie, że coś sobie przypominała. Czasami krótkie, przelotne myśli przebiegały przez jej głowę, ale przerywało je ostre ukłucie igły.

Nie miała żadnego dowodu. Niczego. Tylko szare rozmazane obrazy, które wylaniały się z podświadomości.

Teraz było inaczej. Każdy krok w kurzu wiódł ją ku wolności. Miała późno zacząć, ale zacząć od nowa. Była wolna. Mogła być kimkolwiek.

Ponieważ śpieszyła się do wolności, nie przeszkadzał jej sierpniowy upał ani to, że zaschło jej w gardle. Jednak nie odmówiłaby, gdyby ktoś poczęstował ją zimną coca-colą.

Sandra opowiedziała jej pokrótce historię wyspy, mówiąc, że jej mieszkańcy tworzą zamkniętą grupę i że wielu wywodzi się od Thomasa Carnegiego, który w końcu osiemnastego wieku kupił Sweetwater, która w czasach świetności znana była jako jedna ze Złotych Wysp. Carnegie zbudował wiele rezydencji i chociaż w latach dziewięćdziesiątych nie było to już idealne miejsce na towarzyskie spotkania, niektóre tradycje pozostawały bardzo żywe. Casey ciekawiło, jakie to były

tradycje. Południową Georgię nadal charakteryzowała ignorancja, o której lepiej było zapomnieć. Przynajmniej Casey tak uważała. Chociaż przebywała w zamknięciu, w chwilach jasności umysłu czytała gazety i wiedziała, że rasizm i nienawiść nadal kryją się pod powierzchnią mętnych wód południowej subtelności. Zastanawiała się, jak ludzie ze Sweetwater ją przyjmą.

Dostrzegła dwóch chłopców, którzy jechali w jej stronę na rowerach. Narazając ich i siebie na skutki kolizji, stanęła na ich drodze. Zatrzymali się i patrzyli na nią wyczekująco.

Wyższy z nich, który wyglądał na mniej więcej dwanaście lat, chichocząc, spojrzął przez ramię na swoją mniejszą wersję. Bracia, pomyślała. Obszerne podkoszulki z wizerunkami gwiazd rocka zwisały do ich podrapanych kolan, a kilka srebrnych kółek zdobiło uszy.

— Cześć, hm... przepraszam, chłopcy, czy znacie ten adres? — Casey przebiegł lekki dreszcz, a jej ręka drżała, gdy podawała kartkę starszemu z chłopców. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek znalazła się w pobliżu dzieci.

Chłopiec wziął kartkę.

— Taaa, wiem, gdzie to jest. Przejdź trzy kwartały, potem skręć w lewo. To jakieś półtora kilometra, potem znów w lewo. Kiedy już będziesz przy bramie, po prostu powiedz im, kim jesteś, i cię wpuszczą.

— Powiem komu? — zapytała.

— Ochroniarzowi, wariatko. Mieszkasz tam? — zapytał starszy z chłopców, a potem popatrzył na brata, wywracając oczami.

— Uhm, tak. Dzięki. — Skręciła w kierunku wskazanym przez chłopca. Nazwał ją wariatką. Czy to było aż tak widoczne? Popatrzyła na długą, ponurą brązową koszulę, którą miała na sobie, na białe płócienne tenisówki. Ubierała się w ten sposób od tak dawna, że nigdy się nad tym nie zastanawiała. Do teraz.

Na kieszeni koszuli wyblakłymi czarnymi literami było napisane: „Zakład dla Umysłowo Chorych w Sweetwater”.

Nic dziwnego, że chłopcy patrzyli na nią z uśmiechem. Dobroczyńcy szpitala nie byli zbyt szczerzy i wszyscy, którzy mieli nieszczęście miotać się za jego murami, dostawali takie same ubrania, co miało uświadomić pacjentom, że gdy powstają różnice, rodzą się kłopoty.

Casey nigdy nie mogła pojąć logiki takiego stwierdzenia, ale nie dbała o to. Po prostu istniała. Jej życie było środkiem prowadzącym do celu. A jednak nie umiała odkryć, jaki dokładnie był ten cel, dopóki dwa miesiące temu nie powiedziano jej, że wkrótce wyjdzie ze szpitala.

Doszła do końca ulicy i skręciła w lewo. Miała nadzieję, że chłopiec podał jej właściwe wskazówki. Zatrzymała się. Dostrzegła swoje odbicie w oknie samochodu i wpatrzyła się w ten rozmazany obraz. Czarne włosy, kiedyś długie i lśniące, sterczały na wszystkie strony.

Twarz wydawała się zmęczona i jakby zapadła się do środka. W ciągu ostatnich dziesięciu lat jej głównym problemem nie było bynajmniej to, jak wygląda.

Skrzypiąca zardzewiała tablica informowała, że na wyspie Sweetwater mieszka dwa tysiące ludzi. Casey musiała przygotować się na spotkanie, którego zaczęła się obawiać.

Miała nadzieję, że ta wizyta rzuci światło na jej przeszłość, której nie potrafiła wskrzesić.

Jeśli przeszłość była zapowiedzią przyszłości, Casey nie wiedziała, w jaki sposób wydobędzie odpowiedzi od unikającej ich udzielania kobiety. Pomyślała, że nawet gdyby znalazła sposób, by od matki uzyskać wyjaśnienia, to na pewno nie byłyby obszerne, bo matka nigdy nie chciała rozmawiać o przeszłości. Casey była zbyt szalona, żeby się tym przejmować. Ale to było wtedy.

Szła powoli ulicą w słonecznym skwarze. Wyglądało na to, że sklepy tego dnia już zamknięto. Chodniki były puste. Dzieci najwyraźniej siedziały w domu, a wszyscy ci, którzy mogliby się zmierzyć z sierpniowym upałem, uznali go za zbyt męczący, albo też, myślała, w miasteczku tej wielkości ludzie śledzili otoczenie ukryci za koronkowymi frankami. Od czasu do czasu zerkali przez te odziedziczone po przodkach przezroczyste zasłony i miało im to wkrótce dostarczyć widoku, którego się spodziewali. Casey skarciła się w myślach. Ludzie na nią nie czekali. Byli prawdopodobnie w domach i zajmowali się swoimi rodzinami. Czego się spodziewała? Sensacji? Zwolnienie najszlachetniejszej pacjentki zakładu w Sweetwater.

Szalonej dziewczyny.

Po obu stronach wąskiej ulicy rozlokowały się sklepy. Niektóre znajdowały się w starszych domach, inne wyglądały nowocześnie, ale duże okna i przeszklone drzwi nie pasowały do staroświeckiej zabudowy miasteczka. Gliniane donice z geranium zagrażały dostęp do szklanych drzwi Agencji Nieruchomości Bentleya, jednak takie zabezpieczenie byłoby śmieszne dla ewentualnego intruza.

Zapachy płynące z jednego z kominów sprawiły, że ślinka pociekła jej do ust. Skuszona, poszła szybko chodnikiem, kierując się wonią barbecue. Przebiegła skrzyżowanie Main Street i Sweet Way, a potem podążyła za tym zapachem do Big Al's. Wielki napis głosił: „Najlepsze BBQ na Południu. Wejdz do środka, naciesz podniebienie”.

Casey powiedziała sobie, że jeśli zapach jest jakąś wskazówką, to czeka ją uczta życia.

Spojrzała na koszulę i uznała, że musi się przebrać, zanim wejdzie do restauracji.

Rozejrzała się po ulicy, poszukując sklepu z ubraniami, i dostrzegła szyld z napisem „Sklep Odzieżowy Haygooda”. Powinna była poczekać, aż Sandra przyniesie jej coś do ubrania.

Wtedy interesowało ją tylko to, żeby jak najszybciej wyjść ze szpitala, teraz jednak potrzebowała prostej sukienki. Głód nadal jej doskwierał.

Zawróciła w stronę Main Street i skierowała się do sklepu Haygooda. Zatrzymała się przed wystawą. Manekin, do złudzenia przypominający zgrabną kobietę ze sterczącymi piersiami, był ubrany w jaskrawą sukienkę w kwiaty. Casey wątpiła, czy wypełniłaby ten strój sobą tak

wyzywająco jak manekin, którego sutki wydawały się nienormalnie wielkie. Obejrzała sukienkę po raz ostatni przed wstąpieniem do sklepu. Była ciekawa, czy kiedykolwiek włożyła wyzywającą sukienkę dla mężczyzny, a raczej dla chłopca, zważywszy na to, że miała osiemnaście lat, kiedy została zamknięta w szpitalu.

Zamierzała już odejść od wystawy, ale się wstrzymała. Kiedy spoglądała w osłoniętą markizą szybę, zauważyła dwie kobiety, które stanęły za nią, stykając się głowami i szepcząc.

Jedna z nich, wysoka i chuda, wskazała ją szponiastym palcem. Casey stała nieruchomo, mając nadzieję, że odejdą. Nadal wpatrywała się w wystawę, aż oczy zaczęły jej łzawić.

Natężyła słuch, żeby zrozumieć, co mówią przyciszonymi głosami.

— Wiem, że to ona, Coro. Słyszałam, jak Eve o tym mówiła. Jako matka nie wydawała się za bardzo ucieszona powrotem długo nieobecnej córki. Powiedziała, że potrzebuje więcej czasu, by się przygotować. Jasne, miała tylko dziesięć lat!

Casey czuła, jak spojrzenie chudej kobiety wypala jej dziurę w plecach.

— Cóż, jak to się mówi: kto raz zwariował, zawsze będzie wariatem. Wiedziałam, że ta rodzina źle skończy. A popatrz na Eve, jaka z niej teraz wielka pani, kiedy złapała na męża biednego Johna. Czas pokaże, że mam rację, tylko poczekaj.

Druga kobieta, zaokrąglona od zbytniego upodobania do lodów, wywierciła jeszcze głębszą dziurę w plecach Casey.

Casey odwróciła się, żeby popatrzeć na dwie plotkarki. Chuda kobieta uniosła spiczasty podbródek odrobinę wyżej i chwyciła towarzyszkę za ramię.

— Chodź, Córo. Nie mam czasu na rozmowy ze śmieciami.

— Ale, Vero, przecież powiedziałaś, że masz zamiar...

Tęższa kobieta nie zdołała dokończyć zdania. Tyka odciągnęła ją od szyby i poszła prędko ulicą, potem przystanęła raz jeszcze, żeby się pogapić i wskazać palcem Casey.

Co takiego zrobiła? Nigdy nie widziała tych kobiet, a jednak one przyglądały się jej otwarcie, rozmawiając o niej tak, jakby była wybrykiem natury w jakimś wesołym miasteczku, nie przejmując się tym, że patrzyła na nie i słyszała, co mówiły.

Uznawszy, że najlepiej będzie zignorować plotkarki, weszła do sklepu. Chłodne powietrze w środku było ożywcze. Liczne stojaki pełne ubrań przyciągnęły jej wzrok. Po dziesięciu latach w szpitalnych koszulach był to przyjemny widok.

Kolory srebrny i złoty dominowały w wystroju. Ciężkie srebrzyste kotary oddzielały przymierzalnie. Krzesła w stylu królowej Anny obite złotym materiałem czekały na dżentelmenów, młodych i starych, którzy zaszczyca ich szykowne poduszki tyłkami okrytymi wyrobami firmy Fruit-of-the-Looms lub

modnymi bawełnianymi bokserkami. Lustra w złocistych ramach ozdabiały całą tylną ścianę sklepu, zapraszając wszystkich, którzy mieli czas, żeby przyszedli i obejrzeliby tę masę elegancko zaprezentowanych ubrań.

Casey rozejrzała się po sklepie. Jej uwagę przykuły sukienki w drukowane wzory. Na niektórych były słoneczniki, na innych małe purpurowe irysy. Podziwiała żywe kolory, swobodną elegancję prostych deseni. Przez chwilę zastanawiała się, czy mogłaby wypełnić przód stanika sukienki tak dobrze jak manekin. Jedno spojrzenie przekonało ją, że odpowiedź

brzmi „nie”.

Zdjęła z wieszaka sukienkę z nadrukowanymi irysami i podeszła do pełnowymiarowego lustra. Gdy trzymała ją przed sobą, zachwycając się małymi purpurowymi kwiatami, nie wiadomo skąd pojawiła się ekspedientka i wyrwała jej sukienkę.

— Odwieś ją!

Zdumiona niegrzecznym zachowaniem sprzedawczynie, odwróciła się w jej stronę.

— Miałam zamiar... — urwała przestraszona. Czy ta kobieta traktowała tak wszystkich klientów? Sięgnęła po sukienkę, mając nadzieję, że sprzedawczynie wypuści ją z rąk.

Zrobiła tak rzeczywiście, ale gniewne prychnięcie wydobyło się z jej jaskrawo pomalowanych ust.

— To naprawdę ty! — Stawiając drobne kroczki, kobieta cofnęła się w kąt. Dłonią o niezadbanych, ale pomalowanych na czerwono paznokciach zakryła uszmiłkowane wargi.

Nie chcąc wywoływać awantury, Casey wzięła sukienkę od kobiety i położyła ją na ladzie.

— Chcę kupić tę sukienkę. Czy przyjmie pani moje pieniądze? — Ręce jej drżały, gdy sięgała po złożone banknoty.

Kobieta wpatrywała się w nią nienawistnie jeszcze przez chwilę, potem z wahaniem podeszła do kasy.

— Chyba będę musiała, jeśli nie chcę zgłosić tego szeryfowi Parkerowi — odparła szorstko, nie kryjąc wrogości.

Czując, że to jedyne wyjście, Casey zapytała przyciszonym głosem:

— Czy pani mnie zna? Czy coś pani zrobiłam w przeszłości? — Poznała po rumieńcu, który zabarwił policzki kobiety, że zaskoczyły ją te pytania.

Sprzedawczynie odchrząknęła.

— Nie waz się odgrywać przede mną niewiniątka. Znam ciebie i znałam Ronniego. A może o nim też zapomniałaś, bo tak ci było wygodnie? — Palce z poszczerbionymi czerwonymi paznokciami bawiły

się tanim łańcuszkiem otaczającym podwójny podbródek.

Ronnie. Puls Casey przyspieszył gwałtownie. Drżącymi dłońmi położyła pieniądze na ladzie i czekała, aż sprzedawczyni je weźmie.

— Co jest nie tak, Casey? Masz jednak sumienie? Biedny Ronnie. Niech spoczywa w spokoju. Pewnie robi teraz fikołki w grobie.

Casey zgarnęła plik banknotów i pobiegła do drzwi, zapominając o sukience. Musiała uciec. Tętno biło jej mocno, czuła się tak, jakby klatka piersiowa miała eksplodować. Kiedy znalazła się na zewnątrz, zachłannie odetchnęła świeżym powietrzem, a bicie jej serca wróciło do normalnego rytmu, gdy w duchu nakazała sobie spokój po tym ataku paniki.

Odetchnęła głęboko, a potem ruszyła w kierunku podanym jej przez chłopców.

Zapomniała o sukience i o głodzie i nagle zapragnęła znowu znaleźć się w szpitalu. Chcąc jak najszybciej go opuścić, nie zastanowiła się nad tym, czemu będzie musiała stawić czoło samodzielnie, bez pomocy Sandry. Żałowała, że nie poczekała na samochód.

Podążyła na południe. Kątem oka zauważyła lśniący czarny pojazd sunący po opustoszałej ulicy. Przypuszczała, że to kolejni gapie wychodzą ze swoich kryjówek, żeby obejrzeć dziwoląga. Przyspieszyła kroku, ale po chwili zwolniła, błyszczące auto jechało wolno, blisko krawężnika. Wahając się, czy powinna opuścić miasteczko, zatrzymała się.

Gwałtowna fala zawrotów głowy sprawiła, że się potknęła. Bojąc się, że zemdleje, przytrzymała się parkometru, by utrzymać równowagę. Miała wrażenie, jakby jej kości wybrały ten moment, żeby się rozpuścić. Jaskrawy błysk czerwieni zamigotał przed oczami, potem nie było już niczego. Nagła ocieężałość sprawiła, że trudno jej było oddychać.

— Nie! Powiedziałam nie! Odejdź! Zostaw mnie w spokoju!

Potarła oczy, jakby tym gestem mogła usunąć przykrą wizję. Co się ze mną dzieje?

— Czy potrzebuje pani pomocy? — usłyszała.

Z pewnością doświadczała następstw ataku paniki.

— Czy pani mnie słyszy? Cholera, niechże pani coś powie. — W wymawianych przeciągle chrypliwych słowach brzmiała niecierpliwość.

Casey zwilżyła usta i odchrząknęła.

Co dziwne, czuła złość, że zupełnie obcy człowiek mówi do niej w taki sposób. Bez zastanowienia zaczęła na niego krzyczeć:

— Czego pan chce?! Ludzie, czy nie możecie po prostu zostawić mnie w spokoju?!

Nieznajomy wysiadł z samochodu i podszedł do niej z pytającym spojrzeniem.

— Proszę posłuchać, czy mieszka pani gdzieś tutaj? Wygląda pani okropnie. Wszystko w porządku? Może jest pani chora?

Casey cofnęła się, ogarnięta paniką. Odwróciła się i wymamrotała:

— Wszystko dobrze. Myślę, że słońce tak na mnie podziałało.

Czy czekała ją kolejna porcja zniewag? Czy знаła tego mężczyznę? Uporczywie się w nią wpatrywał. Przebiegł ją dreszcz. Nagle rozpaczliwie zapragnęła sobie przypomnieć, kto to jest.

— Nazywam się Blake Hunter. Jestem lekarzem w Sweetwater. — Głos, który wydawał się szorstki zaledwie parę sekund wcześniej, teraz złagodniał i był pełen troski.

Lekarz? Nie wyglądał jak lekarz. Przynajmniej nie jak ci, z którymi stykała się w szpitalu.

Pewna, że mężczyzna kłamie, zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów. Nie ma mowy. Nie mógł być lekarzem. Wiedziała, jak oni się prezentują. Nie pasował do tego wizerunku.

W napięciu przyglądała się stojącemu przed nią mężczyźnie. Zrozumiała, że uwolni się od tego kłopotliwego nieznajomego tylko wtedy, gdy odpowie na jego pytania. Jeśli wszystkie męskie okazy w Sweetwater były tak wielkie, powinni wysyłać to, czym ich karmiono, do szpitala, ponieważ tam przedstawiciele męskiego gatunku w większości byli chudzi i zabiedzeni. Ramiona nieznajomego, szerokie jak konary dębu, wypełniały znoszoną dżinsową koszulę, a spodnie khaki opinały nogi podobne do pniaków. Casey poczuła ucisk w żołądku, gdy zatrzymała wzrok na brązowym skórzanym pasie, który obejmował wąską talię mężczyzny.

— Czy spotkaliśmy się już kiedyś? — Wygładziła nieistniejące fałdy swojego stroju, gdy czekała na jego odpowiedź.

— Myślę, że nie miałem przyjemności. Czy mogę pani zaproponować podwiezienie? —

Podszedł do przednich drzwi po stronie pasażera i otworzył je, wskazując zapraszającym gestem.

Nie wiedząc, co robić, zdała się na intuicję. „Nie wsiadaj do samochodu z nieznajomymi”.

Ktoś musiał jej to kiedyś powiedzieć.

— Dziękuję, ale pójdę do domu pieszo. Miał mnie ktoś podwieźć, tylko że... — urwała.

Nie rozmawiała z mężczyzną od dawna, a może nigdy tego nie robiła, więc nie wiedziała, jak się go pozbyć.

— W tym upale, chyba pani żartuje! Wilgotność jest zbyt wysoka, żeby chodzić po ulicach. Innymi słowy, nie jest to wspaniały dzień na spacer w południowym stylu.



Chciałbym, żeby pani zgodziła się na podwiezienie. — Popatrzył na nią i uśmiechnął się szeroko, ukazując równe białe zęby. Uśmiech sięgnął jego ciemnobrązowych oczu.

Czy powinnam ulec namowom? — zadała sobie pytanie. Wydawał się niegroźny.

Musieliby przejechać niewielką odległość. Po nienawistnym przyjęciu, jakie spotkało ją w sklepie odzieżowym, jego życzliwość była mile widziana. Zakładając kosmyki włosów za uszy, podeszła do samochodu.

— Dobra decyzja. — Pochylił się, żeby zmieścić swoją wielką postać we wnętrzu samochodu. Zapalił silnik i włączył bieg, zostawiając za sobą smugę pyłu.

Nie mogła uwierzyć, że to robi! Ledwie od godziny była poza szpitalem, a już postępowała w zwariowany sposób. Może była wariatką...

— Gdzie pani mieszka? Spędziłem większą część życia tutaj, w Sweetwater. Bez trudu zawiozę panią do domu — rzekł wesoło.

Casey z ciekawością odwróciła się w stronę mężczyzny i podała mu skrawek papieru z adresem.

— Długo się tam jedzie? — Patrzyła, jak jej dobroczyńca przygląda się adresowi.

Jego regularna twarz odzwierciedlała całą gamę uczuć. Poruszenie. Zaskoczenie, potem osłupienie. Czy go znała? Czy byli jakoś powiązani? Casey wpatrywała się w nieznanego z uwagą.

— Mój Boże! Powinienem był się domyślić! Pani ubranie. — Spojrzał na jej długą koszulę.

Casey popatrzyła na niego tak, jakby postradał zmysły. Może jednak nie powinna zgodzić się na podwiezienie. Sandra mówiła jej, że zбочeńców trudno rozpoznać.

Odwrócił się na moment w jej stronę, patrząc na nią pytająco oczami, które barwą przypominały drewno klonowe. Jego usta, z górną wargą równie pełną jak dolna, poruszyły się, a jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Milcząc, jechał opustoszałymi drogami Sweetwater.

Co teraz? Nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie w stanie znieść ciekawość mieszkańców miasteczka. Miała ochotę zadać mu kilka pytań, ale coś ją powstrzymało.

Odwróciła się do okna i próbowała podziwiać krajobraz. W szpitalu stale patrzyła na to samo, teraz owoładnęło ją pragnienie odkrywania wszystkiego, co było dla niej nowe. Gdy zdała sobie sprawę, że nic nie ogranicza jej wolności, odwróciła się w stronę Blake'a.

Ponieważ chciała jak najszybciej dotrzeć do domu, znów zapytała:

— Czy to daleko?

Najwyraźniej jej nie usłyszał. Rozdrażnienie zmieniło się w przestach, kiedy zobaczyła, że nieznanomy skręca. Wzdłuż całej drogi gęsto rosły dęby, zapewniając ewentualnemu gwałcielowi

zasłone przed ludzkimi spojrzzeniami. Casey skuliła się, gdy wyobraziła sobie taki rozwój sytuacji. Odsunęła to przerażające podejrzenie. Wetknęła drżące ręce do kieszeni.

— Nie mogę w to uwierzyć! Powiedziała pani, że jak się pani nazywa? — Szeroko otworzył oczy.

— Nie powiedziałam. — Czy rzeczywiście miało to znaczenie? Gdy Blake obrzucił ją badawczym spojrzeniem, wyczuła, że naprawdę jest ciekawy. Jego przystojna twarz odzwierciedlała zbyt autentyczne zdumienie, by mógł być gwałcicielem czy seryjnym mordercą. W szpitalu Sandra z zapalem edukowała swoich podopiecznych, opowiadając im o tym, co dzieje się w świecie zewnętrznym.

— Casey. Edwards.

Błyskawicznym ruchem nadgarstka przekręcił kluczyk i uciszył silnik. W samochodzie zapadła cisza.

— Nic dziwnego! Miałem dużo pracy w gabinecie i nie zdawałem sobie sprawy z upływu czasu. Czuję się jak idiota. — Opierając łokieć o kierownicę, położył dłoń na czole i pokręcił

głową. Jego opadające swobodnie czarne kręcone włosy opierały się o kołnierzyk koszuli.

Casey czuła, że ten nieznajomy mężczyzna ją urzekł. Pomyślała, że jeszcze nigdy w życiu nie urzekł jej żaden nieznajomy mężczyzna czy też jakikolwiek inny.

— Dlaczego? — Nie mogła rozgryźć swego rozmówcy. Nie była pewna, czy chce to zrobić.

— Naprawdę pani nie wie?

— O czym miałabym wiedzieć? — Czy mam na czole numer telefonu, pod którym można kupić środki przeczyszczające, i nie zdaję sobie z tego sprawy? Nie sędzę.

— Powinienem był pani powiedzieć. To niegrzeczne, że tego nie zrobiłem. — Popatrzył na nią, nadal wyraźnie poruszony.

— A więc proszę to zrobić teraz! Proszę, wszystko to... — Wyrzuciła przed siebie ręce zirytowana. Jaką grę on prowadzi? — Co dokładnie pan o mnie wie?

— Jest pani zagadką zarówno dla środowiska lekarskiego, jak i lokalnej społeczności. —

Wciąż nie odrywał od niej spojrzenia.

— Skąd pan o tym wie?

Zawahał się, zanim odpowiedział.

— Przeczytałem kilka artykułów na temat pani przypadku w medycznym czasopiśmie.

Amnezja tak daleko posunięta jak u pani prawie się nie zdarza.

— Kim pan właściwie jest? — Może źle zrozumiała ukryte znaczenie jego ostatnich słów?

Czy naprawdę jest lekarzem? A jeśli to było zaplanowane?

— Powiedziałem pani, jak się nazywam. I nie twierdzę niczego poza tym, o czym całe środowisko lekarskie mówi od lat. Pani przypadek jest wyjątkowy.

— Proszę mnie zabrać do domu. — Nie chciała usłyszeć niczego więcej. Przez lata była poddawana wszelkim rodzajom hipnozy, transów; robili wszystko, co umieli, aż w końcu nie chciała już służyć lekarzom za królika doświadczalnego. Minęły miesiące, odkąd po raz ostatni podjęto próbę spenetrowania zakamarków pustej bazy danych jej pamięci. Tylko z lekarstwami było inaczej; dostawała je do niedawna.

— Tam właśnie jedziemy. Jeszcze kilka minut. — Blake skierował samochód z powrotem na drogę, nie patrząc, czy nadjeżdżają jakieś samochody. Ale żadnych nie było. Mieszkańcy Sweetwater pozostawali ukryci za koronkowymi firankami i zamkniętymi na klucz drzwiami.

Casey zauważyła starszą parę na popołudniowej przechadzce, która najwyraźniej nie zważała na duchotę i upał. Bez wątpienia chcieli zobaczyć najnowsze widowisko z potworkiem w roli głównej.

Co on miał na myśli?

— My? — zapytała.

— Chyba naprawdę pani nie wie. — W jego głosie słychać było odrobinę podniecenia.

— Proszę mnie oświecić — odparła z sarkazmem, który ją samą zaskoczył.

— Proszę posłuchać, przykro mi. Eve powinna była pani powiedzieć. Wróci do miasta jutro. — Blake nacisnął pedał gazu i samochód rozkołysał się, nabierając prędkości.

— Proszę się zatrzymać! — Zła na siebie, chciała przede wszystkim, żeby Blake jej odpowiedział. Teraz. Tymczasem wydawało się, że potrafi bardzo zręcznie się od tego wykręcać.

— Casey... — urwał i patrzył na nią przez chwilę, zanim znów skierował spojrzenie na drogę. — Naprawdę nie pamiętasz, zgadza się?

— Nie, nie pamiętam. — Zamęt w umyśle wprowadził ją w drzenie. Popatrzyła na Blake’a.

Błysk. Krótki rozbryzg jaskrawej czerwieni, potem nic.

Drzewa za szybą samochodu były ciemnozieloną rozmytą plamą, gdy pędzili po pokrytych kurzem drogach Sweetwater.

— Jestem najlepszym przyjacielem Adama. To twój przyrodni brat.

Nieświadoma tego, że wstrzymuje oddech, rozluźniła się i westchnienie wyrwało się spomiędzy jej zaciśniętych warg.

Spojrzenie brązowych oczu Blake’a powędrowało po jej sylwetce i zatrzymało się na twarzy.

Zastanawiając się, czy w taki sposób ogląda wszystkie kobiety, zapytała:

— I co?

— Pogubiłem się. — Uśmiechnął się do niej znowu i mimo rozkojarzenia poczuła, że niczym magnes przyciąga ją ten dopiero co odnaleziony... przyjaciel?

— Jak pasuję do wyobrażeń? — Ta śmiałość była u niej czymś nowym. Odkryła, że lubi mówić to, co myśli, na co nigdy nie pozwalano jej w szpitalu. Poczucie wolności zalało ją jak potężna fala, napęlniając pytaniami.

Blake odwrócił się, patrząc na nią badawczo. Ciepło uśmiechu odbiło się w jego głosie.

— Nie jesteś taka, jak mówiła twoja matka. Albo twój ojczym. Oczywiście on wie jedynie to, co Eve mu mówi.

— Nie rozumiem. — Casey popatrzyła przez okno. Od czasu do czasu jakiś dom wyłaniał się zza osłony wysokich dębów obrośniętych hiszpańskim mchem.

— Odwiedził cię tylko raz i nigdy więcej. Najwyraźniej była to katastrofa. Nie próbował ponownie. Zresztą twoja matka była zawsze tak zdenerwowana po tych wizytach, że John starał się zejść jej z drogi.

Wzbudziło to ciekawość w Casey, pytania rodziły się w tak szybkim tempie, w jakim za szybą samochodu migały drzewa.

— Kiedy spróbował?

— Nie pamiętam. Nie było mnie. Na początku nie przyjeżdżałem do domu za często.

Adam będzie umiał więcej ci powiedzieć. Czy pamiętasz Adama?

Intensywny namysł zajął miejsce uśmiechu sprzed paru chwil. Pokręciła głową.

— Na początku? Nie rozumiem... — urwała.

— Po tym, jak zostałam... hospitalizowana, twoja matka wyszła za Johna. Adam i ja studiowaliśmy na Uniwersytecie Emory'ego w Atlancie. Adam ma tam teraz gabinet. —

Odwrócił się w jej stronę, jego zakłopotanie było wyraźnie widoczne. Casey wyczuwała, że mężczyzna nie chce objaśniać historii jej rodziny, i przez chwilę żałowała tego człowieka, którego najwyraźniej poproszono, by zawiózł ją do domu. Do nieznanego.

Zastanowiła się nad słowami Blake'a i zapytała:

— Jeśli faktycznie mnie odwiedził, to tego nie pamiętam.

— Myślę, że w tamtym okresie Eve chciała, żebyś wyzdrowiała. Była przy tobie przez pierwsze kilka miesięcy, dzień i noc. Według niej byłaś nieprzytomna. Po jakimś czasie lekarze powiedzieli jej, że będzie najlepiej, jeśli wróci do domu.

Blake obrócił kierownicę ze swobodą człowieka przyzwyczajonego do panowania nad sytuacją. Wjechał po lekkiej pochyłości, a potem skręcił ostro w prawo. Jeszcze półtora kilometra i się zatrzymali. Przy bramie Blake zamienił kilka słów z ochroniarzem. Chłopcy jednak mówili prawdę. Na widok małej murowanej budki strażniczej poczuła skurecz żołądka.

Kropelki potu pojawiły się na jej górnej wardze, gdy spostrzegła potężnego mężczyznę. Jego uniform — granatowe spodnie i niebieska koszula — przypominał jej strażników w szpitalu, tyle że oni nie nosili broni. Mężczyzna miał rewolwer przypasany do biodra.

Śmiech mężczyzny i radosny okrzyk Blake'a powiedziały jej, że ci dwaj są ze sobą na przyjacielskiej stopie. A dlaczego mieliby nie być? — zastanowiła się Casey. Nie wszyscy strażnicy są tacy sami, prawda?

Blake szybko przejechał między skrzydłami żelaznej bramy, kiedy tylko została otwarta.

Przez minutę Casey czuła się tak, jakby była Jonaszem, mającym zaraz wejść do wnętrza wieloryba. Skąd się wzięła ta myśl?

Czy będzie miała odwagę stanąć twarzą w twarz z Eve? Trudno było myśleć o tej dziwnej kobiecie jako o matce. W zeszłym miesiącu podczas odwiedzin w szpitalu zachowywała się tak, jakby Casey zatrzymała się w luksusowym hotelu i wkrótce miała wrócić do domu. Nie rozmawiały o tym, dlaczego tam przebywała, co będzie robić, kiedy znajdzie się w domu i zajmie swoje miejsce w rodzinie. Casey miała nadzieję, że matka przytuli ją i doda jej otuchy, zapewniając, jak cudownie będzie mieć ją znów w domu. Ale nic takiego się nie stało.

Oczywiście, mówiła sobie, nie była już małym dzieckiem. Może nigdy nie była małym dzieckiem.

Jeśli kiedyś nim była, dlaczego nie mogła sobie tego przypomnieć? Czy oczekiwała zbyt wiele?

Chmura tajemnicy otaczająca jej powrót stawała się ciemna i złowieszcza. Ogarnęła ją rozpacz, kładąc się na ramionach jak gęsta mgła.

— I co ty na to?

Pytanie Blake'a przywróciło ją do rzeczywistości. Zaskoczona nieoczekiwanym widokiem, który miała przed sobą, wciągnęła powietrze, podziwiając krajobraz.

Dęby rozstępowały się z wdziękiem, ich szerokie łuki ocieniały pokrytą kurzem drogę.

Światło słoneczne przenikało przez liście, posyłając krótkie błyski przez ich koronkowy wzór.

Blake zwolnił. Przed nimi wyłonił się Łabędzi Dom, otoczony zielenią. Dziesiątki magnolii rosły wokół rezydencji z czerwonej cegły. Kolisty podjazd uwydatniał bukiet jaskrawych barw. Nigdy nie widziała takiego bogactwa kwiatów. Ich kolory były tak żywe, że poczuła się szara i nudna.

Oniemiała, nie przestawała wpatrywać się w imponującą budowlę. Z całą pewnością pamiętałaby, gdyby kiedykolwiek w niej mieszkała. Dom wyglądał tak, jakby Scarlett pożyczyla nowy i poprawiony plan Tary architektowi i jakby razem zaprojektowali rezydencję jej marzeń sprzed wojny secesyjnej. Kolejna myśl, której nie potrafiła wyjaśnić.

Jak to się działo, że wiedziała o Scarlett i Tarze, ale nie mogła sobie przypomnieć innych rzeczy?

Zamknęła oczy. Mogła sobie wyobrazić powozy, kobiety w atlasowych sukniach, ich wydęte krynoliny, czepki z kolorowymi wstążkami trzepoczącymi na ciepłym letnim wietrze.

Wyobrażała sobie, że słyszy przenikliwe piski radości młodych dziewcząt, gdy biegną truchtem po pokrytej kurzem ścieżce w drodze do nieznanych miejsc.

— Co myślisz o swoim nowym domu? — zapytał Blake.

— Nie wyobrażałam sobie, że jest taki ogromny! Jest prawie tej wielkości co szpital.

Grube białe kolumny podpierały balkon, który opasywał cały front rezydencji. Osiem kolumn, stojących w doskonale równym szeregu, biegło wzdłuż całego frontu domu.

Kominy z czerwonej cegły wyglądały zza zasłony dębów. Gałęzie drzew kołysały się delikatnie na wietrze późnego popołudnia, jakby chciały powitać Casey.

— Jest w rodzinie od setek lat. Pokolenia Worthingtonów zostawiły po sobie ślady. John dobudował kolejne osiem albo dziesięć pokoi, salę balową i oszkloną werandę. Potem dodał

kryty basen. W Łabędzim Domu są wszelkie wygodny — dodał kpiąco.

Casey przyszło do głowy, czy kiedykolwiek zdoła przyzwyczaić się do takiej wystawności po

pobyć w surowych szpitalnych warunkach.

Samochód przyśpieszył. Gdy zjeżdżali z pagórka w stronę Łabędziego Domu, spokojny głos Blake'a wypełnił wnętrze limuzyny.

— Pozory czasami mylą, jak na pewno wiesz.

Casey wyczuła, że jego nastawienie się zmienia. Z przyjacielskiego w posępne. Ta uwaga sprawiła, że ciarki przeszły jej po plecach.

— Nie mogę się doczekać, kiedy obejrzę posiadłość. Musi być tego ze czterdzieści hektarów!

Jej sztuczny entuzjazm wyrwał Blake'a z ponurego nastroju. Kiedy spojrzał na nią, znowu się uśmiechał.

— Myślę, że sześćdziesiąt, ale kto by to liczył? Będziesz miała mnóstwo czasu, kiedy już się zadamowisz.

Dotarli do podstawy wzgórza i zatrzymali się na skraju kolistego podjazdu. Drewniane drzwi otworzyły się gwałtownie i niska, podobna do elfa kobieta zbiegła po ceglanych stopniach z wyciągniętymi ramionami, jakby próbowała wziąć w objęcia cały świat.

Blake wysiadł pierwszy i okrążył samochód, aby otworzyć drzwi po stronie Casey. Ledwie to zrobił, poczuła, że drobna kobieta ciągnie ją za rękę i miażdży w zaskakująco silnym uścisku. Czyją znała?

Kobieta cofnęła się, gdy Casey wysiadła z samochodu. Czując się tak, jakby była obiektem inspekcji, wyprężyła się niczym struna i popatrzyła na Blake'a, który z trudem powstrzymując śmiech, stał teraz za kobietą.

— Cóż, niech mnie cholera! To naprawdę ty! Och, przepraszam, zwykle tak nie klnę, cóż, w każdym razie nieczęsto.

Kobieta uniosła rożek fartucha w kwiaty i dotknęła nim błyszczących niebieskich oczu.

— Owszem, często. — Przywiązanie Blake'a do tej kobiety było widoczne na jego twarzy.

— Przestań przeszkadzać, do licha. A kto cię w ogóle pytał? — Kobieta popatrzyła w górę na Blake'a i uśmiechnęła się.

— Widzisz? Te twoje usta jeszcze wpędzą cię do grobu. Casey, poznaj największe usta Południa, Florę Farley, naszą... Nie wiem, kim ona jest! Czasami opiekowała się tobą i pomagała twojej matce, kiedy byłaś dzieckiem. — Czule przytulił Florę.

— „Największe usta Południa?” To tak mnie teraz nazywasz? No, tylko poczekaj, panie Blake. Kiedy będziesz chciał zjeść jedno z moich słynnych ciasteczek z orzeszkami pekana, dam ci jedno, ale wypełnione łupinami!

Casey słuchała, jak Blake przekomarza się z Florą. Wyglądało na to, że cieszy ją każda wspólna minuta. Jej uśmiech ukazał doskonałą sztuczną szczękę. Flora czule odsunęła Blake'a na bok i zamknęła Casey w matczynym uścisku.

— Chodź, Casey, czeka na nas praca. — Flora poprowadziła dziewczynę ku dwuskrzydłowym drzwiom.

Blake pokręcił głową.

— Praca? — Casey odzyskała mowę.....

Nie miałyby nic przeciwko temu, ale myślała, że na początku spędzi dzień albo dwa na odpoczynku, przyzwyczajając się do Łabędziego Domu i na nowo poznając matkę. Czy matka oczekiwała, że będzie pracować na swoje utrzymanie? Jeśli tak, pokazałaby jej, że nie jest leniem.

Flora poprowadziła ją na górę po dębowych schodach pokrytych mocno wytartym dywanem. Nie raczyła zatrzymać się na którymś z trzech podestów w drodze na najwyższe piętro. Najwyraźniej nie usłyszała pytania Casey albo postanowiła je zignorować.

Na trzecim piętrze doszły na koniec długiego korytarza. Casey zatrzymała się w ostatniej chwili, inaczej zderzyłaby się z kobietą elfem.

— Umieściłam cię tutaj. — Flora wskazała ruchem głowy dwuskrzydłowe drzwi. —

Wiem, że to daleko, ale będziesz mi za to dziękować. Pomyślałam, że po szpitalu wolisz być jak najdalej od hałaśliwej kuchni.

Flora otworzyła drzwi sypialni. Widok zaparł Casey dech w piersi. Od soczystej roślinności ogrodów w dole oddzielała ją tylko szyba. Nigdy dotąd nie widziała takiego panoramicznego okna. Podziwiając widok, Casey przyglądała się bogatym, urozmaiconym ogrodom. Kwiaty, których nazw nie знаła, tworzyły wspaniałe barwny dywan.

— Cóż, panienko, widzę po twoim zachowaniu, że nie będę miała kłopotów ze skłonieniem cię do posłuchu. Jak na razie, nie jesteś zbyt rozmowna. Są cudowne, prawda? —

Wskazała gestem roślinność za oknem. — Pan Worthington zajmuje się nimi, kiedy tylko może, ale Hank jest naszym głównym ogrodnikiem. Na niego lepiej uważaj. Tylko dlatego, że był ogrodnikiem w Anglii u jakiegoś księcia czy kogoś takiego, myśli, że jest tutaj królem posiadłości. Pracuje jednak bez zarzutu.

Oczarowana przepięknymi ogrodami Casey ledwie słyszała paplaninę Flory. Gdy odwróciła się, żeby stanąć twarzą do tej miłej kobiety, opanowało ją uczucie niepokoju.

Popatrzyła znów za okno. W centralnym punkcie ogrodów dostrzegła kamienną ścieżkę prowadzącą do wielkiej fontanny. Promienie słoneczne rozświetlały kaskadę wody w mniejszej fontannie, tkwiącej w środkowej części ogrodu. Co ciekawe, Casey poczuła, że światło ją przyciąga. Nie rozumiejąc tego, podeszła do okna, a promienie światła ją przywoływały, jakby pytając, czy odważy



się mieszać z ich jasnością. Wciągną w wir słonecznego światła, poszła za nim, nie słysząc ciągłego trajkotania Flory.

*Kuliła się w ciemnościach na dnie szafy. Kurtki dotykały jej żałośnie chudych ramion, gdy wstrząsał nią szloch. Zaciśnęła powieki, próbując stłumić ból. Obiecał, że już nigdy jej nie skrzywdzi. Tym razem mama ich zobaczyła. Po prostu popatrzyła na nią tak jak zawsze, szczególnie kiedy trzymała tę szklankę. Mówiła, że to woda, ale ona nie wierzyła, miała dziewięć lat, nie była już dzieckiem. Wspomnienie ostatniego razu to było dość. Rozcierając obolałe uda, czknęła i otarła jeszcze jedną łzę. Obiecał, że zrobi coś jeszcze gorszego.*

*Powiedział to też ostatnim razem, przypomniała sobie. A jednak nie miała zamiaru ryzykować. To, co robił, było i tak bardzo złe. Co mogłoby być gorsze? Wyszedł. Tylne drzwi trzasnęły i usłyszała, że mama wrzeszczy. To oznaczało, że może wyjść ze swojej kryjówki.*

*Uchyliła nieznacznie drzwi i popatrzyła badawczo przez wąski pasek światła. Nie wiadomo skąd sięgnęła po nią ręka, zakryła jej usta, uwięziła jej krzyk.*

— Nie! — Casey pobiegła od okna do drzwi, szarpnęła za klamkę, ale drzwi się zacięły.

Pragnienie ucieczki było tak silne, że wszystko inne stało się nieważne. Nie liczyła się kobieta, która wpatrywała się w nią ze zdumieniem, jakby Casey właśnie zobaczyła ducha i nie była pewna, czy go widziała. To nie miało znaczenia, musiała wyjść. Flora krzyknęła, kiedy Casey nie przestawała tłuc w zablokowane drzwi. Ciało starło się z drewnem, pięści miała poobcierane i obolałe, więc uderzała coraz wolniej i w końcu tylko cicho stuknęła.

Przytłoczona niepowodzeniem, osunęła się na podłogę, łzy spływały po jej bladej twarzy.

Słaba i rozkojarzona, skupiła spojrzenie oczu w czerwonych obwódkach na pokoju.

Flora stała pośrodku, oniemiała. Patrzyła na Casey tak, jakby ta zwariowała. Może już do tego doszło albo miało wkrótce dojść. Czy to był początek załamania nerwowego?

Słońce, które wzięło Casey do niewoli przed paroma minutami, skrywało się teraz powoli za ciemną chmurę. Przypomniała sobie, jak przyciągnęło ją ciepło jego promieni. Poczuli się tak, jakby była wsysana przez słomkę. Potem nic. Dojmujący strach zakorzenił się, krążył w jej żyłach, osiadł ciężko na sercu. Zaczęła się trząść. Objęła się ramionami i próbowała opanować dreszcze, ale na nic to się zdało. Przerazenie, niczym niepożądany gość, wzięło ją we władanie i zagnieździło się, pytając, czy ma dość odwagi, by mu się przeciwstawić.

— Casey! Co się dzieje, dziewczyno, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. — Flora ożyła.

Jej paplanina była pożądana. Casey nie będzie musiała myśleć. Sięgnęła do tyłu, aby rozmasować zeszywniałe mięśnie karku, i zapragnęła tylko jednego — położyć się. Pomału się podnosząc, używając drzwi jako podpory, wstała i otarła zapłakaną twarz. Zakłopotana przypiływem szaleństwa, odchrząknęła, zanim zaczęła mówić:

— Przepraszam, Floro. Nie wiem, co się stało. W jednej chwili podziwiam ogrody, a w następnej

walę pięściami w drzwi. Pewnie myślisz, że muszę wrócić tam, skąd przyjechałam.

Czuję się jak idiotka. — Starła następną łzę i przegarnęła ręką krótkie, czarne jak heban loki.

— Cóż, nic dziwnego, moja droga. Nie miałaś prawdziwego domu od dziesięciu lat. A potem nagle jesteś tutaj... — Flora zrobiła szeroki gest ramionami — ...w tym ponurym gmaszysku. To wystarcza, żebyś czasem sobie popłakała. Chociaż nie rozumiem, dlaczego drzwi nie chciały się otworzyć. Na pewno się zacięły, to przez tę wilgoć. Mimo całej swojej wspaniałości Łabędzi Dom jest jednak po prostu stary. Powiem panu Worthingtonowi, on się tym zajmie.

Casey pomyślała, że Łabędzi Dom nigdy nie mógłby być „stary”, i powiedziała to Florze.

— To prawda, ale jak ze wszystkimi domami, są z nim kłopoty. Chyba słyszysz Blake’a.

Chcesz się odświeżyć, zanim zejdziesz na dół? — Kobieta klepnęła się w czoło. —

Oczywiście, że chcesz! Pani Worthington kupiła dla ciebie trochę rzeczy. Mam nadzieję, że rozmiary są odpowiednie. Naprawdę zna się na ubraniach, to akurat muszę przyznać. Niech zobaczę. — Flora poszła na koniec pokoju i otworzyła dwuskrzydłowe drzwi z lustrami.

Casey podeszła i stanęła obok, czekając, aż Flora zbada zawartość garderoby.

— Chyba jednak potraktowała cię poważnie. Nie byłam pewna, czy pójdzie na całość.

Casey stanęła oniemiała pośrodku garderoby. Wskazała stojaki z ubraniami, potem szczupłym palcem stuknęła się w pierś. Z wytrzeszczonymi oczami obejrzała jeszcze raz zawartość garderoby.

— Są moje? — wyszeptała.

— Na to wygląda, panienko. Powiem ci, co zrobimy. Przygotuję kąpiel, a ty naciesz się oglądaniem ubrań. Wybierz coś naprawdę ładnego, przecież dziś wieczorem będziesz chciała wyglądać jak najlepiej. Pan Worthington nie może się doczekać, kiedy pozna swoją córkę.

— Pewnie, ehm... w porządku.

Garderoba była dwa razy większa niż jej szpitalny pokój. Uśmiechnęła się. To dopiero przeskok — z jednej skrajności w drugą. Przeszła wzdłuż stojaków, przesuwając ręką po sukienkach, bluzkach, zakietach i innych pięknych ubraniach, które do niej należały.

Ponieważ nigdy nie miała takiej garderoby, a jeśli miała, to tego nie pamiętała, czuła się jak dziecko w Boże Narodzenie. Ściągnęła brzoskwiniową jedwabną bluzkę z wieszaka i przytrzymała ją przed sobą. Dobrane pod kolor jedwabne spodnie oraz atlasowe pantofelki uzupełniły strój. Kartka przypięta szpilką do bluzki informowała, że bielizna do tego stroju jest w szufladzie na końcu garderoby. Czy to tak jest być bogatą? Wiedziała, że nigdy wcześniej nie żyła w ten sposób. Znalazła szufladę i otworzyła ją. Spodziewając się, że bielizna będzie na dole stosu, przeszukiwała miękkie, ozdobione falbankami piękne ciuszki.

Przez chwilę czuła się tak, jakby szperała u kogoś, potem przypomniała sobie, że to są jej rzeczy. W całym tym jedwabiu i koronkach wymacała coś twardego. Tektura? Była pewna, że nie miało tego tu być; przecież ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby ułożyć tę kobietą, delikatną bieliznę. Prawdopodobnie było to opakowanie rajstop. Gdy Casey wyciągnęła to coś spod miękkiego stosu, zobaczyła, że ma w ręku fotografię, podpisaną na odwrocie. Nie zamierzała być wścibska, ale chciała zwrócić zdjęcie właścicielowi, przeczytała więc dziecięcym pismem nagryzmołą dedykację.

„Dla Najlepszej Mamy w historii.

Postaw przy swoim łóżku i myśl o mnie we snach!”

Wokół dedykacji nabazgrane były uśmiechnięte twarzyczki. Kto to napisał? —

zastanawiała się, gdy obracała w dłoni fotografię młodego chłopaka w nieokreślonym wieku.

Znów odwróciła zdjęcie. W dolnym prawym rogu był ledwie widoczny podpis. Podeszła do okna i uniosła zdjęcie pod światło, próbując odczytać imię.

Kiedy nachyliła się bliżej, zdołała z trudem odcyfrować litery: R–N–I–E.

Popatrzyła znów na zdjęcie, mając nadzieję, że pobudzi swoją pamięć. Niestety, nie rozpoznawała tego chłopca. Kimkolwiek jednak był, wyczuwała, że jest zły.

Czerwony błysk odciągnął jej uwagę od zdjęcia. Kręcąc głową, weszła z powrotem do garderoby. Gdy kładła zdjęcie na komodzie, odczuła silny ból w tyle czaszki. Ujęła głowę w dłonie, krzywiąc się. Upadła na podłogę i wiła się w męce.

— Casey?

Ból zniknął tak szybko, jak się pojawił. Czy ktoś ją wołał?

Dobry Boże, co się z nią działo? Przecież była sama. Najpierw wchłonęło ją światło, teraz z kolei chwycił ból, który wbił się w głowę. Może jeszcze nie powinna była przyjeżdżać do domu. Jeśli w ten sposób miała wrócić jej pamięć, to nie była pewna, czy tego chce.

Ten uśmiech. Było coś znajomego w tej twarzy. Uśmiech był prawie nienawistny.

Popatrzyła znów na litery. R–N–I–E.

Ronnie.

Sprzedawczyni u Haygooda wymieniła imię Ronnie. Czy powinno ono coś dla niej znaczyć?

Rzuciła zdjęcie na podłogę, jakby się oparzyła. To imię wytrysnęło z jej ust jak ślina. Czy ktoś podłożył to złe zdjęcie, wiedząc, że ona je znajdzie?

I kim właściwie był Ronnie?

Casey włożyła zdjęcie do kieszeni sukienki, zamierzając pokazać je później Florze. Może ona wiedziała, kim był chłopiec z fotografii. Uznała, że teraz nic nie może w tej sprawie zrobić, więc zabrała bieliznę z szuflady i weszła z powrotem do sypialni.

Flora była w łazience, przygotowywała dla niej kąpiel i jednocześnie nie przestawała mówić. Casey stanęła w drzwiach, patrząc, jak Flora wyklada wielkie, puszyste ręczniki i pachnące mydła na wyściełany taboret obok wanny.

Przepych ją zdumiał. Ogromna wanna wyglądała tak, jakby mogła pomieścić tuzin osób, i wypełniała pół łazienki. Drugą połowę zajmowała toaleta. Ściany były utrzymane w kolorach bladnoróżowym, kremowym i złotym. Stosy ręczników, grubych płaszczy kąpielowych i kostek mydła w tym samym odcieniu co tapeta znajdowały się w przeszklonej szafce obok wspartej na nóżce umywalki. Za ścianą w kremowym kolorze ukryty był sedes, a także kabina prysznicowa. Pierzaste rośliny zajmowały puste narożniki. Casey nie mogła się doczekać, kiedy zanurzy zeszywniałe mięśnie w ciepłej, pachnącej wodzie.

Wzięła kostkę mydła z kosza umieszczonego na podłodze przy końcu wanny i wciągnęła zapach gardenii. Jej ulubiony. Skąd to wiedziała? Doktor Macklin powiedział, że zapach może być jednym z bodźców, który pozwoli jej odzyskać pamięć.

— Floro, kto wybrał te mydła? — Nadal wdychała kwiatową woń.

— Myślę, że pani Worthington. Nie podoba ci się ten zapach? — Flora położyła jeden z płaszczy kąpielowych na taborecie koło toaletki.

— Przeciwnie, to mój ulubiony. Po prostu się zastanawiałam, kto o tym wie.

— Eve uwielbia zakupy. Na pewno pamiętała, że to twój ulubiony zapach. Matka wie takie rzeczy.

Casey położyła mydło na brzegu wanny, kiedy przypomniała sobie o zdjęciu. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła fotografię i popatrzyła na nią ostatni raz, zanim podała ją Florze.

— Znalazłam to. Czy wiesz, do kogo należy?

Flora popatrzyła na zdjęcie. Wymamrotała coś niezrozumiałego i poszła prędko do sypialni, wsadzając zdjęcie do kieszeni fartucha.

Chociaż Casey знаła Florę od mniej niż dwóch godzin, wiedziała, że jej zachowanie nie jest normalne. Przez cały ten czas nieustannie mówiła, dawała przyjacielskie rady i przedstawiała swoje poglądy na wiele spraw. Teraz nagle zachowała się zupełnie inaczej. Nie odpowiedziała na pytanie.

Casey przeszła do sypialni i znalazła Florę w garderobie, gdzie przeszukiwała szuflady.

Nie chcąc jej przestraszyć, powiedziała cicho:

— Floro?

Podobna do elfa kobieta obróciła się gwałtownie, strącając z półki pudełko z butami.

Casey zorientowała się, że Flora się bała! Czy przestraszyło ją zdjęcie?

— Ojej... przepraszam, moja droga, ja... zaskoczyłaś mnie. — Flora przesunęła rękami po nakrochmalonym fartuchu i szybko ruszyła do łazienki, żeby zakręcić wodę.

Casey szła za nią. Nadal nie usłyszała odpowiedzi na swoje pytanie.

— Kim jest ta osoba na zdjęciu, Floro? Wydaje mi się, że pamiętam, a jednak tak naprawdę nie wiem, skąd go znam, mam tylko wrażenie, że otacza go aura... zła. —

Wzruszyła ramionami. — Nie wiem, to tylko moje odczucie.

— Cóż, wiesz, co mówią o uczuciach; jeśli coś czujesz, to tym się kieruj. Zapytaj swoją mamę, ona ci powie.

— Dlaczego mam wrażenie, że nie chcesz odpowiedzieć na moje pytanie? Czy tożsamość chłopca z fotografii to wielka tajemnica? Jestem w domu ledwie od dwóch godzin, a czuję się jak zombi. Nic nie wiem, nie pamiętam nawet tego — okręciła się w kółko, wskazując rękami na boki — ogromnego domu, wsysa mnie światło. Mówię ci, zupełnie jak w powieści Stephena Kinga! — Kim jest Stephen King? — Na dodatek czuję, że mam głowę jak przekrojony melon, a teraz ty nie chcesz mi nawet powiedzieć, kto jest na zdjęciu. To za dużo. — Casey podeszła do łóżka i opadła na nie, nie dbając o to, co Flora o niej myśli. Miała już dość tego, że traktowano ją jak idiotkę. To, że niczego nie pamiętała, nie oznaczało, że jest szalona. Myśleli tak na początku. Wszyscy ci wspaniali lekarze w tym wspaniałym szpitalu. To akurat pamiętała. Podczas lat spędzonych w szpitalu ani razu nie powiedzieli jej, dlaczego tam się znalazła. Zapewniali tylko, że zdarzyła się tragedia, w wyniku której straciła pamięć.

— Dostałam instrukcje od pani Worthington, żeby nie odpowiadać na żadne pytania dotyczące twojej przeszłości. Wyjaśniła, że sama powie ci to, co musisz wiedzieć. Rozumiem, jaki masz teraz mętlik w głowie, moja droga. Jeśli nie chcę stracić pracy, muszę wykonywać polecenia pani, chociaż robię to w tym wypadku z wielką niechęcią.

Casey zawstydzila się swojego wybuchu. Na pewno nie chciała sprawić kłopotu jedynej osobie, która w ciągu ostatnich kilku godzin traktowała ją jak normalnego człowieka. Objęła ramieniem Florę.

— Przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło. Zwykle nie wyładowuję frustracji w taki sposób. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ostatnie dziesięć lat to jak rozmazana plama.

Powinnam wiedzieć, że tak nie można. Mam wrażenie, jakby moje myśli były na karuzeli, która kręci się coraz szybciej.

Flora pogłaskała Casey po plecach.

— Myślę, że gorąca kąpiel przyda ci się bardziej niż cokolwiek innego. Będę miała dla ciebie przygotowaną przekąskę, kiedy skończysz, i zapomnimy, że ta rozmowa miała kiedykolwiek miejsce. Teraz życzę ci przyjemnej kąpieli.

Flora wyszła z łazienki, a Casey nadal nie miała pojęcia, dlaczego widok chłopca z fotografii tak bardzo ją zaniepokoił. Jego tożsamość pozostawała zagadką.

Zdjęła długą szorstką brązową koszulę i poszukała kosza. Znalazła ukryty pod toaletką mały koszyk z wikliny. Zwinęła szpitalny strój i wepchnęła do koszyka, ciesząc się, że nigdy już nie będzie musiała nosić tej ohydnej szmaty.

Wsuwając się do ciepłej, pachnącej wody westchnęła i zdała sobie sprawę, że bierze pierwszą prawdziwą kąpiel od dziesięciu lat. Uśmiechnęła się, myśląc o chłodnych, krótkich prysznicach, do których była przyzwyczajona. Będzie umiała do tego przywyknąć.

Znalazła kilka jednorazowych maszynek, a także krem do golenia z aloesem. Golenie nóg było zabronione w szpitalu, z obawy, że pacjenci próbowaliby popełnić samobójstwo —

jakby rzeczywiście miała ochotę zabić się maszynką Bic. To była nieoczekiwana rozkosz.

Pokryta pianą gęstego kremu, zachwycała się jedwabistością swojej skóry, gdy maszynka sunęła po jej długich nogach. Chociaż golenie nóg było dla niej teraz rzeczą nową, czuła, że robiła to w przeszłości i że w przyszłości będzie nadal lubić tę drobną przyjemność.

Opierając głowę na malej poduszce, zamknęła oczy. Po raz pierwszy od dawna była całkowicie zrelaksowana bez pomocy leków czy sesji hipnotycznych z doktorem Macklinem. Wcześniej nie myślała wiele o tym, co będzie robić, kiedy wróci do domu, ale teraz zdała sobie sprawę, że nie może pozostawać na granicy dwóch światów w nieskończoność. Co dokładnie zrobiła w przeszłości? Odkrycie tej tajemnicy było najważniejsze. Musiała się dowiedzieć, aby móc ruszyć naprzód. Czy to, co się kiedyś stało, było tak straszne, że nigdy nie zdoła tego zmazać? Nie mogła mieszkać u Eve bez końca.

Powinna rozpocząć życie na własny rachunek. A poza tym, co tak naprawdę wiedziała o swojej matce? Jej kilkakrotne, krótkie odwiedziny w szpitalu kojarzyły się Casey jedynie z muśnięciem wargami policzka, zapachem egzotycznych perfum. Jednak matka nie zapominała podczas każdej wizyty zadać jej tego samego pytania, które doktor Macklin, dyrektor szpitala, pan Bentley i Sandra zadawali jej codziennie: „Czy dziś coś sobie przypomniałaś?”. Przez dziesięć długich lat. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku.

Zaróżowiona jak niemowlę wyszła z głębokiej wanny, ale cofnęła stopę, żeby nie stanąć bezpośrednio na grubym dywaniku. Kładąc ręcznik na podłodze, żeby zapobiec powstaniu mokrych śladów, przypomniała sobie, że nie musi tego robić. Nie mając pewności, czy kiedyś przyzwyczai się do luksusów w swoim nowym domu, stanęła na małym ręczniku i wytarła się do sucha.

Wśród licznych umieszczonych na toalecie buteleczek dostrzegła słoiczek ze swoim ulubionym balsamem o zapachu gardenii i wkrótce smarowała już tym przyjemnie pachnącym kosmetykiem całe

ciało.

Najpierw poczuła lekkie pieczenie, potem ukłucie, jakby wbito w skórę igłę. Kolejne ostre ukłucie. Potem jeszcze jedno. Casey była ostrożna, kiedy się goliła. Nie czuła żadnego szczypania, kiedy maszynka ślizgała się po jej nogach. Nalała sporą ilość balsamu w dłoń i zaczęła nacierać nim ramiona.

— Cholera, co do... — Casey stanęła przed lustrem i upuściła ręcznik na podłogę.

Wpatrywała się w swoje odbicie.

Cienkie, kręte strumyczki krwi ciekły po jej nogach. Kiedy obróciła się bokiem, zobaczyła paseczki czerwieni wypływające na powierzchnię z jej ramion, jak malutkie gwiazdziste naczyniaki, które w jakiś sposób wykwitły na skórze.

Wzięła myjkę, której przed chwilą używała, i przykładła ją do zakrwawionych nóg i ramion. Malutkie skaleczenia usiały jej ręce i nogi. A naprawdę uważała z maszynką. Zresztą, to i tak nie wyjaśniałoby skaleczeń na ramionach.

Casey przetarła zamglone lustro i sięgnęła do kontaktu, żeby włączyć światło. Przy bliższych oględzinach zobaczyła, że jej ramiona są pokryte malutkimi skaleczeniami w kształcie rombów. Przeciągnęła ręką po ramieniu. Kilka mikroskopijnych kawałeczków czegoś niezidentyfikowanego sterczało spod jej podrażnionej skóry.

Otwierała szuflady i zatrząskiwała jedną po drugiej, aż znalazła to, czego szukała.

Szcypczyki. Nachyliła się w stronę dobrze oświetlonego lustra i wyskubała połyskujące okruchy ze swojego ramienia. Malutkie kropelki krwi łączyły się w stróżki biegnące wzdłuż całych jej ramion.

Naga i pokryta krwią usiadła na blacie i nadal wyciągała malutkie drzazgi z ciała. Cienkie czerwone wstążki wolno spływały po jej nogach i zostawiały plamy na dywaniku. Przed paroma minutami troszczyła się o to, żeby podłoga pozostała sucha. Teraz, gdy jej krew barwiła kremowy dywanik, było to najmniejsze z jej zmartwień.

Znalazła butelkę wody utlenionej w toalecie, usunęła kaleczące okruchy ze skóry i przemyła rany. Mówiąc sobie, że zakażenie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje, przeszukiwała szuflady, aż znalazła maść na skaleczenia. Uważając, żeby nie trzeć piekących ranek zbyt mocno, delikatnie nakładała maść na skórę.

Jej wzrok padł na słoik balsamu, który zostawiła otwarty. Gdy miała już zakręcić pojemnik, zauważyła kilka grudek czegoś na wierzchu.

Wzięła szcypczyki i ze zręcznością chirurga wyciągnęła jedną z większych zlepionych grudek z górnej warstwy kremu. Spłukała balsam z małego przedmiotu, wyskubała następny i powtórzyła czynność. Nie dbając o to, że robi bałagan, chwyciła pojemnik i całą jego zawartość wrzuciła do mydelniczki. Dokładnie tak, jak myślała. Malutkie iskrzące się kawałeczki szkła.



Ponieważ było niemożliwe, żeby szkło rozbiło się i wpadło do zamkniętego słoika, w dodatku nowego, samo, wiedziała, że zostało tam przez kogoś umieszczone. Tak jak zdjęcie.

Ktoś chciał ją przestraszyć i zrobić jej krzywdę. Mogła poważnie się poranić. Czy taki był cel jej nieznanego wroga?

Skaleczenia zostały zdezynfekowane, więc Casey otuliła się grubym płaszczem kąpielowym. Gdy wróciła do sypialni, ogarnął ją niepokój. Mięśnie, które rozluźniły się od ciepła kąpieli, były teraz napięte.

— Skończyłaś? — Śpiewny głos Flory wypełnił pokój. Otwierała drzwi nogą, w obu rękach niosąc tacę zastawioną smakołykami. Casey pośpieszyła jej z pomocą.

Flora postawiła tacę na małym stoliku z drewna wiśniowego, stojącym przy ścianie przeciwległej do wychodzącego na ogrody okna.

Casey przyglądała się jedzeniu, chwilowo zapominając o strachu. Była głodna, ale nie chciała się najadać przed obiadem z panem Worthingtonem.

— Myślę, że powinnaś dzięki temu wytrzymać do obiadu. Pan Worthington lubi przestrzegać rozkładu dnia wprowadzonego przez swoich przodków. — Flora naląła czekoladę z pomalowanego w różę dzbanka.

Casey patrzyła, jak Flora napełnia jej talerz. Chrupiąc jędrny plasterk ogórka, zapytała:

— Jaki jest ten rozkład dnia?

— Chodzi przede wszystkim o obiad. Zwykle podajemy do stołu dopiero o dziewiątej.

Mabel serwuje podwieczorek, żeby domownicy nie umarli z głodu. Jeśli to, co ci przyniosłam, nie wystarczy, po prostu zwróć się do niej. Zwykle ma rozmaite smakołyki.

Casey nie mogła sobie wyobrazić, jak obfity będzie obiad, skoro to była tylko przekąska.

Talerz wypełniony świeżymi, surowymi warzywami zajmował połowę tacy. Na drugim były rogaliki, masło i dżem truskawkowy. Wędliny, sery i ciepły chleb ułożono na półmisku. Do tego podano trzy kawałki ciasta.

— Czy upiekłaś ciasto z orzeszkami? — zapytała, pamiętając wcześniejsze żartobliwe docinki Blake'a.

— Tak, ale nie mów o tym Blake'owi. Nie było to wcale łatwe. Mabel rzadko wpuszcza mnie do kuchni, do swojego królestwa, jak mówi. — Flora usiadła na krześle naprzeciwko i sięgnęła po rogalika. Casey zdecydowała się na to samo i zaczęła jeść. Masło ciekło jej z ust i spływało na podbródek.

— Chyba nigdy nie jadłam niczego tak pysznego. Utyję, jeśli będę się tutaj tak objadać. —

Casey ugryzła następny kęs miękkiego pieczywa, delektując się słodkim maślanym smakiem.

— Wątpię. Twoja matka jest drobna i taki był też twój ojciec. Myślę, że jesteś za chuda, dziewczyno. Jedz, do obiadu jest jeszcze sporo czasu.

Flora wstała. Casey nie chciała, żeby wyszła. Powrócił strach, jaki odczuwała wcześniej.

Spróbowała zatrzymać Florę.

— Na czym dokładnie polega twoja praca? Myślałam, że to ty gotujesz.

— Tylko kiedy Mabel ma wolny dzień. Zwykle coś lekkiego. Organizuję pracę personelu; mamy ogrodnika, tego, który myśli, że jest w Anglii, poza tym Theresa i Mikę przyjeżdżają raz na miesiąc. Robią wielkie porządki. A przynajmniej tak twierdzą, ale często muszę po nich poprawiać. Nie jest już tak jak kiedyś. Próbują uwieść Adama albo Blake'a. Nie rozumiem, dlaczego John nadal je zatrudnia. — Flora potrząsnęła głową.

Casey roześmiała się głośno. Spodobało jej się to. Flora była dla niej dobrym lekarstwem.

— Cóż, jeśli Adam i Blake będą chcieli, hm... poflirtować z tymi dziewczętami, nie będą potrzebowali zachęty. — Wydawało jej się, że Blake nie jest mężczyzną, który zabawiałby się z pomocą domową, ale mogła się mylić.

— Blake ma więcej klasy, ale nie lubi się przekomarzać. Co do Adama, nie wiem, jak z nim jest. Wzdychają do niego wszystkie, młode i stare. Gdybym miała trzydzieści lat mniej, sama bym się nim zainteresowała. — Flora otarła masło z ust i mówiła dalej: — Blake ma swoje wielkie chwile; odkąd umarł jego ojciec, jest jedynym lekarzem w miasteczku.

Oczywiście, jest też Adam, ale wiesz, jakiego rodzaju on jest lekarzem. Nie ma tu za dużego zapotrzebowania na jego usługi. Mieszka w Atlancie, nie przyjeżdża tak często jak kiedyś.

Nie chcąc kończyć rozmowy, Casey posmarowała masłem następny rogalik i zapytała:

— Kiedy poznam Adama?

— Będzie tu niedługo. Ci dwaj są przyjaciółmi od dzieciństwa. Przez długie lata ojciec Blake'a był jedynym lekarzem w Sweetwater. Zmarł jakiś czas temu. Myślę, że Rosę, pierwszą pani Worthington, była trochę nadopiekuńcza wobec Adama. Co tydzień odwiedzał

gabinet doktora Huntera. — Flora ugryzła następny kęs i wypła duży łyk czekolady. —

Adam zaprzyjaźnił się z Blakiem i, jak mówią, „reszta jest historią”.

Casey była zaintrygowana swoją nową rodziną. Jej umysł niczym wyschnięta studnia rozpaczliwie pragnął informacji, czegokolwiek, co by wypełniło pustkę. Czy odzyska pamięć? Czy też tak naprawdę życie zacznie się dla niej dopiero teraz, gdy skończyła dwadzieścia osiem lat?

— Poznasz go dziś wieczorem — powiedziała Flora.

— Kogo? — Zamyślona, nie zwracała uwagi na kojącą paplaninę.

— Adama. Nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć. Tyle się nasłuchał o twoim przypadku... hm, to znaczy o tobie, i myślę, że pragnie cię poznać.

— Ja też chciałabym go poznać. Chociaż jestem trochę zdenerwowana z powodu mamy.

Nie wiadomo dlaczego mam wrażenie, że nasze stosunki w przeszłości były... napięte. Czuję się taka zagubiona. Mam nadzieję, że będziemy mogły zostać przyjaciółkami. Jestem pewna, że jeśli Adam choć trochę przypomina Blake'a, musi być miły. — Skąd się wzięła myśl, że jej stosunki z matką były napięte?

— Powinnaś odpocząć, Casey. Wieczór może się przeciągnąć z powodu obecności Blake'a i Adama. Muszę zorganizować pracę tych flader, zanim pan Worthington zejdzie. — Flora wyszła z pokoju, ale nie przestała mówić, idąc długim korytarzem. — Zastaniesz mnie na dole, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Casey skubała kawałek ciasta z orzeszkami i pomyślała, że przyjemnie jest wiedzieć, iż Flora zawsze przyjdzie jej z pomocą.

Chociaż był to jej pierwszy dzień w domu, postanowiła się zdrzemnąć. Będzie jeszcze miała czas, żeby chodzić na spacer i poznawać nowe otoczenie. Ziewnęła szeroko. Po wszystkich odkryciach, jakie zrobiła, była wyczerpana. Powieki miała jak z ołowiu. Zwinęła się w kłębek na wspianiałym łóżku, zamknęła oczy i momentalnie zasnęła.

Powrócił senny koszmar. Podświadomość przejęła nad nią całkowitą kontrolę.

*Było ciemno. Czowała, że jest osaczona. Brakowało jej tchu. Przesuwała się w małej przestrzeni. Kiedy oparła się plecami o ścianę i wyciągnęła nogi, była wciąż za duża.*

*Pomyślała, że powinni wiedzieć, iż nie mieści się już w szafie. Wiedziała też, że jeśli nie zacznie hałasować i walczyć, jak to czasami robiła, to nie będzie musiała tkwić w szafie bardzo długo.*

*Było gorąco i w powietrzu unosiła się para. Trochę tak jak wtedy, kiedy brała prysznic i puszczała gorącą wodę. To było przyjemne. Ale ten rodzaj gorąca nie był miły. Dusilo ją w gardle. Bała się, że nie będzie miała dość powietrza. Powiedzieli, że umrze. Wierzyła im.*

*Czasami. Czasami pragnęła umrzeć, wtedy może żałowałiby tego, co jej robili.*

*Gdy wzięła następny głęboki oddech, poczuła, że coś ciężkiego przygniata jej klatkę piersiową. Zamknęła oczy. Bała się teraz i była zbyt słaba, by to odepchnąć. Nie mogła oddychać! Dysząc, próbowała odsunąć od siebie to, co ją przygniatało. Nie chciało się ruszyć. Było tam tak jak przedtem, wysysając jej powietrze. Napierała na ciężki przedmiot, kopala drzwi szafy. Może przyjdą. Potrzebowała powietrza. Inaczej umrze!*

*Sapała, jej oddech stał się nierówny. Kopała i wrzeszczała. Zaciskała mocniej oczy, pragnąc znaleźć się gdzie indziej. To nigdy nie działało. Chrapliwym głosem wyla jak zwierzę złapane w potrzask.*

*Pchnęła to, co ją przygniatało. Otworzyła oczy, jedno po drugim, i wpatrywała się w to coś'. Było mokre. Nie mokre jak od wody, ale gęste, jak olej. I cuchnęło. Oczy jak u martwej ryby odwzajemniły jej spojrzenie.*

*Wtedy sobie przypomniała. Ogarnęło ją paniczne przerażenie, zawładnęło nią całkowicie.*

*Poddała się temu zwierzęcemu lękowi.*

*I wrzeszczała.*

*Wrzeszczała.*

*Wrzeszczała.*

Casey gwałtownie usiadła na łóżku, oblana zimnym potem. Oddychała nieregularnie, krótkimi zrywaniami. Zaczęła się trząść, kiedy przypomniała sobie zatrważający koszmar. Tętno waliło jej mocno. Bała się nadal. Czy na pewno ten strach sobie jedynie wyobraziła?

Przerażało ją to, że nie wiedziała.

Klaustrofobia, której doświadczyła, była na pewno prawdziwa. Podeszła do okna i upewniła się, że strach był jednak złudzeniem.

Miękkie światło słoneczne rozciągało złocisty krąg nad posiadłością. Potrzebowała tej otwartej przestrzeni, żeby ukoić rozedrgane nerwy. Piękno terenów otaczających Łabędzi Dom, soczyste zielony trawnik mieniący się mnogością barw kwiatów, uspokoiły ją niemal natychmiast. Wszystko wyglądało tak normalnie.

Skrzywiła się, rozmasowując poobcierane knykcie. Ramiona miała obolałe od skaleczeń szkłem, małych jak ślady po szpilce. Casey rozmyślała o wydarzeniach tego dnia. Czy to możliwe, że tylko kilka godzin minęło od wyjścia ze szpitala? Wszystko działo się za szybko.

Niepewna niczego, podeszła do stolika i zaczęła jeść bez apetytu to, co zostało na talerzach przyniesionych przez Florę.

Czy powinna niepokoić starszą kobietę popołudniowymi wydarzeniami? Uśmiechnęła się, myśląc o niej. Flora była szczerą i dobroduszną. Kiedy Casey dowiedziała się, że Flora opiekowała się nią w dzieciństwie, była tym zaskoczona. Matkę знаła, ale Adama i pana Worthingtona — nie. Co tak naprawdę wiedziała o tych ludziach?

Blake wydawał się całkiem miły. Chociaż dopiero co się poznali, czuła, że nawiązali przyjacielski kontakt. Domyślała się, że on podobnie to odczuwa.

Zastanawiała się, jaki jest ojczym. Wiedziała, że Eve wyszła za mąż wkrótce po tym, jak ona została oddana do szpitala, i że Eve i John byli już parą, kiedy to nastąpiło. Blake powiedział jej, że ojczym raz odwiedził ją w zakładzie. Czy ją zaakceptuje? Miała taką nadzieję. A jeśli nie? Znajdzie się w trudnym położeniu, bo pozostawała na utrzymaniu jego i matki. A może wkrótce znajdzie pracę i własne mieszkanie?

Same pytania. Tymczasem potrzebowała odpowiedzi. Cierpliwości, nakazała sobie w duchu, dowiem się już niedługo.

Matka pomoże jej wypełnić luki w pamięci. Wtedy Casey zdecyduje, co zrobi.

Usłyszała pukanie do drzwi i zamarła.

Eve wygładziła bladożółty kostium od Chanel, zanim uniosła starannie wymanikiowaną rękę, żeby zastukać do drzwi pokoju gościnnego. Zapewni córce prywatność, na którą zasługiwała.

Zła, że musiała wcześniej wrócić z Atlanty, wiedziała, że trudno będzie jej odgrywać rolę dobrej matki, a jeszcze trudniej robić to przekonująco. Minęło tyle czasu...

Przypomniała sobie rozmowę telefoniczną.

— Eve, ona wyszła — wyszeptał głos po drugiej stronie linii.

— Co?! Myślałam, że to będzie w przyszłym tygodniu. Powiedziałeś...

— Wiem, co powiedziałem, do cholery! Nie mogę stale cię chronić, Eve. — Jej rozmówca westchnął, wyraźnie zirytowany.

— Tak, wiem, a ja nie mogę dalej zaspokajać twoich kosztownych potrzeb. — Rzuciła słuchawkę na widełki.

Nie brała pod uwagę wcześniejszego zwolnienia Casey. Wprawdzie pan Macklin wspomniał o takiej możliwości, była jednak pewna, że dzięki jej wpływom nic z tego nie wyjdzie. Myliła się. A nie lubiła się mylić. Eve wiedziała, czego chce, i umiała to sobie zapewnić. Zawsze stawiała na swoim, manipulując innymi. I tak miało pozostać. To ona chciała powitać córkę. Chciała też być pierwszą osobą, do której przyjdzie, kiedy powróci jej pamięć. Jeśli kiedykolwiek to nastąpi.

Usłyszała niezdecydowane kroki po drugiej stronie drzwi. Jej córka jak dawniej była cicha jak myszka. Przynajmniej to się nie zmieniło. Płochliwe myszki potrzebowały przewodnika, żeby się nie pogubiły w swoich tunelach.

Casey przystanąła, zanim otworzyła drzwi. Ogarnęło ją złe przecucie. Resztki strachu z jej snu? Nie mam się czego bać, powiedziała sobie w duchu. To pewnie Blake, który chce przedstawić mnie Adamowi. Uśmiechnęła się, zadowolona, że ma w nim przyjaciela.

Otworzyła drzwi na oścież i zamarła.

— Witaj w domu. Czujesz się już swojsko? — Eve weszła do pokoju, zapachniały jej egzotyczne perfumy. Przyciągnęła córkę, lekko ją uściśnęła i pocałowała powietrze po obu stronach jej twarzy.

Casey nie wiedziała, co powiedzieć. Matka okazała się obcą osobą. Nieskazitelnie uczesana kobieta zaczęła chodzić po pokoju, rozglądając się, jakby pierwszy raz go widziała.

Casey obserwowała w milczeniu, jak Eve kontynuuje inspekcję niczym generał przed bitwą. Zatrzymała się przy garderobie.

Odwróciła się w stronę córki i zapytała:

— Jak podobają ci się ubrania? Sama je wybrałam. Tylko najlepsze, powiedziałam im. Nie byłam pewna, jaki nosisz rozmiar, ale sądząc z twojego wyglądu — Eve obrzuciła ją wzrokiem od stóp do

głów — wydaje się, że trafiłam. Kiedy będziesz już na to gotowa, zabiorę cię do Lord&Taylor w Atlancie. Spędzimy tam przyjemny weekend. Stamtąd pojedziemy do Stefana, to najlepszy fryzjer w Atlancie. — Mówiąc to, Eve odgarnęła opadający kosmyk z twarzy Casey.

Niezdolna do wypowiedzenia choćby jednego słowa, Casey uważnie obserwowała matkę.

Milczenie córki nie robiło na niej wrażenia. Właściwie to wyglądała jak kot, który zabił kanarka.

— Przepraszam, nie spodziewałam się ciebie. Blake powiedział, że jesteś w Atlancie.

Eve obróciła się tak nagle, że Casey niemal poczuła, jak smaga ją powietrze.

— Blake mówi rozmaite rzeczy. Po pewnym czasie nauczysz się go nie słuchać. Uważaj na niego, sprowadza na innych kłopoty. Ja miałam szczęście. Ty możesz go nie mieć. Zaufaj mi, proszę.

Blake sprowadza na innych kłopoty?

— Dlaczego nie powinnam ufać Blake'owi? Oczywiście tobie ufam, mamó — dodała szybko.

— Zazdrości Adamowi kariery i bogactwa. Od początku były przez niego same kłopoty.

Zasypuje pytaniami Johna i Adama, mimo że minęło tyle lat. Adam, odkąd ma gabinet w Atlancie, nie przyjeżdża tutaj już tak często, dzięki Bogu. — Eve uśmiechnęła się do Casey, ukazując zęby z doskonałymi koronami. Natura była dla niej łaskawa. Albo skalpel chirurga.

Eve mogła uchodzić za czterdziestolatkę. Szczupłą figurę tej drobnej kobiety idealnie opinał elegancki lniany kostium, perły zdobiły szyję, a kolczyki z perłami połyskiwały w uszach.

Ani odrobina siwizny nie zakłócała naturalnej barwy fryzury, nieskazitelnie przyciętej na pazia. Nie przypominała matki.

— Dopiero co go poznałam. Wydał mi się całkiem miły. — Casey uśmiechnęła się i podeszła do garderoby. — Czy możesz mi pomóc coś wybrać? Flora powiedziała, że trzeba się przebrać do obiadu. Ja nie... cóż, wiesz, ile czasu minęło.

Casey wskazała głową rzędy ubrań, mając nadzieję, że Eve okaże zrozumienie. Chciała, żeby jej matka była matką. Aby powiedziała jej, jak się cieszy, że znowu ma w domu córkę i że bardzo za nią tęskniła. Żeby zapewniła, jak bardzo ją kocha, i że w każdej sytuacji będzie mogła na nią liczyć.

— Z przyjemnością. — Eve zaczęła przesuwając wieszaki. Wybrała zielonawoniebieską jedwabną bluzkę z dobranymi pod kolor spodniami, ciemnozieloną obcisłą sukienkę i bładoniebieską spódniczkę z pasującym do niej swetrem z angory. Rzuciła kosztowne ubrania na łóżko jak popadło, najwyraźniej nie przejmując się tym, że mogą się pognieść.

— Możesz wybrać coś z tego. Będziesz musiała się nauczyć odpowiedniego sposobu doboru odzieży, Casey. Zajmujemy wysoką pozycję społeczną, moja droga. Musimy stosownie się ubierać. Masz dwadzieścia osiem lat, nie mam zamiaru cię niańczyć, ale dopilnuję, żebyś zdobyła należytą wiedzę w zakresie tego, co my, południowcy, uważamy za właściwe w towarzystwie. Teraz, moja droga, muszę już iść. Nie widziałam Johna od przyjazdu. Od jakiegoś czasu jest chory. Wydaje mi się, że biedny John nie pożyje już długo.

Zobaczymy się na obiedzie. — Musnęła jej policzki i wyszła.

Kremowy pluszowy dywan, na którym Casey stała, wydał się jej pułapką. Nie była w stanie się poruszyć. Słowo „zaskoczenie” nie wystarczało, żeby opisać to, co czuła. Jej matka była inna, niż zapamiętała to z odwiedzin w szpitalu.

Casey ułożyła porządnie ubrania i stała, wpatrując się w zawartość garderoby. Był to zestaw odzieży odpowiedni dla królowej. Choć matka tak troskliwie dobrała drogie stroje, nie okazała ani krzty dbałości o nie.

W łazience Casey poszukała pod toaletką swojej brązowej koszuli, którą wyrzuciła parę godzin wcześniej. Nagle gryząca tkanina wydała się jej jedwabista, a ponury wygląd tego stroju przestał jej przeszkadzać. W tej koszuli była sobą. To była Casey, którą matka odwiedzała w szpitalu. Prawdziwa Casey. Nie mogła zmusić się do włożenia nowych ubrań.

Czułaby się tak, jakby zdradziła, chociaż nie wiedziała co lub kogo.

\* \* \*

Eve nerwowo krążyła po ciemnym wnętrzu pokoju Johna. Flora powiedziała, że pan bierze prysznic i że jednak zamierza zejść na obiad. Może Eve go nie doceniła. Mając siedemdziesiąt trzy lata, był rzeński jak czterdziestolatek, ale to się skończyło przed paroma miesiącami. Już nie pielęgnował cennych ogrodów. Przez większość czasu pozostawał w swoim pokoju, posiłki jadł w łóżku.

Firma Worthington Enterprises kwitła mimo braku jego kierowniczej ręki. Eve ciekawiło, jaka będzie reakcja zarządu w dniu, w którym ona zasiądzie u szczytu konferencyjnego stołu.

W wieku czterdziestu dziewięciu lat czekała niecierpliwie na swoją szansę. Nie życzyła biednemu Johnowi wczesnego zgonu, po prostu potrzebowała poczucia, że ma władzę. John był nadzwyczaj hojnym mężem, ale jednak odcinał dopływ pieniędzy, jeśli uważał, że żona żyje zbyt rozrzutnie, jak to ujmował. Nie było nic dziwnego w tym, że Eve szastała tysiącami.

Pochodziła z biednej rodziny i często marzyła o tym, żeby być bogatą...

Dobrze pamiętała ciągnące się w nieskończoność dni spędzane na opiekowaniu się czterema braćmi i trzema siostrami. Była najstarsza z rodzeństwa i odpowiedzialność za ich wychowywanie spoczywała na jej barkach. Rodzice imali się wszelkich dorywczych zajęć, jakie udawało im się znaleźć. Wiele razy mogli polegać tylko na miłosierdziu innych. Eve nigdy nie zapomniała pierwszego dnia w przedostatniej klasie szkoły średniej.



Bładoniebieska sukienka zdobiła wystawę Barnaby'ego od wielu tygodni. Eve mijała ją podczas zdarzających się od czasu do czasu spacerów do centrum miasteczka. Pragnęła tej sukienki bardziej niż jedzenia. Gdyby tylko miała pracę, oszczędzałaby na tę sukienkę każdy cent. Ale nie było zbyt wielu możliwości; w grę wchodziło jedynie pilnowanie dzieci mieszkańców Sweetwater, i to wtedy, gdyby znalazła na to czas. Nie miała go; z gromadą rodzeństwa było pełno roboty.

Rzadko kiedy udawało jej się wygospodarować wolne chwile dla siebie. Tego konkretnego dnia, w sobotę, matka nalegała, żeby wyszła z domu, argumentując, że córka powinna spędzać niekiedy wieczory z przyjaciółmi. Skwapliwie skorzystała z tej możliwości, chociaż nie powiedziała matce, że nie ma przyjaciół. Niewielu chciało się zadawać z dziećmi z Tilton. Nazywali ich białą biedotą. Eve wściekała się, kiedy słyszała te uwagi, ale wiedziała, że to prawda. Pewnego dnia pokaże im wszystkim!

Przecinając pokryte kurzem ulice, Eve powędrowała do Barnaby'ego. Sukienka zniknęła!

Załamana się. Wiązała z tą sukienką wielkie nadzieje. Może Robert Bentley by zauważył taką elegantkę. Eve polowała na niego od zeszłego lata. Jego ojciec był właścicielem jedynej agencji nieruchomości w miasteczku, więc Eve od razu wiedziała, że Robert jest poza jej zasięgiem, ale to jej nie odstraszało. Była pewna, że gdyby była odpowiednio ubrana, zauważyłby ją.

Wlokąc się noga za nogą, przybita wróciła do domu. Jej matka miała trzydzieści osiem lat, a wyglądała na dwadzieścia lat więcej, przedwcześnie postarzała i wyniszczona. Nie, Eve nie pozwoli, żeby z nią stało się to samo. Bez względu na to, co będzie musiała zrobić, nigdy nie będzie żyła tak jak matka.

Obecność ojca w domu zaskoczyła Eve. W sobotę zwykle był na mieście i błagał o pracę którąś z lepszych rodzin Sweetwater. Podziwiała go za wytrwałość w zapewnianiu środków utrzymania rodzinie, bez względu na cenę, jaką musiał za to zapłacić. Ale miała też ochotę nakrzyczeć na niego i zapytać, gdzie się podziała jego duma. Czy nie miał wstydu? Był jej ojcem i kochała go tak bardzo, jak była w stanie kogokolwiek kochać. Ale już dawno temu zrozumiała, że nigdy nie mogłaby kochać nikogo poza samą sobą. Wystarczyło popatrzeć, co stało się z jej rodzicami, którzy udawali, że się kochają. Ośmioro dzieci. Ofiara była zbyt wielka.

Ojciec uśmiechnął się i podszedł do niej z błyskiem w szarych oczach. Może dostał pracę.

Eve miała taką nadzieję. Wtedy może i ją by zatrudniono. Trzymał przed sobą w wyciągniętej ręce brązową papierową torbę.

— To dla ciebie. — Ojciec podał jej pakunek.

Zajrzała do środka.

— Nie mogę w to uwierzyć! Skąd wiedziałeś?

— Widziałem, jak wystawałaś przed Barnabym.

Wyjęła z torby bładoniebieską sukienkę. Poszukała metki, ale nie mogła jej znaleźć.

Popatrzyła na ojca pytająco.

— Przekazano ją w darze parafii. Edith od razu do mnie zadzwoniła, ona też widziała, jak patrzyłaś na wystawę sklepu.

Eve natychmiast ogarnęła wściekłość. Rzuciła prezent na podłogę. Dobroczynność! Czy pragnęła tej sukienki aż tak mocno?

Bez słowa poszła do siebie, zła na swój los. Marzyła o tej sukience, ale teraz, gdy należała do niej, nie zamierzała jej wkładać. A jednak gdyby to zrobiła, może Robert by ją zauważył?

Tak.

Przełknęła dumę. Tylko ten jeden raz, obiecała sobie.

Nadszedł poniedziałkowy ranek. Eve była zdenerwowana, a zarazem podekscytowana.

Była pewna, że ten rok będzie inny, lepszy.

Wsunęła się za ławkę, przy czym jej nowa sukienka podjechała nieco w górę na szczupłym udzie. Wcześniej zdjęła w toalecie stanik. Nie dbając o to, ile odsłania, wypatrywała ze swojego krzesła Roberta, który jeszcze się nie zjawił. Nie mogła się doczekać miny na jego urodziwej twarzy, kiedy zobaczy, jak jej piersi prawie wyskakują z obcisłej sukienki.

Wiedziała, że będzie na lekcji. Wcześniej sprawdziła to na planie zajęć.

Barbara Richards, jedna z najbardziej lubianych dziewcząt w szkole, pierwsza ją zauważyła. Gdy klasa się wypełniała, Eve była coraz bardziej skrępowana. Przyciszone szepty, od czasu do czasu chichot. Czują na sobie oczy całej grupy. Robert Bentley też się w nią wpatrywał. Przyjrzał się jej piersiom, potem uśmiechnął się ironicznie, tak jak inni.

Barbara podeszła do ławki Eve. Utkwiła w koleżance swoje lodowato niebieskie oczy.

— Czy wywabiałaś tę plamę z tłuszczu na rękawie? — zapytała, a potem rozejrzała się wokół. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Eve uciekła z klasy.

Nigdy! Nigdy nie wróci do szkoły, postanowiła. Pewnego dnia pokaże im wszystkim!

— Eve, kochanie, wróciłaś — powiedział John, obejmując żonę.

Eve wzdrygnęła się na dźwięk głosu męża. Rozchmurzając się, wsunęła się w jego otwarte ramiona.

— Spodziewałem się ciebie dopiero jutro. Wiem, że pragniesz zobaczyć się z Casey. —

John pogłaskał ją po plecach, podszedł do lustra i poprawił krawat. — Sam jestem dosyć przejęty.

Eve zauważyła, jak z uśmiechem wpatrywał się w swój wizerunek. Czy spodziewał się, że Casey będzie oceniać jego wygląd? Przecież ta biedaczka ledwie potrafiła samej sobie coś dobrać.

— Wyglądasz wspaniale, John. Słyszałam, że jednak zejdiesz na obiad. Och, kochanie, tak się cieszę, że czujesz się lepiej. Myślę, że niedługo wybierzemy się na tę wycieczkę, o której tyle rozmawialiśmy. — Eve stanęła za Johnem, otaczając go w pasie szczupłymi ramionami, zaniepokojona jego wątlnością. John był potężnym mężczyzną i sprawnym, kiedy za niego wychodziła. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i w wieku sześćdziesięciu trzech lat budowę ciała, której mogli mu zazdrościć mężczyźni o dwadzieścia lat młodszy.

— Bez pośpiechu, moja droga. Moje stare kości nie są na to gotowe, przynajmniej na razie.

Zobaczmy. Teraz opowiedz o swojej wyprawie. — John, powłócząc nogami, podszedł do fotela z wysokim oparciem i wolno zanurzył się w miękkiej, wytartej skórze.

Był to męski pokój, urządony w odcieniach ciemnej zieleni, brązu i beżu. Jedyne pokój, w którym Eve nie wolno było niczego zmieniać. Stara skóra i zwiędziały zapach cygar oznaczały, że to pokój Johna. Kiedy się pobrali, Eve nie zgodziła się dzielić z nim tego pokoju, mówiąc, że nie jest dostosowany do jej kobiecych potrzeb. John dał jej wolną rękę i urządziła od nowa apartament po drugiej stronie korytarza. Funkcjonowało to doskonale.

Wyłączając te kilka razy, kiedy John poprosił o małżeńską wizytę, ich umowa oboje zadowalała.

— To co zwykle — powiedziała Eve. — Robiłam zakupy, zjadłam z Patricią lunch u Fuddruckersa. Naprawdę nie znoszę tej nazwy! Wyjechałam wcześniej, żeby przygotować się do powrotu Casey. Miałam nadzieję, że zdążę, ale okazało się, że Rob... pan Bentley nie powiadomił nas, że Casey wychodzi ze szpitala wcześniej. — Miała nadzieję, że obrzydzenie, które odczuwała, nie rzuca się w oczy.

John wyciągnął szczupłe ramię i wskazał gestem telefon na stoliku przy łóżku.

— Och, jednak zadzwonił. Chyba Flora zapomniała ci powiedzieć. Blake znalazł ją, kiedy szła przez centrum miasta.

— Szła? Czy coś się stało w szpitalu?

— Najwyraźniej miała po prostu dość czekania. Zadzwoiłem i spytałem Blake'a, czy zechciałby ją przywieźć. Myślę, że za późno wyjechał. Znasz go. Ale nareszcie Casey jest już w domu i nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę moją piękną córkę.

Piękną? Nie widział jej jeszcze. I nie była jego córką. Zachowywał się tak, jakby chciał, żeby tu zamieszkała. Eve wyobrażała sobie, że wtargnięcie Casey w ich życie zdenerwuje Johna. Najwyraźniej się myliła. Przywołała na usta wyćwiczony uśmiech.

— To takie typowe u Blake'a. Można by pomyśleć, że po wszystkim, co przeszła biedna Casey, mógłby dla odmiany zrobić coś jak należy. Nie rozumiem tego człowieka. Mam nadzieję, że powiedziałaś mu coś odpowiedniego. — Złość objawiła się zmarszczkami, które Eve tak usilnie starała się ukryć. Cieszyła się teraz, że stoi z tyłu za Johnem. Podeszła do drzwi i odwróciła się twarzą do swojego zmizerniałego męża, panując nad oburzeniem.

— Eve, rozmawialiśmy już o tym. Nie teraz. Myślałem, że będziesz się cieszyć. Mój Boże, twoja córka przebywała w szpitalu psychiatrycznym od początku naszego małżeństwa. Przez całe lata ciągle słyszałem, że marzysz o jej powrocie. Teraz marzenie się urzeczywistniło, a ty narzekasz na Blake'a. — Zmęczony długą przemową, John z trudem łapał powietrze przy każdym oddechu.

Eve patrzyła z przerażeniem, jak wycieńczony John chwytą się za pierś. Gdy wyteżał siły, żeby przekazać jej, jak bardzo źle się poczuł, wymachując ramionami i prostując nogi, Eve stała jak sparaliżowana.

Oczy Johna zaszkliły się panicznym strachem.

— Po... pomocy!

Wołanie o pomoc w końcu pobudziło Eve do działania. Podbiegła do męża, krzycząc ile sił w płucach i modląc się, żeby Flora była na korytarzu.

— Floro! Zadzwoń pod dziewiątkę, to John! — W odpowiedzi na jej krzyk rozległy się pośpieszne kroki.

Położyła drżącą rękę na czole Johna. Był spocony. Gdy próbował wstać, Eve delikatnie pchnęła go na fotel.

— Ciii, wszystko będzie dobrze. Zaraz nadejdzie pomoc. Eve zobaczyła, że żyły na jego szyi silnie pulsują. Mój Boże!

Czy to atak serca? Rzuciła się do drzwi.

— Pomocy! Niech ktoś... zaraz! — Wyjrzała na korytarz i zobaczyła, jak Blake po kilka stopni na raz wbiega po schodach.

Bez tchu wpadł do pokoju, nawet nie spojrzawszy na Eve.

Chwycił dłoń Johna i popatrzył na obejmujący jego nadgarstek markowy zegarek. Cholera.

Powinien był to przewidzieć. Do diabła, jest lekarzem. Liczył tętno.

— Nie stój tak, Eve! Wezwij karetkę. Natychmiast! — krzyknął Blake.

— Do cholery, Blake, zrobiłam to. A raczej Flora. Myślisz, że jestem potworem?

— Niech Flora sprowadzi Adama. Jest w stajniach. — Odwrócił się z powrotem w stronę Johna, którego skóra przybrała niezdrową szarą barwę.

— Trzymaj się, John. Wszystko będzie w porządku. — Przeczesał dłonią jego wilgotne włosy. Badając tętno, uspokoił się, puls był miarowy.

Usłyszał, jak Adam pędzi po schodach. Cofnął się, gdy przyjaciel wpadł do pokoju, wnosząc ze sobą zapach skóry i siana.

Adam podszedł do fotela, na którym pólleżał John, blady i spocony.

— Hej, twardzielu, w co znowu się wpakowałeś? — Dotknął brudną ręką czoła ojca.

— Flora zadzwoniła po karetkę. Pogotowie powinno być tu lada chwila. O Boże, to jest takie straszne. — Eve uklękła i położyła rękę na piersi Johna.

Ponad jej pochyloną głową Adam poszukał oczu Blake'a. Zbyt wstrząśnięty, aby odpowiedzieć, Blake uniósł gęste brwi i wymamrotał:

— Nie teraz.

Ułożył Johna na plecach i zdjął mu buty. Sięgnął za siebie do podnóżka i delikatnie oparł o niego stopy chorego. Myśl o tym, aby wygodnie ułożyć chorego, dominowała w jego głowie.

Nie wykluczył ataku serca. Tętno nadal było równomierne, dopóki jednak nie zostaną przeprowadzone odpowiednie badania, nie odrzucał żadnej możliwości. Wyczuwając strach Adama, popatrzył swojemu najlepszemu przyjacielowi w oczy i pokazał mu gestem, by wyszedł z pokoju.

— No, Eve, musisz wstać. — Blake wziął ją za rękę i łagodnie pchnął w kierunku Flory, która stała w drzwiach. Była tak zaszokowana, że chyba po raz pierwszy w życiu nie była w stanie powiedzieć ani jednego słowa.

Wszyscy kochali Johna i pragnęli być przy nim. Blake wolałby, żeby nie stali się świadkami tego, co wkrótce mogło nastąpić. John Worthington był dla niego jak ojciec, a stał

mu się jeszcze bardziej bliski po śmierci ojca Blake'a, który zmarł trzy lata temu.

Przenikliwe wycie syreny w oddali pozwoliło Blake'owi przekonać Eve i Adama, żeby opuścili pokój.

— Róbcie, co mówię. Ja się nim zaopiekuję. — Pomyślał, że gdyby to był jego własny ojciec, też zostałby w pokoju; jako lekarz chciał oszczędzić krewnym widoku umierającego.

Wiedział, jak wygląda śmierć.

\* \* \*

Casey usłyszała syrenę i wybiegła na korytarz, gdzie jej matka i nieznajomy mężczyzna stali oparci o ścianę. Flora tkwiła u szczytu schodów. Wszyscy byli nieruchomi niczym posągi.

— Czy dzieje się coś złego?

Adam popatrzył na Florę, potem na Eve.

— Być może mój ojciec ma atak serca. Nie wiemy jeszcze niczego na pewno. Teraz jest z nim Blake.

Niepokój malował się w głębokich bruzdach wokół jego niebieskich oczu. Casey miała wielką ochotę wyciągnąć rękę i wygładzić te zmarszczki. Uznała jednak, że nie przyjąłby z zadowoleniem tego gestu. Jakie to okropne, że jej pierwsze spotkanie z Adamem nastąpiło w tak tragicznych okolicznościach.

— Nie wiedziałam, tak mi przykro. — Roztrzęsiona z powodu sceny, która rozgrywała się przed jej oczami, i nie mając pojęcia, co powiedzieć albo zrobić, Casey mogła tylko wpatrywać się w tę trójkę, modląc się, aby to, o czym mówił Adam, nie okazało się prawdą.

— Nic nie możemy zrobić. Eve, słyszę sanitariuszy. Wpuść ich — polecił Adam rozkazującym tonem.

Casey zauważyła, że matka nie oponuje, i wyczuła, że z Adamem łączy ją coś więcej, niż powinno łączyć macochę i pasierba. Czyżby w oczach matki zobaczyła strach?

Eve zbiegła po schodach, obcasy jej pantofli cicho stuknęły w pokryte dywanem stopnie.

Sanitariusze i lekarz przemknęli na górę, skoncentrowani na niesieniu pomocy. Casey patrzyła w milczeniu. Wchodzili, jak przypuszczała, do apartamentu jej ojczyma. Matka drgnęła nerwowo, gdy zatrzasnęli za sobą drzwi.

Czy John Worthington zmarł? Czy Blake starał się oszczędzić rodzinie dalszych cierpień?

Niepewna, jaka jest jej rola, Casey wróciła do swojego pokoju. Z poczuciem, że jej wcześniejsze zachowanie było dziecinne, popatrzyła na strój, który miała na sobie, i szybko przebrała się w zielonawoniebieski garnitur. Co też strzeliło jej do głowy? Nie mogła chodzić po domu, wyglądając jak uciekinierka z wariatkowa.

Wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Okaże szacunek człowiekowi, który zapewnił

jej całą tę luksusową odzież i dom bardziej imponujący niż cokolwiek, co mogłaby sobie wyobrazić.

Flora pokazała jej gestem, żeby dołączyła do niej u szczytu schodów. Patrzyły w milczeniu, jak sanitariusze znoszą na dół szpitalny wózek. Adam i Blake poszli za nimi.

— Wydaje mi się, że pan John mógł mieć udar mózgu. Nie będziemy tego wiedzieć, dopóki nie zostaną przeprowadzone badania. Biedaczek, niech go Bóg błogosławi. Nie zasługuje na to. — W ciemnobrązowych oczach Flory zalśniły łzy.

Ta kobieta zdążyła już przytulić Casey i ją pocieszyć. Casey chciała odwdzińczyć się, tak samo podnieść ją na duchu, o ile było to możliwe. Otoczyła ją ramionami, znajdując przyjemność we wzajemnym okazywaniu sobie życzliwości.

Flora pociągnęła nosem i otarła łzy rąbkiem fartucha.

— Przepraszam, po prostu nie chcę, żeby coś złego stało się z Johnem.

— Wiem. Ja też tego nie chcę. Jestem pewna, że Adam i Blake dopilnują, żeby miał jak najlepszą opiekę.

— Masz rację. Nie chcę nawet myśleć o tym, że w Łabędzim Domu mogłoby zabraknąć Johna. Kiedyś do tego dojdzie, ale jednak... — Flora sięgnęła do poręczy i ruszyła w dół po schodach. — Chodźmy do kuchni. Może namówię cię na jeszcze jeden kawałek ciasta.

— To brzmi zachęcająco. Czy wiesz, gdzie poszła moja matka? Może zapytasz, czy zechce się do nas przyłączyć?

— Jest w pokoju Johna. Zostawiłabym ją na razie w spokoju. I jeszcze jedno, Casey.

Twoja matka nigdy nie wchodzi do kuchni.

— Dlaczego?

— Mówi, że dosyć się już w życiu nagotowała. Opiekowała się rodzeństwem, czterema braćmi i trzema siostrami. Pani Eve chyba w ogóle nie miała dzieciństwa.

Razem weszły do lśniącej, czarno-białej kuchni. Duża lodówka z nierdzewnej stali otoczona lśniącymi białymi szafkami biła w oczy po monotonnym półmroku innych pomieszczeń.

Na środku znajdował się stół roboczy zastawiony małymi doniczkami, w których rosły zioła. Powieszona wysoko, pod sufitem, jasne miedziane garnki nadawały kuchni przytulny wygląd. Białoczerwona kratka zasłon i poduszek przyciągnęła wzrok Casey. Pomieszczenie wyglądało wesoło i wokół rozchodził się cudowny zapach świeżo wypieczonego chleba.

Wiedziała, że będzie lubiła tu przychodzić.

Usiadła przy pokierszowanym dębowym stole, myśląc, że to nie jest dla niego odpowiednie miejsce, a jednak pasował doskonale. Trochę tak jak ona.

Flora otworzyła kilka szafek i wyjęła jaskrawoczerwone talerze, kubki i spodki. Nie wiadomo skąd pojawił się dzbanek z kawą i wkrótce Casey chrupała słodkie orzeszki pekana.

— Mabel na pewno uwielbia przebywać w kuchni. Tu jest tak wesoło.

Flora skinęła głową, popijając kawę.

— Chyba tak. Adam i Blake są tu częstymi gośćmi. Obaj mają wilczy apetyt, a w ogóle nie tyją.

— Chyba tak to jest z młodymi mężczyznami. Floro, czy znałam któregoś z nich?

— O ile wiem, to nie. Być może natknęłaś się na Blake'a raz czy dwa u doktora, ale to chyba wszystko.

— Chciałabym pamiętać. Jestem pewna, że za jakiś czas będę do tego zdolna. Chcę porozmawiać z mamą. Muszę zrozumieć, dlaczego... nie było mnie tak długo.

Flora upuściła widelec, który upadł z głuchym brzękiem. Casey przybliżyła do ust następny kęs, ale w tym momencie nagle znieruchomiała.

— Co takiego powiedziałam?

— Miałam cię właśnie zapytać. Czy powiedziałaś to, co myślę, że powiedziałaś?

Casey była zmęczona. Zmęczona rozmowami. Zmęczona gierkami. Bardzo polubiła Florę i chciała, żeby ta miła kobieta rozmawiała z nią.

— Powiedziałam to, co słyszałaś, Floro. Nie mam pojęcia, dlaczego zostałam umieszczona w szpitalu. Nie wiedziałam wtedy i nie wiem teraz. Ale się dowiem. Czy to jest wystarczająco jasne?

— Casey zaniósła kubek i spodek do zlewu i popatrzyła na półmrok za oknem.

Zapadał zmierzch, oblewając falisty stok odcieniami łagodnego różu, purpury i błękitu. Jak długo nie widziała takiego krajobrazu? Zbyt długo, a może nigdy.

Coraz bardziej zniechęcona, zastanawiała się, czy przyjazd do domu był dobrym pomysłem. A jednak nie dano jej żadnych innych możliwości. Może powinna poprosić matkę, żeby pożyczyła jej pieniądze na wynajęcie własnego mieszkania. Kiedy nadejdzie właściwy moment, zrobi to. Jeśli kiedykolwiek będzie taki moment.

Flora kończyła pić kawę.

— Myślę, że pani Worthington zna odpowiedzi na dręczące cię pytania.

— Przepraszam, Floro. Wydaje się, że od mojego przyjazdu wszystko, co mogło pójść źle, poszło. Najpierw zdjęcie, potem szkło, a teraz biedny John. Może powinnam była zostać w szpitalu — powiedziała Casey i zaraz skarciła się w duchu. Nie wolno się nad sobą uzalać.



Mogło być gorzej.

Wysokie obcasy zastukotały o posadzkę, zaskakując i Casey, i Florę.

— Pani Worthington? — Flora wydawała się zdumiona jej obecnością w kuchni.

Eve zatrzymała się. Jej oczy były szkliste od łez. W ciągu ostatnich kilkunastu minut postarzała się.

Casey miała ochotę rzucić się matce w ramiona i zadać wszystkie pytania, które od tak dawna ją nurtowały, ale w żadnym razie nie chciała jeszcze bardziej jej zmartwić. To nie był

właściwy moment. Może później, kiedy John wyzdrowieje.

— Przykro mi, nie wiem, co powiedzieć. — Casey podeszła do matki i objęła ją tak jak wcześniej Florę.

Początkowo matka zeszywniała w jej uścisku, ale po chwili się rozluźniła. Nagle wybuchnęła płaczem.

— Nic nie możesz powiedzieć, Casey. — Eve wyjęła koronkową chusteczkę z kieszeni i otarła nią łzy. — To nie twoja wina. — Załkała. — John po prostu się starzeje.

Casey rozluźniła uścisk i łagodnie otoczyła ręką ramiona matki.

— Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Blake wydaje mi się bardzo kompetentny.

— Nie znasz go. On mnie przeraża! — Obłąkańczy błysk mignął w oczach Eve.

Rozejrzała się po kuchni. Badawczo powiodła wzrokiem od lewej strony do prawej. Casey przebywała w pobliżu wielu szalonych ludzi i wiedziała, że lekarze nazwaliby zachowanie jej matki paranoidalnym. Wyglądała tak, jakby oczekiwała, że za chwilę Blake wejdzie tu z siekierą w ręce.

— Dlaczego? Co takiego zrobił? — Casey popatrzyła pytająco na Florę. Poczula skurcz żołądka, a wraz z nim ogarnęło ją poczucie, że wszystko się wali.

Nieoczekiwanie Eve zaśmiała się i Casey usłyszała w tym śmiechu zło.

— Jest mordercą, oto kim jest! — Gwałtowna zmiana zachowania matki zaniepokoiła Casey.

— Blake?! Kogo zamordował, jak? — zapytała. Eve znów się zaśmiała.

— Chyba powinnam ciebie o to zapytać. — Jej pełne wściekłości oczy badały twarz Casey, potem popatrzyła na Florę, która spoglądała wyraźnie zaszokowana.

Casey sparaliżował strach.

— Zapytać mnie o co, mamó?

W tym momencie Flora zdecydowała się odezwać..

— Dobrze już, moja droga. Chodź, pomogę ci. — Wyprowadziła swoją znów szlochającą chlebobawczynię z kuchni i na odchodnym posłała Casey spojrzenie mówiące „nie pytaj, powiem ci później”.

Casey niczego nie mogła sobie przypomnieć. Absolutnie niczego. Jak mogę tak żyć?

Dlaczego nie powiedzą mi tego, o czym wiedzą i co próbują trzymać w tajemnicy?

Casey zadrżała, a potem zaczęła z niepoohamowanej wściekłości łomotać obolałymi pięściami w dębowy stół. Do cholery z lekarzami!

Do cholery z nimi wszystkimi!

Czuła się tak, jakby dostała pięścią w brzuch. Nie mogła zaczerpnąć powietrza. Wdech.

Wydech. Wdech. Wydech. A wszystko z powodu dziwnego zachowania matki i jej oskarżenia rzuconego pod adresem Blake'a.

Morderstwo? Co za okrutne żarty jej się trzymały?

Flora wróciła do kuchni z chmurną twarzą.

— Czy wszystko z nią w porządku? — Casey zacisnęła ramiona wokół siebie, mając nadzieję, że przestanie drżeć.

Flora oparła się o dębowy stół i pokręciła głową.

— Na tyle w porządku, na ile to możliwe.

Nie rozumiejąc tych słów, Casey usiadła naprzeciw Flory i wyciągnęła rękę.

— Dlaczego oskarżyła Blake'a o morderstwo? To dziwaczne.

— Żebym to ja wiedziała, panienko. Trudno powiedzieć, co się dzieje w tej jej głowie.

Twoja mama od dawna nie jest w pełni zdrowa. Miewa ataki. Zaczęły się niedługo po tym, jak zostałaś umieszczona... jak zostałaś hospitalizowana. Na początku to były tylko pewne sygnały — ciągnęła. — Wiesz, na przykład zapominała, gdzie coś położyła. Czasami słyszałam, jak ona i pan Worthington rozmawiali. Zaznaczam, że nie podsłuchiwałam, tylko przypadkiem usłyszałam. Często on opowiadał jej, co robił tego dnia, a ona zachowywała się tak, jakby nie usłyszała ani słowa. Zaczynała mówić o czymś innym, jakby przed chwilą w ogóle nie rozmawiali. Brała jakieś lekarstwa, nie jestem pewna, co to było, ale pan Worthington uważał, że to leki zaburzają jej pamięć i wywołują dziwne zachowanie.

Myślałam, że jest odwrotnie, że to tabletki były na dziwne zachowanie, ale nigdy tego głośno nie powiedziałam. Potem pan Worthington zabrał ją do specjalisty w Atlancie i przez pewien czas znowu wszystko było w porządku. Nie wiem, co zrobili lekarze, nigdy nie pytałam.

Casey próbowała przyswoić sobie wszystko to, co powiedziała Flora. Podczas odwiedzin w szpitalu matka nigdy nie zachowywała się nienormalnie, a jeśli jednak coś takiego miało miejsce, to Casey tego nie zauważyła. Oczywiście wtedy normalne było wszystko poza tym, czego ona sama doświadczała.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego oskarżyła Blake'a o morderstwo, nawet jeśli nie jest przy zdrowych zmysłach. Kogo miałyby zabić?

Casey usłyszała, jak Flora bierze oddech, z wysiłkiem wstając od stołu. Podeszła do zlewu i

zapatrzyła się w widok za oknem.

— Przed laty w Sweetwater popełniono straszliwe morderstwo. Blake nie miał z tym nic wspólnego. Jestem pewna, że pani Worthington ma zamęt w głowie. Przy takim stanie jej rozumu nigdy nie wiadomo, o czym myśli.

Flora już nie była tryskającą energią gadułą. Zachowywała się tak, jakby uszło z niej powietrze. Może po prostu była zmęczona.

Rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu.

Odwrócona plecami Flora chwyciła przenośny telefon leżący na blacie szafki. Casey natężyła słuch, żeby dowiedzieć się, co mówi. W końcu kobieta odwróciła się w jej stronę.

— Wygląda na to, że z panem Johnem wszystko będzie dobrze. Doktor Foo uważa, że miał lekki udar mózgu, chociaż nie przesądza sprawy, ponieważ badania nie zostały zakończone.

Pan John prosi, żebyś mu wybaczyła, i ma nadzieję, że powita cię w domu, gdy tylko te bestie mu pozwolą. Cytowałam Blake'a. — Wyraz ulgi pojawił się na twarzy Flory. Odmłodziła o parę lat.

— Dzięki Bogu. Czy powinniśmy powiedzieć o tym mamie? — zapytała Casey.

— Słyszałam, jak podnosi słuchawkę wewnętrznego telefonu. Blake jej powie.

Casey poczuła się wyczerpana. Spotkanie z rodziną; matka, tak inna kobieta niż ta, która ją odwiedzała; choroba ojczyma. Wszystko to razem wzięte przekraczało jej wytrzymałość.

Niejasne przecucie nękało jej podświadomość. Była podenerwowana, jakby wkrótce miało się zdarzyć coś złego.

— Floro, nie powiedziałaś mi... — Urwała, nie wiedząc, czy Flora nie zarzuci jej, że wsadza nos w nie swoje sprawy. Jednak musiała zapytać. — Kto wtedy został zabity?

Flora kręciła się jak fryga po obszernej kuchni, otwierała szafki, zaglądała do środka.

Otworzyła puszkę i chwyciła miskę stojącą na blacie. Wsypała do niej mąkę z puszkki. Wzięła mleko i jajka z lodówki, rozbiła jajka i wlała mleko do miski. Casey patrzyła, jak Flora wyjmuje z szuflady drucianą trzepaczkę. Współczuła jajkom, tak zawzięcie były ubijane.

Chwyciła Florę za rękę.

— Przestań.

Flora usłuchała i popatrzyła jej w oczy.

— Panienko, może faktycznie zacznę mówić, nie czekając na swoją kolej; najlepiej, jak powiem to

teraz i będę to miała za sobą. Nie wierz w nic, co usłyszysz o tamtym dniu. A zapewniam cię, że kiedy rozejdzie się wieść o twojej obecności w domu, usłyszysz najróżniejsze rzeczy. To, co się zdarzyło, należy do przeszłości i najlepiej o tym zapomnieć.

Paru osobom stała się krzywda. Po prostu nie zajmuj się tym.

Casey przeciągnęła ręką po włosach i rzuciła uważne spojrzenie Florze, która stała nieruchomo.

— Dlaczego?

— Musisz mi zaufać, i tyle. To dzień, o którym mieszkańcy Sweetwater chcą zapomnieć.

Casey poczuła ostry ból głowy.

Potem zrobiło się ciemno.

*Światła były takie jaskrawe. Chciała, żeby zgasły. Jej ubranie było mokre i przylgnęło do skóry.*

*Bez przerwy ciągnęli ją za sobą.*

*Cuchnęła. Wstrętnie, pomyślała. Dostała okres i krew była na niej wszędzie.*

— Tutaj! — krzyknął ktoś.

*Flesze błyskały ze wszystkich stron. Czerwone kropki tańczyły jej przed oczami.*

*Chciała, żeby zostawili ją w spokoju.*

*Jednak nie przestali jej ciągnąć. Ktoś ją podniósł, potem popchnął w dół.*

*Było jej zimno. Ręce i stopy miała lodowate, dłonie się trzęsły.*

*Ktoś szarpnął ją za ramiona.*

*Światła nadal błyskały, oślepiając ją.*

*Metal.*

*Ciężki i zimny.*

*Próbowała wymachiwać rękami i nie mogła.*

*Krzyknęła.*

Rozejrzała się dokoła. Dostrzegła wyraz niepokoju na twarzy Flory.

— Co się stało? — Czowała się tak, jakby przed chwilą cała jej głowa eksplodowała.

— Spokojnie, już w porządku. Wszystko będzie dobrze. — Flora pomogła jej usiąść na krześle. — Dawniej nazywano to omdleniem — powiedziała i otarła czoło Casey chłodnym kuchennym ręcznikiem.

— Zemdlałam?

— Tak mi się wydaje. Miałaś za dużo przeżyć. Casey zgodziła się z tym.

— Chodźmy na górę. Musisz odpocząć. — Flora wzięła ją za ramię i pomogła stanąć.

Pozwoliła, by Flora poprowadziła ją ciemnymi korytarzami. Nienawidziła ciemności.

Nawet jako dziecko nienawidziła ciemności. I szafy.

Szafy?

Zatrzymała się na środku jadalni. Pajęczyny, które zasnuwały jej umysł zaledwie parę sekund wcześniej, zniknęły.

— Blake powiedział, że opiekowałaś się mną, kiedy byłam dzieckiem. Czy przypominasz sobie, że bałam się ciemności?

Flora namyślała się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała:

— Chyba tak. Zostawałaś ze mną w moim domu, i jeśli pamiętasz... nieważne. Nigdy nie byłaś tam po zmroku. Twoja matka albo ojciec zabierali cię zawsze wcześniej.

Casey poczuła, jak przenika ją strach. Była przerażona i rozglądała się wokół, jakby szukała schronienia przed własnymi myślami. Widziała jadalnię po raz pierwszy; przypatrywała się ciemnym, ciężkim meblom. Piękny stół, przy którym mogło usiąść przynajmniej dwadzieścia osób, znajdował się na środku wielkiego pokoju. Żłocista tapeta pokrywała ściany, jedną z nich, prawie całą, zajmował kominek, na którym płonął ogień.

Widok ognia nie poprawił nastroju Casey.

Bez celu przemierzała podłużną jadalnię. W głowie miała gonitwę myśli.

Z większą niż kiedykolwiek determinacją dążąc do rozwiązania zagadki swojego życia, podeszła do Flory, która usiadła przy długim stole. Zajęła miejsce obok niej.

— Mój ojciec? — Casey czekała na objaśnienie kolejnego elementu zapomnianej przeszłości.

— Chyba jego też nie pamiętasz. Był miłym człowiekiem. Szkoda, że umarł tak młodo.

„Tylko dobrzy ludzie umierają młodo” — powiedziała kiedyś jej babcia. Skąd to przyszło?

Casey skupiła się na tym, co mówiła Flora.

— Bardzo ciężko pracował, zawsze pomagał tym, którzy mieli mniej szczęścia od niego, chociaż sam nie miał wiele. W końcu zapłacił najwyższą cenę.

— Co się stało?

— Na obrzeżach Brunswicku, na przejeździe kolejowym późno w nocy — myślę, że wracał do domu z fabryki — zdarzył się wypadek samochodowy. Twój ojciec, Buzz, zatrzymał się, żeby zobaczyć, czy może w czymś pomóc. W wypadku wzięły udział trzy albo cztery samochody.

— Mój ojciec miał na imię Buzz?

— Tak. A ściślej tak wszyscy na niego mówili, bo zawsze nosił krótko przystrzyżone włosy. Naprawdę miał na imię Reed. Buzz kochał dzieci. Jeden z chłopców, którzy ucierpieli w wypadku, był bliski śmierci. Kiedy przyjechała karetka, sanitariusze mieli tyle pracy, że zapytali, czy mógłby zabrać rannych do szpitala, a zabitych do kostnicy. Twój ojciec zgłosił się i pojechał z tym chłopcem do okręgowego szpitala w Peach. Byli wtedy najlepsi.

Myślę, że dziś nazywa się takie szpitale centrami urazowymi. Mówili, że Buzz pędził, najszybciej jak mógł, żeby oddać chłopca w ręce lekarzy. Na pewno bał się, że dziecko umrze, bo inaczej by tak nie ryzykował. Kiedy wjechał do Peach, szpital był już powiadomiony o karambolu i wysłał karetki na pomoc. Jeśli dobrze pamiętam, w wypadku zostało poszkodowanych czternaście osób.

Dotarł do skrzyżowania oddalonego o kwartał od szpitala i w ogóle się nie zatrzymał. Nie wiem, czy nie słyszał syren, czy po prostu za bardzo się śpieszył. Doszło do czołowego zderzenia. Twój ojciec nie przeżył. Zginął na miejscu, niektórzy mówią, że na swoje szczęście.

Casey nie pamiętała swojego ojca, który stracił życie, próbując uratować obce dziecko.

Mimo to poczuła łzy pod powiekami.

— A chłopiec, czy on też umarł? — otarła łzy.

— Och, nie. Przeżył.

— Ojciec zachował się jak bohater. — A więc byli i przyzwoici ludzie w jej rodzinie.

Dzięki Bogu.

— Większość ludzi w Sweetwater tak myślała, ale twoja matka była innego zdania — powiedziała Flora.

— To musiało być dla niej bardzo trudne. Straciła męża, a miała do wychowania dwoje małych dzieci — zauważyła Casey, po czym gwałtownie zerwała się z krzesła. — Słyszałaś, co powiedziałam?!

— Słyszałam — potwierdziła Flora.

Casey zakryła usta ręką.

— A jednak coś sobie przypominałam! — To był dopiero początek. Im szybciej odzyska pamięć, tym prędzej rozpocznie nowe życie.

Uścisnęła Florę, która nadal siedziała przy stole z uśmiechem, który zastygł na jej twarzy.

— Czy mam brata, czy siostrę? Czy jest tutaj? Czy wie, że jestem w domu?

Flora znów przybrała minę, jakby patrzyła w przeszłość.

— To był chłopiec. Starszy od ciebie. Umarł wiele lat temu. To smutny temat, nie warto poruszać go w rozmowach z mieszkańcami Łabędziego Domu.

— A o czym mogę rozmawiać, Floro? Skąd tyle tajemnic? Co się przede mną ukrywa? W

końcu przypominałam sobie coś, co wydaje mi się ważne, a ty mi mówisz, że nie mogę o tym rozmawiać. Postępujesz dokładnie tak jak doktor Macklin w szpitalu. Kiedy czułam, że niewiele brakuje, abym sobie coś przypomniawszy, usypiał mnie tabletką albo zastrzykiem.

— Nie jesteś w szpitalu, Casey. Wierz mi, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, odzyskasz swoje wspomnienia. Nie jestem taka pewna, czy to źle, że straciłaś wiedzę o swojej przeszłości. To jest tak, jakby dobry Bóg dał ci szansę na rozpoczęcie życia od nowa.

Będziesz mogła wybierać wspomnienia, które sobie stworzysz, panienko.

— Może masz rację. — Casey zdawała sobie sprawę, że to nie jest dobry czas na badanie przeszłości. Poczekaj. Czekała przez dziesięć lat; kolejne kilka dni nie zrobi jej różnicy.

Pogodziła się z tym i zmieniła temat.

— Floro, czy ten chłopiec, ten z wypadku, nadal mieszka w okolicy? — Miała nadzieję, że nie przeżył tylko po to, żeby być skazanym na los kaleki.

— Rzeczywiście tak jest. A na jakiego wspaniałego młodego mężczyznę wyrósł!

Poczuła ulgę, bo to oznaczało, że przedwczesna śmierć ojca nie okazała się daremna.

— Może uda mi się go poznać, kiedy uporządkuję swoje życie.

— Och, nie martw się, że go nie poznasz, skarbie. Już go poznałaś. — Flora uśmiechnęła się od ucha do ucha.

— Naprawdę? — Casey nie przypominała sobie, żeby poznała jakichś obcych ludzi. Może traciła też pamięć krótkotrwałą.

— Pewnie, że tak, słonko. To pan Adam.



Casey otworzyła szeroko oczy.

— Jestem zaszokowana. Ta rodzina naprawdę mnie zdumiewa. Wydaje się, że w każdym kącie kryje się rewelacja. A więc to dlatego mama poznała Johna, jak przypuszczam.

Flora kiwnęła przytakująco głową.

— Wtedy pan Worthington był jeszcze żonaty. Buzz pracował w papierni, której właścicielem był nie kto inny, jak John. Czuł się odpowiedzialny za przyszłość twojej matki i was, dzieciaków.

Musieli być dla siebie nawzajem wielką pociechą, pomyślała Casey.

Flora wstała i przeszła na koniec jadalni. Odwrócona plecami ciągnęła swoją opowieść:

— Pan John dał twojej mamie czek na wielką sumę. Podobno tyle pieniędzy, żeby już nigdy nie musiała pracować. Twoja matka zaczęła co tydzień odwiedzać Łabędzi Dom. Ona i pan Worthington szybko zostali serdecznymi przyjaciółmi. Myślę, że minął rok od śmierci twojego ojca. Eve nie wiedziała, że smutek zapanował w Łabędzim Domu. U pani Worthington właśnie wykryto raka i rokowania były złe. To był smutny okres, muszę ci powiedzieć. — Flora podniosła srebrną ramkę z obramowania kominka i wpatrzyła się w fotografię.

Casey, milczała czekając, aż Flora zacznie mówić dalej.

— Pani Worthington martwiła się tylko o Adama. Chciała się upewnić, że będzie miał

opiekę. Kazała mi przysiąc, że zostanę i zajmę się chłopcem. Nie było mi trudno złożyć taką obietnicę. Nie mogłam mieć własnych dzieci, więc byłam zachwycona.

Smutek pojawił się na twarzy Flory.

— Byłam tutaj dzień i noc. Na szczęście dla rodziny, pani Worthington umarła szybko. Nie cierpiała długo. Pewnego ranka zapukałam do drzwi i nie doczekałam się jej zwykłego powitalnego okrzyku. Zaniepokojona weszłam do środka. Leżała w łóżku, jej złote włosy były rozrzucone na poduszce jak słoneczne światło. Wyglądała jak anioł. Podeszłam do niej i dotknęłam jej policzka. — Flora urwała i zamilkła na dłuższą chwilę, pogrążona w bolesnych wspomnieniach. — Była taka zimna. Chyba umarła późnym wieczorem. Pan Worthington bardzo rozpaczał. Minęły miesiące, zanim wrócił do pracy, kompletnie wyłączył się z życia, tak że Adam zapomniał, że ma ojca, więc zgodnie z obietnicą, opiekowałam się nim najlepiej, jak umiałam. Mniej więcej wtedy Eve zaczęła codziennie składać wizyty w Łabędzim Domu.

Muszę powiedzieć, że to dzięki niej w oczach pana Worthingtona pojawiła się radość.

— Po jakim czasie wzięli ślub, Floro? — Może znajomość kolejności wydarzeń pomoże jej uruchomić pamięć.

— Och, upłynęły całe lata. Twoja matka miała problemy osobiste. John zajmował się jej finansami. Nadal uważał, że to była jego wina, że twój ojciec umarł.

— A ja i mój brat? Gdzie byliśmy, kiedy to wszystko się działo?

— Och, ty byłaś zawsze ze swoją matką. Twój brat nigdy tu nie przyjeżdżał.

— Łabędzi Dom jest taki ogromny. Myślę, że pamiętałabym, gdybym kiedykolwiek mieszkała w nim albo go odwiedzała. — Casey rozejrzała się po obszernej jadalni. Nigdy wcześniej nie była w tym domu. Czowała to z całą pewnością.

— To niezwykle, że to mówisz. Nie przypominam sobie, żeby Eve wprowadzała cię do środka. Kazała ci czekać w samochodzie. Nigdy nie podjeżdżała przed dom; parkowała przy bramie i szła pieszo.

— Wiedziałam, że tu nie byłam. A więc moja mama i John spotykali się przez długi czas.

— Nie nazwałabym tego, co robili Eve i John, spotykaniem się. — Flora się zarumieniła.

— Oczywiście, że było to coś więcej. Przecież się pobrali — zauważyła Casey.

— Pan Worthington był wprawdzie oczarowany Eve... ale był rozsądny. Wiedział, że nie byłoby to dobrze przyjęte, gdyby wzięli ślub tak szybko po morderstwie. — Flora zbladła, przerażona tym, co niebacznie powiedziała.

— Jakim morderstwem, Floro? Kilka razy była już o tym mowa i ciągle nie wyjaśniłaś, o co chodzi. Proszę, powiedz mi. Nikt się nie dowie, że wiem to od ciebie — błagała Casey.

Po głębokim namyśle Flora powiedziała:

— Masz rację. Eve powinna była to zrobić, ale ostatnimi czasy chodzi rozkojarzona.

Chodzi o twojego brata. Został zamordowany.

— Kto, na Boga, miałby zamordować mojego brata? A ściślej, dlaczego ktoś w ogóle chciałby go zamordować?

Casey krążyła po jadalni, jej ruchy były gwałtowne i nieskoordynowane. Spoglądała na ciemne meble, które teraz wydawały się jeszcze bardziej ponure niż przed paroma minutami.

Wpadła w posepny nastrój.

— Można się w tym wszystkim pogubić. Czy Adam nie jest moim przyrodnim bratem? —

Casey odgarnęła włosy, zirytowana.

— Jest. Ale twój rodzony brat... to długa i tragiczna opowieść; następna historia, którą powinnaś usłyszeć od swojej mamy. — Casey otwierała już usta, chcąc zadać następne pytanie, gdy Flora uniosła rękę, by nakazać jej milczenie.

Czy Flora знаła szczegóły śmierci jej brata, którego nie pamiętała? Brata, któremu odebrano życie. Dlaczego ludzie zabijali swoich bliźnich?

— Wydaje mi się, że matka nie będzie w stanie czegokolwiek mi powiedzieć, Floro. Będę musiała na własną rękę dowiedzieć się, jak wyglądało moje życie. Nie rozumiem, po co te tajemnice.

Kim byli ludzie, którzy podobno stanowili jej rodzinę? Pojawiało się coraz więcej zagadek i pytań, na które nie uzyskiwała odpowiedzi.

Była zmęczona, chciała zasnąć i zapomnieć o wszystkim. Jutro stworzy plan. Jutro zdecyduje, co powinna zrobić z... resztą swojego życia.

\* \* \*

Promień słońca przedostał się przez wąską szczelinę w ciężkich zasłonach. Sen wciąż jeszcze ślizgał się po powierzchni podświadomości, gdy Casey odwróciła się i rzuciła okiem na swój pokój.

Naciągnęła pled na twarz, żeby schronić się przed słonecznymi promieniami, i próbowała ponownie zasnąć. Jedwabna pościel była miękka i pieściła jej skórę.

We śnie nie musiała myśleć, planować ani podejmować przełomowych decyzji.

Jednak jej umysł czuwał i nie dał się uspić. Z ciężkim sercem odrzuciła przykrycie i podeszła do okna. Odciągnęła grube zasłony. Potoki złocistego światła wpłynęły do pokoju, oblewając wszystko łagodną pomarańczową poświatą.

Cofnęła się i popatrzyła na ogród w dole, skąpany w tęczy barw. Uśmiechnęła się. Może mogłaby pracować w ogrodzie z Hankiem. Zapyta o to. Przynajmniej czymś by się zajęła.

Powróciły pytania i wątpliwości, które trapiły ją, zanim poszła spać. Próbowała je stłumić, zachwycając się przepychem ogrodów, ale to jej się nie udało.

W szpitalu Sandra powtarzała, że jeśli Casey chce się czegoś dowiedzieć, musi szukać odpowiedzi na pytania. Może trzeba będzie wrócić do życia w szpitalu. Zanim to zrobi, spróbuje zdobyć informacje tutaj, w Łabędzim Domu. Dopiero gdyby to się nie powiodło, pójdzie do lekarzy i szpitala, chociaż przyrzekła sobie, że jej noga nigdy więcej tam nie stanie. Jeśli jednak niczego się nie dowie, to pozwoli lekarzom eksperymentować na sobie, aby zdobyć wiedzę o tym, dlaczego znalazła się w szpitalu. Zdeterminowana, wzięła szybki prysznic. Natychmiast zacznie działać. Jeśli będzie miała szczęście, może już dzisiaj odkryje część prawdy o swojej przeszłości.

Poprzedniego wieczoru Adam wrócił ze szpitala późno. Kiedy Flora przyszła powiedzieć Casey dobranoc, poinformowała ją, że pan Worthington będzie w domu za kilka dni, a Eve została w Worthington Enterprises, gdzie John miał małe mieszkanie. Nie wspomniała o Blake'u i wydawała się zadowolona; szybko się wycofała. Wkrótce zmęczenie przeżyciami tego dnia dało o sobie znać i Casey zasnęła parę chwil po tym, jak jej głowa spoczęła na poduszce.

\* \* \*

Teraz zakręciła wodę i stała nago w ciepłej, zaparowanej kabinie. Czowała się trochę niesamowicie, tak jak wczoraj, kiedy natknęła się na pokruszone szkło w balsamie. Flora nie była ani trochę zaskoczona, kiedy opowiedziała jej, co się stało. Popatrzyła na zadrapania i skaleczenia, obejrzała je zdumiona i już o tym nie rozmawiały. Zastanawianie się, w jaki sposób drobinki szkła znalazły się w balsamie, nie miało sensu. Było tak, jakby całe to zdarzenie wyobraziła sobie.

Wpatrywała się w zaparowane lustro. Nie zdołała dojrzeć ciemnych kręgów, które, jak wiedziała, znajdowały się pod jej oczami. Przetarła lustro i spojrzała na swoje odbicie. Mokre włosy przylgnęły do szyi. Wyglądała jak wychudła zmokła kura.

Przeciągnęła ręcznikiem po ramionach i nogach, krzywiąc się, gdy poczuła pieczenie tam, gdzie znajdowały się skaleczenia i zdraśnięcia.

Kto nasypał szkła do balsamu? I po co?

Ostatnie szybkie przetarcie puchatym ręcznikiem i mogła się ubierać. Sięgnęła po majteczki i koronkowy stanik. Nie zachwycała się markowymi rzeczami, które kupiła Eve, zadając sobie tyle trudu. Myślała tylko o jednym: żeby zacząć poszukiwania. Od razu.

Nadszedł czas, by na nowo odkryć życie, które prowadziła, zanim spędziła dziesięć lat w szpitalu.

Ogarnął ją lęk. Czy jej wcześniejsza egzystencja była warta zapamiętania? Skoro Eve nie mogła opowiedzieć jej o dzieciństwie, będzie musiała poprosić o to Florę, a może Adama.

Intuicyjnie wyczuwała, że jeszcze nie powinna nikomu ufać, nawet mamie i Adamowi, dopóki nie dowie się, jaką rolę odegrali w jej życiu. Jeśli będzie potrzebować ich pomocy, to o nią poprosi. Miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Zacisnęła kciuki na szczęście, aby wykazała się

wytrzymałością psychiczną i fizyczną potrzebną podczas odkrywania tajemnic przeszłości.

Ostatnie spojrzenie w lustro powiedziało jej, że lepiej nie będzie. Przynajmniej na razie. W

tym momencie wygląd nie był najważniejszy. Kiedy odzyska swoje życie, pomyśli o strojach i wszystkich tych dziewczynskich rzeczach, których jej tak długo brakowało.

Wyjrzała na korytarz; nic się nie działo. Wyglądało na to, że w Łabędzim Domu zamarło życie, od czasu gdy pan Worthington znalazł się w szpitalu. A ona nawet nie poznała tego człowieka. Flora powiedziała, że trzymał wszystkich krótko, ale kochającą ręką. Gdy przemierzała schody, dobiegły ją z kuchni ciche głosy. Kiedy zbliżyła się do otwartych drzwi prowadzących do kuchni, usłyszała, że jakaś kobieta płacze. Najwyraźniej pan Worthington był bardzo lubiany przez personel. Casey obiecała sobie w duchu, że odnajdzie szpital, aby móc go odwiedzić.

Weszła do kuchni, gdzie Flora dyrygowała młodą kobietą, pokazując jej, jak ma składać płócienne serwetki. Zapachy czekolady i piekącego się chleba tworzyły domową atmosferę.

Tutaj, w Łabędzim Domu, nie będzie musiała siedzieć cicho, kiedy jakiś pacjent otrzyma megadawkę valium. Tutaj, w tej przytulnej, wygodnej kuchni nie będzie musiała zakrywać uszu, żeby zagłuszyć wrzaski obłąkanych. Nie będzie musiała wstrzymywać oddechu, czekając, czy budzące lęk kroki zatrzymają się przed jej drzwiami. Tu mogła poruszać się swobodnie. Mogła myśleć, planować i nie obawiać się, że ktoś obserwuje każdy jej ruch. Jeśli chciała, mogła wyjść na zewnątrz. Uświadomiwszy to sobie, Casey zwróciła uwagę na swoją obecność głośnym „dzień dobry”.

Flora drgnęła i położyła rękę na piersi.

— Och, moja droga, przestraszyłaś mnie.

— Przepraszam. Nie miałam takiego zamiaru. To wszystko wygląda tak... normalnie. —

Poczuła, że się czerwieni, kiedy wszyscy przerwali swoje zajęcia i popatrzyli na nią zdziwieni. Natychmiast pożałowała swoich słów. Tego właśnie się po niej spodziewali. Od tej chwili zaczęli im udowadniać, że nie jest szalona. Jest tak samo normalna jak oni. Tyle że oni pamiętali swoją przeszłość, a ona nie. Dziewczyna składająca serwetki wydawała się zakłopotana. Casey pomyślała, że chyba jest mniej więcej w jej wieku. Będzie potrzebowała przyjaciółki; może to właśnie początek znajomości. Podeszła do młodej kobiety i wyciągnęła rękę.

— Jestem Casey Edwards.

— Julie Moore. Miło mi cię poznać. — Dziewczyna wyciągnęła w jej stronę poczerwieniałą od pracy dłoń. Najwyraźniej przewyciężyła już chwilowe skrępowanie.

Pogodne brązowe oczy rozjaśniły się, a gdy się uśmiechnęła, na policzku ukazał się dołek.

Policzki czerwone jak wiśnie, pomyślała Casey. Już lubię tę dziewczynę.

Wiedziała, że będzie musiała wykazać się inicjatywą, jeśli w Łabędzim Domu chciała zyskać

przyjaciół. Jej przeszłość wyprzedzała ją i nic nie mogła na to poradzić, ale mogła dopilnować, żeby ta przeszłość nie ciągnęła się za nią jak mroczny cień.

Ścisnęła rękę Julie.

— Dziękuję. — Chcąc dowiedzieć się więcej o swojej nowej znajomej, Casey sformułowała następne pytanie.

— Na czym polega twoja praca w Łabędzim Domu? — Obserwowała, jak Julie dodaje kolejną serwetkę do stosu, po czym patrzy na Florę, jakby prosząc ją o pozwolenie. Flora wzięła Julie za rękę i poprowadziła ją do stołu.

— Czas na przerwę. Casey, czy mogłabyś zająć Julie rozmową, kiedy Ruth i ja będziemy przeglądać spis bielizny stołowej?

Ruth, niska, przysadzista kobieta z ciasno upiętym kokiem, wyszła za Florą z kuchni.

Mabel, kucharka, nadal zapełniała miskę po misce, nie zwracając uwagi na to, co robili inni.

Casey naląła gorącej czekolady do kubków pomalowanych w róże, przyniosła je i postawiła na stole.

— Flora chyba myślała, że chcę zrobić przerwę, a przecież wcale nie jestem zmęczona.

Mam nadzieję, że nie uzna mnie za leniucha. To mój pierwszy tydzień i nie chcę niczego sknocić, bo naprawdę potrzebuję tej pracy. Mój mąż byłby zły, gdyby... cóż, powiedzmy po prostu, że potrzebuję pracy. — Julie bawiła się podkładkami leżącymi na stole.

Casey uśmiechnęła się.

— Ja też. Nigdy nie miałam pracy...

Julie zaśmiała się i Casey poszła w jej ślady.

— Chyba obie musimy się nauczyć, kiedy otwierać usta, a kiedy milczeć. Kiedy cię zobaczyłam, poczułam, że mogłybyśmy zostać przy... — Julie urwała, zakłopotana.

— Przyjaciółkami? — dokończyła Casey.

— Tak — potwierdziła Julie.

— Ja też tak pomyślałam. — Po raz pierwszy od wielu lat Casey poczuła się szczęśliwa.

Uznała jednak, że Julie ma prawo zapytać o jej przeszłość, zanim ich przyjaźń nabierze rumieńców.

— Wiem, że większość personelu orientuje się... gdzie przebywałam przez ostatnie dziesięć lat. Jeśli masz jakieś pytania, proszę, nie bój się ich zadać. Odpowiem na nie, o ile zdołam. Zbyt długo żyłam w ciemnościach. Chcę znów chodzić w słońcu. — Casey wpatrzyła się intensywnie w Julie.

— Cieszę się, że otwarcie postawiłaś sprawę. Usłyszałam przypadkiem, jak pani Worthington rozmawiała z kimś dzień przed twoim przyjazdem do domu. — Julie spojrzała na swoje ręce spoczywające na kolanach. Wydawała się zmieszana.

— O czym? — zapytała Casey.

— Nie lubię plotkować, ale pomyślałam, że ktoś powinien o tym wiedzieć. Dopóki cię nie poznałam, nie byłam pewna, komu powinnam powiedzieć. — Julie wbiła wzrok w stół.

— Co to takiego? — Casey nienawidziła tej nuty niecierpliwości w swoim głosie. Miała nadzieję, że nowa przyjaciółka jej nie wychwyci. Ostatecznie jednak to, o czym teraz się dowiesz od Julie, nie mogło być gorsze od tego, co już usłyszała i co przeszła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

— Twoja matka szeptem rozmawiała przez telefon na górze. Aparat stoi we wnęce, w korytarzu. Jeśli ktoś nie wie, że on tam jest, to go nie zobaczy. Wierz mi, nie miałam zamiaru podsłuchiwać.

— Powiedz mi, Julie, co dokładnie słyszałaś.

— Usłyszałam, jak pani Worth... twoja matka mówi o twoim bracie. Powiedziała, że w żadnym razie nie wrócisz do szpitala.

— O którym bracie? To jasne, że nie wrócę do szpitala. Julie przez chwilę wydawała się zdezorientowana.

— O tym, który umarł. Tylko że... nieważne.

— Dopiero co dowiedziałam się o jego istnieniu. Zanim tu przyjechałam, nie wiedziałam, że miałam brata. Nikt nie chce o nim rozmawiać. Przynajmniej ze mną. Dlaczego mówisz mi to wszystko?

— Pytałaś. Chcę, żebyś była ostrożna. Uważaj, z kim rozmawiasz i co mówisz — ostrzegła Julie.

— A skąd mam wiedzieć, że tobie mogę ufać? Że nie kłamiesz? Nie wiem, komu ani w co wierzyć. Niczego nie pamiętam. — Casey zamachała rękami. — Czy masz pojęcie, jakie to wszystko jest frustrujące?

Julie zarumieniła się, zanim odpowiedziała.

— Rozumiem, że jesteś sfrustrowana. Jednak utrata pamięci to coś, co mogę sobie tylko wyobrazić. Casey, chcę być twoją przyjaciółką.

W tym momencie Casey miała ochotę chwycić Julie w objęcia, ale bała się, że dziewczyna pomyśli, iż rzeczywiście jest wariatką.

— Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo się cieszę. Będę miała z kim porozmawiać, kogoś, na kogo będę mogła liczyć. To pomoże mi bardziej niż cokolwiek innego. Czuję to.

— Lepiej zaczekaj z pochwałami. Spędź kilka dni w tym domu, a dopiero potem mnie chwal. — Te słowa padły z ust Julie szybko, jak seria z karabinu. Gdy skończyła mówić, popatrzyła na Casey.

— O czym mówisz?

Julie omiotła spojrzeniem kuchnię, najwyraźniej upewniając się, że Mabel jest zajęta swoimi obowiązkami. Nachyliła się nad stołem i przysłoniła usta dłonią.

— W tym domu czai się zło. Poczułam, jak tylko tu po raz pierwszy weszłam, a jestem dopiero od tygodnia. Wkrótce sama się przekonasz, o czym mówię.

Julie zaniósła ich kubki do zlewu i znów zajęła się składaniem serwetek. Właśnie w tej chwili Flora i Ruth wróciły do kuchni. Dalsza rozmowa musiała zostać odłożona na później.

Flora popatrzyła na Julie, potem na Casey.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała, zwracając się do Casey.

— Nie mogło być lepiej. Myślę, że Julie i ja zupełnie dobrze się rozumiemy. — Casey przywołała uśmiech na usta i zerknęła na Julie.

— Świetnie. Młode damy potrzebują przyjaciółek. Prawdziwych przyjaciółek, a nie tylko kobiet, które lubią plotki i myślą przyjaźń z rywalizacją. Miałam tego rodzaju przyjaciółki i wierz mi, można się bez nich obyć.

Casey wyczuła podtekst w słowach Flory. Miała nadzieję, że nie było w nich ostrzeżenia przed Julie. Powiedziała to zaraz głośno:

— Nie musisz się martwić. Julie i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. — Przyglądała się Julie, która nadal składała serwetki w piramidy, a uśmiech zagościł w kącikach jej ust, kiedy uniosła głowę. — Myślę, że faktycznie mamy ze sobą wiele wspólnego.

Wyczuła, że Julie chciałaby coś powiedzieć, ale uważa, że moment nie jest właściwy.

Flora kiwnęła głową z zadowoleniem.

— Co masz zamiar dziś robić, Casey? Jestem pewna, że wszelkie plany, które może ułożyłaś ze swoją mamą, będą musiały poczekać, skoro pan John jest w szpitalu.

Casey sama się nad tym zastanawiała. Pamiętała daną sobie obietnicę, że odwiedzi ojczyma. Eve tkwiła przy jego łóżku, a jej własny nastrój nie sprzyjał odwiedzinom w szpitalu. Przynajmniej tego dnia.

Przede wszystkim chciała dowiedzieć się jak najwięcej o swojej przeszłości.

— Czy w Sweetwater jest biblioteka? — zapytała.



— Cóż, do licha, panienko, nie jesteśmy tacy niecywilizowani. Mieści się tuż koło budynku sądu. Jeśli potrzebujesz czegoś do czytania, to pan Worthington ma piękną bibliotekę wypełnioną mnóstwem książek.

— Dziękuję, ale chciałam poszukać różnych informacji o Sweetwater. Może coś pobudzi moją pamięć.

— Cóż, zatem powiedz Lilah, że nie chcesz, aby ci przeszkadzano. Najważniejsze w życiu tej kobiety są plotki.

— Lilah to bibliotekarka? — zapytała Casey.

— Tak, niestety. Myślę, że przeczytała każdą książkę w tej bibliotece tysiąc razy, a przynajmniej te o Sweetwater. Pewnie miała nadzieję, że znajdzie strzępek stuletniej plotki, której mogłaby przeciw komuś użyć. Właściwie to jest całkiem miła, kiedy ktoś przyzwyczai się już do jej mielenia ozorem.

Casey nie mogła uwierzyć, że ma tyle szczęścia. Bibliotekarka ze skłonnością do plotkowania mogła zaoszczędzić jej wielu godzin poszukiwań.

— Jeśli potrzebujesz podwiezienia, Hank jedzie do miasta. Zobaczę, czy jeszcze tu jest.

Flora wyszła prędko z kuchni, żeby poszukać Hanka. Julie złożyła ostatnie serwetki i szepnęła do Casey w drodze do szafy, w której trzymano bieliznę stołową:

— Bądź ostrożna i uważaj na Lilah. Jest sympatyczna, ale ma też ambicje towarzyskie.

Robi wszystko, co tylko może, żeby zebrać pieniądze dla biblioteki. Myślę, że w taki sposób chroni swoje miejsce pracy. Twoja matka podarowała bibliotece wielkie sumy. Czytałam o tym w gazecie. W holu biblioteki wisi tabliczka, która o tym informuje. Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć.

Nie było czasu na zadawanie dalszych pytań. W drzwiach pokazał się Hank z kluczami w ręce. Casey pomachała wszystkim na pożegnanie i poszła za ogrodnikiem do półciężarówki.

\* \* \*

Hank był wysokim, żylastym, małomównym mężczyzną o skórze pociemniałej i stwardniałej od wielu godzin spędzonych na słońcu. Wyglądał na więcej niż swoje pięćdziesiąt dziewięć lat. Odrobina brytyjskiego akcentu zmieszana z południowym dialektem sprawiała, że kiedy mówił, skupiał na sobie uwagę innych.

Milczenie Casey najwyraźniej mu nie przeszkadzało. Podziękował jej za pochlebne uwagi na temat ogrodów Łabędziego Domu, ale potem nie powiedział już ani słowa. Wilgotne powietrze wpadało przez otwarte okna do środka półciężarówki; Casey było gorąco, a ubranie lepiło się do ciała. Miała nadzieję, że w bibliotece jest klimatyzacja. Zapytała o to Hanka.

Wzruszył ramionami. Przyjęła, że nie wie.

Kiedy wjeżdżali do centrum Sweetwater, Hank znacznie zmniejszył szybkość. Spojrzał na nią przenikliwie ciemnymi oczami. Mimo upału Casey przeszedł zimny dreszcz.

— Wiem, czego szukasz, młoda damo. Na twoim miejscu dałbym sobie spokój. Sytuacja się uspokoiła. Pani Worthington nie będzie zadowolona, kiedy usłyszy o twojej wizycie w bibliotece.

Nie byłaby bardziej zdziwiona, gdyby wypchnął ją z półciężarówki. Okazało się, że traktowanie Hanka wyłącznie jako wiejskiego ogrodnika było poważnym błędem. Mógł

odegrać istotną rolę w wyjaśnieniu zagadki jej dawnego życia.

Miała nadzieję, że dzięki temu, co znajdzie w bibliotece w Sweetwater, wkrótce pozna wiele odpowiedzi.

Hank zaparkował przed biblioteką. Casey otworzyła drzwiczki i odwróciła się w jego stronę.

— Dziękuję za podwiezienie. Kiedy będziesz składał raport mojej matce, powiedz jej, że zamierzam bardzo starannie dobrać sobie lekturę.

Zatrzasnęła drzwi, nie racząc poczekać na odpowiedź Hanka. Skąd brały się te ostrzeżenia? Zdjęcie, szkło, ekspedientka u Haygooda. A teraz Hank. Julie miała rację. Za południową subtelnością Sweetwater czaiło się zło.

\* \* \*

Casey nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała w jednym pomieszczeniu tyle książek. Sięgające sufitu półki ciągnęły się wzdłuż ścian i nawet zachodziły na okna.

Jarzeniowe oświetlenie niedostatecznie rozjaśniało wnętrze. Olejek cytrynowy wymieszany z pleśnią i czymś, co nazwała w myślach „starym zapachem”, unosił się w powietrzu.

Dostrzegła małe biurko zastawione stosami książek. Zajrzała, po czym cofnęła się, kiedy uświadomiła sobie, że nie jest sama.

— Pani Lilah? — Casey ciekawiło, jak długo kobieta pozwoliłaby jej wędrować po bibliotece, zanimby się odezwała.

Pulchne ręce przesunęły książki na bok. Casey zobaczyła, dlaczego kobieta nie wstała.

Musiała ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo. Fałdy tłuszczu po prostu zwisały z krzesła. Miała potrójny podbródek i włosy czarne jak u Elviry, królowej mroku, tak mocno skręcone, że tworzyły zbity kłęb. Utkwiła przenikliwie niebieskie oczy w Casey i ani na chwilę nie odwróciła wzroku.

— Wiem, że jesteś zszokowana. Zawsze tak jest, kiedy ktoś się tego nie spodziewa —

odezwała się piskliwie. Casey musiała zasłonić usta, żeby ukryć szeroki uśmiech. — I nie mów mi, że przypominam ci tę małą grubą kobietę z „Ducha” Spielberga. Słyszałam to tyle razy, że robi mi się

niedobrze. Wiesz, na jej miejscu na pewno, do diabła, pracowałabym nad głosem, wiesz, straciła go i tak dalej. A jest aktorką. Ja jestem bibliotekarką i lubię być inna niż wszyscy. — Lilah sapnęła i wzięła oddech tak, jakby miał być jej ostatnim.

Casey wyciągnęła rękę.

— Jestem Casey Edwards.

— Mój Boże! Kiedy ostatni raz cię widziałam, byłaś cała w... cóż, nieważne. Co cię tu sprowadza?

— Już i tak piskliwy głos Lilah stał się o oktawę wyższy.

— Chciałabym dowiedzieć się czegoś o Sweetwater. Pomyślałam, że gdybym trochę poczytała, uruchomiłabym swoją pamięć.

— A więc to rzeczywiście prawda?

— Co? — zapytała Casey.

— Naprawdę nie pamiętasz, zgadza się? Powiedziałabym, że to błogosławieństwo losu, chociaż niektórzy by się z tym nie zgodzili. Cóż, powiem ci, że pamiętam tamten dzień, jakby to było wczoraj. Błyskające światła, szeryf Parker, wtedy praktycznie chłopiec, i twoja biedna mama, no, to było straszne, mówię ci, po prostu straszne.

Nie mogła uwierzyć, że los tak jej sprzyja! Lilah otworzyła drzwi, chociaż ona nawet jeszcze nie zapukała.

— Niczego nie pamiętam.

— Powiem ci coś, młoda damo, najlepiej zapomnieć pewne rzeczy. Twoja pamięć robi to, co trzeba, zamyka się przed tobą i tak dalej. Młoda dziewczyna taka jak ty nie powinna mieć tego rodzaju wspomnień. Oczywiście młoda dziewczyna taka jak ty nie powinna przede wszystkim zostać zmuszona do zrobienia tego, co ty zrobiłaś. Zawsze myślałam, że stało się coś więcej, niż ujawniono w sądzie podczas dochodzenia koronera. Tak samo myśleli wszyscy w tym miasteczku.

Casey poczuła, że brakuje jej powietrza. Dochodzenie koronera?

— A więc muszą być akta, stenogramy, wycinki z gazet. Wspomniałaś o szeryfie, nie zapamiętałam nazwiska, czy wciąż jest szeryfem? — Serce Casey biło jak oszalałe.

Lilah odsunęła się od biurka i skrzyżowała sflaczałe ramiona nad obfitym biustem.

— Tak, rzeczywiście jest. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Casey rozpoznawała wyzwanie, kiedy miała z nim do czynienia. Bibliotekarce nie rozwiąże się dziś język. Jeszcze nie dziś.

— Wydaje mi się to oczywiste. Chciałabym wiedzieć, co stało się tamtego dnia. —

Słyszała w swoim głosie desperację. Próbowwała wziąć głęboki oddech, żeby się uspokoić. Nie pomogło. Czuła, że znalazła się na krawędzi.

— Myślę, że to nie ja powinnam opowiedzieć ci o tamtym dniu. Zapytaj Eve, ona ci powie. Jest twoją matką, młoda damo.

— Nie sędzę, żeby akurat teraz był to dobry pomysł. Pan Worthington miał lekki udar mózgu wczoraj wieczorem. Mama jest przy nim w szpitalu.

— Och, biedna kobieta. Mówię ci, musiała znieść więcej niż większość ludzi. Zawsze jest taka hojna. Kiedy pojawiła się szansa, żeby biblioteka kupiła czytnik do mikrofilmów, twoja mama przekazała na to pieniądze. Biedny, biedny John. — Lilah ciężko westchnęła.

Casey spróbowała pociągnąć ją za język.

— Widzisz więc, dlaczego nie mogę zapytać matki. Jestem pewna, że nie miałyby nic przeciwko temu, żebyś opowiedziała mi o tym, co się wtedy wydarzyło.

Bibliotekarka zastanawiała się przez dłuższy czas, po czym powiedziała:

— Chyba mogłabym to zrobić. Może przysuniesz sobie krzesło.

Casey usiadła, podniecona, a zarazem pełna obaw w oczekiwaniu na relację z wydarzeń, o których jej matka, Flora i najwyraźniej każdy, kto był związany z Łabędzim Domem, nie chcieli rozmawiać.

— Z tego, co pamiętam, to był typowy jesienny dzień. Wczesny wieczór. Pamiętam, że w pewnym momencie skończyły mi się cukierki. Właśnie włączyłam telewizor, żeby obejrzeć mój ulubiony talk-show.

Casey czekała cierpliwie, kiedy bibliotekarka mówiła bez końca o swojej ulubionej gwiazdzie oper mydlanych, która tamtego dnia była gościem oglądanego przez nią codziennie programu.

— Syreny śmiertelnie mnie wystraszyły. Nie słyszy się ich często w Sweetwater.

Pamiętam, że zastanawiałam się, co takiego mogło się wydarzyć. Byłam sama i musiałam wiedzieć, co się dzieje, więc zadzwoniłam do Very. Jest dyspozytorką szeryfa Parkera. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa, a nie przypominałam sobie, by kiedykolwiek tak zareagowała. Usta tej kobiety zwykle ruszają się w tempie miliona słów na minutę.

Casey uśmiechnęła się. Przyganiał kocioł garnkowi.

— W końcu powiedziała, że szeryf pojechał do domu Edwardsów. Cóż, od razu wiedziałam, że stało się coś okropnego. Zawsze mówiłam twojej mamie, że ten chłopak ma coś nie tak z głową. Buzz też to wiedział. Twój ojciec już nie żył, a Eve została sama z dwójką małych dzieci. To, że chłopiec nie był jej, wydawało się tylko pogarszać sprawę.

— Chwileczkę! Co rozumiesz przez to, że chłopiec nie był jej?

— Myślałam, że wiesz. — Lilah potrząsnęła głową, mocno skręcone włosy obity się o mięsiste policzki. — Buzz był chłopakiem, kiedy ożenił się z Carol Connors, swoją sympatią ze szkoły średniej. Podobno musieli wziąć ślub. Niektórzy mówili, że Buzz nie jest ojcem, ale kto to wie? W tamtych czasach mężczyźni brali na siebie odpowiedzialność. Nie to co dzisiaj.

Dzieci mają dzieci, potem pokazują się w ogólnokrajowej telewizji i mówią, jak to zrobili.

Mdli mnie od tego, naprawdę. Buzz postąpił właściwie.

Od urodzenia Ronald nie był normalny. Twój ojciec zabrał go do jakiegoś lekarza w Atlancie. Nigdy nikomu nie powiedział, co jest z chłopcem nie tak, ale każdy mógł zauważyć, że z małym coś jest nie w porządku. Zdaje się, że niedługo potem twój ojciec i Carol się rozwiedli. Nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego Buzz o tym nie mówił, a Carol przeprowadziła się do Tennessee. Parę lat później Buzz poznał twoją mamę. Ludzie, jak ona atrakcyjnie wyglądała! Mężczyźni nigdy nie mieli dość gapienia się na nią. Buzz uważał się za największego szczęściarza na świecie. Pamiętam, że pewnego razu widziałam, jak idzie główną ulicą Sweetwater rozpromieniony, jakby znał rozwiązanie największej tajemnicy na świecie.

Słuchając pilnie, Casey przesunęła się na brzeg krzesła.

— Nie pamiętam, jak długo się spotykali, ale wkrótce po ich ślubie Carol umarła.

Ponieważ Ronald był taki, a nie inny, nikt z jej rodziny nie chciał wziąć go do siebie.

Oczekiwali, że chłopiec będzie mieszkać z Buzzem, skoro ten twierdził, że jest jego ojcem.

Ronald miał pewnie z siedem albo osiem lat, kiedy zamieszkał z Buzzem. Eve była w ciąży z tobą, pamiętam to. Podziwiałam ją za to, że bierze na wychowanie dziecko innej kobiety, zwłaszcza w jej stanie.

Lilah wysunęła szufladę, wyjęła do połowy opróżnione opakowanie snickersów i zaproponowała jednego Casey, która wzięła batonik i czekała na dalszy ciąg opowieści.

— Zaraz po twoim urodzeniu sytuacja się zmieniła. Eve męczyła się z Ronaldem, a Buzz, jeśli dobrze pamiętam, został właśnie zwolniony z papierni. Babcia Edwards brała cię do siebie, kiedy tylko mogła. Nadal pracowała, sprzątała domy najlepszych rodzin w Sweetwater. Powiem ci, że pracowała cholernie ciężko. To dzięki temu miała z czego płacić za mieszkanie. W tej rodzinie sytuacja ciągle się pogarszała. Ale za bardzo się rozpędziłam.

Wrócimy do dnia, kiedy rozpętało się piekło, to chcesz wiedzieć, tak?

— To dzień, o którym nikt nie chce rozmawiać. Byłoby dobrze, gdybyś od tego zaczęła. —

Casey wzięła następny batonik, żeby zająć czymś ręce.

Lilah dźwignęła się z krzesła i kołysząc się w biodrach, podreptała w głąb biblioteki.

Pokazała gestem, żeby Casey za nią poszła.

— Zachowałam trochę wycinków. Było kilka artykułów w „Sentinelu”. Nie wiem, dlaczego trzymałam je tak długo. Może wiedziałam, że ten dzień nadejdzie.

Przejrzała kilka wycinków, zanim znalazła to, czego szukała. Casey stała obok, pragnąc zajrzeć nad jej ramieniem, ale zarazem bojąc się to zrobić.

— Usiądźmy. — Lilah poczłapała z powrotem do biurka.

— Dochodzenie koronera. Gazeta na pewno o nim pisała — podpowiedziała Casey.

— Nie śpieszmy się tak. Już niedługo się dowiesz. Pamiętaj, że opowiadam ci to, co ja zapamiętałam z tamtego dnia, a nie o czym informowały gazety. — Lilah wyjęła kilka pożółkłych wycinków. Przerzuciła je szybko, uważając jednak, by żadnego nie zniszczyć.

— Tu. — Przeczytała pobieżnie artykuł. Casey przypuszczała, że jeśli Julie i Flora miały rację, to Lilah od dawna zna na pamięć treść tych artykułów.

Podaa wyblakły wycinek Casey.

*31 października 1987 roku*

*W przededniu Wszystkich Świętych mieszkańcy Sweetwater oplakują śmierć Ronalda Williama Edwardsa. Tego dwudziestosześcioletniego mężczyznę znaleziono zamordowanego w rodzinnym domu. Eve Marie Edwards, macocha ofiary, była zbyt wstrząśnięta, by skomentować śmierć pasierba. Zapytany o przypuszczalnego sprawcę zbrodni, szeryf Roland Parker odmówił odpowiedzi. Do czasu napisania tych słów nikogo nie aresztowano.*

Reszta notatki mówiła o szoku i przerażeniu mieszkańców Sweetwater w obliczu morderstwa. Casey położyła wycinek na biurku.

— To musiało być straszne dla mamy. To — wskazała wycinek — niczego mi jednak nie mówi poza tym, że popełniono zbrodnię. Nie zrozum mnie źle, myślę, że to tragedia, tym gorsza, że miała miejsce w Halloween, ale ta informacja w najmniejszym stopniu nie odsłania mojej przeszłości.

Lilah uśmiechnęła się, ukazując piękne białe zęby.

— Może nie teraz, ale kto wie, jak będzie później? — Przejrzała zawartość teczki i podała Casey jeszcze kilka wycinków z „Sentinela”. Informowały o tym samym. Popełniono morderstwo. Ani słowa o świadkach czy podejrzanych. Casey popatrzyła na daty. Wszystkie artykuły zostały napisane w ciągu tygodnia od dnia śmierci jej przyrodniego brata.

— A co z dochodzeniem? Czy znaleziono zabójcę? To niemożliwe, żeby popełniono morderstwo, a potem nagle wszystko ucichło. — Casey odłożyła wycinki na biurko Lilah. To zakrawało na kpinę, i to z niej zakpiono.

— Jeśli sobie przypominasz, powiedziałam, że pozwolę ci zapoznać się z tym, czym dysponuję. Mówiłam też, że powiem ci, co pamiętam ja sama. To nie znaczy, że ktoś inny nie ma dalszych informacji. Prędzej czy później dowiesz się czegoś, co pobudzi twoją utraconą pamięć.

— Przepraszam, że niepotrzebnie zabrałam ci czas. Tamten dzień wydaje się bardzo ważny, a jednak ciągle słyszę to samo; jakby wszyscy z całych sił starali się coś ukryć.

— Prawdopodobnie w sądzie udostępnią ci stenogram z rozprawy. Zadzwonię i poproszę, by Marianne kazała wyciągnąć te dokumenty. Jest sekretarzem sądu. Jeśli ktoś może uzyskać dostęp do takich informacji, to właśnie ona.

Lilah kartkowała wielki kołonoatnik. Zadowolona wybrała numer i odwróciła się, tak że Casey mogła tylko wpatrywać się w jej szerokie plecy. Nie dosłyszała, co mówi bibliotekarka, i nie była pewna, czy chce usłyszeć.

Cóż to za miasto? Jakie zło kryje się w umysłach tych, którzy tu mieszkają? I co jest takiego niegodziwego w mojej przeszłości, której nie mogę sobie przypomnieć? Mój przyrodni brat został brutalnie zamordowany. Powinnam mieć jakieś wspomnienia o tym, prawda? Mój Boże, byłam w szpitalu psychiatrycznym przez dziesięć lat i nie mam pojęcia, dlaczego. Nigdy nie próbowałam się tego dowiedzieć. Aż do teraz. Muszę być naprawdę obłąkana. Dlaczego ktokolwiek przy zdrowych zmysłach miałby żyć w zamknięciu tak jak ja przez wszystkie te lata i nie próbować poznać przyczyny? Powinnam była przynajmniej zapytać matkę. Albo Sandrę. Sandra by mi powiedziała.

— Mówi, że poszuka, ale będziesz musiała się pośpieszyć. Właśnie wybiera się na lunch.

— Przepraszam. Co powiedziałaś? — Zatopiona w myślach Casey nie dosłyszała, co mówi Lilah.

— Idź tam. Marianne poszuka dokumentów dla ciebie, ale pośpiesz się. Kiedy wyjdiesz, skręć w prawo, przejdź dwa kwartały. Nie przegapisz budynku sądu.

— Uhm, pewnie, dziękuję. Dziękuję za to, że poświęciłaś mi czas, by podzielić się swoimi wiadomościami. Wkrótce porozmawiamy.

— Kiedy tylko zechcesz, Casey.

\* \* \*

Po oświetlonej sztucznym światłem bibliotece sierpniowe słońce było oślepiające. Casey szybko

przemierzyła kilka pobliskich ulic i osłaniając oczy przed ostrym blaskiem słońca, dostrzegła gmach sądu.

Budynek z czerwonej cegły miał trzy kondygnacje. Fronton zdobiły białe kolumny. Cztery zegary, umieszczone wysoko w górze, można było oglądać pod dowolnym kątem, ich kuranty wywoływały echo. Uśmiechnęła się. Kiedy ktoś pracował w sądzie, nie mógł zadzwonić rano i uprzedzić, że się spóźni. Soczyscie zielone trawniki rozciągały się przynajmniej na trzydzieści metrów po jednej i drugiej stronie budynku. Zraszacze miarowo opryskiwały ciemnozieloną trawę. Casey zastanowiła się przez chwilę, czy Hank oceniłby pozytywnie dokonania kolegi po fachu.

Wspięła się po kamiennych stopniach i weszła do środka. W to gorące popołudnie bardzo dobrze utrzymane korytarze były opustoszałe. Dobiegł ją klekot maszyny do pisania i świszczący odgłos kserokopiarki.

Obcasy stukotały o czarno–białe marmurowe posadzki, gdy szła w kierunku, z którego dobiegał dźwięk maszyny, do biura na końcu korytarza. Zastała tam kobietę, która mogła mieć tyle lat co Casey. Tkwiła przy maszynie w pozycji z lekcji maszynopisania: „stopy płasko na podłodze, łokcie po bokach”. Casey odchrząknęła.

— Tak? — powiedziała kobieta. Po raz pierwszy Casey była zadowolona z posiadania pięknej odzieży. Miała na sobie różowawoszarą spódniczkę z bluzką pod kolor. Uznała, że ta kobieta ocenia ludzi na podstawie wyglądu, wyczytała to w jej świdrujących szarych oczach.

Kobieta niecierpliwie spojrzała na wąski srebrzysty pasek na swoim nadgarstku.

— Zaraz wychodzę na lunch. Czy mogę coś dla pani zrobić?

— Nie jestem pewna. — Casey postanowiła się nie śpieszyć. W końcu była dopiero pierwsza po południu, a sądu nie zamykano przecież tak wcześnie. Przyjrzała się kobiecie.

Bardzo jasne włosy miała zaplecione w mocno ściągnięty francuski warkocz. Błada skóra, nietknięta kosmetykami, była tak samo bezbarwna jak włosy. Cienkie wargi rozciągnęły się w sztucznym uśmiechu. Casey pomyślała, że ta kobieta potrzebuje kolorów. Spodziewała się, że lada chwila zacznie z irytacją tupać nogą.

— Przysłała mnie tu Lilah — powiedziała i pomyślała, że jeśli ta blada, przygaszona istota to Marianne, która potrafi wszystko znaleźć, to szanse dotarcia do dokumentów wzrosłyby, gdyby sama poszukała stenogramu. Nie uśmiechała jej się perspektywa spędzenia choćby sekundy więcej, niż to konieczne, z tym zastygłym w bezruchu manekinem.

— Tak, wspomniała, że pani przyjdzie. Jednak Marianne musiała wyjść. Proszę przyjść jutro.

Casey zapytała, nie kryjąc irytacji:

— Chciałam przeczytać pewien stenogram. Czy ktoś poza Marianne mógłby mi pomóc?

— Poszukała wzrokiem plakietki z nazwiskiem albo jakiegoś innego identyfikatora na piersi kobiety.



— To nie pani sprawa, panno Edwards. Jestem umówiona na lunch. Gdyby bardziej pani uważała, zobaczyłaby pani tabliczkę na drzwiach. Godzinna przerwa na lunch trwa od pierwszej trzydziści do drugiej trzydziści. Teraz proszę mi wybaczyć.

Casey poczuła się jak utrapione dziecko i nagle miała dość. Miała dość wszystkich w tym okropnym miasteczku.

Nachyliła się nad drewnianym blatem i chwyciła kobietę za rękaw.

— Proszę posłuchać, nie wiem, kim pani jest, i tak naprawdę nie obchodzi mnie to.

Przyszedłam tu po pewne informacje. Z jakiegoś cholernego powodu pani i wszystkie inne ograniczone osoby w tym miasteczku traktujecie mnie jak wczorajsze śmieci. Chcę spojrzeć na pewien stenogram. I albo znajdzie go pani dla mnie, albo pójdę do pani przełożonego. A jeśli to nic nie da, pójdę do jego przełożonego. Czy pani mnie rozumie, panno... jak tam, do diabła, się pani nazywa? — Casey puściła ramię kobiety. Była zdumiona własnym zachowaniem, a jednak czuła, że było ono usprawiedliwione, i nie odwróciła wzroku, gdy napotkała lodowate spojrzenie kobiety.

Urzędniczka sięgnęła pod biurko po torebkę. Po chwili szła w stronę drzwi.

— Nie zmieniłaś się ani trochę — rzuciła przez ramię. — Wciąż jesteś zdrowo szurnięta i...

Nie udało jej się dokończyć tego, co miała zamiar powiedzieć, bo dokładnie w tym momencie pojawił się Blake Hunter.

— Widziałem, jak wchodzisz do biblioteki. Lilah powiedziała, że znajdę cię tutaj. Mam trochę wolnego czasu. Pomyślałem, że zapytam, czy chciałabyś zjeść ze mną lunch.

Casey błyskawicznie nabrała otuchy, kiedy Blake się do niej uśmiechnął. Jego oczy były brązowe jak baton Milky Way.

Casey patrzyła, jak Królowa Lodu topnieje. Czerwone plamy wykwitły na jej białych policzkach.

— Bardzo bym chciała. Jednak próbuję skłonić tę panią, nie wiem, jak się nazywa, żeby poszukała pewnego stenogramu. Wydaje się, że nikt oprócz świętej Marianne nie umie go znaleźć. — Casey rzuciła mordercze spojrzenie na Królową Lodu, która jak skamieniała stała w drzwiach.

Blake postanowił wyjaśnić sytuację.

— Brendo, dlaczego pani Edwards nie może dostać tego, czego chce?

Casey wyczuła skrzępowanie kobiety. Prawie jej żałowała.

— Powiedziano Marianne, żeby się nią zajęła. Mnie polecono, żebym się do tego zastosowała — wytłumaczyła Brenda.

Blake uśmiechnął się do Casey.

— Wydaje się, że Brenda pomyliła sąd z wojskiem. Kto kazał ci tak postąpić?

— Będziesz musiał zapytać Marianne — odparła Brenda i dodała: — Znowu lunch w Big Al's? Nie znoszę tego ich barbecue. Jutro będziemy musieli iść gdzie indziej, Blake. —

Wybiegła za drzwi, z podbródkiem uniesionym tak wysoko, że Casey była pewna, że wessie kurz z odpowietrzników.

Blake wydawał się zakłopotany.

— To nie to, co myślisz — powiedział, wyprowadzając ją na korytarz.

— Nie musisz wyjaśniać.

— Wiem, ale chcę. Wyjdźmy stąd.

Skierowali się do centrum miasta. Blake jakby od niechcienia wziął Casey za rękę.

Sprawiło jej to przyjemność. Spłynął na nią spokój.

— Parę dni temu przy moim stoliku było przypadkiem ostatnie wolne miejsce w całym Big Al's. W porze lunchu panuje tam tłok — wyjaśnił Blake. — Zaproponowałem Brendzie, żeby się przysiadła. Wiedziałem, że ma tylko godzinę na lunch, i pomyślałem, że zachowam się jak dżentelmen. To wszystko. Nic więcej. — Blake uściśnął jej rękę mocniej, kiedy przecinali Main Street. Casey podobał się sposób, w jaki się nią zajął.

Była zadowolona, że Blake zaprosił ją na lunch. Ucieszyła się, że Brenda nie była dla niego kimś ważnym, chociaż wyraźnie chciała być. Zastanawiała się, czy Brenda naprawdę jest „umówiona na lunch”, jak powiedziała. Może miała nadzieję, że znów trafi na Blake'a?

— Mogę potwierdzić, że zachowujesz się jak dżentelmen. Jestem naprawdę wdzięczna za to, że wczoraj mnie podwiozłeś.

Nagle poczuła ciężar na piersiach i zaczęły jej drżeć ręce.

— Hej, wszystko w porządku? — zapytał Blake, gdy wchodzili do Big Al's.

Kolejny atak paniki. Casey wzięła głęboki oddech i potrząsnęła głową. Wysunęła dłoń z dłoni Blake'a. Musiała się stąd wydostać. Potrzebowała świeżego powietrza. Pchnęła drzwi i zaczerpnęła tchu. Serce zaczęło jej bić jak szalone bez żadnego wyraźnego powodu. Musiała się na czymś skoncentrować, na czymkolwiek, dopóki strach jej nie opuści. Skupiła uwagę na chwastach wyrastających ze szczelin w chodniku, liczyła różnorodne odcienie zieleni i brązu.

Liczyła szczeliny. Kiedy doszła do trzydziestu pięciu, jej serce wróciło do normy. Znow mogła swobodnie oddychać.

Blake wyszedł na zewnątrz i stanął obok Casey.

— Chodźmy do środka i napijmy się czegoś zimnego.

Po gorącym słońcu chłodne powietrze w Big Al's działało orzeźwiająco. Zajęli miejsca z tyłu sali. Siedzenia ze sztucznej czerwonej skóry klejone taśmą i stoły z obrusami w czerwono-białą kratkę szczelnie wypełniały tę małą salę. Wszędzie unosił się zapach BBQ.

Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest głodna. Kelnerka ubrana w ciasne dzinsy i czerwony podkoszulek z napisem „Pracuję w Big Al's” postawiła przed nimi dwie szklanki z wodą sodową.

— Co zamawiacie? — zapytała, trzymając długopis nad jasnozielonym bloczkiem.

— Daj nam minutę, Della.

— Jasne, doktorze. — Della przeszła do następnego stolika, przy którym klienci już się niecierpliwi. Casey usłyszała, że narzekają.

— Co się stało, Casey? — Blake popatrzył jej badawczo w oczy.

— Miałam atak paniki. Myślałam, że ją kontroluję. Nie rozumiem, dlaczego właśnie teraz mi się przytrafił.

— Wszystko jest dla ciebie nowe. Jestem pewien, że czujesz niepokój z powodu sytuacji, w jakiej się znalazłaś. Mogę zapisać ci trochę xanaxu, jeśli myślisz, że to pomoże.

— Dzięki, ale to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję. Przyjmowałam tyle lekarstw w szpitalu, że usuwanie ich z mojego organizmu i tak potrwa całe lata. Doktor Macklin nauczył mnie pewnych technik relaksacyjnych, które działają tak samo dobrze jak lekarstwa. Wszystko w porządku. — Casey wzięła do ręki menu, mając nadzieję, że ten gest zmieni temat.

— Spróbuj wieprzowiny, gwarantuję, że będzie rozpływać się w ustach.

— Znakomicie. Umieram z głodu.

Della przyjęła od nich zamówienie i po chwili przyniosła dwie wysokie szklanki ze słodzoną mrożoną herbatą.

Casey wypila herbatę, po czym wytarła usta serwetką w kratkę.

— Potrzebowałam tego.

— Niewątpliwie. Casey, powiedz mi, jakiego stenogramu szukasz?

Myślała, że powinno to być oczywiste.

— Chodzi mi o dzień, w którym zamordowano Ronalda Edwardsa. Muszę wiedzieć, co się stało. Nikt nie chce mi powiedzieć. Pomyślałam, że dowiem się ze stenogramu dochodzenia koronera.

— Kto powiedział ci, że było takie dochodzenie?

— Lilah.

— Niech ją diabli! Nie mogę w to uwierzyć. Nie było dochodzenia, Casey. Przynajmniej oficjalnego.

— Blake przeczesał ręką włosy.

— Ale... po co? Po co miałyby mi to mówić? Przecież nie musi niczego ukrywać.

— Tak, masz rację. Niczego nie chciała ukryć. Czy od powrotu do domu rozmawiałaś z Eve?

Znowu to samo, pomyślała. Następna osoba nie chce mi niczego wyjawić.

— Tak, ale nie na temat mojej przeszłości. Pan Worthington zachorował i moment nie wydał mi się odpowiedni. Mama i tak ma za dużo na głowie. Rozumiem, że jeśli nie było oficjalnego dochodzenia sądowego, to nie ma stenogramu?

— Właśnie. Jednak na pewno są jakieś akta. Muszą być. Nie mogę uwierzyć, że Eve zmusza cię do czekania. Masz prawo wiedzieć, co się stało. Może wtedy odzyskasz pamięć.

— Blake rozejrzał się wokół. Nachylił się nad stolikiem i szepnął: — Czy możesz wstąpić do mojego gabinetu, powiedzmy, około czwartej dziś po południu?

Della zbliżyła się do stolika, balansując ciężką tacą, i tym samym oszczędziła odpowiedzi Casey, która wpatrywała się w talerze pełne wieprzowiny z różną, frytek i surówki z kapusty.

— Wygląda to smakowicie. Nie wiem, czy uda mi się wszystko zjeść. — Casey wbiła widelec w aromatyczną wieprzowinę, zaskoczona swoim apetytem. W szpitalu nigdy po ataku paniki nie miała ochoty na jedzenie. Teraz była w Sweetwater, gdzie wszystko było inne, nawet jej ataki.

— Dlaczego chcesz spotkać się ze mną w swoim gabinecie, a nie tutaj albo w Łabędzim Domu?

Blake odpowiedział cicho, znów rozglądając się, jakby się bał, że ktoś może usłyszeć ich rozmowę:

— Mam coś, co, jak myślę, powinnaś zobaczyć. Jeśli podejrzenia mojego ojca były słuszne, mogłoby to pomóc ci w odkryciu zagadki przeszłości.

— Czy znałam twojego ojca, Blake? Co on takiego wiedział, co mogłoby teraz być dla mnie ważne?

— Chodzi o twoją teczkę. Kiedy byłaś dzieckiem, Flora przyprowadzała cię na coroczne badania, szczepienia, tego rodzaju rzeczy. Przeglądałem stare teczki i natknąłem się na nią.

Myślę, że powinnaś rzucić na nią okiem. — W tonie Blake'a nie było śladu wcześniejszej wesołości. Teraz był doktorem Hunterem, a nie mężczyzną, z którym miała nadzieję się zaprzyjaźnić.

Casey umoczyła w keczupie ostatnią frytkę. Na myśl o tym, co może czyhać na nią w gabinecie Blake'a, zrobiło jej się niedobrze.

— Przyjdę, ale najpierw muszę przeprosić Brendę. Byłam gotowa ją rozszarpać, kiedy wszedłeś.

— Jestem pewien, że nie bez przyczyny. Ona potrafi być podła, wierz mi. Krążą plotki, że kiedyś cię nienawidziła. Sprawy ze szkoły średniej. — Blake sięgnął po portfel, rzucił kilka banknotów na stół i poprowadził ją do drzwi.

— A więc nie ma się co dziwić. Naprawdę muszę ją przeprosić. Kto wie, co mogłam w tamtych czasach powiedzieć albo zrobić? O tym właśnie mówię. Moje życie jest jak popularna książka, której tylko ja nie przeczytałam.

Stali przed restauracją, kontynuując rozmowę, Casey pragnęła, by znów wziął ją za rękę i zapytał, czy chce iść na spacer.

Blake spojrział na zegarek.

— Nie rób tego pochopnie. Wtedy też była podła. Nie sądzę, żeby to było coś poważnego.

Jak powiedziałem, sprawy z czasów szkoły średniej, jakieś drobiazgi. Brenda boi się, że nigdy nie wyjdzie za mąż i nie będzie mogła wstąpić do Klubu Zamężnych Kobiet.

— Do czego?

— To jest Południe. Tradycje są ważne. Życie towarzyskie to wszystko, co mają niektóre z tych kobiet. Kiedy ich mężowie popłyną promem do Brunswicku, do prawdziwego świata, zostają same, a przynajmniej wiele z nich. Jesteś kimś, jeśli należysz do klubu. Przynajmniej tak myśli większość. Jeśli masz najlepszą porcelaną, najlepszą służącą, najlepszego kucharza, to kobiety szanują cię. Wszyscy w Sweetwater wiedzą, że Brenda marzy, aby przyjęto ją do tego klubu. Ale najpierw trzeba być...

— ...zameżną — dokończyła za niego Casey. Brenda zapewne poluje na Blake'a.

— Szybko się uczysz, Casey. Muszę załatwić parę spraw. Chcę sprawdzić, jak czuje się John, i zobaczyć, co możemy zrobić, żeby pomóc ci odzyskać pamięć. — Blake ujął jej podbródek. Nieoczekiwanie załapała ją fala gorąca.

Z trudem wydobywając głos, wymamrotała potulnie „w porządku”, i wtedy Blake odszedł, a ona jeszcze długo za nim patrzyła.

\* \* \*

Blake odłożył słuchawkę na widełki. Wiadomości ze szpitala były pokrzepiające. Stan Johna się poprawiał. Gdyby nadal zdrowiał w tym tempie, wróciłby do Łabędziego Domu nie później niż za tydzień.

Rozejrzał się po dawnym gabinecie ojca, teraz jego własnym, szukając teczek Casey. Blake nie zamierzał przeprowadzać się do jednego z niedawno zbudowanych nowoczesnych budynków w Brunswicku. Tak jak jego ojciec, wolał korzystać z możliwości, jakie stwarzało wygodne

mieszkanie, znajdujące się w tym samym domu co gabinet.

Drewniane podłogi wciąż jeszcze błyszczą po cotygodniowym froterowaniu. Na biurku ojca, teraz jego biurku, leżało kilka kart pacjentów, terminarz wizyt, stał także stary budzik jego dziadka. Ściany były pomalowane na kojący kremowy kolor. Na jednej z nich wisały zdjęcia odebranych tu niemowląt. Niektóre z tych osób nadal żyły, inne już nie. Na przeciwległej ścianie wisi jego apteczka. Stał na niej archaiczny drewniany moździerz z tłuczkiem, a także stare słoiki z wypalonymi dziwnymi symbolami. Jaskrawoczerwone geranie kwitły w skrzynce na parapecie na zewnątrz. Blake nigdy nie zadał sobie trudu zasłonięcia okna; podobał mu się widok. Zarówno młodzi, jak i starzy pacjenci dobrze się tu czuli. Pokój badań był utrzymany w tym samym stylu. Żaden sterylny chrom nie odpowiadał

jemu ani jego ojcu. Woleli staroświeckie, przytulne wnętrza. Pacjenci zresztą też.

Odnalazł teczkę, której szukał, i po raz ostatni przeczytał jej zawartość. Musiał się upewnić, że poprawnie zinterpretował podejrzenia ojca.

Casey już dość się nacierpiała. Blake nie miał pojęcia, czego może się spodziewać, kiedy udostępni jej te stare notatki. W każdym razie będzie przy niej, gdyby go potrzebowała.

Pragnął ją chronić.

Może sprawiły to jej oczy. Nie mógł zapomnieć, jak popatrzyła na niego przed Big Al's.

Zielone jak nefryt, ze złotymi plamkami. Zawładnęła jego sercem, kiedy odwzajemniła spojrzenie. Chciał ją wtedy pocieszyć, powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mógł, bo nie wiedział, czy kiedykolwiek wszystko będzie dobrze.

Zerknął na zegarek. Czwarta piętnaście. Casey się spóźniała. Chyba naprawdę poszła przeprosić Brendę. Niedobrze, bo kiedy Casey wróci pamięć, przypomni sobie, jak podła jest Brenda.

\* \* \*

Casey już miała wejść do budynku sądu i poszukać Brendy, żeby ją przeprosić, gdy zmieniła zdanie. Jej uwagę przyciągnęła wystawa u Haygooda i postanowiła machnąć ręką na poprzedni incydent i zrobić zakupy. Po niedługiej chwili należała do niej sukienka z nadrukowanymi irysami, a także odpowiednie kolczyki oraz sandały. Wiedziała, że jej matka nie miałaby nic przeciwko temu; prawdopodobnie by to pochwaliła, skoro sama, według Flory, była uzależniona od czynności kupowania, a mimo to z wielką niechęcią poprosiła ekspedientkę, żeby przesiała rachunek Eve. Do czasu znalezienia pracy nie miała wyboru.

Odda jej te pieniądze. Niesympatyczna ekspedientka, która wczoraj źle ją potraktowała, chyba miała dzisiaj wolne. Starsza sprzedawczyni nie była nadmiernie przyjazna, ale nie zachowywała się niegrzecznie. Tego właśnie Casey potrzebowała, czegoś tak prostego, jak zakupy. Pragnęła przestać myśleć o budzącym lęk spotkaniu z Blakiem. Co takiego zawierała jej karta zdrowia, co mogłoby pomóc odkryć tajemnice przeszłości?

Zegar na budynku sądu wydzwonił kwadrans po pełnej godzinie, gdy Casey stała na rogu Sweet Way i Main Street. Była spóźniona. Przekładała pakunki, starając się, aby jedno ramię nie było bardziej obciążone niż drugie.

Ledwie postawiła stopę na asfalcie, czarny sportowy samochód o opływowym kształcie minął ją z rykiem silnika. Pęd był tak silny, że upadła na chodnik. Skuliła się, gdy ramionami uderzyła o płytki. Nie miała szansy zapamiętać numeru rejestracyjnego ani marki samochodu czy zauważyć, kto znajdował się w środku. Pakunki z zakupami, którymi tak się cieszyła, wbiły się ostrymi kantami w jej ciało.

Zdołała unieść się do pozycji siedzącej. Po drugiej stronie ulicy starsza ekspedientka od Haygooda stała pod markizą, obojętnie obserwując sytuację. Młoda dziewczyna przejechała obok na rowerze, a jej długie warkocze tylko zafurkotały w powietrzu. Szybkie spojrzenie przez ulicę powiedziało Casey, że Brenda właśnie wraca z lunchu. Przez chwilę myślała, że doznała urazu głowy. Czy obywatele Sweetwater mieli zamiar jedynie stać i patrzeć?

Otrzeпаła żwir z pleców i kolan. Jej ubranie było w oplakany stan. Zebrała zakupy z chodnika, ułożyła pudełka jedno na drugim przed sobą i obejrzała swoje obrażenia.

Spostrzegła tylko kilka zadrapań. Widząc, że ma jeden but, rozejrzała się za drugim, ale nie mogła go znaleźć.

Chwyciła pakunki i przecięła Main Street. Słowo „wściekłość” nawet w przybliżeniu nie oddawało tego, co czuła.

Nie mogła uwierzyć, że nikt nie pośpieszył jej z pomocą. Mogłaby leżeć na chodniku i wykrwawić się na śmierć, tak mało troski okazali jej obywatele Sweetwater.

Sportowy samochód... Rozejrzała się po Main Street. Nie było po nim śladu. Zniknął.

Starsza sprzedawczyni wycofała się do sklepu. Młodej rowerzystki nie było w pobliżu. Scena jak ze „Strefy zmroku”.

Zdecydowanie coś było nie tak.

Kuśtykała, szukając gabinetu. Blake wskazał go jej, kiedy szli do Big Al's. Czy naprawdę minęły tylko dwie godziny, od czasu gdy zostawił ją samą? Tylko dwie godziny, odkąd jej serce zabiło szybciej, gdy zajął jej w oczy? Poczwała do niego sympatię i wiedziała, że jest to wzajemne.

Dostrzegła wreszcie ten dość stary dom z zielonymi okiennicami i werandą, a potem zobaczyła wywieszkę informującą, że doktor Blake Hunter jest w swoim gabinecie.

Ledwie udało się jej wejść po schodach, nie gubiąc pakunków. Rzuciła je na wiklinowy bujany fotel stojący na werandzie i zastukała mosiężną kołatką.

Blake otworzył drzwi.

— Mój Boże! Co ci się stało? — zapytał, wciągając ją do środka.

Miała nogi jak z waty, gdy prowadził ją w głąb domu. Nie zdążyła się nawet rozejrzeć, bo zanim się spostrzegła, Blake wziął ją na ręce i prawie pobiegł w dół po schodach do gabinetu.

Delikatnie położył ją na stole do badań. Jej oczy wybrały ten moment, żeby wypełnić się łzami. Nic nie mogła na to poradzić.

Blake uścisnął ją ze współczuciem i odgarnął sklezione potem kosmyki jej włosów za uszy.

— Ciii. Wszystko w porządku. Spróbuj się odprężyć. — Pocierał jej plecy uspokajającymi, okrężnymi ruchami. Casey poczuła, że rozluźnia się pod tym dotykiem.

Wahając się, czy opuścić bezpieczny azyl męskich ramion, Casey obawiała się, że Blake zapewne uzna ją za idiotkę. Głaskał ją, jakby była dzieckiem. Odsunęła się i otarła łzy.

— Przepraszam. Rzadko płaczę. — Zaśmiała się. — A przynajmniej nigdy tego nie robiłam w szpitalu. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny to inna sprawa. — Pociągnęła nosem i wzięła podsuniętą przez Blake'a chusteczkę higieniczną.

Opierając się o stół do badań, skrzyżował ramiona na piersi i czekał.

— Co się stało? — spytał.

— Jestem pewna, że to był wypadek. Poszłam do Haygooda. Postanowiłam nie przeproszać Brendy. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Zamiast tego zrobiłam zakupy.

— To nic nadzwyczajnego, kobiety lubią robić zakupy. Nie sądzę, żeby ceny u Haygooda były tak straszne, że się popłakałaś. — Blake uśmiechnął się szeroko.

Odpowiedziała uśmiechem.

— Nie miałabym z czym ich porównać. Jeśli chodzi o to, co zaszło, to wszystko stało się tak szybko, że nie jestem pewna, czy przypadkiem nie wyobraziłam tego sobie.

— Jeśli twoje obrażenia są urojone, to znakomicie się spisałaś. Może mógłbym zatrudnić cię, żebyś za pomocą wyobraźni usunęła dolegliwości niektórych moich pacjentów? No więc, czy zechcesz mi powiedzieć, skąd się wzięły zadrapania i siniaki? Wiem, że Laura potrafi być starą jędzą, kiedy ma na to ochotę, ale wątpię, by posunęła się tak daleko.

Nagle okropne przeżycie nie wydawało się Casey aż tak przerażające.

— Masz rację, ona tego nie zrobiła. Nie wiem kto. — Casey opowiedziała Blake'owi, jak zeszła z chodnika na asfalt prosto pod nadjeżdżający samochód.

— Czy ten samochód cię potrącił? — zapytał Blake.



— Nie jestem pewna. Zanim cokolwiek zauważyłam, leżałam na chodniku. Pamiętam, że rozglądałam się, żeby zobaczyć, czy ktoś mi pomoże, ale nikt tego nie zrobił. — Casey potrząsnęła głową z niedowierzaniem. — Co za ludzie tu mieszkają, Blake?

— To znaczy nikt nie zechciał sprawdzić, czy nic ci się nie stało?

— Nikt. Och, może gdyby zobaczyli, że ledwie się ruszam, toby na to wpadli. Zaraz po tym, jak upadłam na chodnik, spostrzegłam Laurę. Tylko się przyglądała. Brenda właśnie wracała z lunchu. Ona też mnie widziała. Była też młoda dziewczyna na rowerze...

popatrzyła na mnie i pojechała dalej.

— Teraz chciałbym obejrzeć twoje obrażenia, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? Jesteś lekarzem, prawda?

— Tak. Ale nie jestem pewien, co czujesz wobec lekarzy.

— Nie jesteś taki jak lekarze w szpitalu.

Blake wyjął z szuflady betadynę, paczkę sterylnej gazy, plaster i nożyczki.

— Skąd wiesz?

Casey pomyślała przez chwilę.

— To chyba kobieca intuicja. Poza tym jakoś nie przypominam sobie, byś mówił, że praktykujesz jako psychiatra.

Blake delikatnie odciągnął jej bluzkę od poobcieranego ciała.

— Och!

— Przepraszam, jeszcze tylko trochę. — Blake szarpnął materiał.

Przeczesał palcami ciemne włosy. Casey pomyślała o przystojnym lekarzu z „Ostrego dyżuru”. George Clooney. To jego przypominał Blake. Powiedziała mu o tym.

— Cóż, w przeciwieństwie do szpitalnego supermana, którego oglądasz w telewizji, nie mam żadnych magicznych napojów, które by pozwoliły ściągnąć tę pokrytą zakrzepłą krwią bluzkę, nie sprawiając ci bólu. Czy mogłabyś pójść do przebieralni dla pacjentów i ją zdjąć?

Prawdopodobnie nie będzie bolało tak bardzo, jeśli zrobisz to sama.

— Dobrze. Prowadź. — Casey zsunęła się ze stołu, a Blake wskazał pomieszczenie na końcu korytarza, nie większe od szafy. Leżał tam na ławce stos jednorazowych fartuchów i paczka chusteczek higienicznych. Casey ściągnęła brzoskwiniową kreację w ciągu kilku sekund,

pozostawiając skrawek koronki, który jej matka nazwała stanikiem. Włożyła papierowy fartuch i nagle zapragnęła opuścić to ciasne pomieszczenie.

Szybko ruszyła z powrotem do pokoju badań, trzymając w ręku zakrwawioną bluzkę.

Blake poklepał stół, pokazując jej w ten sposób, że powinna znaleźć się tu z powrotem.

— Jeśli ułożysz się na brzuchu, oczyszcze skaleczenia. Nadal krwawią, więc zachowam ostrożność. Krew usuwa zabrudzenia, niebezpieczeństwo infekcji jest wobec tego niewielkie.

Powiedz mi, jeśli będzie cię szczypać, to przestanę.

Casey zeszywniała, gdy Blake polał jej plecy środkiem dezynfekującym. Myślała, że są to powierzchniowe zadrapania, tymczasem najwyraźniej były głębsze.

— Prawie skończyłem.

Rozluźniła się. Zamknęła oczy i czekała cierpliwie, gdy Blake opatrywał jej plecy.

Odczuwała nieznaczne pieczenie tu i tam, ale z pewnością nic, czego nie mogłaby wytrzymać.

Czuła lekkie dotknięcia Blake'a, kiedy badał jej skaleczenia z poprzedniego dnia.

— Casey, co ci się tutaj stało? — zapytał, wskazując jej ramiona, a potem wziął pęsetę, tak jak ona wczoraj. Poczowała nieznaczne uszczypnięcie, kiedy wyjmował kawałek szkła. Nie była pewna, czy powinna powiedzieć Blake'owi o tym, co się jej przydarzyło.

Uniosła się na łokciach i popatrzyła na Blake'a, który stał u szczytu stołu z rękami skrzyżowanymi na piersi. Była pewna, że temu mężczyźnie może zaufać i wyznać swoje tajemnice.

— W łazience znalazłam balsam o zapachu gardenii, moim ulubionym. Natarłam nim ramiona i nogi. W tym... w środku było szkło. — Casey miała nadzieję, że jej uwierzył.

Blake zasępił się po jej słowach.

— Flora zaproponowała, żebym wzięła gorącą kąpiel. Przygotowała ją. Najpierw zauważyłam koszyk z mydłami o zapachu gardenii. Ponieważ ten zapach lubię najbardziej, zapytałam o nie Florę. Powiedziała, że mydła kupiła mama.

Blake obejrzał skaleczenia z poprzedniego dnia. Znalazł pudełko okrągłych plastrów i nalepił kilka z nich na jej ramionach.

— Wygląda na to, że będziesz żyła.

— Cieszy mnie to rokowanie. Jednak mam jeszcze jeden problem. — Zsunęła się ze stołu.

Głęboko zamyślony Blake patrzył prosto na nią, ale zdawał się jej nie zauważać.

— Mianowicie? — Jednak ją usłyszał.

— Moja bluzka. — Podała Blake'owi zakrwawiony materiał. W tej samej chwili poczuła, że podłoga usuwa się jej spod nóg.

Chwyciła brzeg stołu, żeby się oprzeć, ale spóźniła się i upadła.

Jasne światła wirowały jej przed oczami. Pomyślała o Dorotce. Czy tak się czuła, kiedy okienna rama trafiła ją w głowę? Pokój wirował i nie umiała nad tym zapanować. Właśnie weszła do krainy Oz...

*Ręce zerwały mokrą sukienkę z jej ciała. Była naga i się trzęsła. Jakaś kobieta poprowadziła ją ciemnym korytarzem. Otworzyły się metalowe drzwi na prawo od nich. Woda wytrysnęła ze ściany. Pysznic? Kobieta popchnęła ją. Inna kobieta wyregulowała temperaturę i wcisnęła ją pod strumień wody. Stęchły smród metalu wypełnił jej nozdrza.*

*Wstrzymała oddech, mając nadzieję, że zapach zniknie. Włożono jej do ręki szczotkę ze sztywnym włosiem oraz kostkę mydła. Zaczęła szorować ramiona i nogi. Kiedy dotarła do łona, przytrzymała szczotkę i przeciągnęła mydłem tam i z powrotem.*

— Casey, wszystko w porządku. Jestem tutaj.

Była w gabinecie Blake'a. Badał ją, a potem wszystko ustąpiło miejsca czerni. Podnosząc się do pozycji siedzącej, zobaczyła zmartwioną twarz Blake'a.

— Co się stało? Co to za zapach? — Odnosiła wrażenie, że w gardle ma trociny.

— Zemdlałaś. A to jest kapsułka amonu. Sole trzeźwiące.

— Wydaje się, że mam ostatnio taki zwyczaj.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał Blake, z niepokojem marszcząc czoło.

— Wczoraj. W Łabędzim Domu. Wtedy też się to stało.

— Pozwól, pomogę ci — powiedział Blake, biorąc ją w ramiona. I dodał: — Musimy porozmawiać.

Casey była zdumiona jego siłą. Zaniósł ją na górę po schodach, jakby była lekka jak piórko.

Rozluźniła się, kiedy położył ją na beżowej kanapie. Otuliły ją wielkie, miękkie poduszki.

Obejrzała pokój utrzymany w odcieniach brązu i zieleni. Pomyślała, że ten pokój jest odbiciem charakteru Blake'a. Męskiego, a jednak łagodnego. Gliniane doniczki wszelkich rozmiarów wypełnione kwitnącymi fiołkami afrykańskimi zajmowały cały parapet.

Oliwkowy fotel z pochylanym oparciem stał naprzeciwko kanapy. Obok niego na podstawie stojącej lampy leżały najnowsze numery czasopism medycznych. Mimo późnego popołudnia potoki słońca

wpływały przez przejrzyste zasłony, oblewając pokój przytulną poświatą.

— Nie ruszaj się stąd. Zaraz wrócę.

Uśmiechnęła się. Poruszanie się było ostatnią rzeczą, jaką miała ochotę akurat teraz zrobić.

Casey odprężyła się, gdy usłyszała, jak Blake otwiera w kuchni szafki i puszcza wodę.

Zamknęła oczy i pomyślała, że mogłaby do tego przywyknąć. Odczuwała lekkość i ulgę, znajomy niepokój zniknął. To wydawało się niezwykle.

Blake wrócił, niosąc tacę z dwoma parującymi kubkami oraz talerz wypełniony serem i krakersami.

— Wypij to. — Podał jej kubek ziołowej herbaty.

— Smaczna. — Poczęstowała się krakersem i czekała, aż Blake usiądzie na brzegu pluszowej kanapy.

Wziął drugi kubek z tacy, przełknął łyk herbaty, a potem odwrócił się w jej stronę.

— Teraz opowiedz mi o wczorajszym omdleniu.

— Było dokładnie tak jak dzisiaj. W jednej chwili stoję, a w następnej zapadam w ciemność. Nie bardzo jest o czym mówić.

— Czasami kiedy ludzie mdleją, mogą w tym czasie „śnić” albo widzieć sceny z przeszłości. Czy dzieje się coś takiego?

Casey rozważyła tę możliwość.

— Nie, nie sędzę, żebym śniła. Jednak kiedy już się obudzę, jestem przestraszona.

Przynajmniej wczoraj tak było. Dzisiaj odczuwam tylko zmęczenie.

Blake wypił łyk herbaty, zanim zadał następne pytanie.

— Casey, czy mogłabyś pomyśleć o poddaniu się terapii regresywnej? To czasami doprowadza do pełnego powrotu pamięci, a przynajmniej może pchnąć umysł we właściwym kierunku.

Przeszła wszelkie możliwe rodzaje terapii, ale akurat tej nazwy sobie nie przypominała.

— Chętnie spróbuję czegokolwiek. Może już to stosowano, nie jestem pewna. W szpitalu byłam królikiem doświadczalnym.

Blake wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Pamiętam, jak jeszcze na studiach Adam opowiedział mi o terapii regresywnej.

Zasugerowaliśmy ją Eve. Powiedziała, że porozmawia z twoim lekarzem. Może próbowali tej metody.

— Czy możesz to sprawdzić w moich aktach?

— Oczywiście za twoją zgodą. Wiesz jednak chyba, co to oznacza, Casey?

— O czym mówisz?

— O twoich aktach. Jeśli to zrobię, będę działał wyłącznie jako twój lekarz.

— I? Przepraszam, nie rozumiem.

— Wszystko inne będzie musiało poczekać. To rodzaj niepisanej zasady, jakiej przestrzegam.

On również czuł do niej sympatię! Miała ochotę krzyknąć ze szczęścia. Wierzyła, że dzięki wiedzy medycznej Blake'a powróci jej pamięć. Może wtedy zdobędzie szansę na normalne życie.

— Rozumiem. Teraz muszę wracać do Łabędziego Domu. Pewnie zastanawiają się, gdzie przepadłam. — Casey nachyliła się i postawiła kubek na stole. Kiedy wstała, znowu zakreśliło się jej w głowie i szybko usiadła.

— W tym stanie nie możesz wyjść. Zadzwoń do Flory i powiem jej, że przez jakiś czas zostaniesz u mnie. Kiedy poczujesz się na siłach, odwiozę cię do domu. To nakaz lekarza.

Casey zasalutowała bez przekonania.

— Tak jest.

Blake zaniósł tacę do kuchni. Słyszała, jak rozmawia przez telefon.

— Flora kazała ci przekazać, że jesteś w dobrych rękach. Nie będzie się martwiła. Mam ci też powiedzieć, że Eve spędzi tę noc w szpitalu, a więc nie ma potrzeby, żebyś szybko wracała.

— Jaka ta Flora jest kochana. Szkoda, że jej nie pamiętam. Przypuszczam, że bardzo dobrze się mną opiekowała. Blake, przypomniał mi się powód, dla którego w ogóle zaprosiłeś mnie do swojego gabinetu. — Urwała po tych słowach.

Blake usiadł w fotelu z pochylanym oparciem.

— Tak. Tyle że nie jestem pewien, czy w tej sytuacji to jest dobry moment.

— Przedtem był dobry — odparła Casey.

— Wiem. Jednak jako twój lekarz nie wiem, czy mądrze jest się tym w tej chwili zajmować.

— Słuchaj, Blake. Mam dwadzieścia osiem lat, jestem dojrzałą kobietą. Musisz zrozumieć; to, że

przez całe dorosłe życie przebywałam w szpitalu, nie oznacza, że potrzebuję ciągłej ochrony. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że widziałam na własne oczy więcej, niż większość ludzi mogłaby sobie wyobrazić? Wprawdzie szpital jest finansowany ze środków prywatnych, ale zapewniam cię, że jego mieszkańcy wcale nie byli normalni.

— Masz rację. Chociaż rozsądek nakazuje mi co innego, jako twój przyjaciel nie znajduję powodu, żeby nie pokazać ci teczki z twoimi dokumentami medycznymi.

— No właśnie. Teraz zobaczymy, co uważasz za takie ważne. — Casey czuła, że wraca jej siła, drżenie ustało. Podeszła do parapetu i stojąc plecami do Blake'a, wpatrywała się w piękne afrykańskie fiołki.

— W porządku. Wrócę za minutę.

Coś w głosie Blake'a sprawiło, że Casey zamarła. Czy było to aż takie straszne? Co mogło być gorsze od spędzenia dziesięciu lat w szpitalu psychiatrycznym? Casey uśmiechnęła się do siebie drwiąco. Wiem, co mogłoby być gorsze. Niewiedza o przyczynach znalezienia się tam.

Blake wrócił, niosąc grubą teczkę z jasnobrązowego kartonu. Brzegi były wytarte od starości. Położył ją na stoliku, na którym zaledwie kilka chwil wcześniej stała herbata i krakersy. Casey popatrzyła na kartonową okładkę. Przyszło jej na myśl słowo „złowroga”.

Usiadła na kanapie i otworzyła teczkę. Szybko przejrzała jej zawartość. Część zapisów rozumiała, części nie. Najwyraźniej przeszła typowe dziecięce choroby. Nie było tam niczego niezwykłego. Rzuciła się w oczy data ostatniej wizyty. Pierwszego października 1978 roku.

Odczytała niestaranne pismo poprzedniego doktora Huntera. Potem przeczytała to jeszcze raz.

Jej ręce zadrżały. Popatrzyła na Blake'a. Wargi poruszyły się, ale nie wypowiedziały żadnych słów.

Upuściła papiery na podłogę.

— Kto? — wyszeptała.

— Najwyraźniej mój ojciec coś podejrzewał. — Blake wziął Casey w ramiona, zapominając o przyrzeczeniu, że ograniczy się do relacji lekarz–pacjent.

Casey pokręciła głową i odsunęła go. Wzięła oddech, wykorzystując techniki, których nauczył ją doktor Macklin. Rozluźnienie. Wydech. Jeszcze raz to samo. Kiedy poczuła się wystarczająco spokojna, żeby móc rozmawiać, powiedziała:

— Miałam wtedy dziewięć lat. A mama, czy wiedziała o tym? — Casey nie mogła sobie wyobrazić, żeby jej matka nie wiedziała. Zaczęła się w niej rodzić złość.

„Obrzmienie w polu pochwowym. Pacjentka, wiek dziewięć lat, nie odpowiedziała, kiedy została zapytana o podrażnienie. Porozmawiam z matką”.

— Będziesz musiała ją zapytać. Albo Florę. To ona zwykle przyprowadzała cię na badania kontrolne.

— To wszystko jest bez sensu, Blake. Dlaczego to nie matka przychodziła ze mną do lekarza? Jeśli mam rację, znaczy to, że bardziej interesowała się moim przyrodnim bratem Ronniem niż mną.

— Wiesz o tym? — zapytał Blake zdziwiony.

— Tak. Lilah mi powiedziała.

— To się da wytłumaczyć. Stracił matkę. Byłoby rzeczą naturalną, gdyby chciała mu dać z siebie więcej.

Casey pomyślała o tym, co powiedział Blake. Jej matka wzięła na wychowanie dziecko, które, według Lilah, nie było zbyt bystre, może nawet niedorozwinięte umysłowo, i pokochała je jak własne.

— Masz rację. Chyba jestem po prostu zaszokowana. — Wskazała stertę papierów rozsypaną na podłodze.

— Wiem. Niestety, nie umiem powiedzieć, czy tata rozmawiał z Eve. Jednak byłoby to do niego niepodobne, gdyby nie zajął się czymś tak poważnym.

— Chodzi ci o molestowanie?

Wydawał się skrępowany, mimo to skinął głową.

— Tak. Jeśli podejrzenia mojego ojca były słuszne, uważał, że mogło się zdarzyć coś w tym rodzaju.

— Pytanie brzmi: kto mi to zrobił.

Dlaczego ktoś miałby chcieć skrzywdzić dziecko? Spędziła dziesięć lat życia w izolacji od społeczeństwa. Czy straciła te lata z powodu jakiegoś zbrodzenia?

— Kiedy mogłabym spotkać się z lekarzem, który specjalizuje się w terapii regresywnej?

— Poruszona, chodziła tam i z powrotem po pokoju, tak jak Blake parę minut wcześniej.

— Jeśli w szpitalu nie próbowali tej terapii, poproszę Adama, żeby umówił cię na wizytę.

— Chciałabym zacząć jak najszybciej. — Pragnęła wreszcie zakończyć ten etap swojego życia. Musiała zamknąć przeszłość, aby móc zwrócić się ku przyszłości. Miała nadzieję, że w tej przyszłości będzie miejsce dla Blake'a.

— Myślę, że powinienem teraz odwiedzić cię do Łabędziego Domu. Zadzwoń później do Becky i postaram się o kopię twojej teczki. — Blake pochylił się i zebrał papiery. —

Zatrzymam to na razie. Może najlepiej byłoby, gdybyś nie wspominała o tym nikomu ani słowem, dopóki nie będziemy pewni.

— Ale myślałam...

Położył papiery na biurku. Przyciągnął do siebie Casey.

— Ciii... — Pogładził jej kark i nadal trzymał ją w ramionach. Mogłoby to trwać wiecznie, pomyślała, wtulając twarz w jego bark. Wciągnęła świeży, balsamiczny zapach jego wody po goleniu i po prostu cieszyła się chwilą. Głęboko zaczerpnęła powietrza, gdy Blake lekko pocałował ją w czubek głowy.

Łagodnie odsunął ją od siebie i wędrował spojrzeniem ciemnobrązowych oczu po jej twarzy. Jej serce zaczęło walić jak młotem, ale nie było to nagłe szaleńcze pulsowanie, charakterystyczne dla ataku paniki. Czują, że się rumieni.

— Lepiej zabierz mnie do domu. — Wyślizgnęła się z jego objęć i przez chwilę odczuwała przytłaczającą pustkę. Objęła się ramionami, aby zatrzymać ciepło, które pozostało po bliskości Blake'a.

Wsunął ręce do kieszeni.

— Przepraszam. Zachowałem się niewłaściwie.

— Potrzebuję trochę czasu, Blake. Nie przepraszaj. Pochlebia mi to, że chcesz być ze mną.

— Wierz mi, Casey, przytulanie cię nie było jedyną rzeczą, o której myślałem. Przyjdzie na to czas. Nie jestem uczniakiem. Czy w pakunkach, które rzuciłaś na werandzie, jest coś, co mogłabyś włożyć, czy też musisz coś pożyczyć?

Casey uświadomiła sobie, że nadal jest w papierowym fartuchu.



— W jednym z tych pudełek mam sukienkę. Gdybyś zechciał mija przynieść...

Blake uśmiechnął się i poruszył brwiami, doskonale naśladowując Graucho Marxa.

— Nie wiadomo, co pomyślałyby dystygowane damy ze Sweetwater, gdyby zobaczyły, że stoisz na mojej werandzie w papierowym fartuchu. — Poszedł po pakunki i po powrocie rzucił je na kanapę.

Komizm tej sytuacji zauważyli oboje w tym samym momencie. Zgięli się wpół ze śmiechu, po czym przysiedli na wypchanych poduszkach kanapy. Blake patrzył, jak Casey otwiera pakunki.

— Ciekaw jestem, jak Brenda by...

— ...oceniła ten strój? — Rzuciła okiem na papierowy fartuch. — Klub Zamężnych Kobiet nie przyznałby za to punktów. — Dostała następnego napadu śmiechu. Blake zarykiwał się, gdy wyobrazili sobie sztywną i pruderyjną Królową Lodu ubraną w papierowy fartuch.

W końcu Casey wydobyła z pudełka sukienkę z nadrukowanymi irysami.

— Możesz się przebrać tutaj, jeśli chcesz. Muszę coś przynieść z gabinetu. Zaraz wrócę.

Dzięki Blake'owi odprężyla się i na parę chwil zapomniała o swoich problemach. Za to miała nowy temat do przemyśleń — ich przyszły związek.

\* \* \*

Robert Bentley wyciągnął nakrochmaloną płócienną chusteczkę z kieszeni na piersi i otarł kropelki potu z czoła. Był blisko, ale nie dość blisko.

Do cholery z nią!

Tego nie było w jego planach.

Przygotowywał się do tego dnia od dziesięciu lat. Teraz, kiedy w końcu nadszedł, nie zamierzał pozwolić jakiejś stukniętej suce wszystkiego spieprzyć.

Przez dwadzieścia lat jego rozkład dnia nie zmienił się ani odrobinę. Nie zmieniły się też jego plany. Pół godziny na bieżni w siłowni, godzina podnoszenia ciężarów i zdrowa dieta dawały mu pewność, że nie wygląda na swoje pięćdziesiąt lat.

Nadal prowadził podupadającą agencję nieruchomości, tak jak to robił za życia ojca, kiedy jeszcze była kwitującym interesem. Biedny sukinsyn. Gdyby wiedział, co się stało z firmą, nad której stworzeniem tak ciężko pracował, opadłby do poziomu morza w tym bagnie, gdzie został pochowany.

I Norma, jego żona. Boże, co za żałosna kobieta. Fultonowie byli kiedyś jedną z najzamożniejszych rodzin w Sweetwater i potrafili wymienić swoich przodków aż do skały w Plymouth. Robert zainteresował się Normą zaraz po szkole średniej. Kiedy się pobrali, jej ojciec nie całkiem

zaakceptował go w rodzinie. Wpatrywał się w niego znad tego swojego długiego nosa patrycjusza tak, jakby Robert był niewiele więcej wart niż kupa końskiego łajna.

W tamtych czasach Robert pragnął czegoś więcej niż tylko prowadzenia agencji nieruchomości ojca. Chciał potęgi, która towarzyszyła majątkowi z tradycją. Już sama wiedza o tym, jak niewiele brakuje, aby właśnie teraz osiągnął cel, który stał się realny dopiero po wielu latach, dawała mu niewiarygodną energię. Nawet jej moc uwodzenia nie była w stanie stłumić tej energii. Chciał, żeby poważali go wszyscy obywatele Sweetwater. Żeby kobiety padały mu do stóp, co zresztą i tak się działo. Zaliczył ich tyle w Sweetwater, że czasami trudno mu było sobie przypomnieć, z kim spał. Norma na pewno, do diabła, nie lubiła seksu.

Zaraz na początku, po ślubie, Robert starał się być wobec niej cierpliwy, mówiąc sobie, że była naiwną młodą dziewczyną. Minęło trzydzieści lat, a ta zasuszona suka nadal nie była w stanie osiągnąć orgazmu. A przynajmniej on nic o tym nie wiedział. Często zastanawiał się, czy ona wie, co traci. Biedna Norma.

Była też ta druga suka. Kręciła przed nim tyłkiem już w szkole średniej. Wtedy była tylko białą biedaczką. W tamtych czasach myślał głównie o dolarach, a nie o dupach. Wiedział

jednak, że byłaby ostra. Miała cycki, które wydawały się przeciwstawiać grawitacji, i najseksowniejsze nogi, jakie widział. Jedyne z powodu towarzyskich ograniczeń powstrzymywał się od zaorania pola tej dziwki.

Kiedy Reed Edwards się z nią ożenił, Robert w głębi ducha uważał go za największego szczęściarza w Sweetwater. Przynajmniej miał w domu zapewnione jakieś pieprzenie. Nie musiał udawać, że rozumie żonę, która boi się seksu. Tyle wiedział, bo niedługo po ich ślubie Eve zaszła w ciążę. Pamiętał dzień, w którym przyszła do jego gabinetu. Krótce przedtem urodziła swoją świrniętą córkę.

Był sam, zajmował się jakąś papierkową robotą. W pewnym momencie usłyszał, że otworzyły się drzwi gabinetu. Podniósł głowę, myśląc, że to Norma, która przyszła pogderać zgodnie ze swoim codziennym zwyczajem. Kiedy zobaczył Eve, od razu wiedział, że jego fantazje wkrótce staną się rzeczywistością.

Miała na sobie krótką dzinsową spódniczkę i ciasny różowy podkoszulek, jej długie blond włosy laskotały jądnym tyłkiem. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy podeszła do oszklonych drzwi i przekręciła klucz w zamku. W tym momencie instynkt wziął górę. Opuścił stopy, odwrócił się i pokazał gestem, żeby poszła za nim.

Pamiętał, że jej głos był ochrypły i kuszący.

— Nie zapytasz mnie, czy czegoś potrzebuję? Myślałam, że właśnie tak zachowują się ludzie od handlu nieruchomościami. Świadczą usługi. — Urwała. Powietrze iskrzyło. Poczuł, jak twardnieje mu członek. Tym razem nie pomyślał o Normie.

— Cóż, pani Edwards, rzeczywiście świadczę usługi. Sprzedaję domy, wynajmuję biura, kiedy jest dostępna wolna powierzchnia. Czy jest tu pani po to, żeby mi powiedzieć, że ma pani coś do

sprzedania?

Eve, wyraźnie ufna w swoje seksualne umiejętności, obeszła jego biurko i przejechała pomalowanym na różowo paznokciem po klamrze jego paska.

Wciągnął powietrze i prawie zapomniał je wypuścić.

Popatrzyła na jego spodnie. Uśmiechając się, zaczęła rozpinąć klamrę. Stał nieruchomo, pozwalając jej ręką wędrować po swoim ciele. Musnęła żołądek jego penisa wystającą z nad slipów. Kiedy polizała końce palców i przesunęła nimi po jej połyskującym czubku, omal nie eksplodował.

— Wiesz, co sprzedaję, Robercie? — zapytała.

Och, do diabła, wiedział, i do cholery, był pewien, że to kupi.

— Powiedz mi — odparł przez zaciśnięte zęby, gdy znalazła jego jądra. Chwyliła je, trochę za mocno, ale uświadomił sobie, że nie obchodzi go, jak mocno je ściska.

— To. — Wsunęła się na jego biurko i pokazała swój towar.

Częstość uderzeń jego serca zwiększyła się czterokrotnie, kiedy zobaczył, że Eve nie ma niczego pod krótką dzinsową spódniczką. Rozłożyła nogi i Robertowi zapało dech w piersiach.

— Podoba ci się? — drażniła go.

Słowo „podoba” było za słabe.

Uniosła podkoszulek, odsłaniając jędrne krągłe piersi z małymi sutkami. Z rozszerzonymi oczami i rozwartymi ustami patrzył, jak sama się pieści.

Miał wcześniej w życiu mnóstwo cipek, ale jeszcze nigdy żadna nie zaprezentowała mu się tak elegancko. Nie mógł dłużej czekać. Jego penis pulsował tak, jakby miał zaraz wybuchnąć.

Nie był pewien, czy to się nie stanie od razu, kiedy w nią wejdzie. Powstrzymywał się, chcąc cieszyć się każdą chwilą tej seksualnej fantazji dziejącej się naprawdę.

Podsunał jej spódniczkę do talii, myśląc tylko o tym, żeby zagłębić język w to gorące, wilgotne miejsce. Lizął ją, aż zaczęła wic się w ekstazie. Jego język był jak gorąca włócznia.

Wcisnął go między miękkie fałdy. Podskakiwała, napierając na niego. Cała zatrzęsała się, gdy szczytowała. Omal nie udusiła go, ściskając nogami jego szyję.

— Mój Boże, Robercie! Patrz, co przegapiłeś w szkole średniej — powiedziała, kiedy ostatni dreszcz przebiegał przez jej ciało.

Robert miał już wsunąć w nią swojego przekrwionego penisa, kiedy ześlizgnęła się z biurka.

Poprawiła ubranie, zaśmiała się; wyszła z jego gabinetu, zostawiając go z tak wielkim wzwodem, że musiał się uciec do chłopięcych praktyk...

Teraz, zatopiony w seksualnych snach na jawie, Robert ledwie zdążył ukryć erekcję, kiedy Becky, jego sekretarka, weszła, przypominając mu o obecnym kłopotliwym położeniu.

— Czy nie mówiłem ci, żebyś pukała? — warknął.

— Przepraszam. Pomyślałam, że to ważne.

Lepiej, żeby takie było, bo inaczej będzie musiał ją wyrzucić. Łamiesz zasadę, mówisz do widzenia. Zasada numer jeden: Nigdy nie wchodzić do jego gabinetu bez pukania. Wpoił jej to wiele lat temu, bo nadal od czasu do czasu uprawiał seks na swoim biurku.

— O co chodzi, Becky? Mam dużo pracy.

— Właśnie zadzwonił doktor Hunter. Poprosił o teczkę pani Edwards do wglądu. Zostawił

dla pana swój numer faksu, przefaksował też formularz zezwolenia podpisany przez panią Edwards.

Teraz, kiedy wszystko właśnie zaczynało się pomyślnie układać, ta psychiczna pasierbica Johna Worthingtona musiała akurat wrócić do domu. Nie udało mu się dalej tego opóźnić.

Wyszła.

Od lat jako dyrektor szpitala robił wszystko, co było w jego mocy, aby nie dopuścić do jej zwolnienia, a teraz lekarz, którego zatrudnił dwanaście lat temu, miał wszystko zniszczyć.

Do pracy w szpitalu wybierał najbardziej nieudolny personel. Kiedy pojawiał się wolny etat psychiatry, Robert dbał o to, żeby zatrudnić lekarza, który miał jakąś plamę w życiorysie.

Tak jak ten sukinsyn doktor Macklin. Chociaż tym razem go zaskoczył.

Robert utrzymywał, że rodzina Worthingtonów chce, aby Casey nadal przechodziła terapię i dostawała lekarstwa. Opowiedział o tragicznych okolicznościach, które doprowadziły do umieszczenia dziewczyny w szpitalu. Poleciał też doktorowi informować o wszelkich oznakach poprawy. Wyjaśnił, że jej karta choroby ma być zamykana każdego wieczoru i że tylko on i doktor Macklin będą mieli klucz. Ale bez wiedzy doktora Macklina Robert trzymał

u siebie duplikat jej karty. Nieważne, że parę rzeczy zostało tu i tam dodanych.

Działało to świetnie, dopóki Robert nie odkrył, że doktor Macklin go przechytrył.

Na początku swojego życia zawodowego doktor Macklin został wyrzucony ze Szpitala Psychiatrycznego Mercy w Savannah. Zwolnił na weekend pacjentkę, u której rozpoznano schizofrenię paranoidalną. Młoda czarnoskóra kobieta najwyraźniej dostała napadu furii. Po poszukiwaniach znaleziono ją w domu jej byłego chłopaka. Powiesiła się.

Doktor Macklin gorliwie wykonywał polecenia Roberta, który jednak wiedział, że nie może ujawnić za wiele. Premia tu i tam, od czasu do czasu wycieczka morska dawały mu całkowitą władzę nad doktorem Macklinem. Skończyło się to przed dwoma miesiącami.

Robert był wtedy zajęty łagodzeniem konfliktu z Normą, która właśnie się dowiedziała o jego licznych grzeszkach. Nie zauważył nagłego wycofania leków u pani Edwards, zapisanego w jej karcie. Nie zwrócił też uwagi, że pacjentka spaceruje po korytarzach szpitala, nie miał pojęcia, że nawet pomaga personelowi przy codziennych obowiązkach i że robi to od wielu tygodni.

Dbając o reputację swoją i szpitala, informował rodzinę Worthingtonów o wszystkich próbach, które podejmowali, i o tym, że kończyły się one zawsze niepowodzeniem. Jeśli Casey odzyskałaby kiedyś pamięć, to nie dzięki medycynie, tylko w jakiś inny sposób.

Potem drogi doktor Macklin poprosił go o spotkanie, co już samo w sobie było niezwykle.

Okazało się, że rodzice młodej dziewczyny, która popełniła samobójstwo, nie uwierzyli, że ich córka to zrobiła. Była chora od dawna, jeszcze zanim rodzina umieściła ją w Mercy. Zнали swoją córkę, w żadnym razie nie odebrałaby sobie życia. Mówili dalej, że doktor Macklin, którego opiniom ogromnie ufali, powiedział im, że Amy może nawet będzie mogła funkcjonować w normalnym społeczeństwie, ponieważ jej stan codziennie się poprawia.

Kiedy doktor Macklin został wyrzucony z Mercy, rodzina błagała lokalną policję o sprawdzenie dawnego chłopaka Amy, Jasona Dewitta.

Policja z Savannah ignorowała ich wielokrotnie ponawiane prośby. Robert słyszał, że gliniarze nawet opowiadali sobie o tym dowcipy.

W końcu, po odziedziczeniu większych pieniędzy, rodzina wynajęła Dicka Johnsona, prywatnego detektywa, który od sześćdziesięciu lat mieszkał w Savannah. Jego matka, tancerka w Vegas, pojechała na Południe szukać swojego kochanka włóczęgi. Nigdy go nie znalazła, ale poznała i poślubiła Richarda Johnsona, jednego z pierwszych czarnoskórych adwokatów praktykujących w Savannah, a przynajmniej pierwszego, który został

zaakceptowany w kręgu białych prawników. Chociaż od czasu do czasu, gdy ktoś wspominał o Dicku, pojawiała się wzmianka o „zebrze”, „kokosie” czy „mieszkańcu”.

Kiedy rodzice zmarłej dziewczyny przyszli do jego agencji detektywistycznej, pragnąc poznać prawdę o śmierci Amy, Dick był zbyt dobrze wyszkolony, by ich nie wysłuchać.

Sprawa go zainteresowała. Rodzice nie sprawiali wrażenia osób z gatunku tych, którzy dążą do obciążenia kogoś winą, żeby zatrzeć grzeszny uczynek swojego dziecka. Sądził, że między Amy a jej byłym chłopakiem zdarzyło się więcej, niż ujawniły policyjne raporty. To, że byli biedną murzyńską rodziną, nie pomagało im.

Dick zdołał zebrać kilka informacji. Według raportu z sekcji zwłok Amy się powiesiła, ale na jej szyi nie było śladów od liny, której zresztą nie znaleziono. Dalsze dochodzenie detektywa wykazało,

że Jason Dewitt, biały kochanek Amy, właśnie wtedy dowiedział się, że dziewczyna jest w ciąży. Dick był przekonany, że Jason zabił Amy w napadzie wściekłości, dusząc ją, a potem upozorował jej samobójstwo.

Kiedy dziadek Jasona, sędzia William James Dewitt, dowiedział się o sprawie, pociągnął za wszystkie sznurki w Savannah, aby zatuszować zbrodnię wnuka. Za karę Jason Dewitt został posłany do Harvardu.

Po dochodzeniu przeprowadzonym przez Dicka Johnsona, piętnaście lat od czasu tragicznego zdarzenia, doktora Macklina oczyszczono ze wszystkich zarzutów i mógł wrócić do czynnej praktyki lekarskiej jako psychiatra.

Robert analizował swoją obecną sytuację. Jeśli Blake Hunter chciał dostać teczkę Casey Edwards, to działo się coś niedobrego. Zastanawiał się, komu będzie musiał wleźć w dupę, żeby dowiedzieć się, co. Lizał wiele tyłków w ciągu życia spędzonego na tej małej wyspie. Te czasy miały wkrótce się skończyć.

Becky, ze swoimi przetłuszczonymi kasztanowatymi włosami i pochylonymi ramionami, tkwiła w otwartych drzwiach. Czasami Robertowi robiło się żal tej kobiety. To nie był jeden z takich dni.

— A więc znajdź ją, Becky. Mój Boże, czy myślisz, że ten szpital płaci ci za wystawanie w progu mojego gabinetu? Zrób to, o co poprosił, znajdź teczkę i przefaksuj mu jej zawartość.

Blake jest lekarzem, powinien wiedzieć, że szpitalowi nie wolno przysyłać faksem informacji medycznych.

— Przefaksował formularz zezwolenia — szepnęła Becky.

— Więc zrób to, do cholery! — Głupia sekretarka przypominała mu Normę.

Nie miał powodów do zmartwień. Teczka była taka, jaka powinna być. Sprawdził to sam, kiedy poznał opowieść doktora Macklina. Przynajmniej ten człowiek nie próbował uprawiać tu sabotażu. Nie żeby Roberta to naprawdę obchodziło. Szpital był przecież jednak domem wariatów, tyle że droгим. Stara waląca się rezydencja, którą jakiś biedny krewny jednej z lepszych rodzin w Sweetwater zostawił w spadku stanowi. Środki potrzebne, aby odnowić i dostosować do nowych potrzeb ten stary budynek umieszczony w Narodowym Rejestrze Zabytków, były ogromne, zrobili więc z wiekowej rudery szpital psychiatryczny. Kiedy obywatele Sweetwater szukali dyrektora, zapytali Roberta, czy jest zainteresowany. Najpierw odparł, że nie. Potem dowiedział się, że otrzyma pensję i że będzie musiał spędzać na tym odludziu tylko kilka godzin w tygodniu. Przyjął stanowisko i odtąd zajmował je nieprzerwanie.

Wiele razy w ciągu tych lat szpital był właśnie tym, czego potrzebował. Kiedy Norma narzekała albo za bardzo użalała się nad sobą, nagle miał coś do zrobienia w pracy. Boże, jak żałował, że nie mogła mieć dzieci. Może wtedy byłaby szczęśliwa. Kiedy jej ojciec umarł

cztery lata po ich ślubie, zostawił córce nie tylko swój dom, ale też cały ogromny majątek.

Było jedno zastrzeżenie w testamencie: firma Goldberg, Willoughby i Ruskin miała pełną kontrolę. Robert był stale zadłużony u Normy. Spadek po ojcu sprawiał, że jej niczego nie brakowało, a jemu ciągle wszystkiego. To miało się wkrótce zmienić.

\* \* \*

Casey ułożyła ostatni ze swoich dzisiejszych nabytków w garderobie, tam, gdzie niedawno znalazła to złe zdjęcie.

Miała nadzieję, że Blake odkryje coś w jej teczce. Nie pamiętała badań, którym ją poddawano. Przez wszystkie te lata była pod wpływem lekarstw wywołujących zamroczenie.

W niektóre dni, kiedy była bardziej przytomna, wrzucała tabletki do ubikacji. Wtedy mogła myśleć. Czasami wydawało jej się, że może sobie coś przypomnieć. Mówiła o tym doktorowi Macklinowi, a ten za każdym razem kłął ją wtedy igłą i wszelka nadzieja na wyzdrowienie ulatywała.

Potem, kilka miesięcy temu, coś się stało. Doktor Macklin polecił Sandrze podawać jej stopniowo coraz mniej lekarstw. Casey pamiętała, jak każdego wieczoru czekała na odgłos kroków sanitariusza. Czy zatrzyma się i da jej bilet na powrotną podróż do Nibylandii? Była szczęśliwa, kiedy sanitariusz mijał jej drzwi.

Po paru tygodniach dowiedziała się o swoim bliskim zwolnieniu. Chociaż było jej smutno na myśl o opuszczeniu tych wszystkich dziwaków i szaleńców, którzy przez lata zastępowali jej rodzinę, to coś jej mówiło, że jest w jej życiu kwestia, z którą musi się uporać. Wówczas nie miała pojęcia, o co dokładnie chodzi. Teraz sprawa wyglądała inaczej. Dzięki pomocy Blake'a i własnej determinacji miała wkrótce się tego dowiedzieć.

\* \* \*

Flora omal nie zemdląca, kiedy dowiedziała się o wypadku Casey. Zapytała, czy naprawdę był to wypadek. Casey zapewniła ją, że tak, ale im więcej o tym myślała, stawała się coraz bardziej podejrzliwa. Można by się spodziewać, że kierowca, który o mały włos nie przejechał pieszego, wróci na miejsce, by upewnić się, że nie zrobił mu krzywdy. Laura, Brenda i młoda dziewczyna nie zaproponowały jej pomocy. Gapiły się na nią jak na rozjechanego jeża. Samochód zniknął w tumanie kurzu. Nie miała żadnej nadziei, że rozpozna kierowcę.

Flora poradziła jej, żeby poszła na górę i się położyła, obiecując, że zaraz przyniesie tacę ze smakołykami.

— Casey?

Casey drgnęła i otworzyła drzwi.

Flora trzymała w rękach ciężką tacę pełną jedzenia. Casey pomogła jej zestawić talerze.

— Utyję, jeśli będziesz dalej mnie tak tuczyć — powiedziała.

— Potrzebujesz trochę ciała na tych kościach, dziecko. Zawsze byłaś chudziną — odparła Flora, stawiając tacę koło łóżka.

— Floro... Kiedy byłam dzieckiem, chodziłaś ze mną do lekarza. Czy doktor Hunter, ojciec Blake'a, kiedykolwiek powiedział ci, że podejrzewa, że mogło mi się przydarzyć coś...

niewłaściwego?

Różowe policzki Flory nagle przybrały barwę mąki Mabel.

— Dlaczego o to pytasz?

— Zanim zdarzył się ten wypadek z samochodem, Blake poprosił mnie, żebym przyszła do jego gabinetu. Powiedział, że ma coś, co jego zdaniem powinnam zobaczyć. Porządkował

teczki pacjentów swojego ojca i znalazł moją. — Casey czekała w nadziei, że Flora dokończy tę historię i wyjaśni straszliwe podejrzenia starszego doktora Huntera.

Flora jednak milczała.

— Blake mówił, że to ty przyprawiałaś mnie na badania kontrolne. Powiedziałam mu, że nie rozumiem, dlaczego nie zajmowała się tym moja matka.

Flora usiadła na łóżku, czego, jak Casey domyślała się, normalnie by nie zrobiła.

— Po śmierci Gracie, twojej babci, Buzz przysyłał cię do mnie. Miał pełne ręce roboty z Ronniem i twoją mamą. Oboje stale pakowali się w kłopoty. Nigdy nie było to nic poważnego, ale należało ich pilnować.

Casey zauważyła, że południowy akcent Flory staje się wyraźniejszy, kiedy jest zdenerwowana.

— Ronnie wszczywał w szkole bójki i wtedy pani Eve szła do szkoły i próbowała załagodzić sytuację. Kończyło się na tym, że miała tyle samo kłopotów co chłopak.

— Wydaje mi się dziwne, że mama zadawała sobie tyle trudu w sprawach Ronniego, zwłaszcza że mną się nie zajmowała. Mówię o tym, że rutynowa wizyta w gabinecie lekarza nie była nawet w połowie tak stresująca jak występowanie w obronie Ronniego. — Casey usłyszała w swoim głosie dziecinną, płaczącą skargę, ale nie mogła nic na to poradzić. Była bez matki od tak dawna.

— Ty nie sprawiałaś kłopotów, Casey. Ani mnie, ani mamie. Cieszyła mnie każda minuta, którą spędzałaś pod moją opieką. Byłaś dobrą, posłuszną dziewczynką. Zawsze robiłaś to, co ci kazano. Nigdy nie pyskowałaś jak twój brat. Chociaż myślę, że pani Eve skrycie uwielbiała kłócić się z nauczycielami. Wydawało się, że prowokuje ich, kiedy tylko może. Potem, kiedy Buzz zginął, twoja mama miała na głowie o wiele za dużo, żeby mogła sobie z tym poradzić.



To wtedy zaczęła pić.

— Chciałabym to pamiętać, Floro, ale tak, niestety, nie jest. Myślę, że informacja z tamtej teczki może być kluczem, który otworzy moją pamięć. — Casey urwała, aby wywołać większy efekt, po czym zapytała: — Czy mogłabyś w jakiś sposób pomóc mi przekręcić ten klucz?

Widziała, że Flora toczy w myślach bitwę ze swoim sumieniem. Wzięła głęboki oddech.

Sumienie zwyciężyło.

— Przed chwilą powiedziałam, że byłaś dobrą i posłuszną dziewczynką. Stopniowo jednak zauważałam, że zaczynasz się buntować. Prosiłam cię, żebyś coś zrobiła, a ty mówiłaś „nie”.

A kiedy przychodził czas na kąpiel, cóż, stawałaś się krnąbrna. Zamykałaś się w łazience, dopóki nie obiecałam, że nie wejdę. Nigdy nie ceniłam zamków, tylko zaufanie. Wiedziałaś o tym. Pewnego popołudnia zadzwoniła twoja mama, bardzo zdenerwowana, i zapytała, czy mogę przyjść i wziąć cię do siebie. Oczywiście zgodziłam się. Kiedy się zjawiłam, było jasne, że płakałaś, a twoja mama wyglądała tak, jakby miała zaraz zacząć wrywać sobie włosy z głowy. Ronniego nie można było znaleźć. Zabrałam cię do mojego domu. Pamiętam, że nie powiedziałaś ani słowa. Akurat tego dnia upiekłam twoje ulubione ciasteczka z masłem orzechowym. Zanim zatelefonowała twoja mama, zamierzałam zanieść ci je wieczorem. Te twoje jasnozielone oczy troszeczkę rozbliły, kiedy dostrzegłaś smakołyk, jednak iskierka zgasła jak zdmuchnięta świeczka. Pamiętam, jak sobie pomyślałam, że to dziwne.

— Dlaczego? Może po prostu nie byłam głodna, może już mi nie smakowały. — Casey wiedziała, że to raczej nieprawda, bo ciasteczka z masłem orzechowym są po dziś dzień jej przysmakiem.

Flora pogłaskała jej rękę.

— Wspominam to teraz i myślę, że tamten dzień był jednym z najgorszych w moim życiu.

Byłaś dla mnie jak córka. Zapytałaś mnie, czy możesz się wykąpać. Odparłam, że oczywiście tak, pomyślałam, że to dziwne. Zwykle musiałam zaciągać cię do wanny. Przygotowałam dla ciebie talerz ciasteczek i powiedziałam ci, że twoje czyste majteczki i świeża koszulka są jak zawsze w górnej szufladzie. Trzymałam dla ciebie kilka zmian ubrań. Wykąpałaś się, potem przyszedłaś do kuchni i zjadłaś przekąskę, przez cały ten czas nie wypowiadając ani słowa.

Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do doktora Huntera, potem uznałam, że nie ma takiej potrzeby. Poszłam do łazienki, żeby posprzątać, i wtedy doszłam do wniosku, że powinnam jednak zadzwonić do doktora. — Flora ścisnęła jej rękę i wzięła chusteczkę higieniczną z paczki leżącej koło łóżka. Osuszyła oczy i opowiadała dalej: — Zostawiłaś swoje ubrania w stosiku za drzwiami. Gdy wkładałam je do koszyka, zauważyłam, że twoja bielizna jest brudna. To były nowe różowe majteczki, które ci kupiłam. Pani Eve nie była wprawdzie najlepszą gospodynią na świecie, ale zawsze pilnowała, żebyście wy, dzieci, kąpały się i żeby wasza odzież była porządnie uprana. Uznałam to, że masz zabrudzoną bieliznę, za kolejną dziwną rzecz w już i tak dziwnym dniu. Miałam właśnie wrzucić twoje majteczki do koszyka, kiedy zauważyłam krew.

— Krew! Mój Boże, chyba byłam za mała, żeby mieć miesięczkę?

— Też tak pomyślałam. Miałaś dziewięć lat, jeśli pamięć mnie nie zawodzi. Chociaż to akurat wyjaśniałoby twoje zachowanie. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli zabiorę cię do lekarza, po prostu żeby się upewnić, że nic innego ci nie jest. — Flora zarumieniała się, gdy to mówiła. Dłoń Casey zwilgotniała. Flora wzięła swoją zużytą chusteczkę i otarła jej rękę.

Nagle Casey zobaczyła kwiaty. Różowe tulipany. I niebieskie tło.

— Co się dzieje? — zapytała Flora.

Casey wstała i podeszła do okna. Ogrody rozciągały się tak daleko, że nie widziała ich końca. Szybko się odwróciła i popatrzyła na Florę.

— Czy Hank posadził tulipany? Różowe tulipany?

Już i tak biała twarz Flory zbielała jeszcze bardziej. Przyłożyła drżącą rękę do ust.

— Hank nie posadził tulipanów, o ile wiem, Casey. Dlaczego pytasz?

— Widziałam je kiedyś. W pokoju zapadła cisza.

Flora głęboko zaczerpnęła powietrza.

— Właśnie to miałaś na sobie tamtego dnia.

— Jakiego dnia? — Casey okręciła się na pięcie. Nagle odgadła, skąd te kwiaty, chciała tylko usłyszeć to od Flory.

— W dniu, w którym zabrałam cię do doktora Huntera.

— Pamiętam. Sukienka; różowe tulipany na szafirowym tle. — Oczy Casey wezbrały łzami. To było pierwsze wyraźne wspomnienie.

Flora wzięła ją w ramiona i ukołysała. Może tak jak dziecko, które dawno temu szukało u niej pociechy? Casey wytarła nos i uśmiechnęła się.

— To dobra rzecz. Nie pamiętam wiele więcej, ale przypominam sobie tamtą sukienkę.

Myślę, że mogła być moją ulubioną. Czy była?.....

— Pewnie, że tak. Uszyła ją dla ciebie babcia Gracie. Kiedy miała czas, szyła ci rozmaite ubrania.

— To takie wspaniałe, nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym Blake'owi.

— Możesz jutro. Miałaś ciężki dzień. Myślę, że powinnaś zjeść i trochę pospać.

— O nie, nie zrobisz tego — zaprotestowała Casey, gdy zauważyła, że Flora zbiera się do wyjścia.

— Czego mam nie robić? — zapytała Flora z naiwną miną.

— Tym razem nie zostawisz mnie w niepewności. Usiądź. — Łagodnie pchnęła Florę z powrotem na łóżko i powiedziała, wskazując na półmiski z jedzeniem: — Mogę podzielić się tym z tobą. Chyba wystarczyłoby dla dziesięciu osób. — Nałożyła na talerze zimny rostbef, soczyste dojrzałe pomidory i sałatkę cesarską. Kromki czosnkowego chleba były wciąż jeszcze ciepłe. Casey podała Florze talerz.

— O czym to mówiłam? — zapytała Flora.

Jedząc pomidory i sałatkę cesarską, Casey przypomniała swojej dawnej opiekunce przerwany wątek.

— Och, tak. Moja pamięć, starość i tak dalej. Wracając do tego, o czym ci mówiłam.

Sądziłam, że jesteś o wiele za mała, żeby mieć krwawienie. Właśnie zbliżał się termin twoich badań kontrolnych. Zadzwoiłam do doktora i powiedział mi, żebym od razu cię przyprowadziła. Z początku sprzeciwiałaś się. Nigdy nie zapomnę, jak kopałaś i wrzeszczałaś.

Krzyczałaś, że mnie nienawidzisz i że już nigdy do mnie nie przyjedziesz.

— Och, Floro, naprawdę byłam okropnym dzieckiem. Przepraszam.

— Nie, skarbie, nie byłaś złym dzieckiem. Byłaś przestraszona i bolało cię. Po prostu w ten sposób to wyrażałaś. Kiedy szłyśmy do śródmieścia, nie odezwałaś się ani słowem.

Wydawało się, że akurat tego dnia całe Sweetwater wyległo na ulice. Patrzyli na mnie tak, jakbym cię skrzywdziła.

— Powinnaś była dać mi klapsa, Floro. Byłam dla ciebie okropna.

— To by nie pomogło. Doktor Hunter spostrzegł, że zachowujesz się inaczej niż zwykle.

Uznał, że może będzie lepiej, jeżeli porozmawia z tobą na osobności. Już przez telefon wyjaśniłam mu, co podejrzewam. Zabrał cię do gabinetu. Mój Boże, byliście tam w nieskończoność. W końcu doktor Hunter wyszedł i zapytał, gdzie jest twoja mama.

Powiedziałam, że za dzwoniła do mnie i poprosiła, żebym cię wzięła do siebie. Dał ci puzzle i posłał cię na górę, żebyś zaczekała w pokoju od frontu.

Wcześniej w domu Blake'a Casey przeżyła *déjà vu*. Teraz wiedziała dlaczego.

— Po minie doktora poznałam, że wiadomości nie są dobre. Byliśmy w jego gabinecie, tym, którego używa teraz Blake. Poprosił, żebym usiadła i nie mówiła nic, dopóki nie skończy.

Flora popatrzyła Casey prosto w oczy.

— Zaczął tymi słowami: „Floro, mamy problem. Coś się dzieje w domu Edwardsów.

Myślę, że oboje wiemy, co to ta kiego”. Z początku nie nadążałam, ale po chwili zrozumiałam, do czego zmierza. Powiedział mi, że krew, którą odkryłam, to nie była krew z miesiączki. Mówił, że tak się opierałaś, że z trudem udało mu się ciebie zbadać. Powiedział, że podejrzuje, że zostałam... skrzywdzona. Chociaż nie tego słowa użył — wyjaśniła Flora.

— Okazało się, że jesteś poranione w środku. Zapytałam doktora, czy mogło to być wynikiem poważnego upadku z roweru w poprzednim tygodniu, ale powiedział, że nie. Wcześniej miałam nadzieję, że to nic złego, ale w głębi duszy obawiałam się, że chodzi o coś więcej.

Zapytałam go, czy myśli, że odbyłaś... stosunek. — Flora zarumieniła się przy tym słowie i nerwowo zmieniła rąbek pledu leżącego w nogach łóżka. — Powiedział, że tego właśnie się obawia. Załamalam się. Moja mała dziewczynka, taka niewinna. Wszystko to zabrał jakiś podły sukinsyn. — Flora zapłakała, a Casey była wstrząśnięta tym, co usłyszała, chociaż wcale nie pamiętała, że utraciła niewinność, będąc jeszcze dzieckiem.

Stłumione łkania Flory nie ustawały. Casey nie wiedziała, co powiedzieć. Ogarnęła ją wściekłość, która wzięła górę nad logicznym myśleniem. Doktor Hunter miał rację. Kto mógłby zrobić coś tak podłego i złego dziecku?

Nie potrafiąc dłużej panować nad złością, Casey chwyciła swój talerz i cisnęła nim o ścianę. Potem wzięła talerz Flory i zrobiła to samo. Nie dbając o nic, sięgnęła następnie po tacę i posłała ją jak dysk w powietrze. Metal z głuchym odgłosem uderzył o ścianę, krusząc tynk i odsłaniając mur.

— Dlaczego?! — krzyknęła. — Dlaczego mama na to pozwoliła? — Szarpiący trzewia szloch pozbawił ją sił.

Flora podniosła się z łóżka i objęła ją, a ona płakała z powodu utraconego dzieciństwa i fizycznego bólu, który na pewno wtedy czuła. Narastała w niej trudna do opanowania wściekłość.

Czuła się słaba. Opierając podbródek na ramieniu Flory, patrzyła przez okno opuchniętymi od płaczu oczami, które zwięzły się do szparek. Słońce zachodziło, ostatnie promienie tańczyły po ogrodach. Nikczemność podtrzymuje piękno — dziwna myśl nieoczekiwanie przyszła jej do głowy.

Po jakimś czasie Casey wysunęła się z uścisku Flory i zaczęła porządkować skutki swojego napadu wściekłości.

— Czekaj, ja to zrobię. — Flora poderwała się z miejsca.

— Nie, Floro. Ja się tym zajmę. Przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Przez lata wydawało mi się, że jestem tylko duchem snującym się bez celu. Teraz te ciemne, niewyraźne obrazy, z którymi żyłam tak długo, stają się rzeczywiste. Boję się, co będzie, kiedy naprawdę wszystko sobie przypomnę. Co zrobię? — Casey wyciągnęła przed siebie ręce w poszukiwaniu odpowiedzi.

— Zrobisz to, co zaplanował dla ciebie dobry Bóg. Zapomnisz o tych strasznych przeżyciach i pozostawisz je za sobą. Zaczнешь nowe życie. Jesteś młodą kobietą, którą czekają wspaniałe lata. Nie pozwól, by ciemność z twojej przeszłości zasnęła twoją przyszłość. — Flora wrzuciła ostatnie kawałki szkła do kosza na śmieci.

— Masz rację. Po prostu trudno jest pojąć, że coś takiego mnie spotkało, a ja nie mogę sobie tego przypomnieć. — Casey padła na łóżko i przycisnęła poduszkę do piersi.

— Przestań o tym myśleć, inaczej doprowadzisz się do obłądu. — Kredowobiała dotąd twarz Flory przybrała ciemny odcień szkarłatu.

— Widzisz? Wszystko, co ty albo ktokolwiek inny mówi, w końcu zahacza właśnie o to, o czym mam zapomnieć. O to, gdzie spędziłam ostatnie dziesięć lat. Nie mogę tego zrobić, Floro, nie potrafię przestać myśleć o przeszłości, tak samo jak ty byś tego nie potrafiła. Pobyt w szpitalu jest moją przeszłością. Muszę tylko przypomnieć sobie, dlaczego tam trafiłam. —

Oparła się o wypchane poduszki. Czowała na swoich barkach ciężar całego świata i kompletnie nie wiedziała, jak się go pozbyć.

— I uda ci się. Teraz musisz jednak odpocząć. Chcesz, żebym przygotowała ci gorącą kąpiel? — zapytała Flora.

— Nie, wezmę szybki prysznic. Prawdopodobnie zasnęłabym w wannie i utopiłabym się, taka jestem zmęczona. Nie martw się, Floro, naprawdę czuję się świetnie. — Casey usiadła na łóżku i ledwie widocznie uśmiechnęła się. — Nie zatrzymuję cię, wiem, że też jesteś wyczerpana.

— Porozmawiamy jutro.

— Będę czekała niecierpliwie. Jeszcze coś, Floro. Notatki doktora Huntera wskazywały na to, że, być może, wiedział, kto mnie molestował. Czy przypadkiem wspomniał o kimś konkretnym tobie albo mojej matce?

\* \* \*

Blake rzucił cienki faksowy wydruk na stół. Przeczytał te dokumenty tyle razy, że nauczył się ich na pamięć.

Dziesięć lat i nic. Całkowity brak choćby jednego wspomnienia. Swojego czasu opublikowano kilka artykułów na temat historii choroby Casey w „Biuletynie Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich”. Adam wykazał wtedy więcej zainteresowania nimi niż Blake, ponieważ dotyczyły jego specjalności. Blake nie myślał o tym dużo, pamiętał tylko Casey wchodzącą do gabinetu jego ojca, kiedy była

dzieckiem. Teraz jednak żałował, że nie przypomina sobie, co tam napisano.

Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku — nic. Wyglądało na to, że ten doktor Macklin przeprowadził wszelkie konieczne badania, przepisywał lekarstwa potrzebne pacjentce cierpiącej na amnezję pourazową, a jednak nie przyniosło to żadnych rezultatów.

Wszystko to zmieniło się mniej więcej dwa miesiące temu. Najwyraźniej nastąpił przełom w nastawieniu doktora Macklina. Zapiski w teczce Casey były o wiele bardziej szczegółowe.

Doktor Macklin zanotował kilka razy, że zdumiewa go nagła poprawa jej stanu. Casey mogła normalnie rozmawiać, skrupulatnie dbała o własną czystość, a nawet pomagała personelowi w codziennych obowiązkach. Doktor stał się w jej przypadku optymistą, ale ostrożnym.

Stopniowo odstawiał lekarstwa. Kiedy zdrowie psychiczne Casey wydawało się już dorównywać jego własnemu, zalecił zwolnienie. Później nie było już żadnych zapisków.

Karta choroby urywała się w tym miejscu.

Blake popatrzył na zegarek. Dziesiąta, za późno na telefon. Próbował dodzwonić się do doktora Macklina dwukrotnie tego wieczoru i nie udało mu się go złapać. Zawahał się i w końcu nie zostawił wiadomości na automatycznej sekretarce. Chciał porozmawiać z doktorem. Coś mu nie pasowało.

Pomyślał, że mógłby pojechać do Bentleya i domagać się oryginału karty choroby, ale nie mógł znieść widoku tego napuszonego osła. Zadzwoń do Adama i poprosi go, żeby umówił

Casey na wizytę u doktora Dewilda, czy też może nazywał się Dewitt? Nie mógł sobie przypomnieć. Casey będzie w dobrych rękach. Według Adama ten młody lekarz był najlepszy na całym Południu.

Pomyślał też o tym, że Casey w ciągu zaledwie kilku krótkich godzin zdołała podbić jego serce. Dwukrotnie tego dnia opanowała go nieprzeparta chęć otoczenia jej opieką. Chciał

oddzielić ją od świata i zatrzymać u siebie, bo wiedział, że tu będzie bezpieczna. Kiedy płakała w jego ramionach, uświadomił sobie, że dobrzy lekarze nie podniecają się, kiedy pocieszają swoje pacjentki.

Kogo, do diabła, próbowałeś oszukać?

Rozważy możliwość ich wspólnej przyszłości, kiedy Casey odzyska pamięć.

Wewnętrzny głos szeptał mu do ucha: Wiesz, że jest szansa. Widziałeś jej spojrzenie.

Jakich innych dowodów potrzebujesz?

\* \* \*

Eve nagłym ruchem zatrzaskała złotą puderniczkę i wrzuciła ją do torebki od Chanel.

Oświetlenie szpitalne było straszne. Przywołała uśmiech na twarz i weszła do pokoju Johna.

Na środku jednoosobowej sali w standardowym łóżku z metalową ramą leżał jej kiedyś krzepki mąż. Bładoniebieskie żaluzje z wąskimi listewkami nie pozwalały porannemu słońcu rozproszyć ponurej atmosfery, która jej zawsze kojarzyła się ze szpitalami. Środek dezynfekujący nie zdołał stłumić zapachu śmierci, choroby i moczu. Wazon z żółtymi różami z ogrodu Łabędziego Domu stał na stoliku obok łóżka Johna. Kazała Hankowi ściąć je poprzedniego dnia.

Chuda jak patyk pielęgniarka zmierzyła Johnowi ciśnienie, a doktor Foo, jego neurolog, zdjął metalową kartę przyczepioną w nogach łóżka.

— Sto trzydzieści na dziewięćdziesiąt, doktorze. — Pielęgniarka nacisnęła przycisk przy gruszcze i Eve usłyszała syk wypuszczanego z mankietu ciśnieniomierza sprężonego powietrza.

— Bardzo dobrze. Widzę, że nasz pacjent ściśle wypełnia zalecenia — powiedział doktor Foo.

Eve czekała w otwartych drzwiach. Gdyby to ona tu leżała, bez względu na to, jak wysoko ceniono doktora Foo, w żadnym razie nie pozwoliłaby się dotknąć lekarzowi, który był

cudzoziemcem, zwłaszcza stamtąd. Nie ufała im. Wystarczyło popatrzeć na Wietnam i na tę sprawę koreańską. Mój Boże, pomyślała, być może oni zamierzają zabić każdego Amerykanina, którego dotkną.

— Ihi — John, próbując usiąść na łóżku, wydal nieartykułowany dźwięk.

Jeśli tylko tyle z niego zostało, to może pierwszą ofiarą spisku doktora Foo był właśnie John. Uśmiechnęła się i podeszła do łóżka.

— Kochany John. — Odgarnęła kosmyk białych włosów z czoła męża i wzdrygnęła się.

Jego skóra przypominała w dotyku pergamin, a włosy były w strąkach. To nie był jej John. Jej John był drobiazgowy, gdy chodziło o higienę osobistą. Kim była ta skurczona bryłka szarej materii? — Jakie są rokowania? — zapytała Eve, odwracając się w stronę lekarza.

Doktor Foo, niski pięćdziesięcioletni mężczyzna, miał gęste czarne włosy, a na nosie okulary, które bezustannie się zsuwały. Umieścił kartę Johna z powrotem w nogach łóżka.

— Dobrze, pani Worthington. Uszczerbku doznała jedynie mowa pani męża. Jestem pewien, że jeśli podda się terapii, po pewnym czasie zacznie go pani rozumieć. —

Uśmiechnął się do Johna. — Chcielibyśmy za kilka dni wypuścić pana do domu.

Eve patrzyła, jak promyk dawnego blasku pojawia się w oczach Johna, i poczuła od tego mdłości. Założyła, że on zawsze już będzie inwalidą. Dałby jej pełnomocnictwo, mianowałby ją prezesem Worthington Enterprises i pod koniec jej pracowitych, wypełnionych decyzjami dni rozmawialiby przy kieliszku chardonnay o jej zwycięstwach i bitwach. Oczywiście John by wyłącznie słuchał. Potem, kiedy nie musiałaby odgrywać roli dobrej żony, byłaby wolna.

Mogłaby bez przeszkód otoczyć matczyną opieką Casey.

— Pani Worthington? — powiedział doktor Foo.

— Tak, przepraszam, zamyśliłam się. Mówił pan... — obdarzyła doktora Foo swoim najpiękniejszym uśmiechem.

— Sądzę, że po pewnym czasie John w pełni wyzdrowieje. Eve poczuła się tak, jakby uderzył w nią piorun.

— Co takiego? — Machinalnie dotknęła perłę na szyi. Cofnęła się na krok od łóżka.

— Jeśli John podda się terapii, powinien być jak nowy.

— Tak. Tak... oczywiście. Mam nadzieję, że tak się stanie. — Eve czuła się jak sarna złapana w pułapkę oślepiających reflektorów.

To na pewno zmieniało kierunek, który obrały jej myśli. Spędziła noc na tym okropnym zielonym krześle z plastiku, mając nadzieję, że lekarze i pielęgniarki zobaczą, jak postępuje oddana żona, kiedy naprawdę kocha swojego męża. Nakreśliła plany aż do najmniejszego szczegółu i nie było w nich miejsca dla zdrowego Johna.

I po co to wszystko? John będzie w domu za kilka dni. Nie spała całą noc i prawdopodobnie zniszczyła sukienkę od Versace. Nie wspominając już o zboczonym sanitariuszu, który ciągle wchodził do poczekalni, żeby ją podglądać. Eve była pewna, że patrzył jej pod sukienkę.

Doktor Foo powiedział cicho kilka słów do pielęgniarki i razem wyszli z pokoju, zostawiając ją samą na sam z mężem.

Podeszła do łóżka Johna. Czy to możliwe, żeby tak się postarzał w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin? Teraz wyglądał na swoje siedemdziesiąt trzy lata, a może i na więcej. Doktor Foo na pewno się myli. Ta myśl wzbudziła w niej nadzieję.

— Omu — powiedział John. Jego słowa były zniekształcone i Eve nachyliła się bardziej, usiłując go zrozumieć. — Ooomu. — Wskazał palcem drzwi.

— Przepraszam, John, ale będziesz musiał bardziej się starać. Pomrukujez jak jaskiniowiec. — Eve odwróciła głowę z niesmakiem.

John kopnął koniec metalowego łóżka. Eve drgnęła nerwowo. Najwyraźniej szybko uczył się roli jaskiniowca.

— John, posłuchaj mnie. Nie próbuj mówić. Jeśli rozumiesz, skiń głową.

Siwa głowa wykonała raptowny ruch. Przynajmniej jego umysł funkcjonował.



— Ktoś z rodziny powinien kierować Worthington Enterprises. Mort Sweeney nie należy do rodziny. Produkcja w papierni zmalała, a właśnie się dowiedziałam, że Mort wraz z rodziną poleciał do Europy. Wiem, że rozmawialiśmy już o tym, John, jednak tym razem nie jesteś w stanie zabrać głosu w tej sprawie. — Eve uśmiechnęła się z tej gry słów.

Patrzyła w wyraziste niebieskie oczy Johna. Były pełne życia i czujne. Spojrzała na monitor pracy serca. Zielone piszczące punkciki zaczęły przesuwać się bardzo szybko. Ten nagły alarm sprawił, że Eve ruszyła do dwuskrzydłowych drzwi.

Chuda pielęgniarka odsunęła ją na bok, wpadając do środka.

— Proszę wyjść na chwilę. — Popchnęła Eve dalej, w stronę korytarza.

Tuż za pielęgniarką do pokoju wpadł doktor Foo.

Mój Boże! Czym też tak się zaniepokoił? Pielęgniarka mierzyła Johnowi ciśnienie, a doktor Foo odczytywał zapis, który w postaci paska papieru wychodził z monitora pracy serca.

— Co się dzieje? — zapytała Eve zza otwartych drzwi, po czym wróciła do pokoju, domagając się, aby powiedziano jej, co się stało.

Doktor Foo mruknął coś do pielęgniarki i pośpiesznie coś zanotował na karcie Johna.

— Pani Worthington, czy moglibyśmy wyjść na zewnątrz? — poprosił.

— Oczywiście. — Eve poczuła, że jej własne tętno zaczyna przyspieszać.

Doktor Foo ujął ją za łokieć i poprowadził do poczekalni. Nalał sobie kubek kawy, którą właśnie zrobili młodzi wolontariusze.

— Proszę, niech pani spocznie. — Wskazał brzydkie zielone krzesło, na którym przesiadziała całą noc.

Eve stała. Nie miała zamiaru słuchać rozkazów tego... tego cudzoziemca.

— Dziękuję, doktorze, wolę postać. A więc o co chodzi? — Chciała jak najszybciej mieć za sobą tę małą przemowę i kontynuować dialog z Johnem.

— Ciśnienie pani męża właśnie wzrosło do niebezpiecznego poziomu. Nie jestem pewien dlaczego, ale dopóki się nie dowiem, nie mogę nikomu pozwolić na odwiedzinę.

— Uważa pan, że miałam coś wspólnego z jego ciśnieniem? — wyśmiała go Eve. Użyła najbardziej dobitnego tonu bogatej damy z Południa.

— Nie, pani Worthington, wcale nie. Takie rzeczy się zdarzają. Zwykle jednak najlepiej jest dla pacjenta, kiedy nic nie zakłóca mu spokoju przez kilka dni. Jestem pewien, że oczekuje pani, byśmy zrobili to, co uważamy za najlepsze dla pani męża. Uważam, że pan Worthington powinien

skoncentrować się na powrocie do zdrowia i na niczym więcej. —

Doktor Foo zachowywał się profesjonalnie, ale Eve wyczuwała w tych słowach ukryte znaczenie. Patrzył na nią, czekając na reakcję.

— Zrobię to, co jest najlepsze dla Johna. Nie wiem, czy spodoba mu się, że opuściłam szpital. Chce, żebym tu była, musi pan to zrozumieć. Cóż, nawet spędziłam noc na tym okropnym krześle tylko po to, żeby być blisko niego.

— Cieszę się, że pani rozumie sytuację. — Doktor Foo wstał, popatrzył na zegarek i podziękował Eve za poświęcony mu czas. Zostawił ją w poczekalni, gdzie zapach przypalonej kawy wypełniał jej nozdrza.

Odprawiona. Mały cudzoziemski spryciarz ją odprawił.

— Nie może pan... — wybełkotała. Boże, mówiła niemal jak John.

Nie potrzebowała podpisu Johna, żeby przejąć kontrolę, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Spotkanie z kierownikami zmian było zaplanowane na drugą. Po prostu stawi się na zebranie w świątecznym nastroju.

\* \* \*

Casey nałożyła odrobinę różu na blade policzki.

Włożyła spodnie khaki, czerwoną bluzkę bez rękawów i buty Keds pod kolor. Podziwiała matkę, że tak trafnie wybrała odpowiedni rozmiar. Wszystko doskonale pasowało. Ostatnie spojrzenie w lustro powiedziało jej, że może pokazać się ludziom. Tego dnia musiała zająć się swoimi problemami.

Znajdzie odpowiedzi. Wprawdzie to samo mówiła sobie poprzedniego dnia, ale dzisiaj się uda.

Blake zadzwonił ze swojego gabinetu i powiedział, że przyjedzie do Łabędziego Domu.

Przejrzą jej kartę choroby, pójdą znów do sądu, zobaczą, czy niezawodnej Marianne udało się wydobyć jakiś dokument dotyczący sprawy, która ją interesowała.

Nie mógł się pojawić w lepszym momencie. Flora nie umiała prowadzić, Julie była zajęta pracą, a ona na pewno, do cholery, nie zniósłaby następnej przejażdżki z Hankiem. Matka czuwała przy Johnie.

Przysiadła na ceglanych stopniach. Poranek był pochmurny, woń róż unosiła się w powietrzu. Towarzyszył jej zapach trawy, świeżo zaoranej ziemi i zbliżającego się deszczu.

Casey miała nadzieję, że ten dzień okaże się dla niej pomyślny.

Ponieważ spodziewała się czarnego auta o opływowym kształcie, którym jechała przedtem, była

zaskoczona, kiedy zobaczyła, jak drogą wijącą się ze wzgórza zjeżdża jaskrawożółty volkswagen.

Z garbusa wyskoczył Blake, ubrany w wypłowiałe, obcisłe džinsy i elegancką białą koszulę.

— Cóż tam?

Casey popatrzyła w brązowe oczy, wyrwana z zamyślenia. Szybko wstała, otrzepując przy tym pośladki.

— Przepraszam, byłam na innej planecie. — Ucisnęła wyciągniętą w jej stronę rękę Blake'a.

— A więc powiedziałbym, że czas lądować. Jesteś gotowa? — zapytał.

— Tak. Powiedziałam Florze, że zaczekam tu, przed domem. Mama jest nadal z Johnem.

Chciałam nacieszyć się widokiem kwiatów. — Casey wskazała ruchem głowy ogrody.

— Rozumiem. — Blake pomógł jej otworzyć drzwiczki, które lekko się zacięły, a potem wsiadł od strony kierowcy. — Jest z czasów college'u. Jeżdżę nim niekiedy, żeby akumulator się nie rozładował. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Nie ma klimatyzacji.

— Jest wspaniały! — wykrzyknęła Casey, sadowiąc się na popękany fotelu.

Blake wrzucił bieg i auto ruszyło z dużą prędkością. Kiedy znaleźli się za bramą Łabędziego Domu, rzekł z poważną miną:

— Zadzwoń do Adama. Umówił cię na wizytę u doktora Dewitta.

Casey czuła, że serce bije jej coraz szybciej, i zaczęła obawiać się kolejnego ataku paniki.

Wzięła kilka głębokich oddechów, zanim odpowiedziała.

— Rozumiem, że czytałeś moją kartę choroby. — Patrzyła, jak Blake manewruje małym samochodem z taką samą łatwością, z jaką kierował luksusową limuzyną parę dni wcześniej.

— Tak. Przesłano mi ją faksem wczoraj po południu.

— I? — podpowiedziała Casey.

Zdjął jedną rękę z kierownicy i położył ją na jej udzie. Jego dotyk palił przez materiał spodni i Casey znów poczuła łaskotanie w okolicy brzucha.

— Nie było tam żadnych wpisów świadczących o tym, że kiedykolwiek przeszłaś terapię regresywną. Doktor Dewitt jest pewien, że terapia ci pomoże. Nawet jeśli nie osiągniesz pełnego wyzdrowienia, to przynajmniej będziesz miała trochę wspomnień. Myślę, że warto spróbować.

Czy rzeczywiście warto? Czy przypomni sobie okropności, które sprawiły, że jej świadomość tak się

zablokowała? A jeśli wszystko sobie przypomni, to czy będzie umiała poradzić sobie z tym bagażem?

— Kiedy mam spotkać się z doktorem Dewittem?

— Pojutrze. Jest pewien problem. Jego gabinet znajduje się w Savannah. Jedzie się tam dosyć długo. Najlepiej by było, gdybyś przenocowała.

— Świetnie, Blake... ale ja nie umiem prowadzić. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Jej słowa rozbawiły go. Zaśmiał się głęboko i ciepło.

— Tak przypuszczałem i przełożyłem jutrzejsze wizyty pacjentów. Pomyślałem, że moglibyśmy wyruszyć wczesnym popołudniem, dojechać akurat o takiej porze, żeby zjeść dobry obiad, potem trochę pozwiedzać. Jesteś umówiona na dziesiątą rano następnego dnia.

Zajął się wszystkim. Czy to było właściwe, że pozwalała mu przejąć kontrolę nad swoim życiem? Czy nie była zbyt ufna?

Blake spojrział na nią. Odwróciła głowę. Nie chciała, żeby widział ją w takim momencie.

Przez tak długi czas pozwalała innym decydować o swoim losie. Czy chciała, żeby dalej tak było?

— I Adam, i ja uważamy tę terapię za najlepszą. Jeśli mówisz poważnie o chęci odzyskania pamięci, trzeba przez to przejść.

Casey zmarszczyła brwi. Tak naprawdę ani nie zwróciła się, żeby Blake albo Adam zajęli się jej problemem. Co mogli na tym zyskać? A może mieli coś do stracenia?

Musiała zaryzykować. To był jedyny sposób, żeby przekonać się, kto wygra, a kto przegra.

— Jeśli to jedyny sposób, żebym mogła zacząć nowe życie, to tak. Muszę zrozumieć, kim jestem. Wiem, że zapewne uważasz mnie za wariatkę, ale przez ostatnie kilka dni dowiedziałam się tak wielu rzeczy, a jednak mam wrażenie, że to wszystko nic nie znaczy.

Nic konkretnego w każdym razie. Mam też świadomość, że to, czego dowiem się o mojej przeszłości, może zagrozić mojej przyszłości. Jestem gotowa zaryzykować.

Blake zaparkował przed swoim domem i wyłączył stacyjkę, a potem zwrócił się w jej stronę.

— Masz rację. — Uniósł rękę, żeby pogłaskać ją po policzku. Gdy zajął jej w oczy, czas się zatrzymał.

Zadrżała i pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby nie patrzył na nią w ten sposób. Pożądała go.

Po prostu i zwyczajnie. Jej uczucia wobec tego mężczyzny, którego poznała zaledwie parę dni temu, były zbyt świeże. Nie chciała, żeby zniszczyły je złe wiadomości i ostrzeżenia.

— Nie rozumiem — powiedziała Casey, rzucając przefaksowaną kopię swojej karty choroby na stół. — Przez lata nic, potem nagle zmiana. Nastawienie doktora Macklina staje się inne i w magiczny sposób zdrowieję. Prawie z dnia na dzień. Potem zostaję zwolniona.

Jeśli ta karta mówi prawdę, często zmieniano mi lekarstwa. Jestem ciekawa, dlaczego. —

Podniosła wydruk z faksu i przeczytała: — Haldol, stelazine, trilafon. Nie wiem nic o tych lekarstwach. Już same nazwy brzmią poważnie.

— To są leki psychotropowe — wyjaśnił Blake.

— Ale dlaczego? Myślałam, że cierpiałam na... — Casey zajrzała szybko do karty —

amnezję pourazową.

— Zgadza się, faktycznie tak tu napisano. Casey, co dokładnie znaczą twoje słowa „jeśli ta karta mówi prawdę”?

— Nie wiem. Chyba się przejęzyczyłam. Dlaczego pytasz? — Spojrzała na Blake'a i nie spodobało jej się to, co zobaczyła na jego twarzy.

— To tylko myśl. — Blake stał z rękami w kieszeniach, patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem.

— A więc rozwiń ją. Nie podoba mi się wyraz twojej twarzy.

Blake zaśmiał się krótko.

— Hej, nie mam wpływu na to, co przydzielił mi dobry Bóg.

Casey rzuciła w niego małą poduszką w zielone pasy.

— Nie o to mi chodziło.

— A więc opinia jest pozytywna? — zapytał z błyskiem rozbawienia w oczach.

— Och, do licha. Jesteś taki sam jak Flora. Jak to się dzieje, że w jednej chwili rozmawiamy poważnie, a w następnej się przekomarzamy?

— Ty mi powiedz.

— Widzisz. Znowu to zrobiłeś. Żarty na bok, Blake. — Casey zrzuciła tenisówki i podwinęła nogi pod siebie. — Mam całe mnóstwo czasu. Przynajmniej tak myślę. Lekarstwa, Blake. Dlaczego doktor Macklin miałby mi podawać leki psychotropowe? To nie był

normalny sposób leczenia mojej choroby.

— Spędziłem większą część nocy na zastanawianiu się nad tym. Wymienione w karcie lekarstwa są zwykle przepisywane pacjentom z poważnymi zaburzeniami. Takim, którzy wykazują skłonności samobójcze, mają urojenia, czasami takim, którzy mają halucynacje.

— I ja miałam to wszystko? — Proszę, dobry Boże, nie! Wszystko, tylko nie skłonności samobójcze. Życie jest zbyt cenne.

— Nie wiem. Twoja karta choroby o tym nie informuje. Usiłowałem dodzwonić się do doktora Macklina wczoraj wieczorem. Spróbowałem znów dziś rano. Wydaje się, że nie jest już pracownikiem szpitala.

— Co takiego?! — wykrzyknęła Casey.

— Sam jestem zaskoczony. Zadzwoiłem do Bentleya. Nigdzie nie można było go znaleźć. Personel szpitala też go nie widział.

— Kiedy to wszystko się stało?

— Najwyraźniej w dniu, w którym zostałam zwolniona.

Casey wstała i podeszła do okna. Miała wrażenie, że już to kiedyś robiła. Przypomniała sobie *déjà vu* z poprzedniego dnia i słowa Flory, że jako dziecko była w tym domu.

Sprawdziła palcem, że w doniczkach z afrykańskimi fiołkami ziemia była sucha. Poszła do kuchni i napełniła szklankę wodą z kranu. Blake podążył w ślad za nią.

Kiedy wrócili do pokoju od frontu, oboje milczeli, pogrążeni we własnych myślach. Casey podlała rośliny, potem postawiła szklankę na parapecie.

— Skąd wiedziałaś, gdzie są szklanki? — zapytał Blake.

Casey odwróciła się tak szybko, że szklanka spadła z parapetu i roztrzaskała się o podłogę.

— Zapomniałam ci powiedzieć— schyliła się, żeby pozbierać szkło. — Udało mi się przypomnieć sobie, że już raz tutaj byłam. Wtedy, kiedy Flora mnie przyprowadziła. W dniu, w którym twój ojciec mnie zbadał.

Patrzyła, jak Blake sprząta, zbierając wodę koronkową serwetką ze stolika do kawy. Rzucił mokłą tkaninę na stolik i wziął Casey za rękę.

— Musimy porozmawiać, i to poważnie. Ty chcesz poznać odpowiedzi na swoje pytania, a ja chcę, żeby to ci się udało. Zapomnijmy o naszych uczuciach i przez kilka minut bądźmy detektywami. Czy myślisz, że możesz to zrobić?

— Pewnie.

— W porządku. Casey, powiem ci coś, o czym powinnaś się była dowiedzieć już dawno.

Czy kiedy prosiłaś Brendę o stenogram, wiedziałaś, że nie było oficjalnego śledztwa, a tym bardziej rozprawy sądowej? Uznano, że to był wypadek. — Przerwał i przeczesał ręką włosy, co zwykł robić, kiedy był zdenerwowany.

— Tak mi powiedziano. — Była już zmęczona, a dzień dopiero się zaczął.

— Proszę cię o cierpliwość.

— Mów dalej.

Blake wydawał się toczyć walkę z samym sobą. Wstał, wcisnął ręce do kieszeni. Następne przyzwyczajenie, pomyślała Casey, gdy patrzyła, jak chodzi tam i z powrotem po pokoju.

— Koniecznie musisz odzyskać pamięć, Casey. Ty i tylko ty możesz wypełnić luki, ale na razie powiem ci, co ja wiem, choć to niewiele. Byłem wtedy w Atlancie. Adam zadzwonił do mnie i powiedział mi, co się stało. Pamiętam, że pomyślałem, że coś tak strasznego zdarzyło się akurat w Halloween. Mój ojciec był tak wstrząśnięty, że obawiałem się, czy nie grozi mu atak serca.

— To było okropne dla ciebie i twojej rodziny.

— Tak, okropne. Ale nie tak okropne jak dla twojej rodziny. Po śmierci twojego ojca Eve robiła, co tylko mogła w tych warunkach. Nie zrozum mnie źle, niczego ci nie brakowało.

Myślę, że Eve chciała czegoś jeszcze oprócz pieniędzy. Myślę, że naprawdę chciała znów wyjść za mąż. Spotykała się z Johnem i Adamowi się to nie podobało. Był blisko związany ze swoją zmarłą matką i nie mógł pojąć, jak to możliwe, że jego ojciec interesuje się inną kobietą. Twoja babcia, Gracie, opiekowała się tobą, kiedy twoja matka była zajęta. Potem Gracie umarła i twojej mamie

pomagala Flora, sprzatała i zajmowała się tobą. Ronnie był w szkole średniej, więc musiałaś chodzić do trzeciej albo czwartej klasy. Z pewnością byłaś dość duża, żeby twoja matka nie musiała się martwić, kiedy pilnował cię Ronnie. Czasami tak było. Flora spędzała z tobą tyle czasu, ile zdołała, ale pracowała dla Worthingtonów i nie mogła brać tyle wolnego, ile by chciała. Przesuńmy się teraz w czasie o jakieś osiem albo dziewięć lat do przodu. Eve i John ogłosili, że zamierzają się pobrać. Adam był rozgniewany.

Kłócił się z Johnem. Unikali się przez jakiś czas. Słyszałem, że twoja matka przeżyła załamanie nerwowe. Potem znów się zesłi. Minęło dużo czasu od ślubu Eve i Johna, zanim Adam w ogóle zechciał odwiedzić swojego ojca w Łabędzim Domu. Za bardzo się rozpędziłem. Flora mówiła, że się zmieniłaś i że to było jak dzień i noc. Chyba byłaś najważniejsza w życiu Flory przez długi czas, zwłaszcza po śmierci Gracie. Zauważyła różne rzeczy.

— Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o molestowaniu — powiedziała Casey. — Nawet przypominałam sobie sukienkę, którą miałam na sobie wtedy, gdy twój ojciec mnie zbadał.

— Czy przypominałaś sobie coś jeszcze? — Wpatrzył się badawczo w jej twarz.

— Nie, to wszystko. Ale to pierwsze prawdziwe, niezakłócone przez lekarstwa wspomnienie. Przynajmniej sędzę, że tak jest. Inne przypadki nie wydawały się aż tak żywe.

— Flora i mój ojciec bardzo się o ciebie martwili. Nie wiem, czy tata kiedykolwiek powiedział Eve o swoich podejrzeniach, ale zamierzam się tego dowiedzieć. Flora mówiła, że po tym nigdy już nie zachowywałaś się normalnie. Byłaś cicha, zamknięta w sobie, drgałaś nerwowo przy najmniejszym hałasie. — Blake przegarnął ręką włosy. — Nie jestem pewien, czy powinienem mówić dalej. — Popatrzył na Casey pytająco.

— Nie możesz mi tego zrobić! — Rozrzuciła ramiona. — Chciałabym pana o coś zapytać, doktorze Hunter. Czy wie pan, jak to jest nie wiedzieć, jakie lody były moimi ulubionymi?

Czy lubiłam filmy rysunkowe, w jakim kolorze był mój rower? Czy w ogóle miałam rower?

Czy prowadziłam pamiętnik? Czy miałam przyjaciół? Jakie miałam sekrety? Czy grałam z bratem w monopol? Czy mama opowiadała mi bajki na dobranoc? Czy lubiłam szkołę? —

Stąpała ciężko po drewnianej podłodze, wskazując oskarżycielsko Blake'a. — Doktorze! —

krzyknęła. — Wiesz, czego jeszcze nie mogę sobie przypomnieć? — Łzy popłynęły jej po twarzy i czuła, że jej dolna warga drży.

Blake usiadł na kanapie.

— Powiedz mi, Casey — odparł spokojnie.

Zdławiła łzy i usiadła obok niego.

— Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek się kochałam — wyszeptała.



— Nie wiem, czy ktoś ci o tym powiedział, ale byłaś zaręczona. Miał na imię Kyle. Zaraz po tym, jak zostałaś wysłana do szpitala, wyjechał z miasta. Kiedy ostatni raz o nim słyszałem, właśnie po raz trzeci się ożenił. Jego matka umarła parę lat temu. A więc nie umiałbym ci powiedzieć, czy wy dwoje... byliście ze sobą blisko w ten sposób.

Wziął ją w ramiona. Szlochała i czuła, że jej łzy moczą jego koszulę. Wciągnęła powietrze, rozkoszując się zapachem Blake'a. Ciekawiło ją, czy się kochała. Zabawne było to, że nie mogła nikogo o to zapytać. Co by powiedziała? „Och, przepraszam, masz chyba mniej więcej tyle lat co ja. Nie wiesz, czy spałam z narzeczonym, którego nie mogę sobie przypomnieć?” Zaśmiała się ironicznie.

— Nie będzie lepiej, prawda, Blake?

— Cichutko, już dobrze, maleńka. Obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Blake wpływał na nią kojąco. Gdy przytulał ją mocno do siebie, czuła się bezpiecznie.

Mogłaby do tego przywyknąć. Westchnęła i odsunęła się.

— Proszę, Blake. Muszę wiedzieć. Zmienił pozycję i mówił dalej.

— Jak już wspomniałem, Flora wiedziała, że coś złego się dzieje. Mogła cię jedynie obserwować. Bywało, że zachowywałaś się zwyczajnie przez pewien czas, a potem nagle się wyłączałaś. Flora mówiła, że czasami przez wiele dni nie wypowiadałaś nawet słowa. To trwało całymi latami.

Casey pomyślała, że jej zachowanie było zapewne typowe dla ofiary molestowania. Kto chciałby być przyjacielski i wylewny, kiedy jest w rozpacz?

— Któregoś dnia twoja matka powiedziała tobie i Ronniemu, że ustalona została data jej ślubu z Johnem. Biedna Eve, była taka podekscytowana, pamiętam to dokładnie. Adam nadal bardzo niechętnie odnosił się do tego pomysłu, ale minęło wystarczająco dużo czasu i jego smutek po śmierci matki nie był już tak świeży i dotkliwy. To stało się wtedy. Zaraz po tym, jak Eve ogłosiła, że się zaręczyła. Akurat w Halloween. Może to był omen zapowiadający przyszłe zdarzenia, kto wie? Śmierć Ronniego zmieniła bieg kilku spraw. Oczywiście John i Eve odłożyli ślub na później. Twoja matka wolała, żeby pozostali przy wcześniejszych planach, ale John nie chciał o tym słyszeć. Adam bardzo się ucieszył.

Casey nie mogła się powstrzymać od pytania, musiała się dowiedzieć.

— Dlaczego Adam nie lubił mojej matki?

— Jak mówiłem, stracił własną. Nie chciał, żeby ktoś próbował zająć jej miejsce.

— Ale właśnie powiedziałaś, że był już starszy, przyzwyczał się do myśli o powtórny ożenku ojca.

— Będziesz musiała sama go zapytać. Może myślał, że Eve pragnie wyjść za jego ojca z ukrytych pobudek.

— Jakie pobudki mogłyby kierować moją matką?

— Casey, proszę. Nie zajmujmy się tym. Porozmawiaj z Adamem, jestem pewien, że potrafi wytłumaczyć, co wtedy czuł. Czy chcesz, żebym mówił dalej? — zapytał.

— Oczywiście.

— Sweetwater nie widziało wcześniej niczego takiego. Szeryf Parker nie był wtedy o wiele starszy ode mnie. Dopiero co objął stanowisko i jestem pewien, że to, co zobaczył

tamtego dnia, zmieniło go na zawsze. Grady Wilcox, poprzedni szeryf, nawet nie chciał się ubiegać o powtórny wybór. Powiedział, że jest za stary, a Sweetwater potrzebuje świeżej krwi. Wspominam to i myślę, że Roland popełnił pierwszy błąd, kiedy nie poprosił Grady'ego o pomoc. Jego poprzednik nie był już młodzieńcem, ale znał swój zawód. Stał na straży prawa od niepamiętnych czasów. Roland jednak nie zwrócił się do niego i nikt nawet nie zapytał dlaczego. — Blake westchnął i ścisnął końcami palców grzbiet swojego nosa. —

Flora mówiła, że zachowywałaś się przedtem dziwniej niż kiedykolwiek. Nawet myślała, że może byłaś pod wpływem narkotyków. Marihuana, LSD, mówiła, że nie wie. Nie znam innego sposobu, żeby ci to powiedzieć, Casey, odwlekałem to tak długo, jak mogłem.

Wyrzucę to z siebie i zniosę twój gniew.

Uśmiechnął się smutno. Ujął jej rękę i poczuła jego ciepło, mocny, a zarazem delikatny uścisk. Popatrzyła na dłonie Blake'a. Były ładne. Paznokcie krótkie i równo przycięte. W jego głosie brzmiała udreka, gdy mówił dalej.

— Dzień, o którym Sweetwater tak usilnie chce zapomnieć, Casey, to dzień, w którym prawdopodobnie zabiłaś swojego przyrodniego brata.

„Prawdopodobnie zabiłaś swojego przyrodniego brata”. Prawdopodobnie zabiłaś swojego przyrodniego brata. Prawdopodobnie zabiłaś swojego przyrodniego brata!

W głębi serca przeczuwała, że to musiało być coś takiego. Miała wrażenie, jakby niewidzialna ręka zaciskała się na jej szyi i utrudniała jej oddychanie. Ogarnęła ją panika niepodobna do niczego, co dotąd знаła, sprawiając, że wypowiedanie słów stało się niemożliwe. Objęła się ramionami i zaczęła kołysać się w przód i w tył, gdy mrozące krew w żyłach obrazy tworzyły się w jej umyśle.

Znieruchomiała. Własne myśli sparaliżowały ją. Nie! Mylił się. Mylili się. Na pewno!

— Casey. — Głos Blake'a zabrzmiał tak, jakby przechodził przez tunel.

Wpatrywała się w ścianę. I kołysała się. Coraz szybciej, żeby to znikło.

*Ubrania, które jej dali, były sztywne i zbyt szorstkie dla jej delikatnej skóry. Było jej zimno.*

*Wszędzie. Mgielka zamazywała jej oczy, sprawiając, że wszystko zdawało się płynąć w powietrzu.*

*Spojrzała na swoje nadgarstki. Skóra, jakby pas. Zbyt mocno zaciśnięty. Ramiona były przywiązane pasami do jej boków. Dlaczego? Nagle usłyszała głosy.*

*— Doktor Hunter mówi, że będzie spała przez jakiś czas. Mam nadzieję, że to, co jej dał, oszołomi ją porządnie. Mój Boże, nigdy nie widziałam czegoś takiego.*

*— Taak, cóż, poczekaj tylko, aż zobaczysz chłopaka, wtedy to powiedz. Człowiek nie powinien nigdy musieć patrzeć na to, co widzieliśmy tam dzisiaj. I ta biedna matka. Straciła dwoje dzieci. Chociaż bardzo niechętnie to mówię, ta dziewczyna powinna smażyć się w piekle.*

*Było jej zimno, nie mogła się smażyć. Czy nie wiedzą tego? I kim właściwie są? Próbowwała przypatrzeć się dokładniej, ale widziała tylko ich plecy.*

*— Cholera, Casey! Posłuchaj mnie! — krzyknął Blake.*

*Szarpnęła się do przodu i odwróciła w stronę Blake'a. Jej głos brzmiał chrapliwie.*

*— Hm?*

*Cała była odrętwiała. Nie mogła na niego patrzeć. Jak mógł jej to zrobić po wszystkim, co przeszła w tym krótkim czasie, odkąd wróciła do domu? Był jak wszyscy inni. Podły i okrutny. Żałowała, że nie została w szpitalu.*

*— Posłuchaj mnie — mówił. — Doznałaś szoku. Dam ci coś.*

*— Nie! Nie chcę niczego. Jesteś dokładnie taki jak oni. — Sięgnęła po tenisówki, wcisnęła w nie stopy, nie zwracając sobie głowy sznurówkami, i pobiegła do drzwi.*

*Blake chwycił ją za ramię i przytrzymał.*

*— To ostatnia rzecz, jaką spodziewałaś się usłyszeć, wiem. Może to był błąd.*

*Przepraszam, ale trzeba to było powiedzieć. Proszę, Casey, zaufaj mi.*

*Miał rację. W jakim celu coś takiego by wymyślił? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej sensownie to brzmiało. Dlaczego, jeśli nie z tego powodu, przebywałaby w szpitalu przez dziesięć lat?*

*— Przepraszam. Nie mogę... — wyrzuciła ramiona przed siebie.*

*— Wiem. Trudno się z tym pogodzić. Pomogę ci. Możemy się tym zająć, Casey. Obiecuję.*

*Kiedy porozmawiamy z doktorem Dewittem, on ci pomoże. Potem będziesz mogła pozostawić to za sobą i żyć dalej.*

*Powiedział „my”. Czy to znaczyło, że będzie ją wspierał, nawet jeśli była morderczynią?*

Skinęła głową i usiadła. Te dziwne spojrzenia, z którymi się spotykała od czasu powrotu.

Nieuprzejma ekspedientka, Brenda. Wszystko to miało teraz sens.

Była morderczynią. Zabiła z zimną krwią, umyślnie.

Co by jej to dało, gdyby sobie przypomniała? Najwyraźniej była wtedy obłąkana, zabiła biednego Ronniego i dzięki Bożej łasce jej wspomnienia o tamtym dniu zostały całkowicie wymazane z pamięci. Powinna to po prostu tak zostawić. Jednak sumienie nie dawało jej spokoju. Pomyśli o tym później. Teraz chciała tylko oswoić się z tym, co powiedział jej Blake.

Nie odzywał się ani słowem. Utkwiła wzrok w jego twarzy, spodziewając się, że zobaczy strach i odrazę. To, co ujrzała, kompletnie ją zaskoczyło.

— Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób, Casey? Zawsze o tym wiedziałem. To niczego nie zmienia. — Wyciągnął rękę w jej stronę.

— To prawdziwy koszmar! W jednej chwili myślę, że jestem tym... nie wiem czym, a w następnej dowiaduję się, że jestem morderczynią. — Pozwoliła, by ją przytulił. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Nie chciała, żeby był świadkiem jej kolejnego załamania. Poradzi sobie z tym.

— Mogę sobie tylko wyobrażać, jak musisz się czuć. Zbadamy to. Znajdę doktora Macklina. Porozmawiam z Bentleyem, dostaniemy te akta od Marianne, jeśli w ogóle istnieją.

I doktor Dewitt. Nie będziemy siedzieć beczynn timer, Casey. — Obsypywał lekkimi pocałunkami jej twarz. Zaczerpnęła powietrza. O Boże, jak bardzo chciała mu wierzyć. Jak bardzo chciała zapomnieć o tym, co właśnie ujawnił.

— Czy to naprawdę ma teraz znaczenie? Nic nie zmieni tego, że to zrobiłam —  
powiedziała z rozpaczą w głosie.

— To nie jest koniec tej historii. — Blake wstał i zaczął spacerować po pokoju.

— Dlaczego, Blake? Dlaczego, ma to teraz znaczenie? Po dziesięciu latach. Odsiedziałam swoje, że tak powiem. Co mi da odgrzebywanie przeszłości? Powiedz mi.

— Myślę, że coś więcej stało się tego dnia, kiedy umarł Ronnie. Sądzę, że całe miasteczko Sweetwater też tak uważa. Rozmawiamy o tym z Adamem od lat i obaj przypuszczamy, że coś zostało zatuszowane. Nie wiemy tylko co.

Czy to możliwe? — zastanawiała się. Iskierka nadziei. Może to rzeczywiście jeszcze nie cała historia. Miała zamęt w głowie.

— Kiedy... kiedy zabiłam Ronniego — mówiła niezdecydowanie, własne słowa brzmiały dla niej obco. — Kiedy to zrobiłam... dlaczego nie miałam procesu?

Blake obrócił się w jej stronę.

— To część tej zagadki. Chociaż mam pewne podejrzenia, nigdy nie udało mi się otrzymać wglądu w tak zwany raport policyjny. Raport, którego, jak się wydaje, Marianne i Brenda nie mają czasu poszukać. To dlatego myślę, że dobrze by było porozmawiać z Rolandem.

Zobaczyć, co powie po tych wszystkich latach.

— Co podejrzewasz? — zapytała Casey niecierpliwie.

— Od początku przypuszczałem, że kiedy prawdopodobnie zabiłaś Ronniego, zrobiłaś to w obronie własnej.

— Zapomnij o tym, Blake. Jestem pewna, że w takim przypadku odbyłby się proces i nie wiadomo co jeszcze. Pamiętaj, że nie mam pojęcia, co się zdarzyło. To by z pewnością tłumaczyło, dlaczego dostawałam takie lekarstwa. Może jestem szalona. — Wzruszyła ramionami i zaśmiała się głucho. — Może to nie jest taki dobry pomysł, żeby zapytać szeryfa.

Najwyraźniej wykonał swoją pracę. Z jakiegoś powodu straciłam tamtego dnia panowanie nad sobą, a zaraz potem pamięć. Może powinniśmy po prostu tak to zostawić. — Częściowo wierzyła w te słowa, ale równocześnie chciała zawzięcie badać tę sprawę.

— A więc jak się dowiesz? — zapytał.

Może powinna przynajmniej trochę o tym pomyśleć. Jeśli zarówno Blake, jak i Adam uważają, że zdarzyło się coś więcej, czuła się w obowiązku sprawdzić ich podejrzenia. Była pewna, że pozostanie szaloną kobietą bez pamięci. Szaloną kobietą, która zabiła swojego brata.

— Chyba nic złego się nie stanie z powodu paru pytań. Blake, nie chcę robić zamieszania.

Obywatele Sweetwater i tak nie powitali mnie zbyt serdecznie. Poza tym John jest chory i mama nie odchodzi od jego łóżka, więc w żadnym razie nie chcę zdenerwować ani jego, ani jej.

— Zgadzam się. Czy myślisz, że masz dość siły, by porozmawiać z szeryfem? Sądzę, że od niego powinniśmy zacząć. Na razie poczekam z odwołaniem wizyty u doktora Dewitta. Ty zdecydujesz.

— Czemu nie, mogę iść do szeryfa. Pamiętaj, że nie chcę nikogo skrzywdzić, ale zamierzam spotkać się z doktorem Dewittem bez względu na to, co się stanie. — Podjęła decyzję w ciągu kilku sekund. Chociaż zabiła, miała zamiar dowiedzieć się, dlaczego. Jeśli nie będzie wiedziała, to jak będzie mogła dalej żyć?

\* \* \*

Widział ją wczoraj obładowaną pakunkami. Choć szła po drugiej stronie ulicy, przekonał

się, że czas był dla niej łaskawy. Nie spodziewał się, że będzie wyglądała tak normalnie. Nie po tym wszystkim, co zdarzyło się tamtego dnia. Pamiętał go aż za wyraźnie. I chciał o nim zapomnieć.

Brzęczenie wewnętrznego telefonu przerwało rozmyślenia. Był zadowolony, ponieważ nie podobał mu się kierunek, w którym prowadziły go własne myśli.

Nacisnął guzik.

— Tak, Vero?

— Jest tutaj doktor Hunter. Chciałby się z panem spotkać.

Westchnął.

— Wpuść go.

Zawsze lubił Blake'a Huntera, ale coś w tym mężczyźnie sprawiało, że w jego obecności czuł się nieswojo.

Drzwi się otworzyły. Słowo „wdzięczność” nie wystarczy, by opisać to, co poczuł w tym momencie do swojego zdezelowanego krzesła przy biurku. Gdyby nie chwycił się tej rozklekotanej podpory, upadłby jak długi na podłogę.

Obok doktora stała kobieta, o której rozmyślał. Odległość, z jakiej oglądał ją wczoraj, zwiódła go. Wyglądała nie tylko normalnie, ale tak, jakby zeszła prosto z łamów magazynu mody. Chociaż jej włosy były wtedy dłuższe i nie pamiętał, żeby była taka blada, dziesięć lat w szpitalu nie zaszkodziło jej urodzie.

Nagle zaczął żałować, że jego kasztanowate włosy są tak przerzedzone i że przed chwilą zjadł hot doga. Gdy wstawał, wciągnął brzuch i podał rękę Blake'owi.

— Co mogę dla was zrobić? — zapytał.

— Czy moglibyśmy usiąść? — Blake odpowiedział pytaniem. Cholera, dlaczego akurat teraz zapomniałem o dobrych manierach? I dlaczego tak dawno tu nie sprzątało?

— Pewnie, proszę. — Wskazał gestem dwa krzesła naprzeciw siebie. Nie były w ani trochę lepszym stanie niż jego własne, ale przynajmniej były czyste. Szybko spojrzął na blat swojego biurka. Zwyczajny nieład. Teczki, kubek z napisem „Ja tu jestem szefem” i zaschnięte resztki rozlanej kawy. Żłocista popielniczka w kształcie gwiazdy przepelnięta niedopałkami papierosów i cygar. Ceramiczny Elvis w wyszczerbionych niebieskich zamszowych butach stał na brzegu biurka. Nic się nie zmieniło w ciągu jedenastu lat jego urzędowania. Biuro wyglądało dokładnie tak jak w dniu, kiedy Grady Wilcox wyszedł z niego, pozostawiając mu odpowiedzialność za pomyślność lokalnej policji w Sweetwater.

Blake i Casey usiedli, więc i on zrobił to samo.

— W czym mogę wam pomóc? — szeryf zwrócił się do Blake'a, patrząc na Casey.

Blake przesunął się na krześle i spojrzął na swoją towarzyszkę.

— Chyba znasz Casey.

Roland znał ją dobrze. Za dobrze. Ale to nie był odpowiedni moment. Kaszlnął.

— Uhm, spotkaliśmy się już.

— Casey wie o zbrodni, o którą została oskarżona, Roland. Przyszliśmy tutaj, żeby poznać odpowiedzi na kilka pytań. Sądzę, że nie masz nic przeciwko temu.

Roland zaczerpnął głęboko powietrza i głębiej wetknął koszulę za pasek.

— Jakiego rodzaju odpowiedzi szukacie?

Casey wybrała ten moment, żeby się odezwać.

— Chodzi o dzień, w którym umarł Ronnie. — Kiedy uniosła głowę, jej zielone oczy były pełne łez. Pohamowała je mrugnięciami powiek i wytrzymała jego uważne spojrzenie. —

Muszę wiedzieć, co się stało. Interesuje mnie raport policyjny. Jestem pewna, że coś musiało trafić do archiwum w pana biurze.

Roland czuł się tak, jakby kopnięto go w brzuch. Nigdy by się tego nie spodziewał. I to tak szybko. Do diabła, była w domu dopiero od kilku dni.

— Jest raport, choć Bóg wie gdzie. Wtedy jeszcze nie mieliśmy komputerów. Minęło tyle czasu, zobaczę, czy mogę poprosić Verę, żeby go poszukała. — Nacisnął guzik interkomu.

Kobięcy głos odpowiedział:

— Tak?

— Vero, spróbuj znaleźć raport o Edwardsach. Powinien być na strychu w pudłach z teczkami, które wynieśliśmy kilka lat temu. — Puścił guzik.

— Dobry Boże, Roland, będę tego szukać parę dni! — poskarżył się kobięcy głos.

— A jesteś przeciążona pracą? — Szeryf uśmiechnął się do Blake'a i Casey, gdy czekał na odpowiedź Very.

Głos nie odezwał się jednak.

— Znajdzie go. Tyle że może jej to zająć kilka dni.

— Przypomnę się. Roland, chciałbym zadać ci kilka pytań. Czy masz czas? — zapytał

Blake.

Po tym, jak niedwuznacznie dał Verze do zrozumienia, że biuro szeryfa nie jest przeciążone pracą, nie

pomyślał o własnej drodze ucieczki.

Udawał, że przegląda stos papierów. Boże! Krzyżówka sprzed trzech tygodni. Ważne rzeczy masz tutaj, Parker. Spojrzał na swój tani plastikowy zegarek.

— Znajdę parę minut.

— Powiedz mi, co pamiętasz z tamtego dnia, Roland — poprosił Blake.

Odchylił się na krzesło i modlił się, żeby mebel nie zabrzmiał swoim zwykłym odgłosem podobnym do pierdzenia. Zabrzmiał. Poczuł, że twarz robi mu się czerwona. Do cholery!

Będzie miał nowe krzesło przy biurku, zanim ten dzień się skończy. Popatrzył na Casey. Ciężki uśmiech, nic więcej. Blake pozostał tak sztywny, jak to tylko było możliwe.

— Nie ma za dużo do opowiadania. Casey, hm... obecna tu pani Edwards zwar... Boże, Blake, nie wiem mówić o tym przy niej! — Przeniósł wzrok z Blake'a na Casey. Ile upokorzeń człowiek może wytrzymać w ciągu jednego dnia?

— Szeryfie Parker, nie pamiętam, co zdarzyło się tamtego dnia. Proszę się nie obawiać, że wprawi mnie pan w zakłopotanie. Potrzebuję tylko faktów, niczego więcej.

I nie dostanie niczego więcej, pomyślał.

— Jechałem do domu, kiedy Vera przekazała mi treść wezwania. Byłem szeryfem zaledwie od roku. Pamiętam, jak sobie pomyślałem, że w końcu coś ciekawego dzieje się na tej wyspie. Nudziłem się. Nie ma za dużo przestępstw w Sweetwater. Zwyczajni pijacy, nastolatki jeżdżące za szybko. Od czasu do czasu wezwanie do awantury domowej. Kiedy znalazłem się w waszym domu, przypomniałem sobie swoje wcześniejsze myśli i gorąco pragnąłem móc je cofnąć. — Pokręcił głową. Nawet w swoich koszmarach nie mógłby zobaczyć czegoś tak okropnego, tak nieprawdopodobnego. — Było chyba koło ósmej. Tego dnia przypadało akurat Halloween i mówię wam, nie ma października, w którym nie myślałbym o tamtym wieczorze. Jestem zresztą pewien, że robi to wtedy większość ludzi w Sweetwater. Pani mama, teraz pani Worthington, czekała na werandzie. Ani wcześniej, ani później nie widziałem, żeby kobieta tak mocno się trzęsła. Myślałem, że zemdleje przy mnie, ale tak się nie stało. Poprowadziła mnie do środka domu. Na dole było ciemno. Poszliśmy na górę po schodach.

Popatrzył na Casey, żeby zobaczyć, jak się trzyma. Patrzyła prosto przed siebie, jakby go nie było. Mówił dalej.

— Zobaczyłem panią, pani Edwards, skuloną w kącie korytarza. Pani matka nie powiedziała ani słowa, tylko dalej się trzęsła. Na końcu tego korytarza były częściowo otwarte drzwi. Musiała się tam palić nocna lampka albo coś takiego, nie pamiętam. Pamiętam za to zapach.

— Miedź! — krzyknęła Casey. — Pamiętam!

Blake dał mu znak, żeby przerwał.



— Co jeszcze pamiętasz, Casey? — zapytał.

Zamyślony Roland czekał na jej odpowiedź.

Potrząsnęła głową, jakby próbowała oczyścić umysł. Popatrzyła na niego.

— Szeryfie Parker, proszę mi powiedzieć, jeśli się mylę. Mój Boże, nie mogę w to uwierzyć! — Czula się oszołomiona, jakby została uderzona w głowę. — Może znów tracę przytomność albo moja pamięć przeszła do innego wymiaru, kto wie? Mogę przysiąc, że tamtego dnia widziałam Roberta Bentleya.

— Co takiego?! — krzyknął Blake.

— Poczekaj, Blake — powiedział Roland, wstając, żeby zamknąć drzwi.

Gdy z powrotem zasiadł za biurkiem, obserwował dwójkę, którą miał przed sobą. Milczeli jak zakłęci, oboje pogrążeni we własnych myślach, oboje nieświadomi tego, że analizuje każdy ich ruch.

— Musi być jakieś inne wyjaśnienie, Casey. Dlaczego Bentley miałby tam być? Nie wydaje mi się, żeby w ogóle znał wtedy twoją rodzinę.

— Proszę się tak nie śpieszyć, doktorze. Z pamięcią pani Edwards nie jest tak źle, jak pan myśli. Przynajmniej nie w tym przypadku. Ma rację. Bentley był tam tego dnia.

Blake odwrócił się, żeby raz jeszcze popatrzeć na biuro szeryfa, po czym otworzył drzwiczki przed Casey, a sam obszedł samochód i wsiadł od strony kierowcy.

— Zawsze podejrzewałem, że coś jeszcze wydarzyło się tamtego dnia — powiedział, manewrując volkswagenem na pokrytych kurzem bocznych drogach Sweetwater.

— Co mógł tam robić? — zastanawiała się Casey. Gdyby umiała sobie przypomnieć.

Tylko ona знаła odpowiedź. Oraz matka. W tej sytuacji nie zamierzała jej wypytywać.

— Jeśli Dewitt jest taki dobry, jak twierdzi Adam, może jutro do tej godziny poznamy odpowiedź.

— Mam nadzieję. Czy próbowałaś znów dodzwonić się do Bentleya? — zapytała.

— Tak, włączyła się automatyczna sekretarka. Rozmawiałem też telefonicznie z Becky.

Powiedziała, że dzisiaj go nie było. — Blake zmienił bieg i samochód bez wysiłku wspiął się na wzgórze.

Nie była dotąd w tej części wyspy. Developerzy musieli wykarczować całe połacie bujnej tropikalnej zieleni. Z niechęcią patrzyła na wieżowce i bary szybkiej obsługi z tandetnymi neonami. Nic nie wydawało się trwałe. Obróciła się w stronę Blake'a.

— Dokąd jedziemy?

— Do domu Adama.

— Myślałam, że on mieszka w Atlancie. — Zaczerpnęła głęboko powietrza i westchnęła.

— Dlaczego?

Blake rzucił spojrzenie w jej kierunku.

— Zadzwoił do mnie. Podwożę go do szpitala. Okazuje się, że wysiadł mu samochód.

Zabrał go do Poorman'sa. Zapomniałem ci o tym wspomnieć. Przepraszam. Rzeczywiście mieszka w Atlancie, to jego drugi dom.

— Poorman's?

Blake zaśmiał się serdecznie.

— To jedyny warsztat samochodowy na wyspie. Nie pytaj mnie o tę nazwę. Stary Ptaszek, jak go nazywają, prowadzi ten interes od wielu lat. Właśnie dojeżdżamy. — Wskazał

odrapany drewniany budynek, który wyglądał tak, jakby od przełomu wieków nie miał styczności ze świeżą farbą.

Blake wjechał na parking. Dziesiątki samochodów otaczały warsztat. Starszy mężczyzna podniósł głowę znad maski pikapu, gdy Blake zgasił silnik.

— Szuka pan pana Adama, doktorze?

Patrząc przez okno, Casey pomyślała, że mężczyzna ma na pewno ponad siedemdziesiąt lat. Nosił roboczy kombinezon, który mógł być kiedyś niebieski. Teraz był pokryty olejem, smarem i wieloma różnokolorowymi plamami farby.

Blake wyskoczył z samochodu i podszedł do starszego mężczyzny. Nie dosłyszała, o czym rozmawiają, ale nagłe odezwanie się trzeciego głosu sprawiło, że skupiła uwagę.

Adam, jej przyrodni brat.

W białym letnim garniturze był uosobieniem dżentelmena z Południa. Casey pomyślała, że gdyby dodać słomkowy kapelusz do kompletu, wyglądałby jak Gene Kelly w „Deszczowej piosence”. A to skąd jej się wzięło? Czy była kiedyś miłośniczką kina? Oto kolejne pytanie, na które nie знаła odpowiedzi.

Blake i Adam uścisnęli rękę Ptaszkowi, po czym ruszyli w stronę samochodu.

Otworzyła drzwiczki i podniosła siedzenie, żeby wsunąć się na tylną kanapę.

— To nie będzie konieczne, Casey. — Znieruchomiała. — Mogę siedzieć z tyłu. Muszę dojechać tylko do szpitala. — Ton Adama był pełen dezaprobaty; w jego głosie nawet głuchy usłyszałby pogardę.

Casey wy dostała się z samochodu, stanęła z boku i patrzyła, jak jej nieprzyjazny przyrodni brat wślacza swoje ponad metr osiemdziesiąt na ciasne tylne siedzenie.

Popatrzyła nad dachem volkswagena na Blake’a, który uniósł tylko brwi, wzruszył ramionami, a potem wsunął się na miejsce kierowcy.

Nie miała wyboru, zajęła więc przednie siedzenie i zatrzasnęła drzwiczki. Nagle poczuła, że jest podenerwowana, tak jak wtedy, gdy znalazła w szafie zdjęcie. Zdjęcie Ronniego.

— Jestem wdzięczny za to, że mnie zabrałaś. Zakichany jaguar, luksusowe samochody nie mają nic wspólnego z luksusem — powiedział Adam do Blake’a.

— Właśnie dlatego zatrzymałem garbusa. — Blake z miłością pogłaskał popękana deskę rozdzielczą i popatrzył na Casey. — Nigdy mnie nie zawodzi, zawsze robi dokładnie to, czego od niego chcę.

Wesołość Blake'a udzieliła jej się. Była z tego zadowolona; nie podobał się jej kierunek, w którym zmierzały jej myśli.

— Dlaczego powiedziałeś mi wcześniej, że musisz jeździć od czasu do czasu garbusem, żeby akumulator się nie rozładował?

Adam uśmiechnął się ironicznie.

— Tak też myślałem.

Blake zrobił ręką obraźliwy gest.

— A ja myślałam, że wy dwaj jesteście bardzo dobrymi przyjaciółmi, w każdym razie tak twierdzi Flora. — Casey stwierdziła, że bawi ją ta żartobliwa słowna potyczka między mężczyznami, ale nie rozumiała, dlaczego Adam zachowuje się wobec niej z rezerwą.

Podjechali na szpitalny parking.

Budynek o trzech kondygnacjach oślepił bielą szlachetnego tynku. Kontrastował z ciemną zielenią licznych drzew rosnących wokół. Rozłożyste dęby tworzyły sklepienie nad kamiennym chodnikiem prowadzącym do głównego wejścia.

Nie ma tu niczego nowoczesnego, pomyślała Casey.

Wysiadła z samochodu i pochyliła siedzenie do przodu, żeby wypuścić Adama.

— Chcesz zobaczyć się z Johnem, Casey? — spytał Blake.

Chociaż tego nie planowała, pomyślała, że nadarza się okazja.

— Oczywiście. A mama jest? — Od czasu powrotu do domu bardzo rzadko widywała matkę.

— Nie, nie ma jej. Jest w centrali firmy Worthington w Brunswicku — wyjaśnił Adam.

Popatrzyła na Blake'a.

— Wydawało mi się, że powiedziałeś, że jest w szpitalu z Johnem.

Blake zgromił wzrokiem Adama.

— Sądziłem, że tak jest.

Ruszyli gęsiego ścieżką prowadzącą do drzwi szpitala.

W środkowej części mrocznego holu znajdowała się recepcja. Różowy dywan stłumił ich kroki, gdy zbliżyli się do młodej kobiety, która siedziała za drewnianym blatem z nosem w książce. Casey uśmiechnęła się do siebie. Fajna praca, pomyślała. Najwyraźniej nikt dziś nie umiera.

Dziewczyna położyła książkę na kolanach.

— Czy mogę państwu w czymś pomóc? — zapytała, obrzucając wzrokiem Casey i Blake’a. Zatrzymała spojrzenie na Adamie. — Och, przepraszam, panie doktorze, byłam hm... zajęta. — Szybko odłożyła książkę.

— Jesteśmy tutaj jako rodzina pacjenta. — Adam spojrzał na tabliczkę identyfikacyjną na biurku. — Karen, czy mogłabyś mi powiedzieć, w której sali leży mój ojciec? Przenieśli go na oddział intensywnej terapii.

Dziewczyna sprawdziła w dzienniku.

— Sto pięćdziesiąt cztery.

— Dzięki. — Adam odwrócił się i razem poszli korytarzem. Podtrzymujące życie urządzenia stały przed drzwiami pokoiów. Egzystencja pacjentów mogła zostać w każdej chwili przerwana przez naciśnięcie przycisku. Skręcili w lewo, a następnie w prawo i znaleźli się przed pokojem Johna. Kiedy mieli wejść, Adam zwrócił się do nich:

— Dacie mi minutę? — Pchnął drzwi, nie czekając na odpowiedź. Ciągły dźwięk urządzenia monitorującego oraz na przemian pojawiające się i niknące furkotanie wentylatora ucichły, gdy zamknął za sobą drzwi.

— Umieram z pragnienia. Chcesz coś? W korytarzu obok stoją automaty — powiedział Blake.

— Chętnie napiłabym się czegoś gazowanego.

Patrzyła za Blakiem, gdy niespiesznie szedł korytarzem. Zatrzymywały go pielęgniarki, których z pacjentów pomachał ręką i Blake roześmiał się. Naprawdę polubiła tego mężczyznę.

Najwyraźniej szpitalny personel i pacjenci też darzyli go sympatią. Trudno go nie lubić, pomyślała, spoglądając za oddalającym się Blakiem.

Nagle usłyszała podniesione głosy. Nie chciała wydawać się wścibska, więc usiadła na plastikowym krześle przy drzwiach i wzięła do ręki numer miesięcznika „Redbook”. Nie mogła nic poradzić na to, że słyszy gniewny głos dochodzący z pokoju Johna.

— Do cholery, tato! Mówiłem ci już wiele lat temu, żebyś usunął ją z testamentu. Na dobrą sprawę nie znasz tej kobiety. Chcesz to jej zostawić?! — prawie krzyczał Adam.

Casey usłyszała, że coś upadło na podłogę, a potem przytłumione słowa.

— Nie obchodzi mnie, co mówi Eve. Wiesz, co o niej myślę — ciągnął zdenerwowany Adam.

Wstała i zaczęła spacerować po korytarzu, wypatrując Blake’a. Gotowa już pójść go szukać,

odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że wylania się z rąk z butelkami coli w rękach. Wybiegła mu na spotkanie.

— Hej! — powiedział, podając jej napój. — Wyglądasz tak, jakbyś przed chwilą zobaczyła ducha. Wszystko w porządku? — zapytał.

Nie chciała mu mówić, co przypadkiem usłyszała.

— Nie czuję się dobrze. Sądzę, że powinnam stąd wyjść. — Potrzebowała czasu na zastanowienie. Chciała być sama. Po wizycie w biurze szeryfa Parkera musiała uporządkować myśli.

Blake nie zapytał o przyczynę nagłej zmiany jej decyzji.

— Powiem Adamowi. Ktoś go podrzuci.

Kogo, zdaniem Adama, John powinien wykreślić z testamentu? Moją matkę? Dlaczego?

— Myślę, że najlepiej będzie, jak odwiozę cię do domu — rzekł Blake. — Nie wyglądasz za dobrze.

— Ojej, a myślałam, że ci się podobam — zażartowała.

— Tak. Nie podobają mi się te zmarszczki na twoim pięknym czole.

— Dziękuję za troskę. Myślę, że jestem przemęczona — odparta, gdy zbliżali się do wyjścia.

— Musisz się odprężyć. — Blake przekręcił kluczyk w drzwiczkach volkswagena i otworzył je. — Nadal mam nadzieję, że porozmawiam z doktorem Macklinem i dowiem się, gdzie ukrywa się Bentley.

Casey wsunęła się na siedzenie i oparta o zagłówek.

— Uważasz, że się ukrywa?

— Tylko przypuszczam, ale zamierzam się dowiedzieć. Nadal chcesz jechać jutro do Savannah?

— Oczywiście. Ten koszmar musi się skończyć. Mam nadzieję, że doktor Dewitt będzie umiał mi pomóc.

— Nie mogłaś wybrać lepszego miejsca na spotkanie? Wiesz, że nienawidzę tego pieprzonego promu! — Chwycił się relingu, pewnie oparł się na nogach i nie śmiał się poruszyć. Miał nadzieję, że zjedzona wcześniej sałatka ze świeżych owoców nie wybierze się w drogę powrotną.

Przynajmniej wentylatory pracują bez zarzutu, pomyślał Robert, patrząc na wybrzeże Georgii. Biały dym buchał kłębami z kominów fabryki papieru, pozostawiając za sobą zapach, do którego nigdy nie zdołał przywyknąć. Wstrzymał oddech i wypuścił powietrze z płuc dopiero po chwili.

— A masz lepszy pomysł? Sądząc z tego, co widziałam w ciągu ostatnich kilku dni, moim zdaniem na nowo musisz zastanowić się nad każdym pomysłem, który rodzi się w tym twoim mózdku — łajała go.

Robert nienawidził tej kobiety, nienawidził władzy, jaką nad nim miała. Niedługo, powiedział sobie. Niedługo przyprę tę sukę do muru, może dosłownie. Zawsze chciał trochę ją zmalretować.

— Masz rację. Przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. — Uśmiechnął się do swojej towarzyszki, jednocześnie popychając ją do relingu.

Stanął przed nią, zasłaniając ją sobą, i wsunął dłoń pod jej kremową jedwabną bluzkę.

Znalazł jej sutek i uszczypnął go. Niezbyt mocno, ale dostatecznie, żeby wywołać ból.

Patrzył, jak wciąga powietrze.

— Jesteś chory, wiesz o tym? — Jej słowa były zaprawione odrazą.

Zaśmiał się i pchnął ją swoim twardym penisem. Rzucił spojrzenie za siebie, aby upewnić się, że nie przyciąga niczyjej uwagi, a potem sięgnął do rozporka, wyjął swój oręż i najechał

na jej brzuch.

Zobaczył, jak zaszklily się jej oczy, i wiedział, że bez względu na to, jak pruderyjnie zachowuje się ta suka, publiczna, nieprzyzwoita gra wstępna podoba się jej tak samo jak jemu.

Włożył rękę pod jej spódnicę, odsunął z jednej strony koronkowe majtki. Zaczął masować ją palcami, dotarł do źródła rozkoszy, poczuł wilgoć. Tak, pomyślał, nie sprzeciwia się temu.

Nigdy.

Nadal ją pobudzał. Wzięła jego członek w dłoń i wolno wodziła po nim palcami. Nozdrza mu się rozszerzyły, gdy zaczęła go pieścić szybko i mocno.

Odepchnął jej rękę.

— Jeszcze nie.

Palce zastąpiły penis. Zmieniła się na twarzy, i doświadczenie podpowiedziało mu, że nie z bólu, tylko z przyjemności.

Ciepła wilgoć okryła jego dłoń niczym rękawiczka. Czuł jej drzenie, gdy wyciągał wszystkie palce oprócz jednego z jej mokrego wnętrza. Pocierał jej łechtaczkę. Gdy nadszedł orgazm, cała zadrżała.

Wyjął dłoń i szepnął jej do ucha:

— Teraz moja kolej.

Znów objęła dłonią jego członek. Wytrysnął na przód jej różowej bluzki i patrzył z satysfakcją na jej przerażoną minę.

— Użyj tego — powiedział, podając jej swoją chusteczkę.

Zbierała nasienie i rozglądała się, najwyraźniej próbując się upewnić, że nikt nie widzi, co robią.

— Teraz, Robercie, musimy porozmawiać. Hank powiedział mi, że przedwczoraj podsłuchał rozmowę Lilah w bibliotece. Mówił, że Casey zadaje wielu osobom pytania. I ta namiastka szpiega, którą masz w sekretariacie sądu, cóż, powiedzmy po prostu, że musisz na nią jakoś wpłynąć. — Zły uśmiech pojawił się na jej twarzy. — Przeleć ją, jeśli będziesz musiał, Robercie. To zawsze była twoja mocna strona. Może uzyskiwałbyś lepsze rezultaty, gdybyś używał jej częściej.

Boże! Gdyby wiedziała. Posuwał Marianne w sądzie setki razy. Gdyby ktokolwiek wiedział, że kiedyś zrobił to z nią w jej gabinecie na rozpostartym sztandarze amerykańskim, zostałby aresztowany za profanację flagi. Trochę tak jak jego idol, którego skrycie wielbił, Larry Flynt.

Zaśmiał się krótko.

— To — powiedział, głaszcząc swoje przyrodzenie — jest twoje i tylko twoje.

Rozmawialiśmy już o tym. Przynależę ci, nie ma innych. — Dopóki nie przestanie mu wierzyć, nadal będzie karmił ją kłamstwami.

Rzuciła mu spojrzenie, z którego jasno wynikało, że nie daje wiary jego słowom, pomyślał jednak, że dopóki o tym nie powie, będzie zakładał, że jest tak naiwna, jak sam myśli.

— Co jeszcze, Robercie? Musimy się pośpieszyć. Przejazdźka promem już się kończy. Nie wiem, kiedy znów będziemy sami.

— Adam załatwił jej wizytę u doktora Dewitta, do którego dzisiaj zadzwonię. Możesz mówić o



Adamie, co chcesz, ale teraz akurat wyświadcza nam wielką przysługę. Myślę, że drogi doktor Dewitt szczegółowo wypełni moje instrukcje, jeśli chce nadal praktykować w stanie Georgia.

— O czym mówisz?

Objął ją ramieniem, gdy przygotowywali się do zejścia na nabrzeże.

— Doktor Dewitt jest przekonany, że terapia regresywna pozwala pobudzać pacjentów, którzy cierpią na amnezję. Jeśli nie odzyskają pamięci w pełni, to chociaż mają na to większe szanse. Chyba chodzi o ich podświadomość. Przynajmniej ja tyle z tego pojąłem.

— Nadal nie rozumiem — powiedziała Eve, gdy szli do swoich samochodów.

— Czy muszę ci to narysować? Dawka LSD, wielka dawka, pośle panią Edwards z powrotem tam, gdzie powinna być i skąd nigdy już nie wróci.

— Tym razem niczego nie zaniedbaj, Robercie. Nie możemy sobie pozwolić na kolejny błąd.

Gdyby ktoś ich obserwował, pomyślałby, że rozmawiają o pogodzie albo o najnowszym filmie.

Nikt by nie uwierzył, że spiskują, aby doprowadzić kogoś do obłądu.

\* \* \*

Casey ostatni raz sprawdziła zawartość torby, aby się upewnić, że zapakowała wszystko, czego będzie potrzebowała w podróży.

— W porządku — powiedziała do siebie, przeglądając stos ubrań. Dwie pary spodni, sweter i na wszelki wypadek czarny jedwabny garnitur, granatowy podkoszulek, również granatowa koszula nocna oraz trzy pary koronkowych majteczek. Powściągnęła uśmiech.

Przygotowywała się do wizyty w gabinecie psychiatry czy romantycznego sam na sam we dwoje?

Flora była zajęta w kuchni wraz z Mabel, a Julie miała zasłużony wolny dzień. Biedna dziewczyna pracowała po czternaście godzin, żeby związać koniec z końcem. Casey przypuszczała, że jeśli Julie będzie chciała opowiedzieć jej o swoim życiu, zrobi to. Do tego czasu należy powstrzymać się od zadawania pytań, jeśli mają pozostać przyjaciółkami.

Matka nie wróciła do Łabędziego Domu. Flora dowiedziała się od niej, że nie opuści szpitala, dopóki stan Johna się nie poprawi, i że zamierza spędzić tę noc w centrali firmy Worthington, gdzie John miał małe mieszkanie. To ma sens, pomyślała Casey.

Spojrzała na zegar i stwierdziła, że Blake zjawi się lada chwila. Obawiała się wizyty u doktora Dewitta, a jednocześnie nie mogła się jej doczekać. Im szybciej uzyska odpowiedzi na swoje pytania, tym prędzej rozpocznie nowe życie.

Na myśl o Blake'u serce zabiło jej mocniej. Wczoraj podczas powrotu do domu zachował

się taktownie. Nie zadawał pytań, po prostu pozwolił jej odpoczywać i cieszyć się wspólnym milczeniem. Wprowadził zmiany w swoim kalendarzu, żeby móc ją dziś zawieźć.

Dewitt. To nazwisko coś jej mówiło. Ciekawe, czy był kiedykolwiek w szpitalu. Może to tam usłyszała jego nazwisko. Może należał do grona kolegów doktora Macklina.

Odkąd pamiętała, Macklin był etatowym psychiatrą. W dniu, w którym została zwolniona, po prostu zniknął. Blake dzwonił do niego do domu, ale nikt nie odbierał telefonu.

Wspomniał o Mercy, gdzie doktor Macklin pracował, zanim podjął etat w szpitalu. Ciekawe, co by o niej pomyślał, gdyby zobaczył ją teraz. Po zaledwie trzech dniach nie była już tą kobietą, która opuszczała szpital, bojąc się własnego cienia. Miała wrażenie, że to działo się dawno temu.

Usłyszała odgłos rozmowy i zeszła szybko po schodach, nie chcąc, żeby Blake czekał.

Na najniższym stopniu zatrzymała się, zanim ją zauważył, tylko po to, żeby móc na niego popatrzeć. Ciemne włosy Blake'a były wciąż jeszcze wilgotne po porannym prysznicu i Casey wyobraziła sobie, że poczuje zapach jego piżmowej wody po goleniu. Miał na sobie jasnobrązowe spodnie i czerwoną koszulkę polo. Pomyślała, że wygląda tak apetycznie, że można by go zjeść. Musiała wydać jakiś dźwięk, bo zauważył, że stoi u stóp schodów.

Podszedł z wyciągniętą ręką i chwycił jej torbę podróżną.

— Wyglądasz wspaniale, Casey — orzekł, gdy prowadził ją do drzwi wejściowych.

— Dzięki. — Cieszyła się teraz, że poświęciła dodatkowe minuty na wysuszenie włosów i zrobienie makijażu.

— To dla was. — Flora szybko wyszła z kuchni. — Mabel mówi, że dzięki temu nie będziecie się zatrzymywać w tych strasznych barach szybkiej obsługi. Myślę, że tym, co tutaj włożyła, można by nakarmić armię. — Podała Blake'owi biały wiklinowy koszyk. Serwetki w czerwono-białą kratkę były zapakowane w bocznej przegródce, osobne miejsce miał też termos.

— Podziękuj jej od nas, Floro, to miło, że zadała sobie tyle trudu — powiedziała Casey, czekając, aż Blake poradzi sobie z bagażem.

— To żaden kłopot. Ta kobieta gotuje tyle, że można by wyżywić wszystkich na tej wyspie. Jedźcie już. Zadzwoń do mnie, Casey.

— Zadzwonię. Nie martw się — zapewniła Casey, ściskając swą opiekunkę na pożegnanie.

Wiedziała, że Flora jest o nią niespokojna, zwłaszcza po tym, jak odkryła, ile powiedział jej Blake.

Samochód Blake'a, teraz wiedziała, że to bmw, stał z otwartym bagażnikiem na podjeździe. Najwyraźniej volkswagen nie wytrzymałby podróży. Blake włożył do bagażnika ich torby oraz koszyk z przysmakami od Mabel i podszedł, żeby otworzyć drzwiczki od strony pasażera.

— Jesteś gotowa? — zapytał, gdy zapinali pasy.

— Tak, tylko trochę zdenerwowana.

— Ja też bym był, Casey. Jeśli ten lekarz jest tak dobry, jak utrzymuje Adam, to może za kilka godzin będzie już po wszystkim.

— Wiem. Boję się, Blake. Boję się siebie, osoby, którą byłam, chociaż nie wydaje mi się, żebym była złym człowiekiem. Sądzisz, że mam rację, czy to tylko pobożne życzenia?

— Myślę, że masz rację. Znałem cię, kiedy byłaś mała, i na pewno, do diaska, nie byłaś zdolna... — Przejechał ręką włosy.

— Do popełnienia morderstwa? W porządku, możesz to powiedzieć. Nie czuję się morderczynią. Jak długo jedzie się do Savannah? — zapytała, aby zmienić temat. Będą penetrować pustkę jej umysłu, gdy tam dotrą. Do tego czasu chciała cieszyć się pięknym dniem, dobrze się bawić i poczuć... kobietą? Może chciała... poflirtować z Blakiem?

— Nie jest tak daleko. Rozluźnij się, kiedy masz okazję. — Uścisnął ją za rękę. Miał rację.

To mógł być ostatni spokojny dzień w jej życiu.

Doktor Jason Dewitt, absolwent Harvardu, podziwiał oprawione dyplomy wiszące na świeżo pomalowanych ścianach gabinetu. Solidne dębowe ramy, tylko to, co najlepsze.

Zabytkowe biurko, chiński jedwabny dywanik i lampa od Tiffany'ego tworzyły właściwe tło dla obiecującego młodego profesjonalisty. Dwa krzesła w stylu królowej Anny i mała kanapa dla tych pacjentów, którzy uważali, że pozycja siedząca nie pozwala im w pełni się odprężyć, odpowiednio rozmieszczone, zapewniały komfortowe warunki każdemu, kto doświadczał

niepokoju. Brzmiało to żałośnie, nawet dla jego uszu profesjonalisty. „Doświadczać niepokoju”. Termin, którego nauczył się na studiach. Na Wschodzie używano tego określenia zamiast dosadnego „czubek” albo „wariat”.

Za biurkiem były drzwi prowadzące do dużej łazienki. Pysznic, umywalka i pełny barek zapewniały doktorowi Dewittowi nawet w czasie pracy wszystkie potrzebne wygody.

Prawie, pomyślał, gdy wyciągnął rękę, żeby poprawić ramę. Dziadek był perfekcjonistą.

Sędzia, jak o nim mówił. Czcigodny William Dewitt. Szanowany przez środowisko prawnicze w Savannah przez ponad pięćdziesiąt lat.

Podszedł do okna. Gabinet znajdował się przy East Bay Street, naprzeciw budynku Starej Giełdy Bawełnianej. Nadrzeczną dzielnicę zmieniono w istną pułapkę na turystów. Dawne śródmieście Savannah przyciągało teraz zwiedzających z całego świata. W sklepach sprzedawano słynne pralinki z orzeszkami pekana i toffi domowej roboty. Lokalni artyści wystawiali najnowsze dzieła w sklepach zaprojektowanych tak, by wabiły, prowokowały i, jak uważał Jason, przede wszystkim oskubały

klienta. Od czasu premiery „Północy w ogrodzie dobra i zła” Savannah stało się południowym Disneylandem, gdzie można było, za pewną opłatą, podglądać prywatne życie świetniejszych i mniej świetnych mieszkańców tego miasta.

Spuścił roletę do połowy.

Siedząc przy biurku, ponownie sprawdził zapiski w swoim terminarzu wizyt. Nic.

Sędzia uważał otwarcie gabinetu w Savannah za mądre biznesowe posunięcie, ale Jason był pewien, że nikt ze znaczących obywateli miasta nie będzie chciał obnażyć swojej duszy.

Uległ namowom i chociaż rozum podpowiadał mu co innego, pozwolił, żeby dziadek, jak zwykle, podjął za niego decyzję. Rodzice zginęli w katastrofie małego samolotu, kiedy miał

trzy lata, i odtąd sędzia ich zastępował. Jason zawsze oddawał mu pole przez szacunek. To się skończyło. Sędzia spoczywał dwa metry pod ziemią, a on był panem swojego losu.

Przeprowadzka do Atlanty powinna załatwić sprawę. Och, wysoko go ceniono, przyjeżdżali do niego pacjenci z całego kraju. Pomógł wielu ludziom uwolnić się od fobii i irracjonalnych lęków i dojść do ładu ze swoim życiem. Opublikował wiele artykułów naukowych. A jednak nie był zadowolony. Potrzebował do szczęścia czegoś więcej niż tylko pracy. Nie zwierzył się z tego pragnienia nikomu oprócz sędziego.

Ciche pukanie w uchylone drzwi gabinetu wytrąciło go z zadumy.

Udał, że jest pogrążony w lekturze medycznego czasopisma, gdy rzucił: „Tak?” Jo Ella, jego recepcjonistka, stała w progu, czekając, aż zaprosi ją do środka.

— O co chodzi, Jo Ella? — Jason zdjął okulary w metalowej oprawie i potarł skronie.

Okulary były wyłącznie rekwizytem. W wieku trzydziestu trzech lat wyglądał na dwadzieścia trzy. Krótko przycięte kasztanowate włosy, niebieskie oczy i nieduży zarost nadawały Jasonowi młodzieńczy wygląd. Nienawidził tego, że nie wygląda na lekarza. Był przeciętny pod każdym względem — przeciętny wzrost, przeciętna budowa ciała.

— Telefonuje niejaki Robert Bentley. Mówi, że to pilne.

Milczał.

— Doktorze? — przynagliła go Jo Ella.

— Hm, tak, przyjmij wiadomość. — Pochylił głowę, znowu udając, że czyta.

— Zrobiłam to. Powiedział, że chodzi o sprawę życia i śmierci. — Jo Ella uśmiechnęła się, odsłaniając idealnie białe zęby.

— Czy nie jest tak za każdym razem?

— Co mam mu odpowiedzieć, doktorze?

— Połącz rozmowę. — Jason patrzył, jak Jo Ella wraca do swojego biurka. Zanim przysłała ją poprzedniego roku agencja pośrednictwa pracy, Jason obiecał Tarze Hodges, że ją zatrudni.

Tara była pełna optymizmu, jasnowłosa i krzepka, miała wszystkie cechy, którymi pogardzał u kobiet. Dopóki Jo Ella nie weszła do jego gabinetu, Tara była znakomitą kandydatką, bo ani trochę mu się nie podobała. Jo Ella okazała się jego ideałem. Zapomniał o obietnicy danej Tarze i z miejsca zatrudnił tę młodą kobietę. Kiedy po paru dniach zadzwonili z poprzedniej agencji z pretensjami, powiedział, żeby pilnowali swojego nosa, i przypomniał

im, z kim mają do czynienia.

Patrzył na telefon na swoim biurku, czekając, aż Jo Ella przełączy rozmowę. Zastanawiał się, w jaki sposób ten Bentley znalazł jego prywatny numer.

Nacisnął guzik i podniósł słuchawkę. Później będzie się tym martwił.

— Doktor Dewitt — powiedział swoim najbardziej profesjonalnym tonem.

— A niech mnie — rozległ się męski głos.

— Kto mówi? — zapytał Dewitt, zirytowany tym, że ktoś mu przeszkadza.

— Robert Bentley — powtórzył mężczyzna tym samym chłodnym tonem.

— I to ma coś znaczyć? — warknął Jason do słuchawki. Nienawidził gierek. Odsunął słuchawkę od ucha, gotów rzucić ją z powrotem na widełki, i wtedy tamten podniósł głos.

— Czy nazwisko Amy Woods coś panu mówi?

Jason poczuł się tak, jakby zniecka otrzymał cios w brzuch. Zaczerpnął tchu, zanim zapytał:

— Kim pan jest i czego pan chce?

— Amy. Przypomina ją pan sobie, doktorze Dewitt?

W jednym błysku Jason zobaczył całe swoje życie. Jego plany, żeby przenieść się do Atlanty, byłyby warte tyle, co brudna woda po myciu naczyń. W ułamku sekundy przebiegła mu przez głowę myśl: Dzięki Bogu sędzia nie żyje.

— He? — zapytał. Takim tonem mówiły męty z rynsztoka, które skradały się za turystami po zmroku. Kropelki potu wystąpiły na jego górnej wardze, koszula od Pierre'a Cardina nagle stała się wilgotna.

Bentley ryknął serdecznym śmiechem.

— Nie proszę o pieniądze, Dewitt, przynajmniej jeszcze nie.

Jason wyjął chusteczkę z kieszeni na piersi i otarł twarz.

— A więc o co pan prosi? — Nienawidził swojego drżącego głosu. Zachowywał się jak mięczak. Do diabła, w tym momencie był mięczakiem.

— O pańskie usługi.

— Czy potrzebuje pan psychiatry? — Poczul ulgę. Bentley wspomniał wcześniej o Amy.

— Niektórzy mówią, że tak. — Kolejny wybuch śmiechu.

— Albo powie mi pan, o co panu chodzi i kim pan jest, albo odłożę słuchawkę.

Pewnie, ty tchórze, pewnie, pomyślał sam o sobie.

— Robert Bentley. Jestem dyrektorem szpitala w Sweetwater. Jedna z naszych byłych pacjentek zapisała się do pana na wizytę.

— I?

— Muszę wiedzieć na kiedy. Nazywa się Edwards.

Jason stuknął w przycisk „wstrzymaj” i zobaczył, że ręce mu się trzęsą. Nie mógł

pozwolić, żeby Jo Ella zobaczyła go w takim stanie. Zwrócił się do niej przez interkom, co robił tylko wtedy, kiedy był bardzo zapracowany.

— Tak, doktorze? — zapytała Jo Ella.

— Hm, tak. Mam nową pacjentkę. Nazywa się Edwards. Kiedy jest umówiona na wizytę?

Usłyszał szelest papierów.

— Jutro rano o dziesiątej.

— Dzięki.

Otworzył szufladę biurka i chwycił fiolkę valium. Połknął dwie tabletki, zanim podniósł słuchawkę.

Odchrząknął.

— Jutro. O dziesiątej.

— Wspaniale. Teraz proszę posłuchać, i to posłuchać uważnie, bo powiem to tylko raz.

Pani Edwards cierpiała na amnezję pourazową przez dziesięć lat. Nigdy nie przeszła terapii regresywnej żadnego rodzaju. Dlatego wybiera się do pana. Kiedy przebywała w szpitalu, mieliśmy to szczęście, że pracował u nas doktor Philip Macklin. — Głos umilkł na chwilę. —

To nazwisko może coś panu mówi, a może nie, ale mówiło ono cholernie dużo rodzinie Woodsów. To on pozwolił pana przyjaciółce Amy opuścić szpital na specjalną weekendową przepustkę, aby mogła powiedzieć swojemu kochankowi, że jest w ciąży. Podobno nigdy nie wróciła. Jakoś nie mogę zapomnieć o tej tragicznej historii, zresztą nie mógł też zarząd Mercy.

— Rozumiem.

— Tak? A jak jasno pan to rozumie, doktorze Dewitt?

— Jak słońce. — Westchnął. — Co pan chce, żebym zrobił? — Dowie się, kim dokładnie jest ten sukinsyn, i drań pożałuje, że w ogóle podniósł słuchawkę, żeby do niego zadzwonić.

— Myślę, że powinno to być oczywiste. Z powodów, które pana nie dotyczą, chcę, aby pan mnie zapewnił, że pani Edwards nie zbliży się do przypomnienia sobie swojej przeszłości. Wydaje mi się, że gdzieś czytałem o pana metodzie leczenia pacjentów LSD-25.

To by wysłało panią Edwards na wycieczkę.

— Mój Boże! Nie praktykuje się tego od lat. To skrajnie niebezpieczne.

— Myślimy podobnie, doktorze Dewitt. Sądzę, że nie muszę mówić nic więcej, a pan?

Jason poczuł skurcz żołądka. Do cholery z tym człowiekiem, zabiję go, jeśli trafi się okazja.

— Gdzie mam zdobyć LSD? Nie mogę przecież wypisać tego na zwykłą pieprzoną receptę. Jaką mam gwarancję, że będzie pan milczał? — Nienawidził siebie za zadanie tego pytania.

— Spokojnie, doktorze. Proszę się tak nie irytować. O tym też pomyślałem. Dziś wieczorem, kiedy pojedzie pan do rezydencji dziadka, dostanie pan przesyłkę. Proszę samemu otworzyć drzwi posłańcowi. Reszta powinna być prosta. Jeśli chodzi o gwarancję, może pan po prostu o niej zapomnieć. — Trzask na drugim końcu linii nie pozwolił na żadne dyskusje.

Skurwysyn!

Od wielu lat Jason nie myślał o Amy i nie chciał tego robić. Pozostawił tę część swojego życia za sobą w dniu, w którym sędzia wysłał go do Harvardu, gdzie harował jak wół, żeby dziadek był z niego dumny. I żeby zapomnieć.

Pamiętał, jak sędzia zawołał go i powiedział, że doktor Macklin został zwolniony ze stanowiska i dlaczego. Potem już do śmierci nie wspominał o tym. Kazał Jasonowi obiecać, że nie dopuści do tego, żeby nazwisko Dewitt zostało splamione, bez względu na to, co będzie musiał zrobić...

Jason otworzył drzwi, podszedł do barku i nalał sobie łyk szkockiej. Chociaż bardzo niechętnie

przyznał się do tego przed sobą, starszek nadal kierował jego życiem. Prosto z grobu.

Zrobi to, co trzeba. Nazwisko Dewitt pozostanie czyste. Jason bardzo dobrze umiał dochowować tajemnic.

\* \* \*

Słowo „ulga” to za mało, by opisać to, co poczuła, gdy Blake podał jej klucz do pokoju i powiedział, że on zamieszka obok, w tym samym korytarzu. W czasie jazdy przyszło jej do głowy, że Blake będzie chciał dzielić z nią pokój. Nie była jeszcze na to gotowa.

Gastonian Inn, położony w historycznej dzielnicy Savannah, nie wyglądał na hotel, raczej na starą, odrestaurowaną rezydencję. Blake roześmiał się i powiedział, że trafiła w dziesiątkę.

Casey rozejrzała się po pokoju, w którym stało dwumetrowej szerokości łóżko z baldachimem. Był też kominek, a w łazience wielka marmurowa wanna. Blake miał zabrać ją na obiad do miasta, a następnie na wycieczkę statkiem rzecznym w świetle księżyca. Czują się jak młoda dziewczyna przygotowująca się do szkolnego balu, chociaż nie miała bukietu kwiatów, sukienki i sztywnej fryzury.

Ubrana w wygodne spodnie z czarnego jedwabiu oraz równie wygodną bluzkę Casey wsunęła stopy w sandały i nałożyła odrobinę koralowej szminki. Matka nie żałowała pieniędzy na jej garderobę, a gust miała znakomity. Perfumami o zapachu gardenii spryskała się za uszami i na karku. Kiedy dostrzegła swoje odbicie w dużym lustrze, kiwnęła głową z aprobatą. Nadal zdumiewało ją to, że zaledwie kilka dni wcześniej opuściła szpital psychiatryczny. Wtedy nie miała rumieńców na policzkach, czarne włosy były w strąkach, a oczy tak samo puste jak jej życie. Teraz te same oczy lśniły, wydawało się, że nawet przytyła o dwa czy trzy kilogramy.

Słyszac lekkie pukanie do drzwi, chwyciła torebkę. Na progu stał Blake w czarnej smokingowej marynarce i zwężających się ku dołowi wieczorowych spodniach. Zamiast klasycznej białej koszuli wybrał jednak czarną. Emanował seksapilem. Patrzył rozbawiony na Casey, która aż zagapiła się na niego. Odważył się i zerknął w dół.

— Spodnie mam zapięte — powiedział i się zaśmiał. Na jej twarzy mignęło zakłopotanie.

— Przepraszam. Wyglądasz dzisiaj bardzo przystojnie, zaskoczyłeś mnie — wyjaśniła, zamykając za sobą drzwi.

— To dobrze. Lubię, kiedy zastanawiasz się, co się jeszcze zdarzy. Pani, powóz czeka.

Poszli długim korytarzem, trzymając się za ręce. Kinkiety rzucały na nich złotą poświatę, a żółte i białe róże w wazonach rozsiewały odurzający aromat.

Casey nie mogła uwierzyć własnym oczom, gdy wyszli na zewnątrz. Blake mówił serio, kiedy powiedział „powóz czeka”. Wspięli się do środka karety powożonej przez woźnicę ubranego w liberię. Dwa piękne, duże konie czekały na sygnał.



Casey wciągnęła powietrze. Zapach koni, słomy i wyprawionej skóry przenikał wewnątrz powozu.

Popatrzyła na Blake'a.

— Nie mogę uwierzyć, że zadałeś sobie tyle trudu.

Stukot końskich kopyt o brukowaną ulicę, ciepły wieczorny wietrzyk dmuchający łagodnie przez małe otwarte okna i Blake siedzący bardzo blisko niej — wszystko to sprawiło, że Casey poczuła się szczęśliwa. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze zazna podobnie intensywne uczucia.

Postanowiła, że nie pozwoli, żeby coś zepsuło ten wieczór. Należał do niej i do Blake'a. I mógł być jedyny.

— Nie zadałem sobie trudu. Zadzwoiłem, podałem im numer mojej visy i *voilà!* —

Wskazał gestem kareteę.

— Co to jest visa?

— Och, to karta kredytowa. Wiesz, jak Master Charge. Tylko że teraz nazywa się MasterCard. Jest naprawdę lepsza niż gotówka.

— Byłam wystarczająco długo zamknięta, żeby świat się zmienił. — Westchnęła i wyglądała przez okno, gdy jechali przez historyczną dzielnicę Savannah.

— To park Forsytha — wyjaśnił Blake, gdy zobaczył, że pochyliła się ku oknu. —

Przyciąga wielu turystów.

— Jest cudowny — stwierdziła Casey, gdy mijali słynny park.

— Tak, to prawda. Stare Savannah oferuje mnóstwo rozrywek. Można nawet zwiedzać niektóre zabytkowe rezydencje. W kilku z nich opowiada się o duchach. — Blake uśmiechnął się szeroko.

— To na pewno dobra zabawa. Chciałabym kiedyś tu wrócić. Teraz — odwróciła się w jego stronę — chcę się po prostu tym cieszyć. — Wtuliła się w zadziwiająco wygodne siedzenie. Równomierny stukot końskich kopyt uspokajał ją. Powóz nagle się zatrzymał, wytrącając Casey ze stanu odprężenia. Wyrzała i stwierdziła, że są na East Broad Street.

Blake wręczył woźnicy napiwek i pomógł jej wysiąść. Pantofle na wysokim obcasie nie pasowały do brukowanych ulic Savannah.

Objął ją ramieniem, gdy przebijali się przez tłum zgromadzony przed Domem Piratów.

— My nie musimy czekać? — zapytała Casey, kiedy wchodzili do restauracji.

— Wczoraj zarezerwowałem stolik. Pomyślałem, że ci się tu spodoba. Ogrody, które widzieliśmy na zewnątrz, były pierwszymi eksperymentalnymi ogrodami warzywnymi w Ameryce. W osiemnastym wieku była tu gospoda dla marynarzy i podróżników.

Nie było trudno w to uwierzyć, patrząc na nieobrobione belki stropowe. Tabliczka po prawej stronie informowała, że przy budowie stropu nie użyto ani jednego gwoźdźca i że belki połączono za pomocą drewnianych kołków. Uśmiechnęła się, bo zdała sobie sprawę, że Blake stale ją zaskakuje.

— Coś zabawnego? — zapytał, gdy hostessa prowadziła ich przez labirynt korytarzy.

— Ty. Nigdy bym nie zgadła, że takie rzeczy na ciebie działają.

— Działają. Zawsze uwielbiałem historię. Co o tym myślisz?

— Jest tu wspaniale. Nie miałam pojęcia, że takie miejsce istnieje.

Usiadłszy w osobnej jadalni, Casey, całkowicie rozluźniona, pozwoliła Blake'owi dowodzić.

Złożył zamówienie w imieniu ich obojga. Nigdy nie widziała tyle jedzenia naraz, nie mówiąc o koszyku piknikowym, który spakowała Mabel. Podczas jazdy spróbowali trochę tego, co przygotowała kucharka, i teraz Casey cieszyła się, że zjedli tylko trochę.

Talerze z krabami królewskimi, błękitnymi i alaskimi, wypełniły stół. Ogromne krewetki pachnące słodko przyprawą Old Bay podane na stosach rozkruszonego lodu i mniejsze krewetki nałożone na podściółki z ryżu, do tego sałatka ze świeżych zielonych warzyw, które, jak powiedział im kelner, pochodziły z ogrodu restauracji. Gdyby to nie wystarczyło, kusiły ich małe bochenki chleba, a także gliniane garnuszki z masłem domowego wyrobu. Druga butelka wina dyskretnie czekała w pojemniku.

— Myślisz, że zjemy to wszystko? — zapytała Casey, gdy sięgała po kraba.

— Coś mi mówi, że gdybym założył się, że nie, na pewno bym wygrał — powiedział

Blake, obierając krewetkę.

Nie był to posiłek, który pozwalałby im na przeciągłe spojrzenia i pogaduszki.

Wydobywanie cennych kęsów krabów i krewetek okazało się niełatwe. Casey dwukrotnie ukłuła się kleszczami kraba i Blake pokazał jej, jak odciągnąć skorupę, używając jednego z kleszczy jako uchwytu.

Dwie godziny później byli na pokładzie „Królowej Georgii” razem z paroma setkami innych osób, które postanowiły spędzić ten wieczór na statku wolno przesuującym się wzdłuż brzegu rzeki Savannah.

Casey patrzyła na wodę i znów poczuła, że ogarnia ją nieopisany spokój. Blake stał obok niej, najwyraźniej pogrążony we własnych myślach. Leciutki wietrzyk chłodził jej rozgrzaną skórę.

To nie z powodu temperatury powietrza było jej gorąco. Ukradkiem spojrzała na Blake'a.

Sprawiał to on. Przez ostatnie dwie godziny wzbierało w niej pożądanie. Pragnęła tego mężczyzny, który przez cały wieczór dbał, żeby każda jej potrzeba została zaspokojona.

Każda, oprócz tej, pomyślała Casey.

Jeszcze raz zerknęła na Blake'a. Jej serce zatrzepotało.

Teraz wiedziała. On też to czuł, była tego pewna. Słowa nie były potrzebne, gdy spotkały się ich spojrzenia. Blake postąpił krok do przodu i wziął ją w ramiona.

Casey przytuliła się i objęła rękami jego plecy. Z nim była bezpieczna. Blake nie pozwoli, żeby cokolwiek jej się stało. Przyciągnął ją jeszcze bliżej i kołysali się w takt melodyjnego bluesa, który docierał do nich spod pokładu. Nie słyszała poszczególnych słów wykonawcy; nie potrzebowała tego. Słodko-gorzki rytmiczny śpiew wydawał się jej chórem anielskim, gdy Blake trzymał ją w ramionach.

W miejscu, w którym nie mogli być widoczni, Blake pochylił się i poszukał ustami jej warg. Działo się to jakby w zwolnionym tempie. Jego usta miały ciepły i słodki smak od wina, które wypili. Przyszło jej na myśl słowo „rozkosz”, kiedy pocałunek Blake'a podniecił

ją tak bardzo, że nigdy by się tego po sobie nie spodziewała. Usłyszała własny wdech, gdy jego język drażnił jej pełne wargi. Porwana nową dla niej śmiałością, odwzajemniła jego pocałunek z pasją, jakiej jeszcze nie czuła.

Przeszedł ją dreszcz pożądania. Oboje stracili nad sobą panowanie, dali się ponieść namiętności. Języki się splotły, żądza odpowiedziała na żądzę.

Ich wzajemne pragnienie siebie osiągnęło punkt kulminacyjny, a potem opadło, co sprawiło, że Casey poczuła każde włókno swojego ciała. Zaczerpnęła głęboko powietrza, gdy Blake całował jej szyję, zostawiając gorące ślady w miejscach, których dotknął wargami.

Kiedy wysunął się z jej ramion, powitała to z niechęcią. Oparł się o reling statku. Stała bez ruchu, a jednak nie pamiętała, żeby była kiedyś bardziej ożywiona. Jego czarne włosy odznaczały się na tle niebieskawej czerni nocy. Światła z brzegu odbijały się w jego zamglonym spojrzeniu, gdy na nią patrzył. Casey żałowała, że nie może namalować tej chwili. Nigdy nie widziała doskonalszego mężczyzny. Zdjął wcześniej marynarkę i odpiął

górną guzik koszuli, ukazując część torsu z ciemnymi włosami, o których Casey wiedziała, że będą miękkie w dotyku. Odważyła się unieść rękę i dotknąć ich. Miękkie jak puch, pomyślała, gdy końce jej palców przesuwały się po piersi Blake'a.

Ujął jej dłoń i okrywał ją wilgotnymi pocałunkami. Wiedziała, że sama musi się pohamować, bo nie mogła zaręczyć, że nie doszłoby do czegoś więcej tu, na czwartym pokładzie, gdyby tego nie zrobiła. Odsunęła się od Blake'a. Wcisnął ręce do kieszeni i potrząsnął głową.

— Casey, wydaje się, że niczego nie robię jak trzeba, kiedy jestem blisko ciebie.

Obiecałem ci coś i popatrz na mnie. Nadal zachowuję się jak uczeń.

— Przestań — powiedziała, kładąc mu palec na ustach. — Lubię uczniów. Słuchaj, Blake — dodała, opierając ręce na jego barkach — przestań przeproszać za każdym razem, kiedy mnie dotkniesz. Ten pocałunek sprawił mi taką samą przyjemność jak tobie. Nie powstrzymałam cię przecież. — Rozejrzała się wokół. — Wygląda na to, że „Królowa Georgii” jest gotowa do snu. Myślę, że też powinniśmy już iść.

Blake chwycił jej rękę.

— Masz rację. Casey, chcę, byś wiedziała, że nie było mi tak przyjemnie z żadną kobietą... do diabła, znowu to robię. Chciałem powiedzieć, że...

— Ciii, wiem. Ja też to czuję. — Opuścili statek objęci i zadowoleni.

Sen pojawił się znowu, nie mogła nad nim zapanować. Dryfowała na krawędzi uśpienia, a potem ostatecznie zanurkowała w nicość, gdzie rządziła podświadomość, a najważniejszą rolę odgrywały sny.

*Była znów w tej szafie. Z tyłu miała kurtki i swetry. Wcisnęła się w kąt, przyciągnęła nogi do siebie i położyła głowę na kościstych kolanach. Wiedziała, że przyjdą po nią niedługo.*

*Obiecała sobie, że nie będzie krzyczeć i płakać. Nie tym razem. To nigdy nie miało znaczenia.*

*Pozwoliliby, żeby tu umarła. Nienawidziła ich. Pragnęła, żeby jej mama zachowywała się tak jak Flora. Pragnęła, żeby piekła jej ulubione ciasteczka z masłem orzechowym i się z nią bawiła. I on! Jak go nienawidziła! Zawsze patrzył na nią w ten sposób, gdy mamy nie było w pobliżu. Pot sływał jej między łopatkami. Minęło dużo czasu, odkąd mama wyszła. Może tym razem naprawdę pozwolą, żeby umarła. Może tym razem ona naprawdę ją zostawi. Mówił jej to cały czas, mając nadzieję, że ją przestraszy. Cóż, na pewno była bardzo przestraszona. Jej dolna warga drżała i w oczach zbierały łzy, chociaż obiecała sobie nigdy już nie płakać.*

*To znów tam było. Rybie oczy. Wybrzuszyły się, jakby ktoś sięgnął za nie i szturchnął je, żeby wystawały.*

*Znów trudno oddychać. I ten zapach, czuła go już wcześniej. Metaliczny. Jakaś gęsta, mokra substancja przylgnęła do jej białej bawełnianej sukienki. Odciągnęła materiał od skóry. Siniaki i obtarcia. Czy znowu spadła z roweru? Rozejrzała się po szafie. Otworzyła drzwi. Chciała krzyknąć do mamy, ale czyjaś ręka zakryła jej usta.*

*Nie mogła oddychać!*

*On naprawdę chciał ją zabić!*

*Popatrzyła na niego w górę ze swojej kryjówki i szybko coś sobie obiecała: Jeśli przeżyje, jeśli on pozwoli jej żyć dalej, opowie Florze o tym, jak Robert Bentley przyszedł do jej pokoju.*

Casey obudziła się przerażona. Kolejny zły sen. Przewróciła się na drugi bok i zasnęła znowu, ale dopiero po odmówieniu modlitwy, w której prosiła Boga, żeby pozwolił jej zapomnieć o koszmarze, który przed chwilą jej się śnił.

\* \* \*

Zaplątana w prześcieradła Casey gwałtownie usiadła, serce waliło jej jak młotem. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest, i się przestraszyła. Potem sobie przypomniała. Gastonian Inn. Savannah.

Wkrótce złoży wizytę doktorowi Dewittowi i pozna odpowiedzi na swoje pytania.

Spojrzała na budzik na nocnym stoliku. Szósta trzydzieści. Weźmie prysznic i poczeka na Blake'a. Gdy odsunęła prześcieradła, aby wstać z łóżka, odniosła niejasne wrażenie, że o czymś zapomniała. Uporządkowała myśli i skierowała się do łazienki.

Pulsujący strumień ciepłej wody uśmierzył ból w ramionach i przegonił resztki snu.

Pozostało jednak to dojmujące wrażenie zapomnienia o czymś.

Myła włosy, piana od szamponu wpadała do odpływu, gdy nachyliła się pod strumień wody z prysznicza.

Wtedy uderzyło ją to jak obuchem.

Sen!

Owinęła się w gruby hotelowy płaszcz kąpielowy, a potem okręciła ręcznikiem włosy, siadając na brzegu wanny, żeby pomyśleć o swoim przerażającym śnie. Czy rzeczywiście były to tylko senne majaki? Nabrała przekonania, że było to coś więcej. To kolejne wspomnienie wypływało na powierzchnię. Musiała poświęcić mu uwagę.

To ona była małą dziewczynką, chowającą się w szafie. To ona została przez kogoś skrzywdzona. Może przez matkę? Nie, to nie mogła być matka, choć tam była. I ten Bentley!

Dlaczego miałaby o nim śnić? Czy to on ją skrzywdził? Czy to przez niego popadła w obłąd?

A Ronnie, jej przyrodni brat, jakie miejsce zajmował w tej układance?

Z silnym postanowieniem, że znajdzie odpowiedzi na dręczące ją pytania, szybko się ubrała i zeszła na dół w poszukiwaniu kawy.

Zobaczyła, że Blake siedzi przy narożnym stoliku i czyta gazetę, jego włosy wciąż jeszcze były wilgotne po prysznicu. Miał na sobie ciemnozielone spodnie i kremową sportową koszulę. Pasuje to do niego, pomyślała. Wygląda jak lekarz — taka była jej druga myśl.

Lekarz, który ma wolny dzień. Rozluźniony, ale przygotowany, na wszelki wypadek.

Musiał poczuć na sobie jej spojrzenie, bo podniósł głowę, a potem pokazał jej gestem, żeby do niego dołączyła.

— Pomyślałem, że pozwolę ci pospać. Późno wróciliśmy. — Blake napełnił filiżankę kawą i podał ją Casey.

— Mmmm, potrzebowałam tego. — Wypiła mały łyk gorącego naparu i poczuła się o wiele lepiej. — Jesteś rannym ptaszkiem. — Umilkła i popatrzyła na niego, niepewna, czy powinna niepokoić go o tak wczesnej porze. — Znów śnił mi się ten koszmar.

— Jaki koszmar? — zapytał, dopełniając zawartość ich filiżanek.

— Śni mi się od czasu do czasu od lat. Czasami myślę, że to tylko sen. Kiedy indziej, że to moja pamięć powraca na krótko, chcąc pobudzić moją świadomość do przypomnienia sobie przeszłości. Zawsze jestem w szafie. Mam nie więcej niż dziewięć albo dziesięć lat. I tak bardzo boję się, że nie będę mogła oddychać. Myślę, że ktoś chyba próbuje mnie udusić. —

Zaśmiała się ironicznie, patrząc na Blake'a. On się nie roześmiał. Wydawał się rozgniewany.

— Dobry Boże, Casey! Czy zdajesz sobie sprawę, co mówisz? — Nachylił się i ujął jej dłoń.

— Wiem, że to brzmi wariacko, ale nie przychodzi mi na myśl żadne inne wytłumaczenie tego, co w tym śnie odczuwam. Oddycham z wysiłkiem. Coś na mnie leży. — To brzmiało nieprawdopodobnie nawet dla niej. Jej matka nigdy by nie pozwoliła, żeby coś takiego jej się przydarzyło. Tym bardziej Flora.

Blake zamyślił się, po czym powiedział:

— Dzisiaj poznamy prawdę. — Wypił duży łyk kawy i spojrzał na zegarek.

— Nie wierzysz mi? — Nagła zmiana jego nastawienia zaniepokoiła Casey.

— Nie chodzi o to, czy ci wierzę. Nie mogę sobie wyobrazić, że to, o czym śniesz, spotkałoby dziecko, a rodzice by o tym nie wiedzieli.

— Też o tym myślałam. Nie sędzę, żeby Eve wiedziała. Trudno mi natomiast zrozumieć, skąd Robert Bentley wiedział, że byłam zamknięta na klucz w szafie. — Drgnęła, kiedy zobaczyła reakcję Blake'a.

— Zwolnij na chwilę! — krzyknął, a potem ściszył głos, rozglądając się dokoła, by się upewnić, że inni goście nie zwrócili na nich uwagi. — Bentley przychodził do ciebie? —

zapytał Blake z niedowierzaniem.

— Jestem tego pewna. We śnie pamiętam, że go nienawidziłam i nie mogłam zrozumieć, dlaczego zjawia się o takich dziwnych porach.

Z całych sił pragnęła, żeby Blake jej uwierzył.

— Nic tu do siebie nie pasuje, Casey. Nie dostrzegam żadnego wyjaśnienia. Jedynie twoja matka wiedziałaby, czy Bentley tam był, czy nie. Jeśli był, to chciałbym wiedzieć po co.

— Jeśli, Blake? Przecież chyba nie uważasz, że zmyślam? Wprawdzie to wszystko pochodzi ze snu, ale w głębi duszy wiem — stuknęła się kciukiem w pierś — że on tam był. I dzisiaj to udowodnię!

Gwałtownie odsunęła krzesło, omal go nie przewracając, i wybiegła z sali, nie dbając o to, że goście przy stolikach obejrzeliby się nią ze zdziwieniem.

\* \* \*

Blake podpisał rachunek i zdał sobie sprawę, że właśnie po raz pierwszy doszło prawie do sprzeczki z kobietą, którą kocha.

Kocha.

A więc to tak. Nie wiedział, jak to się stało, że zakochał się w kobiecie nazywanej w Sweetwater wariatką. I to w tak krótkim czasie.

Analizował swój stan, zastanawiając się, czy po części nie bierze się ze współczucia.

Wiedział, że Casey Edwards nie chciałaby współczucia ani od niego, ani od nikogo innego.

I to przypomniało mu, dlaczego w ogóle przyjechał do Savannah.

Doktor Dewitt.

O dziewiątej piętnaście Blake lekko zapukał do drzwi Casey. Otworzyła mu zapłakana i zostawiła go na korytarzu. Wszedł do środka, aby nie wzbudzać zainteresowania hotelowych gości.

Popatrzył na szerokie łóżko na środku pokoju. Prześcieradła były zmiętoszone, a poduszki leżały na podłodze.

Widocznie musiała stoczyć prawdziwy bój, żeby ocknąć się z koszmaru. Albo śniła o namiętnych chwilach, które przeżyła w jego ramionach. Ta druga możliwość podobała mu się znacznie bardziej.

— Co jest takie zabawne? — zapytała, wychodząc z łazienki.

Zobaczyła, w jakim kierunku wędruje jego spojrzenie, uśmiechnęła się.

— Ostro walczę w łóżku.

Zarumieniła się. Przeniosła wzrok z Blake'a na łóżko.

— To ten sen. Kiedy przychodzi, rzucam się jak szalona.

— Casey.

Popatrzyła na niego zielonymi oczami. Miała powody do zdenerwowania, a on myślał tylko o tym, jak zaciągnąć ją do łóżka.

— Wierzę ci. W sprawie Roberta Bentleya.

— Wiem, że to brzmi wariacko, ale jestem zupełnie pewna, że tam był. Odkąd się obudziłam, ciągle o nim myślę. Pamiętam, że często bywał w naszym domu. Chyba to dobry znak, co? To powinno ułatwić pracę doktorowi Dewittowi. — Podeszła do toaletki i przypudrowała czerwoną od płaczu nos. — Naprawdę mi wierzysz? — zapytała, chowając kosmetyki.



— Tak. Zapomnijmy na chwilę o tym wszystkim. Będziemy mieli resztę dnia, żeby o tym myśleć. Chcę cię przytulić.

Usiadł na brzegu łóżka i pociągnął Casey na kolana. Pasowali do siebie jak dwie łyżeczki.

Gdy jej mały okrągły tyłeczek znalazł się na jego przyrodzeniu, zaledwie po paru sekundach doznał wzwodu. Próbował się poruszyć, żeby tego nie poczuła, ale było za późno.

Poruszyła biodrami, wygodniej lokując się na jego lędźwiach. Przypomniawszy sobie, że szkolne czasy dawno się skończyły. Delikatnie zdjął Casey z kolan i położył ją na łóżku.

— Blake.

Uciszył ją pocałunkiem. Czuł, jak Casey się rozluźnia. Niczego bardziej nie chciał niż wejść w nią, ale nie ośmielił się jej dotknąć swoim ciałem. Całował jej zamknięte oczy, nos i wodził językiem po jej pełnych wargach.

Westchnęła i rozchyliła usta. Musieli jednak wyjść.

Odsunął się od Casey i oparł o słupek łóżka.

Wyglądała jednocześnie seksownie i niewinnie. Kobiety zapłaciłyby duże pieniądze za buteleczki z miksturą zapewniającą taki wygląd, pomyślał. A w jego oczach była jeszcze seksowniejsza dlatego, że nie wiedziała, jak prowokująco wygląda.

Usiadła, poprawiła bluzkę i uśmiechnęła się.

— Chyba powinniśmy już jechać, prawda?

— Taak — wymamrotał głosem chrapliwym od pożądania. — Daj mi minutę.

— Och. Pójdę... uczesać włosy.

— Gabinet doktora Dewitta jest tylko pięć minut stąd, nie śpiesz się. — Tak naprawdę chciał powiedzieć: Bez względu na to, jak długo tam będziesz, i tak będę cię pragnął, kiedy wyjdiesz.

— Pewnie.

Zachował się jak napalony nastolatek. Uśmiechnął się do siebie, bo coś mu mówiło, że ich wzajemna bliskość jest dla niej równie przyjemna jak dla niego.

— Gotowy? — Wyszczotkowała włosy i porządnie wsunęła bluzkę w spodnie. Nikt by się nie domyślił, że dopiero co była w jego ramionach.

— Zróbmy to. — Tym razem to Blake poczuł, że się rumieni. Casey wzięła go za rękę i wyprowadziła z pokoju.

— Może pewnego dnia to zrobimy.

— Palnąłem głupstwo. Wydaje się, że ostatnio robię to często, przynajmniej kiedy jestem z tobą.

— Nie musisz być taki ostrożny, Blake. Proszę, nie myśl, że powinieneś uważać na każde słowo. Jestem dorosła. Sądzę również, że jestem względnie normalna, a więc proszę, po prostu bądź sobą.

— Masz rację — powiedział.

Podpisał potwierdzenie karty kredytowej. Zamienił parę słów z kierownikiem hotelu, ustalając, że później zostaną zniesione na dół ich bagaże, a potem wyruszyli.

Blake zaparkował bmw dwa kwartały od gabinetu doktora Dewitta, jeden kwartał na północ od River Street, na East Bay.

Casey czuła, że serce wali jej jak młotem, gdy wchodzili do środka. Blake ścisnął jej rękę, w ten milczący sposób dając do zrozumienia, że będzie przy niej bez względu na to, co się stanie. Przy tym mężczyźnie Casey czuła się prawie normalna. Co ważniejsze, Blake sprawiał, że czuła się jak kobieta. Nie jak królik doświadczalny, nie jak obłąkana wariatka.

Sprawiał, że czuła się po prostu sobą.

Dyskretnie umieszczona tabliczka informowała, że gabinet doktora Dewitta znajduje się na drugim piętrze. Gdy wchodzili do windy, Casey modliła się, żeby ten nowy lekarz chciał i potrafił jej pomóc. Teraz, gdy miała Blake'a, pragnęła wrócić do zdrowia i żyć pełnią życia.

\* \* \*

Po raz kolejny Jason Dewitt popatrzył na rolex na swoim nadgarstku. Dziewięta pięćdziesiąt. Za dziesięć minut może znaleźć się na drodze do utraty licencji lekarskiej.

Ostatni wieczór przebiegi zgodnie z planem. O ósmej otworzył drzwi i odebrał pudełko.

Wszystko to stało się w ciągu niecałej minuty i nie miał okazji przyjrzeć się posłańcowi. To i tak nie ma znaczenia, pomyślał, gdy znów podchodził do okna. Przez całą noc nie zmrudył

oka, mając nadzieję, że los się do niego uśmiechnie i pacjentka się nie pojawi. Zdarzało się to często. Ludzie myśleli, że są gotowi do uporania się ze swoją przeszłością, a kiedy przychodził termin wizyty, wycofywali się. Bardzo liczył na to, że tak właśnie będzie tym razem.

Na wszelki wypadek trzymał LSD w kieszeni. Jeszcze nie wiedział, jak wyjaśni potrzebę zastosowania lekarstw. Terapia regresywna, przynajmniej ten jej rodzaj, którym się zajmował, nie wymagała ich użycia. Będzie się tym martwił dopiero wtedy, kiedy będzie musiał.

Usłyszał trzask drzwi otwierających się w recepcji i wiedział, że jego pacjentka przybyła.

Nagle przepelniony wściekłością, Jason obiecał sobie: znajdzie Bentleya i go zabije. To będzie

proste, naprawdę. Miał dostęp do wszelkiego typu lekarstw zatrzymujących akcję serca.

Tak, to właśnie zrobi. Z tą myślą usiadł za biurkiem i nałożył okulary.

— Doktorze? — W interkomie rozległ się głos Jo Elli. — Przyszła pani Edwards. Jest umówiona na wizytę.

Odchrząknął.

— Proszę, poproś, żeby weszła.

Pani Edwards nie wyglądała ani trochę tak, jak się spodziewał. Była uosobieniem zdrowia, nie wydawała się udręczona, chociaż, jak dobrze wiedział, wygląd bywa zwodniczy. A co robi tutaj ten mężczyzna? Nikt go nie uprzedził, że pacjentka nie będzie sama. Poradzi sobie z tym.

Wstał, żeby uścisnąć rękę Casey, a potem jej towarzyszowi.

— Proszę usiąść. — Wskazał na dwa krzesła w stylu królowej Anny po drugiej stronie biurka.

— Dziękuję — powiedziała kobieta. Była zdenerwowana tak, jakby chciała uciec. Jason miał nadzieję, że to zrobi. Powie jej przyjacielowi, że to się czasami zdarza, i będzie po wszystkim. Potem znajdzie tego sukinsyna Bentleya i zamknie mu gębę na zawsze.

— Jestem pewien, że najpierw chcą państwo dowiedzieć się wszystkiego na temat terapii regresywnej. Metoda ta nie jest właściwie niczym nowym. Od dość dawna medycyna zna jej zalety w leczeniu wielu chorób psychicznych. — Popatrzył na dwójkę siedzącą naprzeciw niego i pomyślał, że tego nie kupują.

— Doktorze Dewitt, nazywam się Blake Hunter i jestem lekarzem ze Sweetwater, także lekarzem pierwszego kontaktu pani Edwards.

Lekarz? Co za ironia losu. Czy na pewno? Jason poczuł, że zaczyna pocić się pod pachami jak zawsze, kiedy był zdenerwowany.

— A więc jestem pewien, że opowiedział pan pani Edwards o korzyściach, jakie daje terapia regresywna. — Jason uśmiechnął się, mając nadzieję, że zrobi na nich dobre wrażenie.

Chciał, żeby czuli, że wybór należy do nich. Nie musiał nakłaniać pacjentów do robienia czegoś, do czego nie byli przekonani. Aż do tego dnia. Zauważył, że kobieta nie jest nastawiona entuzjastycznie i zastanawiał się, dlaczego, do diabła, w ogóle umówiła się na wizytę.

Czy wiedziała, jakie ma przez nią kłopoty? Oczywiście, że nie, odpowiedział samemu sobie. Chętnie położyłby się jako pacjent na własnej kanapie.

Uspokój się, nakazał sobie. Nie byłoby dobrze, gdybyś wzbudził podejrzenia w doktorze Hunterze. Dopiero co poznał tego mężczyznę, a już go nie lubił. Przemknęła mu przez głowę myśl, że być może dlatego, że ten facet wygląda jak lekarz. Jason nie widział kropelek potu na jego górnej wardze, która

mimo wczesnej godziny już wyglądała tak, że nie zaszkodziłoby jej drugie golenie.

— Wyjaśniłem to wszystko Casey, doktorze Dewitt. Adam Worthington, kolega po fachu i przyjaciel, opowiedział mi o pańskich dotychczasowych sukcesach. Jestem pod wrażeniem.

To właśnie Adam zadzwonił i ustalił termin tej wizyty. Mam nadzieję, że uda się panu pomóc Casey.

— Adam, a tak. Kilka razy braliśmy udział w tych samych konferencjach. Z pewnością dobrze mu idzie. — Ostatnie zdanie było grzecznościowe. Nic go nie obchodziło jego dawny znajomy. Jeśli dobrze pamiętał, Adam był przemądrzały i zapatrzony w siebie.

— Praktykuje w Atlancie i idzie mu bardzo dobrze. Powiem mu, że pan o niego pytał.

— Proszę oczywiście to zrobić. Pani Edwards, czy zechciałaby pani opowiedzieć mi o sobie? — zapytał Jason.

Spojrzała na swojego przyjaciela, a pewnie raczej kochankę, jak domyślał się Jason, i ku niemu zwróciła wzrok. Nadal nic. Zobaczył, że kręci młynka palcami, a potem zaczyna skubać skórę przy paznokciu. Wyraźnie była zdenerwowana. Wszyscy za pierwszym razem zawsze byli zdenerwowani. Westchnął.

Przyciszonym tonem zapytała:

— Czy mogłabym porozmawiać przez chwilę z doktorem Hunterem? W cztery oczy.

Czy ta kobieta naprawdę oczekiwała, że Jason opuści własny gabinet? Nie ruszyła się jednak z miejsca, więc znów westchnął, ale wstał i wyszedł do recepcji.

Gdy zostali sami, Casey odwróciła się w stronę Blake'a.

— Nie mogę tego zrobić.

— Jak to?

— Ten człowiek. Skóra mi cierpi na jego widok. Przepraszam, nie mogę. — Pochyliła głowę, zbyt zakłopotana, żeby móc patrzeć na Blake'a.

— Hej, jeśli nie podoba ci się ten facet, nie przejmuj się tym. Zawsze możemy wrócić do hotelu. Dopiero o trzeciej trzeba się wymeldować.

Bez przekonania spróbowała zaśmiać się z jego dowcipnej odpowiedzi w sytuacji, która bynajmniej nie była zabawna. Niezawodny Blake.

— Czy myślisz, że moglibyśmy wymknąć się tylnymi drzwiami? — Zrobiłaby to, gdyby się zgodził.

— Możemy spróbować. — Blake podkradł się do drzwi za biurkiem. Otworzył je i wszedł

do środka.

— Łazienka i coś, co wygląda na w pełni zaopatrzone barek. Chcesz jednego na drogę? —

Nie czekał na jej odpowiedź. Wyszedł z dwoma oszronionymi butelkami budweisera.

— Blake, odłóż to na miejsce — szepnęła i się roześmiała. Wtedy zrozumiała, że Blake jak zwykle myślał o niej. Zorientował się, że się przestraszyła, i zamierzał ją rozweselać, dopóki bezpiecznie stąd nie wyjdą. Podobało jej się to, a on musiał o tym wiedzieć, bo wetknął jedną ze schłodzonych butelek za pasek z przodu spodni.

— Przestań! Zniknijmy stąd, zanim wróci.

— W porządku, ale piwo idzie z nami. — Blake wcisnął drugą butelkę do jej torebki.

Otworzył drzwi i zajrzał do recepcji.

— Teraz — szepnął, chwytając ją za ramię. — Winda.

Czmychnęli do windy akurat w takim momencie, że udało im się uniknąć spotkania z doktorem, który właśnie skierował się w stronę drugiego końca korytarza.

Kiedy drzwi bezszelestnie otworzyły się na parterze, wybiegli na ulicę, śmiejąc się jak dzieci.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiliśmy.

Blake wziął ją pod rękę, gdy szli sławnymi ulicami Savannah.

— Ja też nie mogę w to uwierzyć, Casey. — Zatrzymał się na środku chodnika i odwrócił

ją twarzą do siebie. — O co w tym wszystkim chodziło? — Ruchem głowy wskazał stojący za nimi budynek.

Pokręciła głową.

— Nie wiem. Wyczułam coś złego, kiedy go zobaczyłam. Mogę to wyjaśnić tylko wewnętrznym przekonaniem, że bez względu na wszystko nie powinnam tam zostać. Nie mogłam pozwolić, żeby badał zakamarki mojego umysłu. Sprawił, że czułam... zimno i strach. Mimo upału od samego myślenia o nim dreszcze przechodzą mi po plecach.

— To zawsze był twój wybór, Casey. Adam uważa, że ten facet jest najlepszy. Kiedy uścisnąłem mu rękę, jego dłoń była spocona. Wydawało mi się, że próbuje zrobić na nas wrażenie.

— A więc dobrze zrobiłam, że wyszłam — powiedziała, gdy przyśpieszyli kroku.

— Może tak, a może nie.

— Właśnie powiedziałaś...

— Wiem, co powiedziałem — przerwał jej. — To nie znaczy, że ten człowiek nie jest dobrym lekarzem. Adam ceni jego umiejętności. To coś znaczy.

— Dlaczego Adam się mną przejmuje? Stale mnie unika. Co go obchodzi, czy odzyskam pamięć, czy nie?

Przypomniała sobie gniewne głosy dochodzące ze szpitalnego pokoju Johna Worthingtona.

Jaki syn podniósłby głos na ojca, który dopiero co przeszedł udar mózgu? Chciała powiedzieć Blake'owi o kłótni, którą przypadkiem usłyszała, ale pomyślała, że nie może tego zrobić.

Wolała nie sprawić mu przykrości.

— Adam czasami zachowuje się dziwnie. Nie jest osobą, do której łatwo można się zbliżyć, ale ten, komu się to jednak uda, nigdy nie będzie miał lepszego przyjaciela. I nie sądzę, żeby celowo starał się ciebie unikać, Casey. Ma swoje problemy. Niepokoi się stanem zdrowia Johna.

Mogła tylko zgadywać, jakie były te inne problemy. Na przykład, ile osób zgodzi się wykreślić ze swojego testamentu John Worthington, żeby uszczęśliwić jedyne go syna.

— Tak przypuszczam. — Zabrzmiało to nieprzekonująco. Zdawała sobie z tego sprawę.

Żałowała, że nie potrafi dzielić entuzjazmu Blake'a dla Adama.

Kiedy doszli do samochodu, uświadomiła sobie, że Blake przełożył terminy wizyt w nadziei, że sesja terapeutyczna u doktora Devitta może rozwiązać jej problemy. Tymczasem ona, kierując się intuicją, zrezygnowała z porady tego człowieka, który pomógłby jej odsłonić przeszłość. Czy naprawdę chciała ją poznać? Czy może w ten sposób chroniła siebie przed samą sobą?

Pojechali do hotelu po bagaże. Blake zaproponował, żeby wrócili do Sweetwater i zrezygnowali z zatrzymania się w szpitalu Mercy.

Casey zastanawiała się, czy uciekając z gabinetu doktora Dewitta, nie zaprzepaściła szansy na związek z Blakiem. Czy warunkiem trwałości jego uczuć był jej powrót do pełnego zdrowia?

Po wyjściu Jo Elli Jason w końcu miał okazję uspokoić się i zaplanować następny ruch.

Wcześniej ucieszył się niezmiernie, kiedy wrócił i zobaczył, że zarówno pacjentka, jak i lekarz zniknęli.

Wiedział, że Bentley zadzwoni. Sądził, że tym razem to on ma przewagę. Pociągał za sznurki i jeśli dobrze rozegra partię, Bentley nie będzie niepokoił ani jego, ani nikogo innego

— nigdy więcej.

Dzwonek telefonu wystraszył go, powodując przyspieszone bicie serca. Zaczerpnął głęboko powietrza i podniósł słuchawkę przy trzecim dzwonku.

— Doktor Dewitt, czy mogę w czymś pomóc?

— Mam nadzieję, że już pan to zrobił. Bentley.

Jason wiedział, jak bardzo ryzykuje, kiedy wymawiał następne słowa.

— Poszło dobrze — zapewnił zwięźle.

— A więc zaleca pan, żeby pani Edwards wróciła do szpitala, ponieważ leży to w jej interesie?

Jason usłyszał w głosie Bentleya nadzieję. Z najwyższym trudem powstrzymał śmiech.

— Zdecydowanie. Jednak nie jestem pewien, czy mamy taki sam plan. Musimy się spotkać. Pańska była pacjentka zdołała ujawnić głęboko ukryty mroczny sekret. Interesuje to pana?

— O czym pan mówi, jaki sekret? — Głos Bentleya zadrżał.

— Lepiej, żebym nie mówił o tym przez telefon. Musimy się spotkać. Dziś wieczorem.

— Dziś wieczorem? Do diabła, biorąc pod uwagę rozkład kursów promu i wszystko inne, jest pan o trzy godziny drogi stąd.

Jason mógł sobie dokładnie wyobrazić wyścig Bentleya z czasem, kiedy drań będzie knuł kolejną intrygę. Potem przypomniał sobie, że ma przewagę.

— Dopilnuję, żeby kawa nie wystygła. — Rzucił słuchawkę na widełki i zastanowił się, czy mądrze postąpił. Nie widział innego wyjścia. Dopóki Bentley wie o Amy, nie zostawi go w spokoju.

Przypomniał sobie obietnicę, którą dał sędziemu. W żadnym razie jej nie złamie.

\* \* \*

Robert wystukał numer drżącą się ręką. Odebrała przy piątym dzwonku.

— Co, do diabła, zabrało ci tyle czasu?

— Mówiłam ci, żebyś do mnie tu nie dzwonił! — prawie wrzasnęła.

— Niestety, coś się spieprzyło. Nastąpiła zmiana planów.

— O czym mówisz? Powiedziałaś, że kontrolujesz sytuację i że nie ma powodów do zmartwień. — Lubił, kiedy marudziła. Zaraz będzie błagać, jak zwykle.

— Kontrolowałem. Nadal kontroluję. Nastąpiła zmiana, to wszystko.

— I przypuszczam, że ma to coś wspólnego ze mną, bo inaczej nie ryzykowałbyś telefonu.

— Słuchaj, nie mamy czasu na twoje gówniane mędrkowanie. Muszę być w Savannah przed północą.

— Chcesz, żebym cię tam zawiozła, o to chodzi?

— Naprawdę masz nie wszystko po kolei, do cholery, wiesz o tym? Chcę się tam dostać przed północą. Dlatego do ciebie zadzwoniłem. Masz upoważnienie do używania prywatnego samolotu męża. Zajmij się przygotowaniami, a ja będę czekał na lotnisku za godzinę. —

Spojrzał na zegarek. Mógłby znaleźć się w Savannah najpóźniej o dziesiątej. Dewitt chował

asa w rękawie, tyle wiedział. Jeśli Casey odjechała w jego gabinecie, to doszła do siebie w rekordowym tempie. Hank zdał mu relację, jak tylko ona i Blake wrócili do Łabędziego Domu. Powiedział, że nie przeszła planowanej terapii. Ogrodnik słyszał, jak paplała do głupkowatej gospodyni i śmiała się z tego, że zwiali. Jeśli przypadkiem Casey coś sobie przypomniała, on, Robert, dowie się o tym, zanim ktokolwiek inny będzie miał do tego okazję. Jeśli będzie musiał uciszyć Dewitta, zrobi to.

— Robercie!

— Tak? — Jego cierpliwość zaczynała się wyczerpywać.

— Muszę mieć jakiś pretekst.

— Wymyśl coś. Udaje ci się przekonywać mnie od lat, że twoje życie jest tragiczne.

Sięgnij do swojego zapasu sztuczek i przekonaj pilota mężulka, że koniecznie musisz polecieć do Savannah.

\* \* \*



Roland Parker poprawił się w swoim nowym skórzanym fotelu i próbował znaleźć wygodną pozycję. Gdy przesuwiał swoją ciężką postać, znieruchomiał, czekając na oczekiwany odgłos, a kiedy żaden się nie rozległ, rozluźnił się. Tak, szeryf powinien mieć dobry fotel. Potrzebował wygody. Taaaak, dobry fotel był konieczny.

Zmarszczył brwi. Temat, który zaprzętał go dziś wieczorem, mógł przekreślić jego karierę w policji. Jeśli karierą można było nazwać to, że siedział na tyłku przez cały dzień i wkładał

raporty do teczek, a od czasu do czasu wybierał się do domu Berrych, żeby wylać bimber drogiego Charliego na trawnik od frontu po tym, jeśli Louise wkurzyła się o jeden raz za dużo.

Tego dnia ten sukinsyn zatelefonował z prośbą, żeby trzymał język za zębami, a oczy otwarte. A co, do diabła, robił przez ostatnie dziesięć lat?

Był zmęczony, a miał dopiero trzydzieści lat. Oddałby prawe jądro, gdyby mógł dzięki temu cofnąć zegar o dziesięć lat. Kiedy zgodził się w tym wszystkim uczestniczyć, wręczył

temu kutasowi swoje jaja w koszyku. Wtedy cały ten plan miał swój pokraczny sens. Gdyby musiał usprawiedliwić swoje ówczesne czyny, powiedziałaby, że zrobił to dlatego, bo był zbyt niedoświadczony i przestraszony, żeby się postawić i egzekwować prawo.

Teraz mógł tylko zwiesić głowę między nogi i mieć słabą nadzieję, że dziewczynie nie stanie się krzywda.

Albo, szeptał mu do ucha głos rozsądku, mógłbyś powiedzieć prawdę. Weź słuchawkę i zadzwoń do niego. Nie złamałeś prawa.

Nawet położył rękę na słuchawce i podniósł ją z widełek. Ścisnął ją tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Nie mógł jednak tego zrobić. Upuścił słuchawkę na biurko, nie zwracając sobie głowy odłożeniem jej z powrotem na widełki. Nie obchodziło go, czy będą jakieś telefony.

Bieżące sprawy mogła załatwić Vera, praktycznie i tak to robiła. On był typowym otyłym, niewykształconym szeryfem z wiejskiej wyspy.

Mógł osiągnąć o wiele więcej, gdyby nie tamten.

Ten facet manipulował nim od jego pierwszego dnia na tym stanowisku i nadal to robił.

Najpierw pocztą przychodziły pliki banknotów. Nigdy nie dociekał, skąd się biorą. Czasami nawet otrzymywał zawiadomienie, że wygrał tygodniowy pobyt w swoim ulubionym domku wędkarskim. A potem przez całe miesiące nie było kontaktu. Kiedy jednak mijali się na ulicy i Parker pochwycił jego wzrok, wiedział, że już za parę dni otrzyma następny podarunek.

Jednak żaden z nich nie wynagradzał mu męczarni, jakie cierpiał każdego wieczoru. Przez ostatnie pięć lat nie mógł nawet myśleć o zaśnięciu, dopóki nie opróżnił przynajmniej sześciopaku piwa. Wiedział, że będzie jeszcze gorzej, jeśli z tym nie skończy.

Nie był w stanie spędzić następnej bezsennej nocy na zmaganiach z poczuciem winy.

Nadszedł czas, by ocalić duszę.

\* \* \*

Casey obudziła się i poczuła zapach świeżo zaparzonej kawy. Uśmiechnęła się półprzytomnie i obróciła na bok. Wtuliła się głębiej w miękkie fałdy puchowej kołdry, pragnąc, żeby Blake wziął ją w ramiona. Próbowwała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby był

obok niej. Byliby spoceni po namiętnym seksie. Wiedziała, że jego włosy na piersi i nogach lekko łaskotałyby jej wrażliwą skórę i pachniałyby tym leśnym aromatem, który uwielbiała.

Wciągnęła powietrze i zamiast zapachu, który sobie wyobraziła, poczuła woń kawy.

Z przyzwyczajenia porządnie posłała łóżko i poszła wziąć prysznic. Popatrzyła na siebie w lustrze, spodziewając się, że zobaczy kogoś innego niż zwykle.

Morderczyni, pomyślała. Jak wygląda morderczyni? Gdy wycierała się do sucha ręcznikiem, obserwowała swoje ruchy. Nie wiedziała, co ma nadzieję zobaczyć, ale cokolwiek to było, nie pojawiło się.

Musiała przypomnieć sobie, jak doszło do śmierci biednego, nienormalnego Ronniego.

Poprzedniego dnia miała na to szansę i ją zmarnowała.

Coś takiego było w tamtym lekarzu, że ścierpła jej skóra. Wyglądał za młodo jak na znanego psychiatrę, ale nie to ją zaniepokoiło. Przypominał jej oposa, cwaniaka. Czuła, że obserwuje ją bladoniebieskimi oczyma. Tak, podjęła właściwą decyzję. Lekarstwa, które wmuszano w nią przez te wszystkie lata, uniemożliwiały jej wyzdrowienie. Sama siebie wyleczy, bez dalszych „terapii”.

\* \* \*

Była zaskoczona, kiedy zobaczyła matkę w kuchni. Czy to zaledwie parę dni wcześniej Eve zaczęła nagle szaleć?

— Mamo! Tak się cieszę, że cię widzę. Jak się czuje John? — Nalała sobie kawy i napełniła kubek matki.

— Ma lekki nawrót — szepnęła Eve.

Casey przyglądała się matce, której oczy zaszklily się od łez. Oczy tak podobne do moich, pomyślała.

— Bardzo mi przykro. Co mówią lekarze? — Miała nadzieję, że nie brzmi to jak grzecznościowa formułka, ale nie wiedziała, co mogłaby dodać. Przecież nawet nie poznała swojego ojczyma.

Eve osuszyła łzy płócienną serwetką.

— Skoczyło mu ciśnienie, nie są pewni dlaczego. Nie mam przekonania do tego doktora Foo. — Eve pociągnęła nosem. — Chciałabym, żeby John miał amerykańskiego lekarza.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała Casey.

— Jest Japończykiem albo Chińczykiem, nie wiem. Myślę, że Amerykanie lepiej troszczą się o swoich.

Powinna poznać Jasona Dewitta, pomyślała Casey.

— Jestem pewna, że jest dobrym lekarzem. Wydaje się, że Blake i Adam go cenią.

— To niewiele dla mnie znaczy, moja droga. Adam jest bardzo skryty, a Blake nie traktuje życia tak poważnie, jak powinien, więc nie przywiązuję zbytnej wagi do ich opinii.

Casey wzruszyła ramionami.

— Chyba wszyscy mamy swoje powody, żeby jedne rzeczy robić, a innych nie. —

Wiedziała, że prawdopodobnie nie jest to odpowiedni moment, ale od swojego powrotu spędzała z matką tak niewiele czasu! Musiała ją zapytać. Przez dłuższy okres mogłoby nie być kolejnej okazji, gdyby Johnowi się pogorszyło.

— Mamo, muszę cię o coś zapytać.

— O co, moja droga? Przyjechałam do domu tylko po zmianę ubrań. Muszę pędzić do Worthington Enterprises. Na dziś zaplanowaliśmy zebranie. Wiesz przecież, że muszę „stać na straży”, jak to mówią. Nie mogę rozczarować Johna.

— Wiem, mamo. Flora mi powiedziała. Jestem pewna, że John jest ci wdzięczny za to, że zastępujesz go w firmie. Przypuszczam, że w takiej sytuacji pomoc ze strony rodziny wszystko upraszcza.

— To prawda, ale odpowiedzialność jest ogromna. John i Adam nigdy we mnie nie wierzyli. Dopuszczę cię do małego sekretu — dodała Eve konspiracyjnym tonem. —

Czekałam na ten dzień od lat. Marzyłam o tym, żeby stanąć u steru Worthington Enterprises.

Czy orientujesz się, jak wielki jest majątek Johna?

Wygląda na rozmarzoną, pomyślała Casey. Czowała się nieswojo, rozmawiając o sytuacji finansowej ojczyzna, i żałowała, że jej matka poruszyła ten temat.

— Właściwie to nie, mamo. Jestem pewna, że musi być znaczny, sądząc po Łabędzim Domu. — Casey rozejrzała się, mając nadzieję, że matka dostrzeże jej zakłopotanie,

— Jest właścicielem nie tylko wszystkich papierni w Brunswicku, ale też dziesiątek firm za granicą. Zajmował się bardzo wieloma branżami.

Casey zastanawiała się, czy matka zdaje sobie sprawę, że powiedziała o swoim mężu w czasie przeszłym.

— Cieszę się, że znalazłaś kogoś, kto się o ciebie zatroszczył. Jestem pewna, że John to przyzwoity człowiek, z majątkiem czy bez.

— To prawda, moja droga, ale nigdy nie zastąpi twojego ojca.

— Nie pozostały mi po nim żadne wspomnienia, ale był wspaniałym człowiekiem, sądząc z tego, co opowiedziała mi Flora.

Eve poczerwieniała z gniewu.

— Co takiego mówiła Flora?

— Nic. Tylko to, że był dobrym człowiekiem. Proszę — Casey położyła dłoń na ręce matki — nie denerwuj się. Flora nie powiedziała niczego złego. Naprawdę.

Dlaczego matkę tak poruszyło to, że Casey rozmawiała z Florą o ojcu?

— Przepraszam. Chodzi tylko o to, że czasami niepokoi mnie zachowanie Flory.

Matka chyba była w jednym ze swoich „złych stanów”.

— Flora wspomniała mi o pewnej wizycie w gabinecie doktora Huntera. — Nadszedł czas, żeby wyjaśnić, co matka wie.

Patrzyła, jak Eve się uspokaja.

— O jakiej wizycie mówisz, moja droga? Flora zabierała cię i zajmowała się tobą przez większość czasu. Ja miałam na głowie Rona.

— Wiem o Ronniem. Wiem, co zrobiłam. — Casey popatrzyła na matkę, mając nadzieję usłyszeć od niej, że została niesłusznie oskarżona, że miała powody, by dopuścić się takiego czynu. Czekwała. Matka jednak milczała, a jej twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu.

— Nie powinnaś się była dowiedzieć! — Eve podniosła głos.

— Nie jestem zdenerwowana, mamó. Ty też nie powinnaś być — łagodziła jej złość Casey.

Eve oblizwała pociągnięte różową szminką wargi.

— Chciałam ci powiedzieć, Casey, ale John jest poważnie chory, a ja kieruję firmą, więc nie miałam czasu. Myślałam, że porozmawiamy, kiedy sytuacja się unormuje. Ale ktoś —

głos jej matki zionął nienawiścią — ktoś odebrał mi to prawo, jak zwykle.

— Nic złego się nie stało. Umiem sobie z tym poradzić. Natomiast nie mogę poradzić sobie z niewiedzą. I Blake, i Flora są zdania, że doktor Hunter uważał, że byłam... — z wielką niechęcią mówiła to swojej matce, wydawało się to jakieś niewłaściwe —

molestowana. — Ostatnie słowo wyszeptała.

Twarz matki zbladła.

— Przecież powiedziałam im... — Jej poprzednia energia zniknęła, pochyliła się, chowając twarz w ramionach, drobne barki zatrzęsły się od płaczu. Casey przypomniały się chwile, kiedy to ona drżała od niepohamowanego szlochu. Kolejna wizyta w szafie, kolejna podróż do strachu.

— Mamo — zapytała, głośno, natarczywie — kto zamykał mnie na klucz w szafie, kiedy byłam dzieckiem?

Twarz Eve stała się szara, tusz ściekał jej po policzkach, układając się w srebrzystoczarne węże. Gniotła w palcach płócienną serwetkę, w końcu zwinęła ją w wąską trąbkę.

— O czym mówisz, Casey? Nie wiem nic o żadnej szafie.

Może więc nie było to wspomnienie, chociaż tak się jej wydawało. Szafa pojawiała się w snach zawsze. Tylko to wskazywało na jej istnienie. Może powinna na razie dać z tym spokój.

Inne pytania były bardziej istotne.

— Mamo, czy doktor Hunter powiedział ci, że byłam molestowana? Czy wiesz, kto mógł

zrobić mi coś takiego? — Z trudem zachowywała spokój, gdy patrzyła na bezmyślny wyraz twarzy matki.

Eve wydmuchała cicho nos, potem wypila mały łyk kawy, która już zupełnie wystygła.

— Tak, Casey, wiedziałam. Doktor Hunter przyjechał do mnie tego dnia, kiedy Flora zabrała cię do jego gabinetu. Twoje zachowanie było dziwne, przyznaję, ale nigdy bym nie pomyślała, że z powodu... tego. Jednak kiedy doktor mi o tym powiedział, wiedziałam od razu, kto to zrobił.

— Wiedziałaś?

— Tak. — Eve wyjęła z torebki puderniczkę, nałożyła też na nowo szminkę. Uspokoili się i mówiła dalej: — Po śmierci twojego ojca życie niemal przestało mnie interesować.

Poznałam kilku mężczyzn, same bardzo przelotne znajomości, nic poważnego. Dopóki nie poznałam Marca.

Casey nigdy nie słyszała o mężczyźnie, który miał na imię Marc. Sięgnęła po dzbanek z kawą i napełniła ponownie kubki, czekając na dalsze słowa matki.

— Marc był ekscytujący. Po twoim ojcu, zawsze zajęтым zarabianiem na życie albo opieką nad swoją matką i Ronniem, Marc był jak haust świeżego powietrza. Nigdy nie dowiedziałam się, gdzie pracował. Nie chciałam wiedzieć. Mieszkał w Brunswicku i przyływał promem w weekendy. — Eve przerwała, jakby próbowała przypomnieć sobie ten okres w swoim życiu, chociaż nie był aż tak odległą przeszłością.

— Tak cudownie razem się bawiliśmy. Chodziliśmy tańczyć, a czasami jechaliśmy do Undergroundu w Atlancie i spędzaliśmy tam cały weekend. Marc bardzo przyjaźnie traktował

ciebie i Rona. Nie miał własnych dzieci, a przy tobie i twoim bracie zachowywał się naturalnie. Spotykaliśmy się chyba od trzech albo czterech miesięcy, gdy zdałam sobie sprawę, co się dzieje. Przyznaję, że najpierw dałam mu się oszukać. Kiedy zauważyłam, jak się zachowujesz, gdy on jest w pobliżu, zapytałam go, czy zrobił coś, co mogło cię zdenerwować. Oczywiście zaprzeczył. Kiedy doktor Hunter przyszedł do mnie ze swoimi podejrzeniami, natychmiast zwróciłam się do Marca, bo zdradziłaś mi tamtego dnia, co ci zrobił. Nie chcę o tym rozmawiać.

— Dlaczego nie doprowadziłaś do jego aresztowania? — zapytała Casey.

— Chciałam, ale błagałaś, żebym tego nie robiła. Że nie chcesz, by ktokolwiek się dowiedział. Zadzwoiłam do Marca, a on sugerował, że go prowokowałam. Zapytałam wtedy, czym może prowokować dziewięciolatka. Odparł, że tak naprawdę cię nie skrzywdził, że to były tylko pieszczoty. Powiedział, że nie było penetracji. Takich słów użył. Leżało mi na sercu twoje dobro, więc zgodziłam się nie zgłaszać tego policji, pod warunkiem, że Marc nigdy więcej nie pojawi się na wyspie Sweetwater. — Eve pstryknęła palcami. — Zniknął z mojego życia w jednej chwili — dodała i uśmiechnęła się.

Casey zastanawiała się, czy jej matka jest przy zdrowych zmysłach. Kilka minut wcześniej zalewała się łzami, a teraz wyglądała tak, jakby przygotowywała się do przywitania członkiń Klubu Zameężnych Kobiet.

Marc. To imię niczego jej nie mówiło. O ile pamiętała, w żadnej rozmowie nikt nigdy nie wspomniał o kimś takim. Flora powiedziała, że stosunek jednak się odbył. Czy to możliwe, że Flora źle zrozumiała doktora Huntera?

— Myślę, że to jest odpowiedź na moje pytanie — szepnęła Casey.

— To dobrze. Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę, to oczyści atmosferę. Teraz — Eve popatrzyła na elegancki zegarek na swoim nadgarstku — muszę jechać na zebranie, a potem wracam do Johna. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, zwróć się do Flory.

Eve pocałowała powietrze koło prawego policzka córki i wyfrunęła z kuchni jak uciekający ptak.

To wszystko? Dziesięciominutowa rozmowa ma zdyskontować uraz psychiczny, którego doświadczyła jako dziecko? Casey nie czuła się ani odrobinę lepiej. Jeśli już zaszła zmiana w jej samopoczuciu, to na gorsze. W głębi duszy podejrzewała, że matka ją okłamała.

Robert Bentley spojrzął w lustro i zobaczył, że wygląda na swoje pięćdziesiąt lat. Nie spał tej nocy, o czym świadczyły ciemne, obwisłe worki pod oczami. Spotkanie z doktorem Dewittem zupełnie się nie udało.

Pilot cessny dostarczył go do Savannah w niecałą godzinę. Z małego lotniska Robert pojechał taksówką do dawnego domu sędziego Dewitta. Nic się nie zmieniło. Ten sam ceglany gmach, te same stuletnie dęby, ta sama brama z kutego żelaza. Wszystko stare.

Szacowne. Robert przez całe życie pragnął być poważany. Myślał kiedyś, że spełni to marzenie dzięki małżeństwu z Normą.

Wytarł z twarzy krem do golenia i wszedł do sypialni, którą dzielili od ponad ćwierćwiecza.

Wyglądała wciąż tak samo jak wtedy, gdy wprowadził się do tego domu po ślubie. Ojciec Normy mieszkał na terenie posiadłości, w domku gościnnym, aż do swojej śmierci, która nastąpiła cztery lata później. Robert przypuszczał, że kiedy trumna zostanie zamknięta, przejmie władzę, której pożył przez całe życie. Mylił się. I dlatego gdy ostatnia łopata ziemi została rzucona na grób Jacoba Fultona, Robert zaczął opracowywać swój plan. Och, nie zaplanował każdego szczegółu, ale ziarno zostało zasiane i z upływem lat zaczęło żyć swoim własnym życiem.

Ona nie była częścią jego planu, ale nie wyobrażał sobie życia bez niej. Dogryzał jej, jęczał i zrzędził, ale na swój własny chory sposób ją kochał.

Właśnie wszystko miało dojść do punktu kulminacyjnego. Jedyne słabe punkty tego planu to dziewczyna i Macklin. A przynajmniej tak było, dopóki problemem nie stał się Dewitt.

Poprzedniego wieczoru dobijał się do jego drzwi, aż zaczęły mu krwawić knykcie. Nawet wdrapał się po kracie obrośniętej ciernistymi różami, żeby zajrzeć do środka przez okno na górze, gdzie dostrzegł światło. Do diabła, omal się nie zabił.

Zadrapania ciągle jeszcze bolały. Rano Norma zapytała, co mu się stało, że wygląda na ofiarę kota, a on wymamrotał coś o obezwładnianiu jednego z wariatów w szpitalu. To zaspokoilo jej ciekawość. Ostatnio Norma zaczęła się niezwykle interesować nim samym i tym, co robi. Miała swoje organizacje charytatywne i ten głupi Klub Zameężnych Kobiet.

Dość, żeby się nie nudziła. Skąd się wzięło to nagle zainteresowanie? Nie wiedział. Bez względu na powód, nie stanie mu na drodze, już on tego dopilnuje.

Zawiązał krawat i przejrzał w myślach plany na ten dzień. Musiał pokazać się w szpitalu.

Był też umówiony na spotkanie w Atlancie, żeby zaprezentować apartament, który umieścił w katalogu przed wieloma miesiącami. Zamierzał wrócić nazajutrz. Mała torba podróżna, zawsze spakowana na wszelki wypadek, czekała w głębi szafy. Bilety były w aktówce w biurze.

Musiał tylko przywdziać maskę, którą nosił wyłącznie dla Normy, zejść po schodach, pocałować ją w pomarszczony policzek, skinąć głową pomocy domowej i ruszyć w drogę.

Wcześniej jednak trzeba było zająć się niewypałem z poprzedniego wieczoru. Chociaż czuł

wielką niechęć do zwracania się do Adama o pomoc, nie miał wyboru. Jeden lekarz orientował się, co robi drugi. To Adam umówił dziewczynę na wizytę. Mógł wiedzieć, gdzie przepadł Dewitt. Warto spróbować.

\* \* \*

Adam wetknął wtyczkę ładowarki telefonu komórkowego do gniazda zapalniczki samochodowej i patrzył, jak jaskrawozielone guziczki zaczynają się jarzyć. Właściwie nienawidził tego cholerstwa, ale przekonał się, że jest tak samo niezbędne w jego zawodzie jak bloczek z receptami.

Ptaszek naprawił jaguara. Adam zaczerpnął głęboko powietrza i rozluźnił się. Jaguar działał na niego odprężająco. Wydawało mu się, że zapach dobrej, gatunkowej skóry jest obowiązkowy w jego zawodzie. Luksusowy samochód, miękka kremowa skóra i komórka.

Spojrzał w dół i upewnił się, że telefon jest włączony. Teraz, kiedy jego ojciec był w szpitalu, nie chciał być nieosiągalny nawet przez minutę.

Popłynął promem, a potem pojechał na zachód szosą numer 82 w kierunku północnego odcinka autostrady międzystanowej I-75. „Wkrótce będzie w Atlancie. Spotka się z pacjentką, wróci na wyspę i zdąży zajrzeć do ojca. To, że był lekarzem, czasami się przydawało. Chętnie przeniósłby ojca do Emory, ale starszy pan nie chciał o tym słyszeć.

Ledwie mówił, ale jego umysł funkcjonował znakomicie.

Na myśl o ojcu uśmiechnął się do siebie. Zdarzały im się kłótnie, szczególnie po śmierci matki, ale z upływem czasu ich więź się zacieśniała. Wiedział, że jego obecność sprawia ojcu taką samą przyjemność jak jemu towarzystwo ojca.

Adam sądził, że już nigdy nie przekroczy progu Łabędziego Domu po ślubie ojca i Eve. To był dom jego matki. Kiedy zobaczył wszystkie zmiany, które Eve wprowadziła, tak się rozgniewał, że dopiero po roku zdołał zmusić się do powrotu do domu swojego dzieciństwa.

Nie miał nic przeciwko temu, żeby ojciec był szczęśliwy. Do diabła, starszemu facetowi zostało jeszcze ładnych parę lat; chodziło o nią. Nie wierzył, że kocha jego ojca. Intuicja podpowiadała mu, że Eve kocha majątek Johna o wiele bardziej niż jego samego.

Awansowała z białej biedaczki na prezeskę Klubu Zamężnych Kobiet, którą to funkcję pełniła kiedyś jego matka. Śmiałyby się z tego, ale Eve traktowała rolę żony Johna bardzo poważnie.

Zmieniła prawie całkowicie swój wygląd. Nowa fryzura, lifting, ubrania od projektantów, wytworna biżuteria. Z tego, co mówił ojciec, spędzała większość czasu na zakupach w Atlancie albo Nowym Jorku, i od czasu do czasu, żeby poszaleć w sklepach, leciała do Kalifornii. Zawsze wracała z



małymi prezentami niespodziankami dla niego, przeważnie bzdurnymi gadżetami, z których się śmiał.

Jeśli to wszystko uszczęśliwiało jego ojca, życzył mu pomyślności. Adama nie obchodziły pieniądze ojca aż do dnia, w którym zatelefonowano z firmy księgowej. Jego ojciec i Eve byli wtedy małżeństwem od mniej więcej pięciu lat.

Terrence Lowinsky zarządzał majątkiem ojca, odkąd Adam pamiętał. Zapytał Adama o nagłe poważne wydatki Johna. Dwa nowe samochody, mieszkanie własnościowe w Atlancie, mały samolot.

Adam pamiętał, jaki był wtedy zszokowany. Ojciec nie był sknerą, ale nie był też lekkomyślny. Zapewnił Terrence'a, że porozmawia z ojcem. Kiedyś na lotnisku dostrzegł Eve z mężczyzną. Uścisk, który wymienili, nie był przyjacielski. Adam tkwił tam, o mało nie spóźniając się na samolot, i obserwował ich. Ona była niezwykle elegancko ubrana, a on wyglądał jak kot, który zjadł kanarka.

Podczas lotu do Brunswicku rozmyślał o tym, czego był świadkiem, i w końcu postanowił zachować to dla siebie. Uznał, że wcześniej czy później popełni jakiś błąd. Poinformuje ojca o rozrzutnych wydatkach jego żony i o niczym więcej. Przez następne kilka lat obserwował ich, a oni nie mieli o tym pojęcia.

Zgrzytliwy dzwonek telefonu komórkowego wyrwał Adama z zadumy. Podniósł aparat.

— Doktor Worthington.

— Uhm, tak, Adamie. Muszę z tobą porozmawiać.

— Kto dał panu ten numer? — warknął do telefonu.

— Czy to naprawdę ma znaczenie? — zapytał Bentley.

Nie miało, bo jak tylko przyjedzie do Atlanty, natychmiast go zmieni.

— Czego pan chce? — Chociaż z rzadka się spotykali, Adam gardził Bentleyem i żałował za każdym razem, kiedy choć raz na niego spojrzał.

— Słyszałem, że skontaktowałaś panią Edwards z jakimś doktorem Dewittem. Sam chciałem się do niego dodzwonić, ale jego recepcjonistka powiedziała mi, że wyjechał z miasta. Pomyślałem, że może wiesz, gdzie mógłbym go znaleźć.

— Przykro mi, Bentley. Nie mam zwyczaju znać aktualnych miejsc pobytu lekarzy ze stanu Georgia.

— Jesteś pewien? Naprawdę muszę go złapać.

— Do cholery, oczywiście, że jestem pewien. Czemu miałbym wiedzieć, gdzie jest doktor Dewitt?

Do diabła, ledwie znam tego człowieka. Na pewno nie dzwoni do mnie, żeby podać mi swój plan podróży. — Kiedy z rzadka spotykali się w szpitalu, Adam wzdygał się w obecności Roberta Bentleya.

Adam wcisnął „zakończ” i rzucił telefon na siedzenie. Coś się działo; czuł to. W

przeciwным razie po co Bentley miałby dzwonić na jego komórkę? I co, do diabła, Dewitt i jego przyrodnia siostra mieli wspólnego z Bentleyem?

\* \* \*

Casey ogarnął niepokój. Spędziła popołudnie z Julie i Florą w kuchni, ale miała wrażenie, że tylko im przeszkadza. Próbowwała uformować ciasto, tymczasem wyszedł jej wielki krążek hokejowy. Potem obierała jabłka i skaleczyła się trzy razy. Wtedy Flora i Julie wspólnie uznały, że powinna zająć się czymś innym. Została wyznaczona do wyczyszczenia lodówki oraz zamrażarki. Do plastikowego wiadra nalała gorącej wody z mydłem i szorowała nierdzewną stal do połysku. Następnie, uzbrojona w preparat o zapachu cytrynowym i stos szmat, pucowała stół w jadalni, balustradę schodów i stoliki. Potem zaatakowała odkurzaczem chodniki.

Była wdzięczna za to, że ma co robić. W głowie ciągle miała gonitwę myśli, ale przynajmniej ręce były zajęte.

Zamiast przynieść jej ulgę, rozmowa z matką pozostawiła uczucie pustki. Kiedy Flora i Julie skończą, zapyta gospodynię o Marca. Flora myślała, że John Worthington był jedynym mężczyzną, z którym matka spotykała się po śmierci jej ojca. Wyglądało na to, że nie wiedziała o tych innych mężczyznach w życiu Eve. Może matka chciała, żeby tak było. Nie potrafiła pozbyć się uczucia, że coś tu się nie zgadza. W opowieści matki czegoś brakowało.

A może tylko miała nadzieję, że czegoś brakowało. I że to coś złagodzi poczucie winy, które przygniatało ją, odkąd dowiedziała się o swojej zbrodni.

Mdłości dopadły ją, gdy chwyciła się poręczy schodów. Osunęła się na najniższy stopień, starając się całą siłą woli nie stracić przytomności. Wdech. Wydech. Dokładnie w taki sposób, jak nauczył ją doktor Macklin.

Wirujące barwy zamazały jej widok. Kolejny głęboki oddech. Obrazy, niektóre wyraźne, inne nie, tańczyły przed nią.

Szafa. Tyle że tym razem stała. Szukała. Wyciągnęła dzinsową torbę na książki z głębi najwyższej półki. Grzebała, aż wymacała metalową puszkę po kawie Folger's. Wsadziła ją do torby.

*Sweter, dwa podkoszulki i para dzinsów. Podeszła do komody, chwyciła kilka par majtek i nocną koszulę i wepchnęła to wszystko do torby.*

*Nie mogła spędzić kolejnej nocy w tym domu. Prędeż by umarła.*

*Wszedł do pokoju w chwili, gdy zamykała szufladę.*

*Chwycił jej torbę i zbadał zawartość.*

*— Oddaj to! Nie masz prawa tu być. Odejdź albo zrobię coś, co ci się nie spodoba! —*

*zagroziła. Stojąc na środku swojego spartańskiego pokoju, szukała broni. Jej wzrok napotkał puszkę po kawie, którą rzucił przed chwilą na środek łóżka.*

*Przepętniona nagłą odwagą, wyrwała mu torbę i rzuciła się do przodu po puszkę, i wtedy uderzył ją w twarz. Nie przejęła się, wcześniej była policzkowana wiele razy.*

*Ale ten drugi... Nie będzie tego dłużej znosić. Prędzej umrze.*

*Jednak nie chciała umrzeć.*

*Jego głos wypełnił pokój.*

*— Nie groź mi! Słyszysz? Obiecuję, że następnym razem nie będę taki miły.*

*Casey zadrżała. Wyszedł z jej pokoju tak szybko, jak wszedł. Rozejrzała się dokoła, modląc się, żeby to był ostatni raz, kiedy patrzy na ściany, które znały tak wiele tajemnic.*

*Tajemnice. Całe jej życie było jedną wielką tajemnicą.*

*Z wyjątkiem pobytów u babci i Flory żyła w wiecznym lęku.*

*Cóż, już tak nie będzie, pomyślała, gdy wrzucała zawartość puszek do torby.*

*Jedno ostatnie spojrzenie dokoła. Koniec. Nie będzie się już bać.*

*Po cichu zamknęła za sobą drzwi. Gdy wychodziła na korytarz, nie zauważyła zbliżającej się do niej pięści.*

Potrząsnęła głową, mając nadzieję, że pomoże jej to lepiej zrozumieć te obrazy. To nie był tylko sen. Pamiętała, że była w szafie.

— Floro! — krzyknęła.

Drobna kobieta przybiegła z kuchni.

— Co tam, co się dzieje, Casey? — zapytała, oddychając nierówno.

— Pamiętam, że byłam w tej szafie. Miałam zamiar wyjechać!

— Powoli. — Flora usiadła koło niej na stopniu. — Opowiedz mi wszystko.

— Zamierzałam wyjechać. Miałam puszkę z pieniędzmi, które zaoszczędziłam. Nie wiem, skąd się brały, ale wiem, że oszczędzałam od dawna. Coś się zdarzyło. Pamiętam, jak myślałam, że to będzie ostatni raz. Miałam dość. Byłam wcześniej u doktora Huntera. To dziwaczne. Pamiętam, jak myślałam, że stało się coś strasznego, ale wydaje się, że nie umiem sobie przypomnieć, co to dokładnie było. Jest tam jednak uczucie strachu. Ciągle jeszcze jest.

Bałam się, że umrę, Floro! — Casey ukryła twarz w dłoniach i pomyślała o doktorze Dewitcie. Może powinna była zostać.

— Natychmiast przestań tak myśleć! — upomniała ją Flora.

— Nie mam na to wpływu, wiem, że ktoś chciał... mnie skrzywdzić. A może temu komuś zależało, żebym siedziała cicho!

— Cóż, twoja mama nie chciała, żeby molestowanie wyszło na jaw, ale sądzę, że nie mogłaby nikogo skrzywdzić. Zwłaszcza ciebie.

— To inna sprawa. Dziś rano mama powiedziała mi, kto mnie molestował. Jednak nadal wydaje mi się, że sprawa nie została wyjaśniona.

Flora odchrząknęła, zanim zapytała:

— I kto to był, jej zdaniem?

— Jakiś Marc, po czym powiedziała, że on tak naprawdę nie... ze tylko dotykał mnie tam, gdzie nie powinien. Spotykali się przez parę miesięcy. Kiedy zapytała go o tę sprawę, odszedł

i nigdy już się nie odezwał. Moje zachowanie zmieniało się zawsze, kiedy przychodził do naszego domu. Mama mówi, że po badaniu u doktora Huntera powiedziałam jej, co się stało i kto to zrobił. Błagałam ją, żeby nie szła na policję.

Casey spojrzała ukradkiem na Florę. Jej twarz, zwykle pełna ekspresji, pozostała bez wyrazu.

— Nigdy nie słyszałam o tym mężczyźnie. Co jednak nie znaczy, że nie istniał.

— Nigdy nie opiekowałaś się Ronniem i mną, kiedy mama wyjeżdżała? Powiedziała mi, że jeździli do Atlanty na weekendy.

— Może opiekowałam się. Ale chyba byliście wtedy już dość duzi, żeby zostać sami.

— Floro. — Casey się ożywiła. — A dom? Dlaczego nikt mnie tam nie zawiózł? Jeśli coś strasznego przydarzyło mi się w tamtym domu i dlatego straciłam pamięć, to czy nie wydawałoby się logiczne, że powinnam tam wrócić?

Flora wstała i wygładziła na biodrach nieodłączny fartuch.

— Myślę, że to byłoby sensowne. Nie rozumiem, dlaczego Blake albo Adam nie zaproponowali ci tego.

Casey też tego nie rozumiała. Chciała odwiedzić swój dawny dom, ale wolała zrobić to sama.

— Floro, gdzie jest ten dom?

— Tylko nie wpadnij na jakiś niemądry pomysł, dziewczyno. Budynek jest tak stary, że niedługo się rozpadnie. Był stary już wtedy, kiedy w nim mieszkałaś. Przypuszczam, że teraz jest pełen szczurów i Bóg wie czego. Myślę, że pani Eve nie była tam, odkąd wyszła za pana Worthingtona.

— Jestem po prostu ciekawa, Floro, to wszystko.

— Cóż, wiesz, co mówią o ciekawości.

— Nie, powiedz mi.

— Że to pierwszy stopień do piekła. Dawny dom Edwardsów znajduje się na końcu wyspy. Przy Back Bay Street.

— Czy to koło Poorman's? — zapytała Casey.

— Tak. Skąd wiesz?

— Trzeba było podwieźć Adama do szpitala. Blake i ja zabraliśmy go spod warsztatu.

— Może jednak trzymaj się z dala od tego domu. Myślę, że musimy znaleźć ci jakieś następne zajęcie. — Flora odgarnęła biały kosmyk.

Casey zrobiłaby wszystko, o co poprosiłaby ją Flora, ale teraz chciała tylko móc wyjść z domu.

— Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym wróciła do siebie? Czuję się zmęczona.

Chciałabym trochę odpocząć.

Zacisnęła kciuki na szczęście, mając nadzieję, że Flora nie zorientuje się, że to kłamstwo.

Nie podobało jej się oszukiwanie tak bliskiej jej osoby, ale teraz nie miała wyboru.

— Oczywiście, że nie, moja droga. Zapominam, że jeszcze nie jesteś w pełni sił. Idź na górę, a ja powiem Julie, żeby przyniosła ci kubek kawy.

— Dzięki, ale chciałabym odpocząć. Później zejść na herbatę.

— Jeśli tak... wolisz.

— Dziękuję, Floro. — Casey szybko ją uścisnęła i musiała sobie przypomnieć, co powiedziała o zmęczeniu, żeby nie pobiec na górę. Czowała wzrok Flory na swoich plecach.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, zastanowiła się, jak mogłaby niezauważenie wymknąć się z domu. Wyrzała na długi korytarz i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Zdjęła adidasy, wetknęła je pod pachę, a potem zbiegła po trzech kondygnacjach schodów. Z kuchni dobiegały głosy Flory i Julie. Był to jeden z wolnych dni Mabel i Flora była zajęta przygotowaniem obiadu.

Kiedy Casey dotarła do stóp schodów, popędziła do drzwi wejściowych. Uważając, żeby nie hałasować, odciągnęła na bok ciężkie drewniane skrzydło i wyszła na dwór.

Niebo było posępne, ciemne chmury wisiały nisko. Wiatr nagle zmienił kierunek.

Sweetwater czekała potężna burza. Flora powiedziała wcześniej, że bolą ją kości. Casey włożyła buty. Burza jej nie powstrzyma.

Pobiegła do podnóża pagórka i przystanęła. Zapomniała o ochroniarzu. Mały ceglany budynek miał okno i z jednej, i z drugiej strony. Jeśli miała minąć go niepostrzeżenie, musiałyby się czołgać na brzuchu. Trudno, zrobi to, nie zrezygnuje ze swoich planów.

Powoli osunęła się na czerwoną ziemię. Nie mogła uwierzyć, że to robi. Gdy dochodziła do bocznej ściany murowanego domku, usłyszała, że strażnik rozmawia przez telefon.

Przeturlała się na bok, gdzie krzaki były tak bujne, że każdy mógłby się tam ukryć.

Używając łokci, pełzła przez zarośla. Odetchnęła z ulgą, gdy dobiegła do miejsca, w którym krzaki się kończyły. Strażnik nie mógł jej już zobaczyć, bo teren opadał.

Otrzepała ziemię z ubrania i sprawdziła, czy się nie pokaleczyła. Właściwie nie zniszczyła nawet ubrania, jeśli nie liczyć paru plam od trawy.

Droga do Sweetwater znajdowała się po prawej stronie. Przyśpieszyła kroku i przebiegła dobre pięć kilometrów, zanim zatrzymała się, żeby złapać oddech.

Kiedy krople deszczu zaczęły rozpryskiwać się na asfalcie, wiedziała, że musi się pośpieszyć, bo inaczej złapie ją burza. Do końca wyspy nie może być więcej niż półtora kilometra, pomyślała, pędząc, żeby się ukryć. Gdy rozbryzgując wodę, biegła ulicą, była już całkiem przemoczona. Sweetwater wygląda jak miasteczko opuszczone przez ludzi, pomyślała, kiedy zwalniała do kroku spacerowego.

Zdyszana, przystanęła i pochyliła się, próbując złapać oddech. Leki podawane jej przez tyle lat i brak ćwiczeń fizycznych nie wpłynęły dobrze na jej kondycję.

Tak, powiedziała sobie. Krok po kroku. Znow przyśpieszyła. Ubranie lepiło się jej do skóry. Miała nadzieję, że się nie przeziębii. Choroba była ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała.

Jeszcze dwa, trzy kwartały, potem czwarty. Wyspa się skończyła. Wokół widać było tylko wysoką trawę i piasek. Przez strugi ulewnego deszczu popatrzyła najpierw na lewo, a później na prawo. Ledwie odczytała napis „Back Bay Street” na tabliczce.

Casey pognała do celu. Czy go znajdzie? Z pewnością było więcej domów przy tej ulicy.

Skąd będzie wiedzieć, w którym kiedyś mieszkała? Pytania bombardowały ją jedno po drugim z taką samą częstotliwością, z jaką ciężkie krople deszczu uderzały w jej zziębniętą skórę. Minęła dwa małe drewniane domy, oba oświetlone, a więc zamieszkane. Flora mówiła, że jej matka nie była tu od ślubu z Johnem. Casey zwolniła i szła miarowo. Kiedy już chciała zrezygnować, bo dygotała z zimna, zobaczyła ten budynek.

Wiedziała na pewno, na sto procent, że kiedyś tu mieszkała.

Z piętrowego domu odpadły płaty farby, na drewnianych okiennicach widać było placki wyblakłej żółci. Widocznie kiedyś dom był pomalowany na wesoły żółty kolor.

Pamiętała. Jej babcia mieszkała kiedyś w tym domu. Sama go sobie pomalowała.

Podeszła do frontowej werandy, której podłoga zapadała się od starości i z zaniedbania.

Casey szła powoli, uważając, stawiając pojedynczo stopy. Weranda miała daszek, który stanowił jaką taką osłonę przed deszczem, mimo że przeciekał.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. To był ten dom. Chwyciła zardzewiałą klamkę. Pociągnęła drzwi z siatką przeciw owadom na bok, czekając na skrzypnięcie, którego się spodziewała, i znieruchomiała.

Nagle coś sobie przypomniała. Napełniło ją to tak silnym przerażeniem, że odwróciła się, by uciec.

\* \* \*

Roland znieruchomiał. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś hałas, ale wiedział, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodziłby na dwór w taką pogodę.

Zaświecił latarką, szukając szczura, którego dostrzegł wcześniej. Niebyło go.

Zamajaczyły przed nim schody. Nie był pewny, czy wytrzymają, ale wiedział, że i tak zaryzykuje. Koniecznie chciał wejść na górę.

Nie raczył powiedzieć Verze, gdzie się wybiera. Nie było potrzeby, żeby wiedziała, a poza tym zadawała zbyt wiele pytań. Jedyne minus, pomyślał, gdy sprawdzał, czy najniższy stopień wytrzyma jego ciężar, był taki, że gdyby schody się pod nim zawaliły, leżałby tam, ażby umarł. Może powinien był powiedzieć Verze.

Nie mógł pojąć, co go opętało i kazało mu przyjść tu w taką pogodę, ale ten cholerny głos ciągle go prześladował, i w końcu posłuchał.

Jedna stopa, potem druga. Zatrzymał się na czwartym schodku i błysnął latarką. Jego ślady były wyraźnie widoczne na stopniach, na których leżała warstwa kurzu, szczurzych odchodów i brudu. Nie dbał o to. Jeszcze jeden stopień, potem następny. Skierował światło do góry. Zamknięte drzwi u szczytu schodów — to tu.

Porzucił myśl o zawróceniu. Wiedział, że czeka na niego tajemnica. Wiedział to od dziesięciu lat. Może wreszcie się dowie, co kryje się za tymi zamkniętymi drzwiami.

Pchnięciem otworzył drzwi i wtedy to usłyszał.

Krzyk?

Trzaskając drzwiami o ścianę, Roland usłyszał ten wrzask po raz drugi i poczuł, że włoski na karku mu się jeżą.

Popatrzył na łóżko, na zaplamiony materac w niebieskie i białe pasy.

Mój Boże, pomyślał, gdy przechodził przez pokój, czujny teraz, czekając na kolejny krzyk.

Nawet nie zadali sobie trudu wyniesienia zakrwawionego materaca. Wielki pomarańczowo—

brązowy krąg przy wezglowiu po prawej stronie i kilka mniejszych plam nadal były widoczne. Inna rdzawa plama pokrywała całą lewą stronę, jakby coś albo kogoś przeciągnięto po materacu.

Jakiś hałas. Natężył słuch. Deszcz tłukł o dach i porywiste podmuchy wiatru przenikały przez okna, więc Roland nie był pewien, czy rzeczywiście coś usłyszał. Jego wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach.

Ile to już razy odgłosy wiatru brzmiały jak piskliwe wołanie kobiety? Nienawidził tego cienkiego zawodzenia. Przyszedł, żeby... prowadzić śledztwo i nie potrzebował dodatkowych atrakcji.

Przesunął snop światła po łóżku ostatni raz, a potem przeszedł przez pokój w kierunku szafy. Jedną ręką chwycił gałkę, w drugiej trzymając latarkę, i szarpnięciem otworzył drzwi.

Szafa była pusta.



Cóż, czego się, do diabła, spodziewałeś? Że wypadną na ciebie zwłoki Ronalda Edwardsa?

Obejrzał wewnątrz szafy. Przesuwał palcami po powierzchni brudnej półki, aż dotknął

szorstkiego materiału. Ściągnął z półki to coś i przekonał się, że to damska torebka albo torba podróżna. Zawiesił ją na ramieniu i znów zaczął chodzić po pokoju.

Pamiętał tamten wieczór, jakby to było wczoraj. Wrócił tu dopiero teraz. Nie miał wyboru.

Wzdrygnął się pod wpływem poczucia winy, gdy próbował sobie przypomnieć, ile razy wcześniej się tu wybierał, ale nigdy nie doszedł.

Była wtedy taka przerażona. Do diabła, on też. Zrobił to, co mu kazano, i nie miał

najmniejszych wątpliwości, że postąpił słusznie. Ale myślał tak tylko na początku. Przez te wszystkie lata mówił sobie, że był młody i przestraszony, ale tak naprawdę to po prostu nie miał wtedy jaj.

Ta scena nigdy do końca go nie przekonała. Nawet jego niedoświadczone wtedy oko widziało, że coś się nie zgadza..

Wrócił z nadzieją, że teraz się tego dowie.

Zrekonstruował w myślach tamten wieczór najlepiej, jak potrafił.

Casey była na korytarzu. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę, która uwydatniała jej figurę. Drżała. Przycupnęła w kącie, ściskając ramionami nogi i kwiląc. Zdjął kurtkę i ją okrył. Nie chciał, żeby ktokolwiek patrzył na nią, gdy jest w takim stanie. Pamiętał, jak wyglądała. Jakby życie z niej uszło.

Wszedł do pokoju i omal nie zwymiotował. Nigdy wcześniej nie widział tyle krwi. To był

horror. Krew, zgęstniała od powietrza, ciekła po ścianie nad łóżkiem. Czerwone krople pokrywały cały nocny stolik. Różowa lampa z baleriną jarzyła się szkarłatnie. Nie wiedział, jaki kolor ma pościel, bo przemoczyła ją krew.

Potem zobaczył ciało, owinięte prześcieradłami. Kiedy odciągnął na bok przykrycie, zobaczył martwe oczy Ronalda Edwardsa.

Wtedy się zrzygał. Tam właśnie, na cholernym miejscu popełnienia przestępstwa, opróżnił

żołądek ze wszystkiego, co do niego wepchnął tamtego dnia. Nic nie mógł na to poradzić.

A oni po prostu stali obok i na niego patrzyli.

Kiedy już oczyścił się, jak mógł najlepiej, chusteczką, trudno było odgrywać rolę wielkiego groźnego szeryfa.

Bentley o tym wiedział. I wykorzystał to.

Znów rozległ się ten hałas, wytrącając go z zamyślenia. Tym razem brzmiało to nie jak krzyk, ale jak kwilenie.

Roland wyszedł z pokoju, żeby jednak zbadać, co to za dźwięk.

Zbiegł schodami, po niepokoju o własne bezpieczeństwo nie zostało nawet śladu.

Zatrzymał się, kiedy dotarł do najniższego stopnia.

— Pomocy!

Przebiegł przez pokój od frontu i otworzył drzwi prowadzące na werandę.

To była ona.

Krwawiła, ubranie przylegało do niej jak celofan. Krótkie, mokre od deszczu loki oklapły.

Jęczała oparta o dom, nieświadoma jego obecności.

— Casey — szepnął, nie chcąc jej przestraszyć. Przekręciła głowę na bok i zobaczył, że jednak się zlekła.

Próbowała wstać.

— Już dobrze. Już dobrze, Casey. — Wyciągnął do niej rękę. Chwyciła ją i uniosła się do pozycji stojącej, wykorzystując jako podporę tylną ścianę werandy.

Okiennice waliły w spróchniałe drewno. Ulewny deszcz łomotał w daszek werandy. Rzucił

szybkie spojrzenie w górę, mając nadzieję, że wiatr nie zerwie dachu. Kamienna ścieżka wiodąca do drzwi wejściowych dawno już została zalana i poziom wody szybko się podnosił.

Żałował teraz, że przyszedł pieszo; wolałby mieć tutaj służbowy wóz z radiostacją i ogrzewaniem.

Przede wszystkim powinien zabrać Casey do środka i obejrzeć jej obrażenia. Delikatnie uniósł ją w ramionach i otworzył drzwi z siatką, potem pchnął je na bok. Obrzucił wzrokiem pokój. Nie było gdzie jej położyć. Bez namysłu wbiegł po schodach i wszedł do pokoju, którego widok zaledwie parę sekund wcześniej wywołał u niego dreszcze.

Ostrożnie ułożył ją na poplamionym materacu. Nadal jęczała i przewracała się z boku na bok. Widział po szklistości jej oczu, że nie ma pojęcia, co się dzieje.

Chusteczką osuszył jej mokrą twarz, szukając źródła krwawienia.

Na jej prawej skroni zobaczył świeżą ranę, mającą mniej więcej pięć centymetrów długości.

Wyciągnął prędko latarkę z kieszeni na biodrze i poświecił nią, żeby lepiej się przyjrzeć.

Rana wydawała się głęboka. Powinien zabrać ją do szpitala albo przynajmniej do Blake'a, żeby lekarz założył szwy.

Ale wtedy będzie musiał odpowiedzieć na pytania. Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

Casey miotła się, jakby miała gorączkę. Do diabła, może była chora, a on o tym nie wiedział. I dlaczego, do jasnej cholery, tu przysła? A przede wszystkim dlaczego, do diabła, on sam tu przyszedł?

Pozna odpowiedzi, jak tylko dziewczyna zacznie składnie myśleć. Oczyścił jej ranę, jak umiał najlepiej.

— Co... gdzie jestem?

Parker odgarnął mokre włosy Casey i nadal uciskał jej ranę.

— Już dobrze. Jesteś ze mną. Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało — powiedział, mając nadzieję, że tym razem naprawdę do tego nie dopuści.

Casey usiadła, opierając się o ścianę. Patrzył, jak skupia uwagę na pokoju, i zobaczył w jej oczach pytania.

— Szeryfie? — odezwała się słabym głosem.

— Tak. Musisz leżeć nieruchomo, jesteś ranna.

Spojrzenie zielonych oczu stało się badawcze.

— Co mi się stało? Dlaczego pan tu jest?

— Myślę, że wiatr oderwał skrzydło okiennicy i trafiło cię w skroń głowy.

— Tak, wiatr. Ale... Nie! Zobaczyłam cień, kiedy otworzyłam drzwi. Potem zapadła ciemność. — Usiadła na łóżku. Krwawienie ustało. Wyjęła chusteczkę higieniczną z kieszeni spodni i przesunęła nią po ranie.

— Muszę zabrać cię do szpitala albo przynajmniej do doktora Huntera, żeby cię obejrzał.

Rana jest dość głęboka.

— Nic mi nie będzie — powiedziała, zsuwając się wolno z brudnego materaca. Pochodziła po pokoju, podeszła do szafy, stanęła koło okna bez zasłony, po czym odezwała się poważnym tonem:

— To tu, prawda?

Nie musiał pytać, co ma na myśli.

— Tak, tutaj.

Odsunęła się od okna i zatrzymała w nogach łóżka.

Roland zobaczył, że Casey wpatruje się w plamy na materacu, i zdał sobie sprawę, jakie to było głupie, że przyniósł ją akurat do tego pokoju.

Przeniosła na niego wzrok.

— Szeryfie, czy mogłabym pobyć tu przez chwilę sama?

Nie sądził, żeby leżało w jej interesie pozostawienie jej w tym pokoju, ale już i tak nawalił, kiedy ją akurat tu przyniósł. Co złego mogło się stać, jeśli spędziłaby parę minut sama?

— Pewnie.

Cicho wyszedł, modląc się, żeby jego decyzja była słuszna. Nie mógł pozwolić, nie pozwoli, aby stała się jej jeszcze jakaś krzywda.

Casey rozejrzała się po pokoju i próbowała sobie przypomnieć, jak to było mieszkać tu, spać, marzyć, zabić. Nie mogła.

Patrzyła na swój dawny pokój oczami obcej osoby.

Materac w pasy był zepchnięty na ścianę. Koło łóżka stał nocny stolik pokryty wieloletnim kurzem.

Spojrzała pod nogi. Drewnianej podłogi, kiedyś może lśniącej i gładkiej, nie było prawie widać spod warstwy mysich odchodów i brudu. Coś, co mogło przed laty uchodzić za narzutę, ciśnięte w nogach łóżka było tylko cienkim pasem tkaniny. Podniosła ten wytarty kawałek materiału i zobaczyła spłowiały deseń. Kaczki i króliki? Koc dziecka. Jej? Nie wiedziała.

Położyła go na miejsce i podeszła do szafy. Zawahała się.

Czy to było dziecko? Nie, to była młoda dziewczyna. Ściągała ubrania z wieszaków. I była rozgniewana. Dość rozgniewana, by zabić.

Stojąc w drzwiach szafy, wiedziała, że ta dziewczyna to ona sama. Nie chcąc zakłócać wspomnień, weszła do ciemnej szafy i zamknęła oczy.

*Wpychała koszulki i parę dżinsów do swojej torby na książki. Musiała się śpieszyć.*

*Dzisiaj ucieknie z tego piekła. Pojedzie do Atlanty i wkrótce nie zostanie nawet cień.*

*Wszystkie ślady po nim znikną. Przestała na chwilę się pakować i pomyślała o swoim planie.*

*Czy było w nim coś niewłaściwego? Nie! Nie będzie się zastanawiać, czy powinna tak postąpić. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby jej potępić za to, co zamierzała zrobić.*

Casey poczuła, że gorące lzy płyną jej po twarzy. Wstyd, strach i wściekłość, których doświadczyła jako młoda dziewczyna, powróciły z całą siłą. Tylko że tym razem wiedziała dlaczego. I tym razem rozumiała. Przypominała sobie stopniowo swoją przeszłość dokładnie tak, jak przewidywał doktor Macklin.

\* \* \*

Roland wytężył słuch. Było cicho. Nie chciał jej przeszkadzać, ale musiał się upewnić, że nic jej nie jest, więc wspiał się po schodach.

Stała przy oknie. Wydawała się głęboko zamyślona. Cicho podszedł do niej i poprowadził ją do drzwi.

— Chodźmy stąd.

— Dobrze.

Zeszli ramię przy ramieniu schodami do pokoju od frontu. Parker szukał miejsca, gdzie mogliby usiąść, ale wszystko było brudne i zaśmiecone, tak że nie było gdzie.

Zdjął kurtkę i położył ją na najniższym schodku.

— Muszę wracać. Flora będzie się martwić — powiedziała Casey, siadając obok niego.

Przez chwilę myślał, że nadal jest oszołomiona po uderzeniu w głowę.

— Myślą, że drzemię w swoim pokoju — dodała. A jednak rozumowała logicznie!

— Poczekajmy, aż burza ucichnie, i wtedy możemy podrałować do mojego biura. Odwiozę cię do Łabędziego Domu.

— Podrałować? — zapytała Casey z lekkim uśmiechem.

Zaśmiał się.

— W taki sposób chłopak ze wsi mówi „iść”.

— Chłopak ze wsi? Nie domyśliłabym się.

Uśmiechnął się szeroko.

— Dzięki. To chyba niemożliwe.

— Nie wydaje się pan zbyt zadowolony z tego, że pochodzi pan ze wsi. Dlaczego? —

zapytała Casey.

Czy mógł jej powiedzieć? Nie chodziło o to, że był z Ellajay. Czuł się podle dlatego, że zdradził wszystko, w co kiedyś wierzył.

Jego mama myślała, że wychowała go na mężczyznę z mocnym charakterem, prawego, a on był wielkim tchórzem. Gdyby wtedy choć w części był kimś takim, za kogo uważała go matka, nigdy by nie wszedł w układ z tym sukinsynem.

— Szeryfie?

— Nie mam żalu do losu o to, że jestem chłopakiem ze wsi. Rzecz w tym, że... lokalne układy utrudniają mi pracę, to wszystko.

— Cóż, to chyba normalne w tym zawodzie. Ale, szeryfie... — Urwała i wiedział, o co go zapyta. — Co pan tu właściwie robi?

— Tak jak ty mam niejasne wspomnienia z tamtego dnia. Pomyślałem, że powrót tutaj rozjaśni mi w

głowie.

— I pomógł?

— I tak, i nie. — Nie wiedział, co jej powiedzieć. Przecież nie mógł się przyznać, że to on spartaczył całe dochodzenie. Że to przez jego fuszerkę trafiła do szpitala na dziesięć lat.

— Wiem, o czym pan mówi. — Jej spojrzenie znów stało się nieobecne. — Kiedy byłam na górze, osaczyły mnie wspomnienia, ale nadal nie wiem, dlaczego... zabiłam Ronniego.

Roland wiedział, że ryzykuje, zadając następne pytanie, ale właśnie uzmysłowił sobie, co go zaniepokoiło w tamtym pokoju.

— Casey, czy pamiętasz, na której połowie łóżka zwykle spałaś?

Popatrzyła na niego tak, jakby stracił rozum.

— Nie jestem pewna. Czy myśli pan, że to pomoże, jeśli spojrzę jeszcze raz? — Wstała i ruszyła na górę.

— Idę z tobą.

— Oczywiście.

Parker obserwował ją, gdy patrzyła na wypełniony włosiem wór na podłodze. Widział, że stara się skoncentrować.

Usiadła na materacu, sprawiając, że podniósł się kurz. Przesunęła się w jedną i drugą stronę, a potem wstała.

— Przykro mi, szeryfie, nie wiem. Pamiętam, że tamtego dnia zamierzałam wyjechać.

Nigdy wcześniej nie byłam tak rozgniewana. Miałam chęć zabić... — Zakryła usta drżącą ręką.

— Przestań, Casey. — Podszedł i otoczył ramionami jej szczupłe barki. Dygotała w jego objęciach. Wciągnął powietrze. Pachniała deszczem i kwiatami. Jeszcze raz głęboko zaczerpnął tchu, a potem delikatnie się odsunął.

— To już skończone. Odsiedziałaś swoje. Przestań przepraszać.

Jej zielone oczy rozświetliły ponury szary pokój.

— Czy tak jest, szeryfie? Czy może to tylko następna iluzja? Sądzę, że sprawa zostanie zamknięta, gdy wszystko sobie przypomnę.

Parker zerknął przez brudną szybę i zauważył, że deszcz zdążył osłabnąć, ulewa przeszła w mżawkę.

— A więc musimy nad tym popracować.

\* \* \*

— Rana może rwać, kiedy środek znieczulający przestanie działać. Jeśli tak będzie, zażyj lekarstwo.

— Blake podał Casey małą kopertę wypełnioną białymi tabletkami.

— Czuję się świetnie, naprawdę. Jestem pewna, że przeżyję.

— Szeryfie, zabiorę ją do domu. Jestem wdzięczny za to, że pan ją przywiózł. — Blake wymienił uścisk ręki z Rolandem.

— Zwyczajna rzecz. No więc, Casey — rzucił szeryf, zanim opuścił gabinet Blake'a —

jeśli zapragniesz coś zbadać, proszę, zadzwoń do mnie. Przyjadę po ciebie. — Uniósł lekko kapelusz i wyszedł.

— Pewnie — powiedziała do zamkniętych drzwi. Współczuła szeryfowi, choć nie wiedziała dlaczego. Wydawał się smutny, kiedy wiozł ją do gabinetu doktora Huntera.

Blake wręczył jej swój płaszcz kąpielowy, żeby go nałożyła, dopóki nie wyschnie jej odzież.

— Mam pytanie — zawołała z pralni przylegającej do kuchni. — Chodzi mi o szeryfa Parkera. Czy ma żonę i dzieci, kogoś bliskiego? Wydaje się taki... nieobecny myślami.

— Nie jest towarzyski. Nigdy nie był. Jeśli chodzi o małżeństwo, to wydaje mi się, że jak dotąd nie zdecydował się na ożenek. Dlaczego pytasz?

Wyszła z pralni, mając na sobie ciepłe, wysuszone ubranie.

— Pomyślałam, że może był tam z powodu... cóż, z powodu mnie i tego, co się kiedyś stało. Nawet tak powiedział.

Blake podał jej telefon po tym, jak wystukał numer.

— Flora. Będzie się martwić.

— O cholera! Zapomniałam. I tak przez całe życie... Julie, to ja, Casey. Poszłam na spacer. Nie, naprawdę czuję się świetnie. Powiedz Florze, żeby nie dzwoniła do szeryfa.

Jestem teraz u Blake'a. Podwiezie mnie do domu. — Uniosła brwi po następnym pytaniu.

— Obiad?

Pokazał jej uniesiony kciuk.

— Uhm, tak, chętnie zostanie. W porządku. I dziękuję, Julie.



Casey oddała telefon Blake'owi.

— Julie prosiła, bym ci powiedziała, że Flora przyrządziła to, co najbardziej lubisz.

Duszoną wołowinę.

— A więc jedźmy. Porozmawiamy po drodze.

\* \* \*

Robert chodził tam i z powrotem po pustym biurze. Zjawił się pół godziny przed czasem, żeby zaznajomić się z rozkładem pomieszczeń. Wszystko wydawało się w porządku. Pragnął, aby jego klientka się pośpieszyła. Miał ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Na przykład znalezienie Dewitta, który nabrał go poprzedniego wieczoru. Robert nie lubił

Normy oraz sytuacji, kiedy robiono go w konia. Zachodził w głowę, dlaczego ten wypierdek zadał sobie trud umówienia się z nim na spotkanie. Czy ta obłąkana panna Edwards otworzyła jadaczkę, czy też drogi doktor wciągał go w gierki? Najprawdopodobniej to drugie, pomyślał, gdy przecinał rozległą przestrzeń pustego wielopokojowego biura. Wyrzwał przez okno na trzydziestym szóstym piętrze. Samochody szczelnie zapelniały Peachtree. Błyskawicznie wjeżdżały na pasy ruchu i je opuszczały, i Robert zastanawiał się przez chwilę, jak by to było wejść przed jeden z nich. Albo popchnąć kogoś pod koła.

Próbował przejechać Casey Edwards, ale mu się nie udało. Może powinien inaczej się do tego zabrać. Gdzie, do diabła, była jego potencjalna kontrahentka? Czy nie wiedziała, że jest zapracowanym człowiekiem?

Popatrzył w stronę wiszącego na ścianie zegara, który zostawił ostatni najemca. Jeszcze pięć minut, potem wyjdzie.

Nie potrzebował już tego gówna. Handel nieruchomościami szedł coraz gorzej. Pocieszył się myślą, że już wkrótce zwinie interes.

Właśnie miał wyjść, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

Kobieta w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, ubrana w elegancki granatowy kostium i buty pod kolor, wyciągnęła rękę na powitanie.

— Helen Bishop. Pan na pewno jest Robertem?

— Tak. — Otworzył drzwi i odsunął się na bok.

— Potrzebuję powierzchni biurowej, i to szybko. — Helen przeszła się po pokoju, zatrzymując się raz, żeby się rozejrzeć. — Ta wygląda na wystarczająco dużą, a cena jest właściwa. Peachtree Center 1 to dobry adres. Załatwmy to.

Roberta zaciękała ta kobieta. Czy pod wymodelowaną w salonie fryzurą pani Bishop kryła się jakaś tajemnica?

— Czy chciałaby pani przejrzeć warunki najmu? Mam je tutaj. — Przekartkował plik papierów w swojej teczce.

— Nie. Jeśli umowa jest standardowa, jestem pewna, że wszystko pójdzie świetnie.

Chciałabym zacząć się wprowadzać jutro z samego rana. — Powiedziała to wszystko, wypisując czek. Kiedy Robert zobaczył, że zapłaciła czynsz z góry za cały rok, postanowił

trzymać gębę na kłódkę, ale był ciekawy. Dlaczego tak szybko chciała przejąć biuro w tym budynku, skoro umówiła się z nim na spotkanie wiele tygodni wcześniej?

— Tak, jest standardowa — potwierdził. Dał jej do podpisania wymagane papiery, potem włożył je z powrotem do swojej teczki.

Wyciągnęła do niego dłoń.

— Dobrze się robi z tobą interesy, Robercie. — Uścisnęła jego rękę w zaskakująco kobiecy sposób.

— I nawzajem. Jestem pewien, że nie będzie mi pani miała za złe, jeśli teraz już wyjdę.

Umówiłem się na jeszcze jedno spotkanie w tym budynku i jestem spóźniony.

— Oczywiście. — Nowa najemczyni wsunęła swoje egzemplarze umowy do torebki i zostawiła go samego z jego myślami.

Cała transakcja nie trwała dłużej niż pięć minut. Robertowi się to podobało. Ta kobieta, kimkolwiek była, przypominała mu jego samego.

Skłamał, kiedy powiedział, że umówił się na kolejne spotkanie w Peachtree Center. Nie miał pojęcia, dlaczego. Prawdopodobnie chodziło mu o to, aby ta bardzo zajęta kobieta pomyślała, że jest jednym z wielu czekających na niego klientów. Boże, dlaczego potrzebował ciągłego dowartościowywania się? Czego brakowało w jego życiu? Większość mężczyzn by mu zazdrościła. Dom rodzinny Normy, teraz jego dom, mógł równać się z rezydencją każdego bogacza. Lamborghini, jaguar, klasyczna corvette, do tego trzy bmw, a także mercedes Normy. Jego ubrania były szyte na miarę. Należeli z Normą do The Oaks, jednego z najwspanialszych klubów w Brunswicku. Posiadał rzeczy, których zgromadzenie zajmowało większości mężczyzn całe życie. A on nigdy nie był do końca zadowolony.

Wiedział, czego mu brakowało. I na Boga, będzie to miał bez względu na wszystko. Co przypominało mu znów o Dewicie. W żadnym razie nie pozwoli się zastraszać temu doktorowi.

Drzwi windy otworzyły się z sykiem i Robert szybko wyszedł. Nienawidził tych cholernych urządzeń; nigdy nie było wiadomo, kiedy się utknę. Nie żeby mu się to przytrafiło, ale słyszał o ludziach, którzy naprawdę umarli zatrzaśnięci w windach.

Kiedy wkroczył na Peachtree Center Avenue, przywitały go jaskrawe światło słoneczne i ciepły wietrzyk. Młodzi i starsi pracownicy biurowi tłumnie zapełniali chodniki. Budki sprzedawców hot dogów kusily w całym śródmieściu i Robert prawie żałował, że jest taki zdyscyplinowany. Miał ochotę zjeść jednego hot doga, może dwa, z dodatkiem przypraw, keczupu i musztardy. Gdyby uległ zachciance, znalazłby się dokładnie w tej samej strefie wysokich — a raczej niskich — kalorii, co ludzie z niższych klas, którzy napychali się tymi okropnymi bułami, przez cały czas zastanawiając się, dlaczego nie mogą zapanować nad swoją wagą.

Na Auburn Avenue przystanął i przeszedł przez ulicę wraz z tłumem ludzi śpieszących w stronę Stanowego Kapitolu Georgii.

Musiał odwiedzić jeszcze jedno miejsce i miał akurat tyle czasu, by to zrobić przed powrotnym lotem do Sweetwater. Pomachał ręką i po paru sekundach wskoczył do taksówki firmy Yellow Cab. Podał kierowcy adres w Buckhead, po czym obserwował taksówkarza, gdy ten w myślach obliczał swoją zapłatę plus napiwek. Buckhead to jeden z najlepszych adresów w Atlancie, więc wątpił, żeby taksówkarz często woził pasażerów do tej dzielnicy, ponieważ większość jej mieszkańców miała osobistych szoferów.

Robert wyjął dwudziestkę z portfela i popatrzył na tykający taksometr, zanim chwycił

następną. Nie chciał wydać się skąpcem, ale też na pewno nie chciał, żeby kierowca uznał go za nuworysza. Do diabła, wątpił, czy taksówkarz w ogóle wie, co znaczy to słowo.

— Dziękuję — powiedział taksówkarz, gdy Robert wetknął gotówkę w jego wyciągniętą rękę. Zaraz potem Robert popędził do mieszkania.

Nie wiedziała, że podczas ich ostatniej wycieczki dorobił klucze. Wziął je z jej torebki, kiedy brała prysznic. Odcisnięcie ich w wosku zajęło parę sekund. Następnego dnia, kiedy byli w Brunswicku, Marv, kierownik sklepu Ace Hardware, zrobił dla niego kilka kompletów.

Nigdy nie wiadomo, kiedy można zgubić klucze.

Wsunął klucz do zamka. Lekki trzask i drzwi się otworzyły. Doskonale.

— To ty!

Miała na sobie czarną spódniczkę i tylko częściowo schowaną do niej różową bluzkę.

Bładoróżowe rajstopy opinały jej szczupłe nogi. Butów nie było nigdzie widać. Wyglądała nieporządnie, jakby ubrała się w wielkim pośpiechu. Zazwyczaj nawet jeden włos nie odstawał z fryzury na pazia, która teraz wyglądała tak, jakby jej właścicielka napotkała niedawno wiatry o huraganowej sile.

— Tak, ja. I co z tego?

— Nie spodziewałam się ciebie.

Zatrzymał wzrok na jej zaczerwienionej twarzy.

— Najwyraźniej nie. Co, do diabła, robiłaś, czy może raczej powinienem spytać, z kim to robiłaś?

— Wiedział, że jej życie seksualne nie ogranicza się do jego osoby. Ponieważ miał

dokładnie takie same zwyczaje, nie obchodziło go, z kim ona chodzi do łóżka.

— To nie powinno cię interesować. Jednak — zawołała przez ramię, gdy szła w stronę sypialni — mnie interesuje, dlaczego tu jesteś. Wiem, że uważasz mnie za wariatkę, Robercie, może nią jestem.

— Zaśmiała się z całego serca. — Ale wiem też, że nigdy nie dałam ci klucza do tego mieszkania. Już samo to sprawia, że zastanawiam się, co jeszcze robisz za moimi plecami.

Nie wiedział, czy dłużej zdoła się powstrzymać. Musiał. Jeszcze tylko kilka dni i wszystko to będzie należało do niego.

— Wielka rzecz, kurwa. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że prowadzę firmę? Jestem w Atlancie bardzo często. Powinnaś była dać mi klucz. Czasami zostaję na noc. Nie chciałem prosić cię o to, więc po prostu kazałem jeden komplet dorobić. Koniec opowieści. Niczego nie ukrywam.

— Wiele rzeczy przychodzi mi do głowy, Robercie. Także takie, o których nigdy się nie dowiesz. — Wyszła z sypialni, wyglądając świeżo jak poranek. — Wracam do Sweetwater.

Mam tam parę rzeczy do zrobienia. Podwieźć cię?

Będzie musiał poszukać Dewitta później. Potrzebował przynajmniej godziny, żeby móc w spokoju podzwonić. Musiał też pozbyć się zapasu LSD, który nosił w kieszeni. Ochrona na lotnisku na pewno by go zatrzymała. Nigdy nie miał pewności, do jakiego momentu ona pozwoli mu przeprowadzać ich plan. Wiedział, że morderstwo nie jest dla niej problemem, ale nie był pewien, jak się zachowa, gdy trzeba będzie wybrać ofiarę. Zdecydowanie nie chciał prowadzić interesów w jej obecności. Dewitt mógł poczekać jeszcze dzień. Pozbycie się narkotyków to nie problem.

— Pewnie. Masz tu samochód? — Zwykle wynajmowała kierowcę podczas swoich wycieczek do Atlanty.

— Wypożyczyłam benza. Zostawię go agencji na lotnisku.

— Świetnie. O której godzinie odlatuje twój samolot, czy może masz cessnę? — Nagle przyszła mu do głowy myśl, że zostawi narkotyki w wypożyczonym samochodzie.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Robert rozejrzał się, by zyskać pewność, że nie jest obserwowany. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś ich zobaczył razem. Lata planowania poszłyby na marne.

— Lot American czterysta czterdzieści dwa, Robercie. Ty też go wybrałeś. — Posłała mu jeden ze swoich wszystkowiedzących uśmiezków, a potem poprowadziła go do podziemnego garażu.

Ta kobieta czasami go zaskakiwała.

Zanim otworzył przednie drzwi po stronie pasażera, obszedł samochód. Przy siedzeniu kierowcy, nie dając jej szans na opór, wziął ją w ramiona i pocałował, długo i mocno. Nad tym miał kontrolę. Ona nie miała żadnej. Na początku się sprzeciwiała, potem język rozwarł

jej wargi. Drażniąc ją, skubał zębami jej wargę, potem poczuł, że staje się uległa, gdy jej usta otworzyły się ku niemu. To działało za każdym razem.

\* \* \*

Adres w Buckhead oznacza w Atlancie, że jest się osobą zamożną albo kimś z twórców modnych trendów na Południu, lub, często, jednym i drugim. Adam jadał lunch w restauracjach sieci Waffle House albo Shoney's, ale jego pacjentka, bogata wdowa po pięćdziesiątce, lecząca się na agorafobię, nalegała, żeby spotkali się tego dnia w Bone's, lokalu w samym sercu dzielnicy Buckhead, w którym podawano steki.

Czarno-białe zdjęcia sławnych ludzi, którzy jedli tu kiedyś, wisiały rzędami na wyłożonych ciemnymi panelami ścianach razem z oprawionymi fotografiami przedstawiającymi Atlantę na przestrzeni dziejów. Lokal był znany ze steków, z zupy z homarów i długiej karty win. Adam uśmiechnął się do siebie, gdy czekał, aż pani Bishop wróci z damskiej toalety.

Helen Bishop chciała natychmiast zacząć korzystać ze świeżo odzyskanej wolności. Ponad dziesięć lat spędziła w domu po tym, jak jej jedyny syn zginął w wypadku samochodowym, kiedy jechał w odwiedziny do rodziców. Nie była w stanie nawet pojechać do centrum miasta.

Przez ostatnie dwa lata Adam intensywnie leczył ją z agorafobii.

Świętowali teraz otwarcie jej nowej firmy marketingowej. Wynajęła biuro przy Peachtree i miała się tam wprowadzić następnego dnia.

Adam przypuszczał, że jest to lunch pożegnalny. Helen poruszała się sama po mieście od prawie roku i ten dzień był punktem kulminacyjnym jej długich zmagañ z zaburzeniem psychicznym, które więziło ją przez tyle lat.

Wyłoniła się z damskiej toalety, promienna i uśmiechnięta. Ujął ją za łokieć i poprowadził

w kierunku głównych drzwi restauracji, które otwierały się na Piedmont Road. Nagle wyrwała mu się i wyszła na ulicę.

— To on!

Zobaczył, kogo wskazywała. Coś w sylwetce tej osoby wydawało mu się znajome.

— Kto? — Adam zbliżył się do krawężnika i stanął obok Helen.

— Mężczyzna, od którego wynajęłam biuro. — Zrobiła kolejny krok, prawie pod nadjeżdżające samochody.

Adam chwycił ją za ramię i odciągnął w bezpieczne miejsce.

— Helen, ze smutkiem myślałbym o tym, że pracowaliśmy ciężko przez ostatnie dwa lata, a potem efekty terapii zniweczyłaby twoja ciekawość.

— O Boże, Adamie. Przepraszam. Pomyślałam, że go pozdrowię, to wszystko.

Helen obejrzała się ostatni raz, gdy Adam prowadził ją z powrotem na chodnik.

— Ciekawe, kim ona jest — powiedziała.

Adam odwrócił się, i zdążył zobaczyć Roberta Bentleya i Eve Worthington, jak zmierzali w kierunku podziemnego parkingu.

Znów razem.

Podczas gdy jej mąż, a jego ojciec, leżał ciężko chory w szpitalu.

Blake rozsiadł się wygodnie na kuchennym krześle i pogłaskał się po brzuchu.

— Gdybym codziennie tyle jadł, Floro, ważyłbym tonę.

— Ja też — powiedziała Casey, wkładając ostatni talerz do zmywarki.

— Cóż, moim zdaniem każde z was śmiało może przytyć o dwa czy trzy kilo. Zwłaszcza tobie to się przyda, młoda damo. Jeszcze dziesięć kilo i będziesz tryskać zdrowiem.

— Nie, Floro, byłabym gruba jak beczka. — Casey złożyła ścierkę i położyła ją na blacie szafki.

— Moje panie, robi się późno — powiedział Blake. — Powinienem się zbierać. Mam parę spraw do nadgonienia dziś wieczorem. Pomyślałem, że mógłbym pojechać do szpitala i sprawdzić, jak czuje się John. Dzwoniłem do Adama, tu, na wyspie, ale nie ma go w domu.

Mam nadzieję, że złapię go u ojca w szpitalu.

Wstał i lekko uścisnął Florę. Casey poczuła, że serce jej się trzepocze, kiedy skupił na niej wzrok. Uśmiechnęła się do Blake'a.

— A więc idź, doktorze. Jeśli spotkasz w szpitalu moją matkę, powiedz jej, że o nią pytałam.

— Powiem. Chcę, żeby moje dwie ulubione piękności zrelaksowały się dziś wieczorem.

Oglądajcie telewizję, upiększajcie twarze, pomalujcie paznokcie, wiecie, te rzeczy. —

Mrugnął do Casey.

— Czy chcesz powiedzieć, że powinnyśmy się upiększyć, młody człowieku? — zapytała Hora i jednocześnie wymierzyła Blake'owi klapsa.

— Tak. Zadzwoń do ciebie później, Casey. — Uścisnął jej rękę i znów objął Florę. —

Jutro znów będę chciał zjeść to ciasto z orzeszkami pekana — zapowiedział i we troje poszli w stronę drzwi wejściowych.

Casey pomyślała, że można by ich wziąć za rodzinę, gdy stała obok Flory, patrząc, jak tylne światła samochodu Blake'a wspinają się zakosami na wzgórze. Zamknęła drzwi i wróciła do kuchni.

Chociaż Blake wyobrażał sobie naiwnie, że spędzą ten wieczór na pogaduszkach podczas upiększania twarzy i nakładania wspaniałych różowych lakierów na paznokcie, Casey wiedziała, że Flora chce porozmawiać.

— W porządku, Floro, powiedz to.

— Cóż, dziewczyno, to pewne, że zacznasz poznawać moje nastroje. Dziś po południu telefonowała ta młoda kobieta z sądu.

— Brenda? — zapytała Casey.

— Nie, ta druga, Marianne. Chciała z tobą rozmawiać. Powiedziałam jej, że poszłaś na spacer. A przy okazji, młoda damo, jeśli jeszcze kiedyś postanowisz się wymknąć, lepiej daj mi znać.

— Obiecuję, że nie będę się wymykać. — Casey się zaśmiała.

— Wiesz, o co mi chodzi. Myślałam, że umrę, kiedy Julie powiedziała, że nigdzie nie można cię znaleźć.

— Przepraszam. Nie zamierzałam cię martwić ani zdenerwować. Po prostu musiałam pobyć trochę sama. I chciałam iść do... tamtego domu. — Potarła opatrunek pod włosami.

Udało jej się wcześniej tak je ułożyć, że ukryła ranę. Flora nic o niej nie wiedziała i Casey kazała Blake'owi obiecać, że jej nie powie. — Po co dzwoniła Marianne?

— Podobno chciałaś zobaczyć jakieś akta. Powiedziałam jej, że przekażę ci tę wiadomość.

— Może znalazła kopię raportu, którego szukaliśmy z Blakiem. — Casey pomyślała, że nie wie, jakie nazwisko nosi Marianne i czy nie jest za późno, żeby zadzwonić. Zapyta Blake'a, kiedy będzie z nim rozmawiać.

— Mówiła tylko, że to ważne. Powiedziała, że zadzwoni jeszcze raz.

Casey wypila łyk herbaty.

— Wiesz, Floro, ledwie mogę uwierzyć w to, jak bardzo się zmieniłam przez ostatnie kilka dni. Zaledwie parę miesięcy temu byłam pod wpływem tych wszystkich lekarstw, które podawał mi doktor Macklin, a teraz jestem kimś zupełnie innym. Przypomniam sobie tyle rzeczy! W dniu, w którym umarł Ronnie, widziałam Roberta Bentleya w moim pokoju. Czy coś o tym słyszałaś?

Casey obserwowała wyrazistą twarz Flory, licząc na jakiś znak, że nie jest to dla niej nowina.

— Nie, niczego takiego nie pamiętam. Oczywiście muszę ci znów przypomnieć, że nie jestem taka młoda jak kiedyś. Teraz często zawodzi mnie pamięć.

Casey była ciekawa, czy pamięć zawodzi Florę tylko wtedy, kiedy tak jest jej wygodnie.

— Mama powiedziała, że to Marc mnie molestował. — Użyła tego słowa z łatwością, która ją samą zdziwiła. — Czy kiedykolwiek dałam ci do zrozumienia, że mnie skrzywdził?

Po prostu czuję się taka... och, chyba nie do końca tego pewna. Chciałabym wiedzieć, kto to był, dopasować do niego twarz. Chyba potrzebuję kogoś, na kim mogłabym skupić gniew.



— Jak powiedziałam, panienko, nigdy nie słyszałam o tym Marcu. Wtedy, kiedy zabrałam cię do doktora Huntera, nie powiedziałaś ani słowa o niczym i nikim. Gdybyś komukolwiek chciała wyjawić tajemnicę, wybrałabyś mnie. Nie wyobrażam sobie, żebyś poszła do swojej mamy i jej się zwierzyła. Ale to są tylko moje przypuszczenia, Casey, nic więcej.

Flora miała rację. To właśnie się nie zgadzało. Jej zachowanie było sprzeczne z charakterem dziecka, którym wtedy była. Zamkniętego w sobie i przestraszonego.

Nagle pojawiło się wspomnienie tamtego dnia; było kryształowo czyste.

— *Casey, skarbie, ktoś cię skrzywdził, prawda?* — zapytał doktor Hunter.

*Milczała z rękami skrzyżowanymi na kolanach. Liczyła tulipany na swojej sukience.*

*Trzydzieści sześć, trzydzieści siedem...*

— *Teraz chcę, żebyś posłuchała starego doktora. Nie musisz nic mówić, słyszysz? Tylko posłuchaj.*

*Skinęła głową.*

— *Wiem, że masz tylko dziewięć lat, ale jesteś bystrą dziewczynką. Flora mówiła mi, jak dobrze idzie ci w szkole, masz same szóstki na kartach ocen. A więc dlatego wiem, że zrozumiesz to, co zaraz ci powiem. Czasami ludzie... mężczyźni robią okropne rzeczy. Kobiety też, ale wiadomo od dawna, że mężczyźni robią różne rzeczy dziewczynkom, i małym, i większym. Kiedy będziesz starsza, prawdopodobnie zrozumiesz to lepiej, ale teraz musisz tylko wiedzieć, że niczemu nie jesteś winna. Mężczyźni idą do więzienia za robienie takich rzeczy małym dziewczynkom. Ktoś musi opowiedzieć o wszystkich tych złych rzeczach, które robią, aby zostali ukarani.*

*Wtedy popatrzyła na niego i szepnęła:*

— *Nikt mi niczego nie zrobił.*

— *Cóż, Casey, nie mogę się z tobą zgodzić. Widzisz, my lekarze chodzimy do szkoły przez długi czas tylko po to, żebyśmy umieli poznać, czy komuś stała się krzywda i co dla tej osoby można zrobić. Niektórzy z nas umieją nawet powiedzieć, co boli jakąś osobę, która nie powiedziała na ten temat ani jednego słowa.*

— *Nie jestem głupia. Niech pan przestanie opowiadać mi te bajki dla małych dzieci. Nie wierzę w to. Może pan się wypchać swoimi kłamstwami.*

— *To nie są kłamstwa, Casey. Zapewniam cię. Nigdy bym cię nie okłamał. Chcę, żebyś mi coś obiecała. Zrobisz to dla mnie?*

— *Dlaczego?*

— *Cóż, bo jestem twoim przyjacielem, a przyjaciele obiecują sobie różne rzeczy.*

— *Nie mam żadnych przyjaciół. Nie chcę ich mieć.*

— *No więc w porządku. Rozumiem.*

— *A więc niech pan pozwoli mi wyjść!*

— *Pozwolę, Casey. Chciałbym, żebyś poszła do domu i powiedziała swojej mamie, co on ci robi. Jeśli tak postąpisz, obiecuję, że pójdzie do więzienia i nigdy już nie będziesz musiała się bać.*

— Co się dzieje, Casey? — Słowa Flory były podszyte niepokojem.

Casey popatrzyła na Florę tak, jakby widziała ją po raz pierwszy.

— Przypomniałam sobie, jak to było, kiedy zabrałaś mnie do gabinetu doktora Huntera.

Byłam taka... chyba próbowałam się stawiać.

— Oczywiście, że tak było. Na pewno nie mogłaś zachowywać się jak mała dziewczynka, którą powinnaś być. Ten sukinsyn ukradł twoją niewinność!

— Doktor Hunter chciał, żebym powiedziała mamie, co się stało. Chciał, żebym powiedziała, kto mnie dotykał.

— I zrobiłaś to?

— Nie. Bałam się. Powtarzał, że umrę, jeśli komuś powiem. Czasami groziłam mu.

Mówiłam: „Powiem Florze”, a wtedy on zamykał mnie na klucz w szafie! — Słowa płynęły szybko, ledwie mogła za nimi nadążyć.

— Dobry Boże!

— Przestałam wierzyć we wszystko. Bajki, szczęśliwe zakończenia i... ciasteczka z masłem orzechowym. — Casey potrząsnęła głową, żeby uporządkować rozbiegane myśli.

— Lubiałaś je najbardziej — dodała Flora.

— Wiem. Myślałam, że na nic nie zasługuję. Zwłaszcza nie na ciasteczka, które dla mnie piekłaś. Były ciepłe i takie dobre.

Pamiętam, jak myślałam, że kiedy jem te ciasteczka, czuję się częścią czegoś. Czy to nie jest szalone?

— Nie, ani trochę. To były chwile, kiedy czułaś się bezpiecznie. Ta twoja pamięć nie jest jednak aż tak pusta.

Casey zaśmiała się gorzko.

— To nadal nie wyjaśnia sprawy Marca. Dlaczego matka miałaby mi mówić, że to on jest sprawcą,

skoro zawsze istniała możliwość, że przypomnę sobie, kto naprawdę mnie molestował?

— Chcesz powiedzieć, że wiesz?

— Tak.

— Na Boga, panienko, kto? — Flora pochyliła się do przodu, otwierając szeroko oczy.

— Teraz ta cała historia nabiera sensu. A przynajmniej jej znaczna część. — Łzy, które zbierały się przez lata, teraz gdy Casey mówiła o tragicznym wydarzeniu, które zniszczyło jej młode życie, płynęły swobodnie. — Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego! — Szlochała.

Flora wstała od stołu i położyła ręce na jej ramionach.

— Musisz mi powiedzieć, Casey. Kto był sprawcą?

Nękały ją wątpliwości.

— Och, Floro, boję się, że otworzę puszkę Pandory. A jeśli nie pamiętam tego dokładnie?

Co będzie, jeśli podam nazwisko tej osoby, a później odkryję, że to nieprawda?

— Musisz zaryzykować. Cokolwiek to jest, nie może być tak złe jak to, co cię spotkało.

Casey zastanawiała się przez chwilę. Flora miała rację. Było zbyt wiele tajemnic w jej życiu, i to o wiele za długo.

— Ile lat miał wtedy chłopiec ze zdjęcia, które znalazłam w szafie, Floro?

— Chodzi o zdjęcie Ronniego?

— Tak.

— Chyba około piętnastu albo szesnastu. Co to ma z tym wspólnego? — Flora wydawała się oszołomiona.

— Wszystko, Floro. Wszystko, bo właśnie wtedy się to zaczęło.

— Dziewczyno, robisz mi mętlik w głowie. Co się zaczęło?

— Molestowanie. Był mniej więcej w tym wieku, kiedy zaczął przychodzić do mojego pokoju w nocy.

— Ronnie! — Flora zrozumiała.

— Tak, Floro, Ronnie — odparta Casey.

— Miłościwy Boże. Czy powiedziałaś Blake'owi?

— Nie! Nie mogę. Jeszcze nie, tak się wstydę! — krzyknęła Casey.

— Po prostu nie mogę w to uwierzyć! To jest zbyt szalone!

— Cóż, uwierz w to, Floro. Może nie zdołałabym sobie przypomnieć, jaki kolor miały wtedy moje buty, ale pamiętam Ronniego. Gwałcił mnie. Wiele razy. Ale i tak nie powiem o tym Blake'owi dopóty, dopóki nie przypomnę sobie więcej o tamtym wieczorze.

\* \* \*

Po opuszczeniu Łabędziego Domu Blake przysiągł sobie, że nie zje już ani kęsa do jutrzejszego śniadania, ale kawałek szarlotki, który Adam niósł na tacy, wyglądał zbyt apetycznie, by mógł odmówić sobie takiego samego.

Pacjenci położyli się do łóżek, więc personel był zajęty podawaniem lekarstw i otulaniem tych, którzy nie mogli zasnąć. Blake zawsze lubił tę porę. Ze swojego stażu właśnie to najlepiej pamiętał — wieczory, podczas których miał kilka chwil, żeby pomyśleć o wydarzeniach całego dnia.

Dziś wieczorem nie będzie wspominał dawnych dobrych czasów. Kiedy Adam powiedział mu, że muszą porozmawiać, wiedział, że sprawa jest poważna.

Adam zjadł ostatni kęs szarlotki.

— Poprosiłem cię o rozmowę, bo myślę, że dzieje się coś, o czym musisz się dowiedzieć.

— Dzieje się? To znaczy w twoim życiu czy w moim?

— Pośrednio dotyczy to nas obu. Wybrałem się dziś do Atlanty.

— Mieszkasz tam i pracujesz, Adamie.

— Racja. Słuchaj, jestem poważny. Chciałbym, żebyś ty też był poważny, tylko ten jeden raz.

Blake uniósł dłonie.

— W porządku, w porządku. Przepraszam. O co w tym wszystkim chodzi?

— Moja była pacjentka zaprosiła mnie na lunch do Bone's w Buckhead.

— I? — odpowiedział mu.

— Tata ma mieszkanie własnościowe w Buckhead. Przy Piedmont. Pamiętasz, jak mówiłem ci dawno temu, że Terrence, nasz księgowy, poprosił mnie, żebym porozmawiał z tatą o jego „rozrzutnych wydatkach”?

— Tak, ale to było kilka lat temu.

— Wiem, ale on nadal ma to mieszkanie. Eve z niego korzysta podczas weekendów.

— Cóż, Adamie, ma do ego prawo.

— Pozwól mi dokończyć. Helen, moja pacjentka, i ja wychodziliśmy z restauracji, kiedy ona nagle podbiegła do krawężnika. Myślałem, że wpadnie pod nadjeżdżający samochód, ale się zatrzymała.

— Próbowwała się zabić?

— Do diabła, nie. Spozrzegła faceta, od którego wynajęła biuro. Nic mi to nie mówiło.

Zobaczyłem plecy tego faceta i pomyślałem, że wygląda znajomo. Kiedy Helen powiedziała coś o kobiecie, która mu towarzyszyła, znów tam popatrzyłem. I dobrze, że to zrobiłem.

Zobaczyłem, jak Eve i Robert Bentley idą pod rękę do podziemnego garażu pod apartamentowcem, w którym znajduje się to mieszkanie.

Blake, który nieświadomie wstrzymywał oddech, teraz wypuścił powietrze z płuc.

— Czekaj chwilę. Jak myślisz, co to znaczy?

— Myślę, że to znaczy wiele różnych rzeczy. Sądzę, że to, o czym wiedziałem wiele lat temu, nadal się dzieje. — Adam wyglądał teraz na więcej niż swoje trzydzieści cztery lata.

Blake wiedział, że przyjaciel martwi się o ojca.

— Szczerze mówiąc, jestem pewien, że masz rację. Pytanie brzmi: co zrobić w tej sprawie? — Blake kciukiem zgarnął okruchy na papierowym talerzyku.

— Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Z uwagi na obecny stan zdrowia taty to ostatnia rzecz, o której powinien się dowiedzieć. Mogłoby to go doprowadzić do szaleństwa i przedwcześnie wpędzić do grobu. Ci dwoje na pewno by się z tego niezmiernie ucieszyli. —

Adam wydawał się rozgoryczony.

To zrozumiałe, pomyślał Blake.

— Lepiej niczego nie mów nikomu, dopóki nie będziesz pewien.

— Ja też tak uważam. Rozmawiałem z doktorem Foo; uważa, że stan zdrowia taty poprawia się z każdą minutą, ale przestrzegł mnie, żebym go nie denerwował. Zapowiedział

Eve, że ma nie odwiedzać męża, dopóki stan się nie ustabilizuje.

— To znaczy, że ostatnio jej tu nie ma? Powiedziała Casey i Florze, że nie odchodzi od jego łóżka, że tylko wzięła raz udział w zebraniu zarządu w Brunswicku.

— Nie ma jej, odkąd Foo poprosił ją, żeby opuściła szpital. Tata mówił, że dzwoni do niego codziennie.

— Wiem, że jest coś jeszcze. Powiedz mi — nakłaniał go Blake.

— Nie chcę tego robić, ale myślę, że wiem, co jest teraz najlepsze dla taty. Nie powinien tutaj pozostawać. — Adam splótł dłonie i oparł na nich podbródek.

— Chodzi ci o jego pozostawanie tu, w Memorial?

— Tak. Skontaktowałem się z kolegą, który jest dyrektorem Carriage House w Marietcie.

Zgodził się, żeby tata przyjechał.

— Carriage House, Adamie? To dom dla emerytów. O co ci, do diabła, chodzi? John jest w stanie sam się o siebie troszczyć albo niedługo będzie. Właśnie powiedziałaś, że doktor Foo jest dobrej myśli. Jak mogłeś to zrobić swojemu ojcu? — Podniósł głos, nie przejmując się tym, że ktoś może go usłyszeć. Przyjaźń miała swoje granice. Nie zamierzał pozwolić Adamowi na umieszczenie ojca w takim miejscu.

— Wiedziałem, że zareagujesz w ten sposób.

— Miałaś rację, stary. John jest dla mnie jak ojciec. Czego się, do cholery, spodziewałeś?

— Blake wstał i gwałtownie wepchnął krzesło pod stół. Pielęgniarki siedzące w pobliżu popatrzyły z naganą. Guzik go obchodziło, co myślą.

— Uspokój się, do diabła! Reagujesz zbyt emocjonalnie. Pozwól mi skończyć.

Blake obserwował Adama i widział, że przyjaciel nie podjął tej decyzji bez namysłu.

Jednak w jakim celu? Stan zdrowia Johna się poprawiał. Dam Adamowi jeszcze minutę i na tym koniec. Jeśli będę musiał złożyć skargę do sądu w imieniu człowieka, który zawsze traktował mnie jak syna, zrobię to. Nie pozwolę, żeby Adam zrobił to swojemu ojcu. Nie mogę.

Blake popatrzył na zegarek.

— Masz dokładnie sześćdziesiąt sekund, żeby mnie przekonać. Inaczej zacznę kopać cię w tyłek.

Adam uśmiechnął się.

Ten sukinsyn naprawdę uważał, że to zabawne?

— Blake, moim zdaniem życie taty będzie zagrożone, jeśli tu zostanie. Chcę, żeby był w miejscu, gdzie nikt nie zdoła go znaleźć.

— Co takiego?! — Blake poczuł się jak balon, z którego wypuszczono powietrze.

— Słyszałeś. Jeśli łaskawie przestaniesz zachowywać się jak dupek choć przez chwilę i wysłuchasz mnie do końca, może zrozumiesz i nawet się ze mną zgodzisz.

— Boże, Adamie, nie wiem, co powiedzieć.

— Na razie milcz. Nie przerywaj mi. Jak się orientujesz, od lat wiem, że Eve puszcza się za plecami taty. Do diabła, myślę, że sam podejrzewa ją o to od dawna, ale nigdy niczego nie mówił. Kiedy zobaczyłem ją z Bentleyem dziś rano, upewniłem się, że to nadal się dzieje...

Czy Casey wspomniała coś o kłótni, którą przypadkiem usłyszała? — zapytał Adam.

— Nie, a powinna była?

— Tak myślałem. Dobrze zrobiła, że zachowała to dla siebie. Mam wobec niej dług wdzięczności. Kiedy przywiozłeś mnie tutaj przed paroma dniami, tata i ja kłóciliśmy się o jego testament. Nigdy nie robiłem tajemnicy z tego, że nie chcę mieć nic wspólnego z Worthington Enterprises. Zamierzam praktykować jako lekarz. Powiedziałem to tacie wiele lat temu. Zrozumiał, ale nadal chciał, żeby część jego majątku została w przyszłości pod moją opieką. Zgodziłem się na to. Myślę, że powiedziałem coś w tym sensie, że mógłbym zatrudnić ludzi, którzy zarządzaliby jego fortuną. Ten udar mózgu skłonił go do myślenia.

Zrozumiał, że nie jest już młody. Ktoś, i jestem pewien, że obaj wiemy, kto, przekonał go, żeby wprowadził zmiany w testamencie.

— Cholera, Adamie, przykro mi. Nie wiedziałem.

— Wiem, jakie uczucia żywisz dla taty. Boże, nie mogę znieść myśli o tym, że będę odwiedzał staruszka w domu opieki, ale póki nie dowiem się, co dokładnie się dzieje, nie mam wyboru.

— Czy już mu powiedziałeś?

— Tak. Nie wydawał się zbyt zadowolony, ale nie sprzeciwiał się, czego się spodziewałem. To też mnie niepokoi.

— Dlaczego? — zapytał Blake.

— Po pierwsze, zacząłem się zastanawiać, czy stracił ochotę do życia i dlatego nie obchodzi go, gdzie spędzi ostatnie dni. A po drugie, i to mnie przeraża, może on też sądzi, że jego życie jest zagrożone? Co wtedy?

— Zdecydowanie mamy problem.

— Porozmawiam z szeryfem Parkerem. Pójdiesz ze mną?

— Pewnie, ale dlaczego z Parkerem, w czym on może nam pomóc? — Blake nie musiał

mówić Adamowi, co myśli o umiejętnościach szeryfa. A raczej ich braku. Wiedział, że Adam zna

jego opinię. Rozmawiali o tym wystarczająco często.

— Nie wiem. Wolałbym, żeby ktoś wiedział, co robimy i dlaczego. Jeśli broń Boże coś ma się stać tacie, chciałbym być pewien, że robię wszystko, co mogę, żeby do tego nie dopuścić.

Chyba tylko o to mi chodzi.

— Nie powiedziałaś, kogo mianował spadkobiercą.

— Chcesz zgadywać do dziesięciu razy? — zapytał Adam, gdy obaj wrzucali papierowe tacki do śmieci.

— Nie, nie potrzebuję. Zastanawiam się tylko, w jaki sposób zdołała przekonać twojego tatę.

Adam wzruszył ramionami.

— Tak jak kobiety zwykle to robią, Blake. Użyła klasycznego sposobu: seksu.



Roland Parker miał właśnie wyjść po pracy z biura, kiedy zatelefonował Adam Worthington. Nie potrafił sobie wyobrazić, czego ten psychiatra chce od niego o tak późnej porze, ale wyglądało na to, do diabła, że nie miał niczego lepszego do roboty.

Dwudziesta druga trzydzieści. Powinien być w domu z żoną i może dwójką dzieciaków. O

dwudziestej drugiej trzydzieści mogłoby mu być bardzo wygodnie, gdyby leżał w miękkiej pościeli obok ciepłego żoninego ciała. Ale, przypomniał sobie, dziesięć lat temu, kiedy posłuchał tego sukinsyna, pozbawił się prawa do małżeństwa. Kto by chciał mieszkać z nim po tym, co zrobił? Nie miał odwagi, mocnego charakteru, jaj, czy jak by to jeszcze nazwać.

Nie będzie prosił nikogo, żeby dzielił z nim życie. A gdyby nawet to zrobił, kto chciałby mieszkać z sukinsynem bez twarzy? Nienawidził samego siebie.

Roland usłyszał głosy za drzwiami w chwili, gdy wstawał zza biurka. Blake i Adam nie marnowali czasu. To musiało znaczyć, że sprawa jest poważna.

Wetknął pomiętą brązową koszulę do spodni i poprawił pas, zanim wszedł do recepcji.

— Dobry wieczór — powiedział, wyciągając rękę do nich obu.

Adam odezwał się pierwszy.

— Przepraszam za tę późną porę, ale nie sędzę, by to mogło czekać.

— Najwyraźniej. A więc co mogę dla was zrobić? — Parker zajął fotel i wskazał dwa krzesła po drugiej stronie biurka. Adam i Blake usiedli, z ponurymi minami.

— Muszę mieć pana słowo, że to nigdy nie wyjdzie poza biuro, zanim powiem to, co zamierzam.

— Oczywiście, Adamie, bez względu na to, co powiesz. — To musiało być cholernie ważne, skoro obaj lekarze wyszli z domu w taki paskudny wieczór. Deszcz znowu się nasilił.

Porywisty wiatr, forpoczta huraganu George, dosięgał ich szybciej, niż przewidywali synoptycy.

— Na pewno wie pan, że tata jest w szpitalu; miał udar mózgu kilka dni temu.

— Tak, słyszałem. Bardzo mi przykro. Przekaż mu ode mnie najlepsze życzenia, kiedy go odwiedzisz.

— Przekażę. Właściwie częściowo z jego powodu tu przyszliśmy. — Adam skinął głową w stronę Blake'a.

Ciekawość Parkera sięgnęła zenitu. Czekał, aż któryś z lekarzy go oświeci.

— Myślę, że jego życie może być zagrożone — powiedział Adam.

Roland poczuł, że krew gwałtownie napływa mu do głowy. Poczł ucisk między uszami.

Pewny, że się przesłyszał, poprosił Adama, żeby to powtórzył.

— Obawiam się, że ktoś może chcieć jego śmierci i nie zechce czekać na matkę naturę.

— Tak, tak. W porządku. — Musiał pomyśleć. To mogła być jego jedyna szansa na ocalenie dobrego imienia, uleczenie zranionej dumy. Nie chciał tego spieprzyć.

— Powiedzcie mi — popatrzył im obu prosto w oczy — czy domyślacie się, kto może chcieć jego śmierci?

Adam i Blake odezwali się niemal jednocześnie.

— ...Bentley — powiedział Adam.

— ...Robert Bentley — potwierdził Blake.

Parker miał wrażenie, jakby olbrzymia ręka chwyciła go za szyję. Poczł, że trudno mu oddychać. Rozluźnił pas, potem odpiął trzy guziki u koszuli. Do cholery z dobrym wychowaniem! Drząc, zaczerpnął powietrza. A więc miał rację. Ta szansa musiała się pojawić. Drzwi do przeszłości otworzyły się i chociaż tego nie planował, na pewno, do diabła, nie miał zamiaru zatrzasnąć im ich przed nosem.

— To ciekawe, że podaliście jego nazwisko. Jest coś, o czym powinienem był powiedzieć wam już dawno temu. — Parker usiadł wygodnie. To mogło potrwać do późna w nocy.

\* \* \*

Casey próbowała zagłębić się w przeżycia osiemnastowiecznej bohaterki, ale nic z tego nie wychodziło, więc odłożyła książkę w miękkiej oprawie na nocny stolik i wyłączyła światło.

Czekała do północy na telefon od Blake'a. Kiedy nie zadzwonił, pomyślała, że coś zatrzymało go w szpitalu. Prawdopodobnie uznał, że ona już śpi, i nie chciał jej budzić.

Poprawiła poduszki i przewróciła się na bok.

Spałam zawsze po lewej stronie.

Zapaliła światło i usiadła sztywno na łóżku. Po południu próbowała sobie uprzytomnić, jak spała jako młoda dziewczyna, ale bez rezultatu. A teraz, chociaż w ogóle o tym nie myślała, przypomniała sobie. Przewidywania doktora Macklina znów się sprawdziły.

Dlaczego Parker chciał to wiedzieć? W tej samej chwili przypomniała jej się torba na książki, którą szeryf dał jej tuż przed ich wspólnym wyjściem z domu przy Back Bay.

Odgarnęła kołdrę i popędziła do garderoby.

Wcześniej, kiedy przyjechała z Blakiem na obiad, przysłała na górę, żeby się przebrać, i położyła torbę w głębi garderoby, po czym zupełnie o niej zapomniała.

Znalazła torbę i wyciągnęła ją z kąta.

Cisnęła ją na nocny stolik. Coś było w środku.

Ręka jej drżała, gdy tam sięgnęła. Siedząc na środku łóżka, wysypała zawartość z zamkniętymi oczami i modliła się, żeby nie znalazła następnego jego zdjęcia. Otworzyła najpierw jedno oko, a potem drugie i poczuła, że bicie jej serca powraca do normalnego rytmu, kiedy nie zobaczyła niczego oprócz... odzieży?

Casey z wahaniem dotknęła ubrań, spleśniałych tak, że stały się nierozpoznawalne.

Podniosła coś, co mogło być kiedyś podkoszulkiem, potrzywała to przed sobą i kichnęła od drobin kurzu, które zatańczyły w bladym świetle. Nie chcąc brudzić pościeli, chwyciła stertę zniszczonych ubrań i położyła ją na podłodze koło łóżka.

Obejrzała po kolei każdą sztukę. Kiedy rozwinęła wypłowiałe lewisy, poczuła, że w oczach ma łzy.

To są moje ubrania! Nosiłam je jako młoda dziewczyna.

Casey rozpostarła dzinsy i wygładziła brudny materiał. Nagle, jakby od tego zależało jej przetrwanie, wsunęła palce do przedniej prawej kieszeni i wyjęła kartonik z wyblakłym napisem.

Zaintrygowana, z kartonikiem w dłoni przechyliła się w stronę lampy, żeby lepiej widzieć.

Wydrukowane grubą czcionką litery zbladły z biegiem lat, ale słowa na kartoniku były nadal czytelne.

Wspomnienie, które się pojawiło, było tak żywe, jakby dotyczyło wczorajszego dnia.

*Zrobi to, bez względu na to, co kto o tym myślał. Bóg jej przebaczy. Flora zawsze mówiła, że Bóg przebaczy każdy grzech, jeśli pozwoli się Chrystusowi wejść do swojego serca i poprosi go, żeby był osobistym Zbawicielem. Był jedynym Zbawicielem, jakiego miała przez ostatnie dziewięć lat, pomyślała, gdy pośpiesznie wpychała ubrania do swojej torby na książki.*

*Tego popołudnia szła do domu z gabinetu doktora Huntera, kiedy znalazła ten kartonik na chodniku tuż przed Haygoodem. To musiał być znak od Boga, pomyślała, czytając napis.*

*Klinika Kobięca Okręgu Fulton.*

*Jeden telefon i wszystko miała zaplanowane.*

Casey wsunęła kartonik do swojej torebki. Jutro pokaże go Blake'owi i może matce.

Dotknęła trzech szwów na skroni i zastanawiała się, czy powinna podzielić się z Blakiem swoimi podejrzeniami. Szeryf Parker powiedział wprawdzie, że uderzyło ją oderwane skrzydło okiennicy,

ale ona w to nie wierzyła.

Na chwilę przed uderzeniem wyczuła czyjąś obecność. Gdy miała się odwrócić, otrzymała cios.

Wtedy zapadła ciemność. Wiedziała, że ktoś chce zrobić jej krzywdę. Może próbowano ją odstraszyć. Albo, pomyślała i dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie, ktoś chce jej śmierci. Było jasne, że ten ktoś na pewno nie chce, żeby weszła do tamtego domu. Czy bał się tego, co znalazła w torbie na książki? Szeryf nie zainteresował się jej zawartością, a jeśli jednak się zainteresował, to nic, co znalazł, nie wydało mu się ważne.

Dlaczego szeryf Parker pojawił się nie wiadomo skąd? Okazał jej troskę, ale czyjego troska była szczerą? I dlaczego zapytał ją, czy pamięta, po której stronie spała? Czy ją sprawdzał? Ale o co mu chodziło?

W ciągu kilku krótkich dni jej życie zmieniło się w ciąg zagadek. Casey wiedziała, że matka mogłaby odpowiedzieć na wiele z jej pytań, ale do powrotu Johna ze szpitala nie zamierzała prosić jej o rozmowę.

Zgasiła po raz drugi lampę i wsunęła się pod przykrycie. Przez cały wieczór starała się nie wracać do tego, co wyjawiała Florze, ale teraz, w nocnych ciemnościach, sama ze swoimi myślami, nie potrafiła ich powstrzymać. W jednej chwili wierzyła, że jest morderczynią, a w drugiej uważała się za ofiarę, małą dziewczynkę z płaczem domagającą się miłości.

Dlaczego? — zastanawiała się, gdy naciągała kołdrę.

Pamiętała tamten dzień sprzed dziesięciu lat wyraźnie, a jednak wszystko, co zdarzyło się wcześniej, pozostawało tajemnicą.

Kartonik. Początkowo postanowiła nie zastanawiać się nad tym, co mógł oznaczać, ale teraz nie umiała się powstrzymać. Pamiętała, że zadzwoniła, a potem... jak zwykle natrafiła w głowie na pustkę.

Pamiętała też, że była przestraszona. I że koniecznie musiała się śpieszyć. Ale dlaczego?

Czy jej życie było zagrożone?

Czy może jej lęk był przejawem nadopiekuńczości wobec jej nienarodzonego dziecka?

\* \* \*

Zobaczył, że światło na górze zgasło po raz drugi. Pewnie męczyły ją koszmary. Ta myśl sprawiła mu przyjemność. Miał nadzieję, że cierpi przez niego, jeśli nie fizycznie, to przynajmniej psychicznie. Kiedy zobaczył, jak biegnie w deszczu, podążył za nią.

Pewien, że cios pozbawi ją przytomności na jakiś czas, był zaskoczony, kiedy usłyszał jej ciche jęki. Nie odważył się na kolejną próbę, przynajmniej nie od razu. Inna okazja pojawi się wkrótce, a on poczeka do tego czasu.

Poczekaj na rozkazy.

\* \* \*

Eve zostawiła swoje bmw na szpitalnym parkingu i gdy szła do głównego wejścia, przeklęła huraganowe podmuchy wiatru, które zmierzwiły jej doskonałą blond fryzurę. Ósma rano, a już wyglądała nieporządnie. Nie byłoby dobrze, gdyby John zobaczył ją w takim stanie. Postanowiła zignorować zakaz odwiedzin wydany jej przez doktora Foo.

Wstąpiła do damskiej toalety, gdzie przeczesła włosy grzebieniem i na nowo nałożyła różową szminkę. Spojrzała w lustro i przekonała się, że wygląda świetnie, jak zawsze.

Gubiła się w tym labiryncie korytarzy. Przystanąła, aby się upewnić, że skręciła we właściwą stronę. W lewo, potem do trzecich drzwi. Pokój Johna.

Zanim otworzyła drzwi, zaczerpnęła głęboko powietrza i ułożyła usta w uśmiech. John lubił, gdy była zadowolona. Będzie chciał wiedzieć, jak sobie radzi, stojąc u steru Worthington Enterprises. Zwolniła Morta i nie mogła się doczekać, kiedy powie Johnowi, kogo zatrudniła na jego miejsce.

Pchnęła ciężkie drzwi i weszła.

Niebieskie stopy były podniesione, co pozwalało posępnemu szaremu porankowi wnikać do środka. Świetlówka na suficie za łóżkiem Johna nie mogła rozproszyć ponurej atmosfery.

Czuła zapach lizołu i moczu i zastanawiała się, jak też John to wytrzyma.

Usiadła na obitym skórą krześle obok łóżka i czekała.

Widocznie jest w łazience, pomyślała, bo łóżko było puste. Właściwie to wyglądało tak, jakby nikt w nim nie spał. Białe prześcieradła były gładkie, a podłożone pod materac rogi tworzyły ostre kąty świadczące o niedawnym prasowaniu.

Podeszła do łazienki i zapukała. Nic.

Zajrzała do środka i spojrzała w jedną stronę, a potem w drugą.

Pusto.

Następna myśl sprawiła, że serce załomotało jej z podniecenia.

Wyszła pośpiesznie z pokoju i ruszyła energicznym krokiem w stronę stanowiska pielęgniarek. Pochyliła się nad kontuarem i popatrzyła w dół na chudą siostrę, która kilka dni wcześniej wyprowadziła ją z pokoju Johna.

— Tak? — Kobieta podniosła głowę, nie kryjąc irytacji z powodu tego, że ktoś jej przeszkadza. Przykro mi, pomyślała Eve.

— Chciałabym się dowiedzieć, gdzie jest mój mąż. Nie ma go w jego pokoju.

— Nie wie pani? — zapytała pielęgniarka.

Dobry Boże! Serce podeszło jej do gardła i przez chwilę myślała, że zemdleje.

Czy ktoś ze szpitala próbował się do niej dodzwonić? W końcu była jego żoną. W

niedalekiej przyszłości tej rozpadającej się namiastce szpitala groził proces sądowy.

— Nikt nie zechciał do mnie zatelefonować. I może pani być pewna, że dyrektor tej... tej kliniki dostanie wiadomość od mojego prawnika, zanim słońce zajdzie. — Eve zmusiła oczy do łzawienia i wzięła chusteczkę higieniczną z paczki leżącej na ladzie obok wazonu ze zwiędłymi chryzantemami.

— Proszę pani, przykro mi, że jest pani taka zdenerwowana. Myślałam, że pani wie.

— Czy pani nie byłaby zdenerwowana, gdyby pani mąż umarł? — zapytała Eve. Zaczęła płakać i zorientowała się, że wpatruje się w nią kilka pielęgniarek i kilku lekarzy. Osuszyła oczy i wytarła nos w chusteczkę.

— Och, nie, pani Worthington! Pani mąż nie umarł. — Kobieta wstała i podeszła do niej, okrążając ladę.

Poprowadziła ją w kierunku okropnych zielonych krzeseł z plastiku.

— Proszę usiąść.

Eve musiała być oszołomiona, bo dopiero po paru minutach słowa pielęgniarki dotarły do jej świadomości.

— Pani mąż nie umarł.

Nagle Eve wstała, odrzuciwszy od siebie wszelkie myśli o płaczu.

— Co pani właśnie powiedziała?

— Pan Worthington czuje się świetnie. Właściwie to doktor Foo miał już wypisać go ze szpitala, ale pan Worthington poprosił, aby go przeniesiono.

— Przeniesiono? O czym pani mówi?

— Prosił, aby miejsca nie ujawniano. Nikomu. — Pielęgniarka uśmiechnęła się sztucznie.

— Co to ma znaczyć, na miłość boską?! Jestem jego żoną! — Eve krzyczała, nie przejmując się tymi, którzy akurat byli w pobliżu.

— Może zapyta go pani sama. Właśnie idzie. — Pielęgniarka spojrzała w głąb korytarza na

zbliżającą się wysoką postać Adama Worthingtona.

Eve pośpieszyła na jego spotkanie.

— Ty draniu, co ty wyprawiasz?

— Uspokój się, Eve. Chodźmy gdzieś, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać. —

Zwyczajny u Adama pojednawczy ton rozwścieczył Eve. Nie pozwoli, aby traktowanie jej w ten sposób uszło mu płazem. Powie Johnowi, jak tylko się dowie, gdzie go zabrano.

Adam wciągnął ją do dawnego pokoju Johna i pokazał jej gestem, żeby usiadła. Zrobiła to.

Choć raz chciała usłyszeć, co ten jej nienawistny pasierb ma do powiedzenia.

— Lepiej, żebyś potrafił mi to wyjaśnić, Adamie. Nigdy w życiu nie byłam taka przerażona. Ta okropna pielęgniarka powiedziała mi, że John umarł. Zadzwoń do mojego prawnika, jak tylko stąd wyjdę. Jeszcze nigdy nie czułam takiego bicia serca. Wiesz, że nie jestem już taka młoda, Adamie. — Z torebki wyjęła chusteczkę z monogramem i otarła nią nos.

— Przestań. Poczekaj z tym przedstawieniem na nową publiczność. — Adam siadł na łóżku ojca i wpatrywał się w macochę.

Eve miała wielką ochotę go uderzyć.

— O czym mówisz? W jednej chwili myślę, że twój ojciec, mój mąż, na litość boską, nie żyje, a w następnej ty na mnie napadasz. Nie będę tego dłużej znosić, Adamie. Mam tego dość.

— Wiesz, o czym mówię, Eve. Nie mam zamiaru tego tolerować. Mój ojciec jest bardzo chory, tym się martwię.

— Pielęgniarka powiedziała, że doktor Foo zamierzał go wypisać. Nie może być zbyt chory, jeśli miał być zwolniony.

— Cóż, przykro mi, że rozwieję twoje złudzenia, ale ta pielęgniarka nie ma pojęcia o tym, o czym mówiła.

— Przypuszczam, że w przeciwieństwie do ciebie? — burknęła Eve. Zawsze był taki przemądrzały.

— Tak. Ciśnienie taty nadal podnosi się do potencjalnie niebezpiecznego poziomu. Nie można pozwolić na to, żeby go denerwowano. Wiedząc, że niektórzy ludzie czasami potrafią go rozdrażnić, poprosił, aby go przeniesiono do innego szpitala, gdzie chce zostać, dopóki nie uda się ustabilizować jego stanu.

— Spodziewasz się, że w to uwierzę? John nigdy nie zrobiłby niczego takiego, nie powiedziawszy mi o tym wcześniej. Za dobrze go znam.

Adam najwyraźniej próbował wyprowadzić ją z równowagi. Nie będzie grała w jego grę.

— Może nie znasz go tak dobrze, jak myślisz. Może pomyliłaś go z kimś, kogo, hm, znasz trochę lepiej.

— Co to znaczy?

— Domyśl się. Proponuję ci umowę, Eve. Zgodzisz się albo nie. Dopóki stan taty się nie poprawi, i to znacząco, tylko ja będę wiedzieć, gdzie on jest. Będę cię na bieżąco informował

o jego zdrowiu, przekazywał mu wszelkie wiadomości od ciebie, ale to wszystko. Zresztą nie sądzę, żeby to było dla ciebie istotne. Masz swoje wycieczki do Atlanty i wielkie przedsiębiorstwo, w którym wszyscy muszą spełniać każdy twój rozkaz, więc przypuszczam, że o moim ojcu będziesz myśleć coraz rzadziej.

— Boże, Adamie, naprawdę jesteś małym rozpieszczonym sukinsynem. Jak możesz mówić takie podle rzeczy? A przecież zawsze... miałam dla ciebie tyle zrozumienia.

Tolerowałam twoje niegrzeczne zachowanie. Przed laty, kiedy nie chciało ci się przyjechać do domu w odwiedziny, pocieszałam twój ojca, Adamie. To przede mną wyplakiwał się w nocy.

Adam podniósł się z łóżka i poszedł w stronę drzwi.

— Jak powiedziałem, poczekaj z tym na nową publiczność.

Zamknął za sobą drzwi i Eve żałowała, że go nie uderzyła.

Nie pozwoli, by kierował jej życiem. Myślał, że ma nad nią przewagę, ale ona wiedziała, jak jest naprawdę.

Miała już pasierba na długo zanim pojawił się Adam. I wiedziała, jak sobie z nimi radzić.

\* \* \*

Przez cały poprzedni wieczór Jason Dewitt korzystał z luksusów zapewnianych przez Ritz-Carlton w Buckhead. Pośród osiemnastowiecznych antyków czuł się jak w domu, Carlton znany był z atmosfery spokojnej elegancji.

Wypił butelkę wina w saloniku przy holu i kiedy został wezwany na obiad do słynnej jadalni hotelu, prawie zataczał się, podchodząc do swojego stolika.

Rankiem wino, które tak łatwo mu się piło poprzedniego wieczoru, ruszyło w górę, zmieszane z kawałkami tego, co zjadł na obiad.

Wymiotował długo, aż miał wrażenie, że wypłyną mu wnętrzności. Może to było zatrucie pokarmowe.



W wielkiej łazience napełnił wannę z białego marmuru gorącą wodą. Dzięki uprzejmości Ritza umył się morską gąbką, a potem zanurzył się pod powierzchnię wody i kiedy po wynurzeniu oparł się o chłodne kafelki, poczuł się prawie jak człowiek. Zdecydowanie potworny kac.

Ucieczka z Savannah leżała w jego interesie. Po gruntownym namyśle uznał, że bezpośrednie spotkanie z Bentleyem nie byłoby wskazane. Potrzebował więcej czasu na przemyślenie wszystkiego i zaplanowanie. Nie zaszkodziło mu to, że wiedział, z kim się zmierzy. Kiedy wczoraj zobaczył Bentleya, który wychodził z Peachtree Center, nie mógł

uwierzyć, że los tak mu sprzyja.

Zapytał o wolne biuro w tym wieżowcu i zarządca budynku dał mu wizytówkę Bentleya, mówiąc, że to jest człowiek, który może mu wynająć potrzebną powierzchnię.

Dzisiaj wszystkie myśli o wynajęciu biura były już zapomniane. Jego plany się skonkretyzowały. Domowy personel będzie wiedział, że nie należy mu zadawać żadnych pytań; sędzia ich dobrze wyszkolił. Skontaktuje się z Jo Ellą, wyjaśni jej, że wyjeżdża na nieokreślony czas. Jego pacjenci mogli z łatwością znaleźć innych lekarzy, którzy wysłuchają ich żałosnych skarg.

Polecą do Brunswicku i jeśli szczęście go nie opuści, położy kres zagrożeniu ze strony Bentleya.

Sytuacja niewątpliwie się poprawiała. Kolejny raz pomyślał o obietnicy danej sędziemu.

\* \* \*

Bentley przypomniał sobie czasy, kiedy sama myśl o spędzeniu nocy samotnie w wilgotnym mroku, który obecnie go otaczał, kazałaby mu w pośpiechu szukać lepszego noclegu.

Kiedy przed laty natknął się na to pomieszczenie, nie myślał o jego możliwej przydatności.

Teraz cieszył się, że je znalazł. Pod piwnicą szpitala znajdowały się dziesiątki tuneli wijących się we wszystkich kierunkach. Ponieważ znał historię szpitala, wiedział, że te ciemne korytarze powstały przed setkami lat, kiedy uciekali tędy niewolnicy. Uśmiechnął się na myśl o tym. Jakie podniecenie musieli czuć, wiedząc, że od wolności dzielą ich tylko te ziemne ściany, które go otaczały.

Wycieczka do piwnicy nie była czymś niezwykłym dla Roberta. Personel szpitala składował tu zepsuty sprzęt, pudła ze starymi teczkami i prawie wszystko, czego nie ośmielano się wyrzucić.

Pewnego razu, badając piwnicę, odkrył drzwi prowadzące głębiej, w wilgotną ziemię.

Zszedł po grubo ciosanych drewnianych schodach prosto w ciemność. Przyświecając sobie zapalniczką, spenetrował te ukryte tunele. Zaczął się bać, że się zgubi, i ruszył szybkim krokiem z powrotem w kierunku schodów.

Wtedy znalazł to pomieszczenie.

Niczego by nie zauważył, gdyby kawałek łańcucha nie wystawał ze ściany. Zatrzymał się i pociągnął.

Fragment ściany się przesunął. Nacisnął mocniej. Drzwi.

Pomieszczenie było tak obszerne jak cała piwnica. Zapach wilgoci przenikał tę wielką wnękę, w powietrzu unosiła się też woń pozostawiona przez zwierzęta, które rozłożyły się tu w ciągu wszystkich tych lat. Zakrył usta rękawem koszuli i obejrzał przestrzeń okiem znawcy.

Pomyślał, że pewnego dnia może mu się przydać taki pokój.

Ten pewien dzień nadszedł... dawno temu.

Norma nie miała szans go tam znaleźć, personel najwyraźniej nie miał pojęcia, co odkrył

pod piwnicą, a ludzie ze Sweetwater, jeśli nawet wiedzieli, że pod szpitalem znajdują się tunele, którymi, być może, uciekli ich przodkowie, też o nich nie mówili. Uśmiechnął się, kiedy pomyślał o wszystkich tych wariatach ulokowanych dwa piętra nad nim. Niezmiernie by im się podobało tu na dole.

Z biegiem czasu urządził ten pokój dzięki piwnicznemu składowi zbędnych mebli. Chociaż sprzęty były prymitywne, czasami niekompletne — na przykład komoda bez jednej czy dwóch szuflad — do jego celów wystarczały. Znalazł nawet małe polowe łóżko i ustawił je na lewo od drzwi. Ziemne ściany, które zapewniały ochronę przed schwyтaniem tym, którzy tu kiedyś mieszkali, nadal miały magiczną moc.

Jemu zapewniły to, czego potrzebował najbardziej.

Kryjówkę.

Kiedy wyjechał wczoraj z Atlanty, nie zamierzał spędzić nocy w tym pomieszczeniu.

Wszedł na swoją świętą ziemię niepostrzeżenie. Kiedy zatelefonowano do niego na komórkę, uznał, że może najlepiej będzie zostać tutaj na noc.

Dewitta nigdzie nie można było znaleźć. Zadzwoił znów do jego sekretarki, ale nadal nie miała pojęcia, dokąd pojechał — powiedziała tylko, że zatelefonował i poinformował ją, że wyjeżdża z miasta na nieokreślony czas.

A ona była zajęta gdzie indziej. Prawdopodobnie przeprowadzała ostatnią część ich planów. Robert miał nadzieję, że tego nie spieprzy, co, niestety, nader często zdarzało jej się w przeszłości.

Wczoraj o planach nie rozmawiali. Wyjaśnił jej, że ktoś może ich usłyszeć i że ostrożność nie zawadzi. Będą na ten temat mówić tylko po każdorazowym uprzednim uzgodnieniu godziny. Na razie wytrzymała.

Pomijając Dewitta, sprawy zaczynały się układać. Ale, pomyślał Robert, może on jednak nie jest zagrożeniem. Drogi doktor stwierdził, że ta panna Edwards coś mu powiedziała. A może blefował? Na tym etapie gry Robert nie mógł jednak ryzykować. Przypomniał sobie o paczusce, którą dyskretnie umieścił pod przednim siedzeniem wypożyczonego mercedesa.

Było tego więcej tam, skąd ją dostarczono.

Jak co dzień Casey wzięła rano prysznic, a potem zeszła na dół. Mroczne sny i mgliste wspomnienia nie dawały jej spać przez większą część nocy. Powieki jej ciążyły i łupało w skroniach.

Kawa. Flora zawsze trzymała dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą na blacie szafki. Kubek albo dwa, i poczuje się świetnie.

Mając nadzieję, że Blake już dzwonił, pośpieszyła do kuchni. Kiedy zobaczyła tam niezwykłą krzątanicę, była ciekawa, dlaczego najęto dodatkowe pracownice i co się dzieje.

— Dzień dobry, panienko. — Siedząca przy drewnianym stole Flora podniosła głowę znad papierów i dała Casey znak, żeby zajęła miejsce.

— Dzień dobry. O co chodzi? — Wskazała ruchem głowy cztery kobiety otaczające Mabel.

— Mamy przygotować podwieczorek dla Klubu Zamężnych Kobiet. Około dwudziestu pięciu pań przyjdzie dziś po południu. Twoja mama jest prezeską, więc teraz na nią kolej, żeby być gospodynią herbatki.

— Nie miałam o tym pojęcia. Blake opowiedział mi o klubie, ale nie wiedziałam, że mama do niego należy. To pewnie się liczy w Sweetwater.

— Och, tak. Jeśli należysz do Klubu Zamężnych Kobiet, jesteś kimś, z całą pewnością.

Klub istnieje od ponad stu lat.

— A więc rozumiem, że mama przyjedzie na przyjęcie?

— Nie opuszcza żadnego spotkania. Będzie tutaj.

— Czy nadal jest z Johnem w szpitalu?

— O ile wiem, to tak. Przy okazji, ta Marianne znów dzwoniła. Mówiła, żebym ci powiedziała, że ona i Vera przetrząsnęły strych w biurze szeryfa i nie znalazły tego, czego szukałaś.

— Spodziewałam się, że nie znajdą. To chyba nie ma znaczenia.

— Czy szukałaś raportu, Casey?

— Tak, ale nie będę zdawać się na czyjś pisemny opis tego, co się zdarzyło tamtego wieczoru. Jestem pewna, że z czasem sama przypomnę sobie wszystko, co się stało.

Drzwi z siatką przeciw owadom trzasnęły, co sprawiło, że Casey drgnęła nerwowo.

Odwróciła się szybko i zdążyła zobaczyć, że to Hank zmierza w stronę ogrodów.

— Kiedy widzę tego człowieka, skóra mi cierpnie — powiedziała do Flory.

— Hanka? On jest dziwny.

— Wiesz coś o nim, Floro? Od jak dawna pracuje w Łabędzim Domu?

— Przyszedł do pracy zaraz po ślubie twojej mamy i pana Worthingtona. Twoja mama zatrudniła go, bo mówiła, że był kiedyś głównym ogrodnikiem księcia czy kimś takim. To świetny pracownik. Nigdy nie widziałam żadnych chwastów ani zwiędłych kwiatów, to mogę powiedzieć na jego korzyść. Nie jest towarzyski. Mieszka w wozowni na skraju posiadłości.

— Flora popatrzyła na Casey. — Skąd to nagle zainteresowanie Hankiem? Myślisz o zajęciu się ogrodnictwem?

Casey zaśmiała się krótko.

— Może kiedyś myślałam, ale w dniu, kiedy zawiózł mnie do biblioteki, porzuciłam wszelką myśl o ogrodnictwie.

— Dlaczego?

— W pewnym sensie mnie ostrzegł. Powiedział mi, że mama nie będzie zadowolona, jeśli będę robić zamieszanie.

Flora odłożyła długopis.

— To dziwne. Po co miałby mówić coś takiego? Nie martw się z jego powodu. Jest samotnikiem. Kto wie, co dzieje się w tej jego głowie. — Flora uśmiechnęła się i ponownie zajęła jadłospisem, ale jej uśmiech wyglądał na wymuszony, nie sięgał oczu. Casey przyszło do głowy, czy przypadkiem Flora nie zajmuje w tym domu pozycji wyższej niż główna gospodyni. Nie wiedziała, skąd się wzięła ta myśl, faktem było, że się pojawiła. Ludzie z Łabędziego Domu, zarówno jej rodzina, jak i personel, nadal zachowywali się dziwnie. Miała wrażenie, że wszyscy coś ukrywają i boją się o tym z nią rozmawiać. Wiedziała już o zabójstwie Ronniego. Wiedziała, że została przymusowo skierowana do szpitala psychiatrycznego w związku z tym, co zrobiła. Pozostawało zagadką, dlaczego nie przeprowadzono dochodzenia i nie było procesu.

— Hej — powiedziała Julie, zajmując sąsiednie krzesło.

— Och, Julie. Cieszę się, że możesz sobie zrobić przerwę. Zamierzałam spędzić z tobą trochę czasu, ale nie czułam się za dobrze przez ostatnie kilka dni. — Casey pogłaskała przyjaciółkę po ramieniu.

— Rozumiem. I tak miałam dwa dni wolnego. Słyszałam, że twój wyjazd do Savannah nie bardzo się udał.

— Wieści szybko się rozchodzą. Kto ci o tym powiedział? — Casey nie cierpiała plotek na swój temat.

Okrągła twarz Julie przybrała ciemny odcień czerwieni.

— Nikt. Miałam właśnie wyjść, kiedy zauważyłam, że zostawiłam parasol. Trzymamy nasze rzeczy w szafie przy kuchni. Jest tam też telefon. To wtedy go usłyszałam.

— Usłyszałaś kogo? — zapytała Casey.

— Hanka — wyszeptała Julie. Popatrzyła za siebie, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy.

— Jesteś pewna? — spytała szeptem Casey.

Julie skinęła głową.

Casey odchrząknęła, zanim odezwała się do Flory, która nadal siedziała przy drugim końcu stołu.

— Floro, czy mogę wziąć Julie na jakiś czas? Potrzebuję trochę pomocy... na górze.

Wczoraj wieczorem zrobiłam naprawdę duży bałagan w garderobie. Przymierzałam ubrania.

— Wstydziła się, że tak łatwo przychodzi jej kłamać.

— Nie widzę przeszkód. Julie, skończyłaś nakrywać stoły? — zapytała Flora.

— Tak, proszę pani.

— A więc idź teraz na górę i zobacz, w czym pomóc Casey.

— Dziękuję, Floro. Będę później na dole, gdybyś mnie potrzebowała. O której mają zjawić się te panie z towarzystwa? — chciała wiedzieć Casey.

— O czwartej. Uciekajcie. Nadal próbuję ułożyć zakichany jadłospis, a mam na to tylko kilka godzin. No, już was nie ma!

Gdy wspinały się po schodach, Casey przypomniała sobie o Blake'u. Najwyraźniej nie zadzwonił, bo Flora by jej o tym powiedziała.

Poprowadziła Julie do swojego pokoju, odsunawszy od siebie myśli o Blake'u, przynajmniej na pewien czas. Nigdy całkowicie nie zniknął z jej umysłu. Nie chciała też, żeby zniknął.

— Myślałam, że... Powiedziałaś...? — wyjąkała Julie na widok idealnego porządku w pokoju.

— Wiem. Skłamałam. Julie, jestem dorosłą kobietą. Nie potrzebuję pomocy przy sprzątanju pokoju.

— Casey zaśmiała się i usiadła na łóżku.

— Ale powiedziałaś, że narobiłaś bałaganu.

— Zapomnij o tym, Julie. Usiądź. — Casey przesunęła się, żeby zrobić dla niej miejsce.

— Dlaczego chciałaś, żebym tu przyszła?

— Chodzi o Hankę. Muszę wiedzieć, co dokładnie powiedział, a nie chciałam, żeby ktoś usłyszał naszą rozmowę. Z jakiegoś powodu mu nie ufam.

— Och. — Julie wydawała się zdenerwowana.

— Myślałaś, że o co mi chodzi, Julie? — zapytała Casey, i wtedy nagle zrozumiała.

Julie się jej bała!

Jak mogła być taka głupia? Chociaż ich świeża przyjaźń ograniczała się do krótkich rozmów, Casey myślała, że łączy je nieskomplikowane koleżeństwo. Julie nawet ostrzegła ją przed złem obecnym w Łabędzim Domu.

Teraz siedziała na brzegu łóżka, zbierając nitki ze swojej spódnicy.

— Popatrz na mnie, Julie — domagała się Casey. Żałowała, że jest szorstka, ale chciała uzyskać informacje. Poczuli się okrutna i podła, kiedy zobaczyła, że Julie jest przerażona.

— Tak?

Skupiła wzrok na Julie.

— Posłuchaj, powiem to tylko raz. Nie wiem, dlaczego boisz się być ze mną sam na sam, nic na to nie poradzę. Sądziłam, że możemy być przyjaciółkami. Miałam nadzieję, że będziesz mi ufać. Przykro mi, że zmieniłaś zdanie. Poprosiłam cię o przyjście tu na górę, żebyśmy mogły porozmawiać na osobności. Julie, nie jestem nieobliczalną wariatką, za którą może mnie uważasz.

— Nie boję się ciebie, Casey. Ostrzeżono mnie, to wszystko. Zagroził, że stracę pracę, jeśli się z tobą zaprzyjaźnię.

— Hank?

Julie skinęła głową. Casey podała jej chusteczkę higieniczną z paczki leżącej na nocnym stoliku.

— Powiedział ci to, kiedy przyłapałaś go na telefonowaniu, prawda?

— Tak — potwierdziła Julie. — Powiedział mi, żebym z tobą nie rozmawiała; inaczej wylecę z pracy tak szybko, że zakręci mi się w głowie. Nagle się przestraszyłam, kiedy siedziałyśmy przy stole w kuchni. Patrzył na mnie, stojąc w ogrodzie. Czułam to.

— Zapomnij o nim. On nie może cię zwolnić, zapewniam cię. Porozmawiam o tym z mamą. Czułaś, że on na ciebie patrzy? Co to znaczy?

— Kiedy kuchenne drzwi są otwarte, można obserwować ogród. Chociaż go nie widziałam, po prostu czułam, że na mnie patrzy. Jakby mnie ostrzegał. Na pewno wie, że jestem z tobą tu na górze.

Nie mogę stracić pracy, Casey, to wszystko, co teraz mam.

— Och, Julie, nie stracisz pracy, obiecuję ci. Zrobimy coś w sprawie Hanka. Nie lubię go od pierwszego dnia. Na jego widok przechodzą mnie dreszcze.

Julie zaśmiała się.

— Wiem, o czym mówisz. Casey, proszę, obiecaj mi coś.

— Co tylko chcesz.

— Proszę, nie idź do matki. Załatwię to po swojemu.

— Musisz jednak wiedzieć, że rozsądek podpowiada mi co innego.

— W porządku.

— Więc to jest ustalone. Czy pamiętasz, co przypadkiem usłyszałaś? Hank musiał powiedzieć coś, co uważał za obciążające, jeśli groził ci utratą pracy.

— Właśnie w tym problem. Naprawdę nie usłyszałam niczego niestosownego. Po prostu powiedział coś w sensie: „Ona nie przeszła terapii, wydawała się zdenerwowana i zrobię to przy pierwszej okazji”.

Chociaż te słowa mogłyby zostać uznane za niewinne przez każdą inną osobę, Casey rozumiała ich ukryte znaczenie.

— Pamiętasz, jak wymknęłam się wczoraj? Przyszłaś na górę do mojego pokoju z herbatą.

— Pewnie, dlaczego pytasz? — Na twarzy Julie lęk zastąpiła ciekawość.

— Chcę, żebyś pomyślała. Pamiętasz, czy widziałaś wczoraj Hanka? — Casey zacisnęła kciuki na szczęście, mając nadzieję, że myśli prowadzą ją we właściwym kierunku.

— Pamiętam, że wyjaśnił pani Florze, że musi jechać do Brunswicku po zapasy. Pamiętam to, bo przyszedł do kuchni, co rzadko robi. Wyglądało to tak, jakby chciał, żeby ktoś wiedział, gdzie on będzie. To do niego niepodobne, a przynajmniej tak mi się wydaje. Mabel coś wtedy o tym mamrotała. To było niezwykle, że zawiadomił personel, gdzie się wybiera.

Casey postanowiła wypytać Mabel później, kiedy skończą się przygotowania do przyjęcia.

— Czy widziałaś go, kiedy wrócił?

— Nie, już mnie nie było, pojechałam do domu. Może Flora go widziała. Ona wie prawie o wszystkim, co dzieje się w Łabędzim Domu.



— To prawda. Powiedz mi, Julie, co myślisz o roli Flory w Łabędzim Domu? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ta kobieta jest kimś więcej, niż to się z pozoru wydaje.

— Masz całkowitą rację. To jednak kolejny temat tabu. Krążą plotki, że pani Flora nadal jest zakochana w panu Worthingtonie.

— Nadal? — Następna zagadka, pomyślała Casey.

— Podobno Flora kochała się bez wzajemności w panu Worthingtonie na długo przed tym, nim ożenił się z twoją matką. Chyba nawet jeszcze wtedy, kiedy żyła pierwsza pani Worthington. Wiem, że Flora była z nią w bardzo dobrych stosunkach, bo pani Worthington poprosiła ją, żeby zaopiekowała się Adamem po jej śmierci. Sama mi to powiedziała.

To wiele wyjaśnia. Czy to dlatego Flora nie wyszła za mąż? Czy potajemnie miała nadzieję, że kiedy umrze pierwsza pani Worthington, może mieć szansę u swojego szefa?

— Mnie też to powiedziała parę dni temu. Porozmawiam z nią; może będzie w stanie rzucić trochę światła na rolę Hanki w tym wszystkim. Julie — Casey utkwiała wzrok w okrągłej twarzy przyjaciółki — proszę, nie bój się ze mną rozmawiać. Po to ma się przyjaciół, żeby z nimi rozmawiać.

— Dziękuję. Byłaś taka miła. — Julie wstała i poszła w stronę drzwi. — Mimo że Flora mówiła co innego, wiem, że przyda jej się teraz dodatkowa para rąk. Wrócę do pracy i zostawię cię z twoimi myślami.

— Ja też zejdem za parę minut. Dopilnuj, żeby było coś, co mogłabym robić. Coś łatwego.

— Casey zaśmiała się, przypominając sobie swoje ostatnie przeżycia w kuchni.

— Jasne. — Julie wyszła, po cichu zamykając za sobą drzwi.

\* \* \*

Przeszłość zaczynała się odsłaniać. Założenie, że amnezja jest nieprzenikniona, było błędne.

Chociaż pamiętała, że Ronnie gwałcił ją dziesiątki razy, nie mogła przywołać strachu, gniewu i nienawiści, które powinien był w niej wzbudzać. Było prawie tak, jakby spotkało to kogoś innego, a ona by tylko o tym wiedziała. Dlaczego?

A teraz to. Hank, Flora i Julie, wszyscy z własnymi sekretami. Przyciszone rozmowy.

Znów to pytanie: dlaczego?

Będzie musiała porozmawiać z Blakiem, zapytać go, co wie o Hanku. Im więcej o tym rozmyślała, tym bardziej prawdopodobne wydawało się, że to Hank zaatakował ją na werandzie jej dawnego domu. Co też mogło skłonić go do zrobienia czegoś takiego?

Zbyt wiele pytań, za mało odpowiedzi, pomyślała Casey. Porozmawia z Mabel i Florą.

Może matka, jeśli nie będzie musiała znowu śpieszyć się do Worthington Enterprises, też znajdzie dla niej parę minut.

Matka pozostawała dla niej zagadką. Minęło wiele lat, odkąd łączyła je normalna więź, i Casey czuła, że powinna postarać się spędzać z nią więcej czasu, by znów ją poznać. Być może nigdy jej nie знаła.

Pośpiesznie zeszła na dół, żeby pomóc Florze i Julie w przygotowaniach do podwieczorku.

Zastanawiała się przez chwilę, jakie zamiary ma Brenda. Wiedziała, że ta zgorzkniała kobieta zrobiłaby prawie wszystko, żeby zamienić się z nią miejscami. Czy uwiedzie Blake'a? Może uda jej się zajść w ciążę?

Casey zatrzymała się, kiedy dotarła do najniższego schodka.

Nie miała pojęcia, dlaczego jej myśli przybrały taki obrót. Była ważna dla Blake'a.

Powiedział jej to.

Te głupie chwile, kiedy nie czuła się bezpieczna, były właśnie takie. Głupie.

A jednak różne rzeczy zdarzały się nawet wtedy, kiedy myślałaś, że panujesz nad własnym losem.

Wiedziała, że tak jest, bo przytrafiło jej się to, kiedy planowała podróż do Atlanty, tyle lat temu. Chociaż podjęła decyzję, która miała zmienić jej przyszłość, okoliczności wszystko przekreśliły. Wprawdzie ostatecznie osiągnęła zaplanowany przez siebie cel, ale najwyraźniej nie ona wybrała sposób, w jaki to się stało.

Casey weszła do przesyconej odświeżoną atmosferą kuchni, mając nadzieję, że rozproszy ponure myśli. Piekł się świeży chleb i zapach sprawił, że ślinka napłynęła jej do ust.

— No, no, czy to nie jest Wesoła Bałaganiara we własnej osobie? Wszystko posprzątane, Casey? — zapytała Flora.

— Tak. Dzięki, Julie. — Casey popatrzyła na przyjaciółkę, która szorowała młode ziemniaki w zlewie. Julie uśmiechnęła się, ich tajemnica była bezpieczna.

Casey obrzuciła wzrokiem wielkie pomieszczenie w poszukiwaniu Mabel i zobaczyła, że kucharka pracuje na swoim stanowisku na drugim końcu kuchni.

Podeszła do Mabel, a ta podniosła głowę znad ciasta, które miesiła. Mąka usiała jej podbródek, siwe włosy były obsypane białymi plamkami ciasta, przypominającymi płatki śniegu.

Nieoczekiwanie Mabel niepytana powiedziała to, co Casey chciała wiedzieć.

— Nigdy nie lubiłam tego człowieka, odkąd przyszedł tu do pracy. Mówiłam młodej Julie, że wyczuwam w nim podłą duszę. Przyszedł do kuchni z wyniosłą miną i zapowiedział swój wyjazd do Brunswicku. Przez wszystkie te lata, od kiedy tu pracuję, nigdy nie widziałam ani nie słyszałam, żeby mówił komuś poza twoją mamą albo panem, gdzie będzie. Pomyślałam, że coś knuje.

Długa przemowa Mabel zaskoczyła Casey.

— Dziękuję, Mabel. Odpowiedziałas na moje pytanie. — Poglaskała kobietę po ramieniu i zastanowiła się przez chwilę, czy Julie powiedziała jej o ich wcześniejszej rozmowie.

A więc miała rację co do Hanka.

Postanowiła poczekać z dalszymi pytaniami, bo Flora i Julie były zajęte.

Julie pokazała jej gestem, żeby podeszła do zlewu, gdzie nagromadziły się stosy brudnych naczyń.

— Chciałaś, żeby to było coś łatwego — powiedziała ze śmiechem.

— Tak, chyba tak powiedziałam. — Casey zanurzyła ręce w gorącej wodzie z mydłem i stwierdziła wkrótce, że to domowe zajęcie ją uspokaja. Popatrzyła przez okno na pieczołowicie zadbane ogrody, myśląc o tym, czy Hank ją obserwuje. Prawie chciała, żeby tak było. Mógłby wtedy zobaczyć, że próba skrzywdzenia jej się nie powiodła. Może chciał

tylko, żeby mu nie przeszkadzała, kiedy będzie przeszukiwał dom przy Back Bay. Nie potrafiła tego zrozumieć. O ile wiedziała, poza torbą na książki, którą dał jej szeryf Parker, i zbryzganym krwią materacem nie można tam było znaleźć niczego godnego uwagi.

Przenikliwy dzwonek telefonu sprawił, że serce zabiło jej mocniej.

— Casey, do ciebie — powiedziała Flora.

Przypuszczając, że to Blake, wytarła ręce ścierką do naczyń i wzięła podany jej przez Florę przenośny telefon.

— Blake? — zapytała, słysząc westchnienie ulgi w swoim głosie. — Halo? Blake, czy to ty? — czekała, aż dotrze do niej dźwięk jego ciepłego głosu. Przycisnęła telefon do ucha, myśląc, że może mają kiepskie połączenie. — Czy jest tam ktoś?

Kiedy miała się rozłączyć, nieoczekiwany dźwięk, który usłyszała, sprawił, że odsunęła telefon od ucha.

Płacz niemowlęcia. Przekonana, że ktoś po prostu wybrał zły numer, powiedziała do telefonu:

— Ktokolwiek dzwoni, połączył się z rezydencją Worthingtonów.

Płacz był teraz głośniejszy.

Popatrzyła na stojącą w pobliżu i obserwującą ją Flore.

Nagle płacz ustał.

Z początku Casey ledwie słyszała ten głos. Potem stał się donośniejszy. Dziecko?

Natężyła słuch, żeby zrozumieć, co mówi ta młoda osoba.

Słowa były boleśnie wyraźne, kiedy je usłyszała.

— Dlaczego mnie zabiłaś, mamusiu?

Gdy wyszedł ostatni pacjent, Blake wrócił myślami do wczorajszej rozmowy z szeryfem.

Zarówno on, jak i Adam byli źli na Parkera za to, co zrobił, czy raczej czego nie zrobił.

Chociaż powiedział Parkerowi, że rozumie, o co mu chodziło, nadal nie było wiadomo, co naprawdę stało się w dniu, w którym zabito Ronalda Edwardsa.

A tego ranka, przeglądając teczkę ojca, natknął się na jeszcze jedną rewelację, która mogła wyjaśniać, dlaczego Casey popełniła morderstwo.

Jeśli daty zapisywane przez ojca były dokładne, a Blake nie miał powodu, żeby w to wątpić, Casey przysłała na wizytę w dniu śmierci Ronniego.

Układanka nadal nie była gotowa, ale Blake wiedział, że te elementy, którymi dysponuje, pomogą mu ułożyć całość. Jednak kilku w dalszym ciągu brakowało. Jeden z nich miał

Bentley. Blake był o tym przekonany. Robert Bentley był w domu przy Back Bay w dniu morderstwa. Dlaczego? Tego sukinsyna nadal nie można było znaleźć. Blake próbował

dodzwonić się do niego poprzedniego wieczoru, po powrocie z rozmowy z szeryfem, ale nikt nie odbierał telefonu. Spróbował znów rano i sprawdził też, czy nie ma go w szpitalu.

Zatelefonował nawet do Normy. Powiedziała, że mąż pojechał do Atlanty w interesach i nie jest pewna, kiedy wróci. Blake wiedział, że powtarza kłamstwa, które usłyszała od Bentleya.

Przedzwonił znów do Macklina, mając nadzieję, że psychiatra będzie jednak mógł rzucić trochę światła na sytuację. W końcu przez ostatnie dziesięć lat był lekarzem Casey. Tym razem gospodyni Macklina wyjaśniła, że doktor wybrał się do Europy i przyjedzie po swoje rzeczy dopiero za kilka tygodni. Zapewniła Blake'a, że jeśli doktor zadzwoni, żeby zapytać, czy są do niego jakieś sprawy, co czasami robił, będzie pamiętać o przekazaniu mu wiadomości od Blake'a.

Trzymał w ręce cieniutką białą kartkę z niestarannym pismem ojca.

„W ciąży od sześciu tygodni”.

Blake nie wiedział, kto był ojcem, mógł jedynie przypuszczać, i sama myśl o tym sprawiła, że ogarnęła go chęć mordy.

Pod wieczór miał się spotkać z Adamem w Brunswicku. Może kiedy będą działać razem, znajdą tych dwóch nieuchwytnych mężczyzn. Powinien zadzwonić do Casey. Miał to zrobić wczoraj wieczorem. Po wyjściu z biura szeryfa był tak rozgniewany, że nie mógłby z nią rozmawiać, musiał się uspokoić. Nadal nie był spokojny, ale chciał pomówić z kobietą, którą kochał, tylko po to, żeby się upewnić, że wszystko u niej w porządku.

Flora odebrała przy trzecim dzwonku.

— Witaj, Floro, mam nadzieję, że jesteś zajęta pieczeniem tego ciasta z orzeszkami pekana, które tak bardzo lubię. — Blake na darmo czekał na dowcipną odpowiedź. — Floro, czemu nic nie mówisz?

— Sytuacja nie wygląda tu teraz za dobrze.

— Czy jest tam Casey? Chciałbym z nią porozmawiać. Czy nic jej się nie stało? — Mówił szybko, nie dając Florze dojść do głosu.

— Uspokój się, Blake. Nic jej nie jest, trochę się wystraszyła, odebrała dziwny telefon. Jest na górze i odpoczywa. Powiedzieć jej, żeby do ciebie zatelefonowała? — zapytała Flora.

— Nie, nie rób sobie kłopotu. Zaraz przyjadę.

— Blake, nie...

Nie pozwolił jej dokończyć. Rzucił słuchawkę na widełki i popędził do samochodu, odkładając na później myśli o wszystkim innym. Coś złego spotkało Casey i tylko to go obchodziło.

Dotarł do Łabędziego Domu po niecałych dziesięciu minutach. Dave, ochroniarz, musiał z daleka zobaczyć jego samochód, bo elektronicznie sterowana brama właśnie otwierała się, gdy wjeżdżał pod górę.

Tym razem nie zawracał sobie głowy starannym parkowaniem; zajechał przed dom i pośpiesznie wyskoczył z bmw.

Flora przywitała go w drzwiach.

— Jest na górze — powiedziała. Razem weszli po schodach. Flora zapukała i Blake usłyszał słabe „proszę”.

Kiedy zobaczył Casey, wiedział, że potrafiłby dla niej zabić. Jej oczy były zaczerwienione od płaczu, a pod nimi widniały sine cienie. Była blada. Blake zapomniał o uczuciach, wziął w nim górę lekarz. Stał koło łóżka i ujął jej rękę. Tętno miała normalne.

— Och, Blake, czy Flora powiedziała ci, żebyś przyjechał?

Casey oparła się o stos poduszek. Wyglądała na zagubioną i dezorientowaną. Mówią, że w życiu mężczyzny przychodzi chwila, kiedy wie, że spotkał właściwą kobietę. W tym momencie Blake pojął, że Casey jest jego kobietą. Nie miało znaczenia to, że nigdy się z nią nie kochał i że, być może, ona nie pragnie go tak bardzo, jak on jej. Ważne było to, że ją kocha i że nie cofnie się przed niczym, by ją chronić.

— Blake, przerażasz mnie. Co się stało?

— Myślę, że to ja powinienem cię o to zapytać. Flora powiedziała mi, że ktoś cię przestraszył.

— Nie mogę uwierzyć, że przejechałeś taki kawał drogi z powodu jednego telefonu. Jest środek dnia, pewnie masz pełną poczekalnię chorych. — Blake zorientował się, że Casey próbuje zbagatelizować sprawę.

— Przestań, Casey, wiesz, dlaczego tu jestem. Opowiesz mi o tym, co się stało?

— Tak naprawdę to nie chciałabym.

— Nie masz wyboru. — Blake wiedział, że ton, którego użył, był szorstki, ale nie mógł nic na to poradzić. Musiał się dowiedzieć, co zaszło.

— Brzydki kawał, nic więcej. To po prostu... przypomniało mi o czymś.

— Mów dalej — zachęcił ją.

— To wszystko, Blake. Czy to ci nie wystarcza? — zapytała, podnosząc nieco głos.

— Nie, nie wystarcza. Casey, chcę ci pomóc, ale nie będzie to możliwe, jeśli nie będziesz ze mną szczerą i...

— Głos w telefonie — wpadła mu w słowo. — Wydawało się, że mówi małe dziecko.

Miała rację. To tylko głupi kawał.

— Dlaczego tak cię to zdenerwowało?

Casey usiadła prosto, jej oczy były wielkie jak spodki.

— Przestraszyło mnie to, co do mnie powiedziano. Głos był zniekształcony. Myślałam o tym i teraz uważam, że ktoś udawał dziecko. Musiało tak być, bo... cóż, po prostu musiało tak być.

Wstała i podeszła do okna. Minęło kilka minut, zanim ponownie się odezwała.

— Ta osoba, która zadzwoniła... — zawiesiła głos — ...powiedziała... och, do diabła, powiedziała: „Dlaczego mnie zabiłaś, mamusiu?”

Blake zaczerpnął głęboko tchu, nim rzekł:

— To musi się skończyć. Chodź tutaj. — Wziął ją w ramiona. Położyła głowę na jego ramieniu i cicho zapłakała. Gładził jej krótkie loki i w myślach planował powolną śmierć w męczarniach tego, kto ją dręczył.

Casey uniosła ku niemu zapłakaną twarz.

— Nie rozumiem tego, Blake. Nie mogę spać w nocy, leżę i tak usilnie staram się przypomnieć sobie

przeszłość, że to aż boli. Czasami nie wiem, czy kiedykolwiek sobie przypomnę, ale to... — uwolniła się z jego uścisku i usiadła na łóżku — ...a jeśli to, o czym mówił ten, kto zadzwonił, jest prawdą?

Blake usiadł obok niej i otoczył ją ramieniem.

— Nie, Casey, to nieprawda. Nigdy nie skrzywdziłabyś dziecka.

Zaśmiała się gorzko.

— Może nie znasz mnie tak dobrze, jak ci się wydaje.

— Dzisiaj rano przeglądałem teczki taty, żeby wyrzucić wszystkie niepotrzebne rzeczy.

Natrafiłem na coś, o czym powinnaś wiedzieć. Do diabła, myślę, że może już wiesz. W dniu śmierci Ronniego przysłaś do gabinetu taty.

— Wiem o tym wszystko — powiedziała Casey zrezygnowana.

— A więc wiesz, że byłaś od sześciu tygodni w ciąży? — zapytał.

— Tak, Blake, i pamiętam, co zrobiłam mojemu nienarodzonemu dziecku. Naprawdę jestem potworem! — Casey zacisnęła i rozwarła pięści. Łzy potoczyły się po jej policzkach.

Wyciągnął ramiona, aby ją przytulić, ale się uchyliła. Podeszła do garderoby i po chwili wróciła z torebką.

— Oto co zrobiłam mojemu dziecku. — Wcisnęła mu w dłoń wyblakłą wizytówkę. Słowa były ledwie czytelne, ale zdołał je odcyfrować.

Rzucił kartonik na łóżko.

— Naprawdę wierzysz, że poddałaś się aborcji w tej klinice?

Zaniosła się histerycznym śmiechem.

— Cóż, do cholery, Blake! Nie trzeba zaliczyć cholernych studiów medycznych, żeby na to wpaść. Pamiętam, jak znalazłam ten kartonik przed Haygoodem w drodze do domu, gdy wyszłam z gabinetu twojego ojca. Pamiętam nawet swoją myśl: że to jest znak. Przyszłam do domu, zadzwoniłam tam i... cóż, na tym się kończą moje wspomnienia. Byłabym idiotką, gdybym wyobrażała to sobie inaczej, Blake. — Opadła na łóżko.

— Mylisz się. Mówiłem ci, że znalazłem twoją teczkę, tę ostatnią. Casey, aborcji nie było.

Casey gwałtownie usiadła na łóżku.

— A więc gdzie jest moje dziecko?! Czy również z tego powodu zostałam umieszczona w szpitalu?



Czy zabiłam też moje dziecko?! — Histeryzowała, ale Blake wiedział, że musi pozwolić jej to wykrzyczeć. Dopóki się nie uspokoi, nie będzie słuchać niczego, co jej powie.

Delikatnie położył ją z powrotem na łóżku. Opierając się o wezgiłowie, kołysał Casey w ramionach jak dziecko. Jej głośny płacz w końcu osłabł, przechodząc w ciche kwilenie.

Czekał, aż coś powie.

— Zabrudziłam ci koszulę tuszem do rzęs. — Casey nachyliła się i wyjęła chusteczkę higieniczną z paczki na nocnym stoliku.

— To nieistotne.

— Nie powinieneś tak mówić — powiedziała bez przekonania.

— Casey, muszę dokończyć to, o czym mówiłem, zanim...

— ...zaczęłam wrzeszczeć?

— Nigdy nie urodziłaś dziecka. Nigdy nie poddałaś się aborcji. — Wciągnął głęboko powietrze, zanim podjął przerwany wątek. — Tej nocy, kiedy byłaś w więzieniu, poroniłaś.

Mój ojciec się tobą zajął.

*Było jej zimno. Tylko nie tam na dole. Ciepła ciecz. Kobieta zabrała z niej wilgotne ciepło i zastąpiła je czymś suchym i grubym.*

— Casey, wszystko w porządku? — zapytał Blake. Nie podobała mu się pustka, którą widział w jej oczach.

Kręciła głową z boku na bok i patrzyła na niego tak, jakby pierwszy raz go widziała.

W końcu odezwała się cichym głosem:

— Pamiętam.

— Co pamiętasz, Casey? Mojego ojca? Podniosła się z łóżka i znów podeszła do okna.

— Nie, jego nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam natomiast, że zajmowały się mną dwie kobiety. Wcześniej miałam krwotok. Kim były te dwie kobiety?

— Prawdopodobnie Córa i Vera.

— Były dla mnie takie okrutne. Pamiętam, że zmieniły mi... Chyba oczyściły mnie po poronieniu.

— *Doktor Hunter mówi, że będzie spała przez jakiś czas. Mam nadzieję, że to, co jej dał, oszołomi ją porządnie. Mój Boże, nigdy nie widziałam czegoś takiego.*

— *Taaak, cóż, poczekaj tylko, aż zobaczysz chłopaka, wtedy to powiedz. Człowiek nie powinien nigdy musieć patrzeć na to, co widzieliśmy tam dziś wieczorem. I ta biedna matka.*

*Straciła oboje dzieci. Chociaż bardzo niechętnie to mówię, ta tutaj powinna smażyć się w piekle.*

— Ziemia do Casey? Halo?

— Masz rację, Blake. To Córa i Vera były w więzieniu. Rozmawiały o mnie, mówiły, że powinnam smażyć się w piekle. Jak udało im się... zobaczyć ciało?

— Według szeryfa było tam całe miasteczko. Nie sądzę, żeby ktoś zamknął oczy, kiedy wynosili Ronniego... możesz to sobie wyobrazić.

— Aż za wyraźnie. Może utrata pamięci ma swoje zalety. Pamiętam, jak odkryłam, że jestem w ciąży, Blake. Chciałam umrzeć. Po prostu umrzeć. Łamię sobie głowę, próbując przypomnieć sobie, kto mógł być ojcem, i nie pamiętam żadnego chłopaka, z którym chodziłam, żadnej przypadkowej randki, niczego. Mam też drugą wizję i śmiertelnie mnie ona przeraża.

— Opowiedz mi o niej, Casey — nakłaniał ją.

— To brzmi szaleńczo, nawet dla mnie. Czy to możliwe, żeby Robert Bentley był ojcem mojego dziecka?

Jason Dewitt zameldował się w Days Inn w Brunswicku, ponieważ nie miał czasu na znalezienie lepszego noclegu. Chciał jak najszybciej mieć za sobą tę paskudną robotę, żeby móc wrócić do Atlanty, gdzie zamierzał przenieść swój gabinet. Miał nadzieję, że Jo Ella nadal będzie u niego pracować. Gdyby tego zażądała, zająłby się nawet przeprowadzką jej rodziny. Oczywiście dyskretnie. Już raz namiętność prawie go zgubiła.

Prawie.

Co przypomniało mu, dlaczego przyjechał do tego cuchnącego miasteczka.

Powodem był Robert Bentley.

Zapytał wcześniej recepcjonistkę o połączenia ze Sweetwater, mówiąc jej, że chce tam spędzić tylko ten wieczór. Wręczyła mu rozkład kursów promu. Wyciągnął go z kieszeni, gdy kładł się na wytartej, wypłowiałej purpurowej kapie.

Przedostatni raz prom wypływał do Sweetwater równo o dwudziestej pierwszej, a wracał

stamtąd o północy. Zostało mu jeszcze kilka godzin, z którymi musiał coś zrobić. Zje lunch, przejdzie się po miejscowym centrum handlowym, potem odpocznie. Tego wieczoru chciał

być w jak najlepszej formie.

Północ.

Północ wydawała się odpowiednią porą na śmierć. Lubił panującą wtedy ciemność, anonimowość. Było ciemno, kiedy Amy do niego przyszła. Powiedziała mu, że doktor Macklin uważa, że za jakiś czas będzie mogła wrócić do domu. Doktor powiedział też, że może żyć normalnie.

Spędzili ten wieczór, kochając się — świętowali, jak jej powiedział. Trochę ją zmaltrretował, chociaż wiedział, że ona tego nie lubi. W ogóle nie narzekała. Po prostu ciągle jej było mało.

Gdy się ubierali, wyglądała jakoś szczególnie. Wtedy nie umiał określić, co to jest, wydawała się tylko inna niż zwykle. Radośnie podekscytowana. Rozpromieniona.

Kiedy nadszedł czas, żeby wrócić do Mercy, nie chciała odejść. Przyłgnęła do niego z rozpaczą. Odepchnął ją i upadła, uderzając głową o ostry kant stolika do kawy. Sięgnęła za siebie i potarła głowę; po chwili zaczęła wymachiwać ręką, po której spływała krew.

Boże, była szalona, ale taka piękna!

Przypatrywała się swojej zakrwawionej ręce. Wkrótce Jason przekonał się, że kobieta, u której rozpoznano schizofrenię paranoidalną, rzeczywiście jest chora.

Zaczęła histerycznie wrzeszczeć, zarzucając mu, że zrobił jej krzywdę. Postraszyła go, że jej tatuś go zabije. Nikomu nie było wolno zrobić krzywdy maleństwu tatusia.

Potem umilkła.

Powróciła Amy, którą znał i której pożądał. Usiadła na łóżku, obejmując się ramionami i kołysała się z boku na bok jak mała dziewczynka huśtająca lalkę.

Uśmiechnęła się do niego i już wiedział, że nigdy nie zapomni jej następnych słów.

— Mam sekret.

Aby ją udobruchać, zapytał, co to takiego. Kiedy mu powiedziała, stracił zdolność rozumowania i przewidywania.

Otoczył rękami tę jej piękną szyję i ścisnął ją, dopóki nie poczuł, że ostatnie tchnienie wychodzi pomiędzy jej warg.

Potem płakał jak dziecko i zadzwonił do sędziego. Nie ośmielił się mu tylko przyznać, jak się podniecił, kiedy trzymał ręce na szyi Amy.

Sędzia uznał, że nie ma mowy, żeby Dewitt został ojcem czarnego dziecka. Powiedział

Jasonowi, że na jego miejscu zrobiłby to samo. A potem, jak zwykle, sam zajął się wszystkim.

Od tamtego czasu sprawy szły doskonale... dopóki nie pojawił się Bentley, grożąc, że rozgłosi mały brudny sekret Jasona. Ale on nie dopuści do tego. Obietnice były święte.

\* \* \*

Blake zszedł po schodach, dając Casey kilka minut, żeby mogła wziąć prysznic i przebrać się na przyjęcie.

Włożyła cudowną białą lnianą sukienkę i wybrała srebrzyste sandały spośród licznych par butów, zgromadzonych w garderobie. Wąski srebrny łańcuszek ze szmaragdami otoczył jej szyję i malutkie szmaragdowe kolczyki na szpilce zaśniły w uszach. Casey przejrzała się w lustrze, zanim poszła na dół. Eve będzie się podobało. Skromnie, ale z klasą.

Skąd jej się to wzięło? Prawdopodobnie kiedyś słyszała, jak matka to mówiła.

Nadal nieco rozbita po ataku hysterii, obiecała sobie, że będzie się cieszyć tym popołudniem i zapomni o swoim nienarodzonym dziecku i o wszystkim, co było z tym związane. Kto wie, może pewnego dnia wstąpi do Klubu Zameężnych Kobiet? Zaśmiała się.

Jakoś nie wyobrażała sobie siebie w takiej roli.

— No, no, czyż nie wyglądasz na przyszłą kandydatkę? — powiedział Blake, gdy prowadził ją przez

jadalnię do kuchni, gdzie trwał wir pracy.

— Przyszłą kandydatkę? — spytała Casey. Doskonale wiedziała, co miał na myśli, ale lubiła się z nim droczyć.

— Nie mów mi, że od lat nie marzysz o tym, żeby należeć do tego grona. Myślałem, że ty i Brenda...

— Blake nie dokończył.

— Pst! Zdradzisz moją tajemnicę i wtedy cała wyspa będzie wiedzieć!

— Popatrzcie na siebie, nie możecie oderwać od siebie rąk! — Flora mrugnęła do nich, gdy przechodziła obok nich w drodze do jadalni.

Casey wysunęła się z objęć Blake'a i poszła jej śladem.

— Floro, czy mogę pomóc? To wygląda absolutnie doskonale. — Casey obejrzała jadalnię.

Wielki stół został wyniesiony. Zamiast niego rozmieszczono dziesięć nakrytych bladoporóżowymi obrusami małych stolików, każdy dla pięciu osób. Stroiki z różowych róż i świeżej zieleni bez wątpienia były dziełem Hanka. Delikatne porcelanowe talerze z łabędziami namalowanymi na obrzeżach wraz z kremowymi lnianymi serwetkami i sztućcami z pierwszorzędnego srebra składały się na każde nakrycie. Miejsca gościom wskazywały odpowiednio umieszczone na stolikach kartoniki z nazwiskami.

Flora obrzuciła pokój uważnym spojrzeniem, szukając niedociągnięć.

— Dziękuję, nie, panienko. Nie snuj się tu bez celu, brudząc tę śliczną białą sukienkę.

Twoja mama dostanie szału. Powinna tu być lada chwila. Lubi obejrzeć stoły przed przybyciem gości.

— Na pewno uzna, że wszystko jest w najlepszym porządku. Odpręż się.

Casey poprowadziła Florę do kuchni, gdzie Blake i Julie popijali kawę przy dębowym stole.

— Usiądź — nakazała i napełniła kawą kubki dla siebie i dla Flory. — Wypij to.

— Zaczęłaś mną komenderować, panienko. Muszę się przebrać, nie mogę przynieść wstydu pani Worthington. — Flora wypiła ostatni łyk kawy i znikając w głębi korytarza prowadzącego do jej pokoju, zawołała jeszcze w stronę kuchni: — Zostańcie tam, gdzie jesteście, dopóki nie nadejdzie czas, słyszycie?

— Można by pomyśleć, że to jest bal z okazji inauguracji prezydentury albo coś w tym stylu — powiedziała Casey.

— Flora jest za wszystko odpowiedzialna — wyjaśnił Blake.

— O czym mówisz? — zapytała Casey.

— Jeśli przyjęcie się nie uda, wina spadnie nie na twoją matkę, tylko na personel — Julie odpowiedziała za Blake'a.

— Rozumiem — odparła, chociaż nie wiedziała, dlaczego sukces przyjęcia mógłby mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Julie znów się odezwała:

— Jeśli przyjęcie będzie beznadziejne, wszyscy stracimy pracę, Casey.

— Nie mówisz chyba poważnie? — Casey popatrzyła na Blake'a.

— Ona ma rację. W Klubie Zameężnych Kobiet trzeba mieć wszystko, co najlepsze.

Mówiłem ci, że jego członkinie traktują to bardzo poważnie.

— Na to wygląda. Jak często matka jest gospodynią przyjęć? — zapytała Casey.

Blake odwrócił się w stronę Julie, która powiedziała:

— Przy tylu członkiniach, ile mają teraz, każda z pań musi być gospodynią spotkania przynajmniej raz na dwa lata.

— To wszystko? — zapytała Casey, ponownie napełniając kubek kawą.

— Wydaje się, że to niezbyt często, ale nie znasz tych kobiet. Flora mówi, że są okropne

— powiedziała Julie.

— Jeśli są takie złe, czemu przynależność do klubu jest pożądana?

— Chodzi tylko o pozycję, Casey. O nic więcej. Jak już mówiłem, to kobiety, które nie mają niczego lepszego do zrobienia ze swoim czasem i ciężko zarobionymi pieniędzmi swoich mężów.

— Nie mogę uwierzyć, że matka ma ochotę na te spotkania — zauważyła Casey, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Julie i Blake popatrzyli na nią.

— Wiemy o ludziach mniej, niż nam się wydaje, nawet o tych, z którymi jesteśmy najbliżej związani — powiedział Blake.

Casey chciała zapytać go, co ma na myśli, ale właśnie weszła do kuchni Flora w jasnoniebieskiej sukience, która pasowała do koloru jej oczu i podkreślała zgrabną figurę.

Białe loki Flory nie były już uwięzione w mocno ściągniętym koku. Po mistrzowsku zaplotła włosy w

oszałamiający francuski warkocz. Troszkę kosmetyków — brązowy cień do powiek, tusz oraz odrobina szminki — i nie wyglądała już jak gospodyni, ale jak wytworna dama, w dodatku dziesięć lat młodsza od kobiety, którą była przed chwilą.

— No, przestań tak stać z rozdziawionymi ustami. Zaślinisz całą tę śliczną białą sukienkę.

Blake zagwizdał. Casey i Julie uśmiechnęły się od ucha do ucha.

— Floro, wyglądasz oszałamiająco. Ktoś, kto nie wie, jak jest naprawdę, pomyślałby, że jesteś... — Casey nie udało się dokończyć zdania, bo Eve weszła do kuchni posuwistym krokiem modelki i wszelkie rozmowy się urwały.

Jeśli Flora wyglądała jak dama, to matka była po prostu królową w bladobrzoskwiniowym kostiumie od Chanel.

— ...Kim, kochanie? — zapytała Eve.

Dopiero po chwili Casey zrozumiała, że matka naprawdę czeka na jej odpowiedź.

— Mówiliśmy tylko, że Florę można by wziąć za prawdziwą panią. — Nagle Casey poczuła, że obecność matki ją onieśmiela.

Eve rzuciła spojrzenie w kierunku Flory.

— Ale wszyscy wiemy, że tak się nigdy nie stanie, prawda?

— Nigdy nie wiadomo. — Casey nie mogła się powstrzymać od wypowiedzenia tych słów.

— Ja wiem to na pewno, kochanie. A teraz, Floro — Eve obejrzała gospodynię od stóp do głów — może zechciałabyś nałożyć fartuch. Nie jestem pewna, ale myślę, że Kmart nie przyjmuje zwrotów zaplamionych sukni.

— Mamo! — wykrzyknęła Casey oburzona sposobem, w jaki matka traktowała jej przyjaciółkę.

— Tak, Casey? — zapytała słodko Eve.

— Casey, jesteś potargana, idź na górę i się uczesz. No, pośpiesz się, nie każ mamie czekać — powiedziała Flora, a potem podążyła za Eve do jadalni, tak że można było tylko wpatrywać się ze zdumieniem w plecy tych dwóch kobiet.

— Nie mogę w to uwierzyć! Jak możecie pozwalać, żeby Flora była upokarzana? — Casey usiadła na krześle, a ponieważ nadal trzymała w ręce kubek, kawa przelała się przez brzeg i kilka kropli spadło na rąbek jej sukienki.

Julie rzuciła się do zlewu i wróciła z wilgotną ścierką. Spróbowała usunąć plamę.

— Przestań, Julie, na Boga. Mało mnie to obchodzi, czy sukienka będzie pobrudzona, czy nie. Blake?

— Nie powiedział na razie ani słowa. Casey odniosła wrażenie, że wolałby być wszędzie, tylko nie tutaj, w kuchni Łabędziego Domu.

— Ona ma rację, Julie. Kogo, do cholery, obchodzi ta sukienka. Eve kupi jej inną. — Był rozgniewany. Wstał i wcisnął ręce do kieszeni. To było do przewidzenia, pomyślała Casey.

— Mam się spotkać z Adamem dziś wieczorem. Czy sądzisz, że przez kilka godzin dasz sobie radę beze mnie?

Zdała sobie sprawę, że chodzi mu o jej matkę. Może myślał, że dojdzie między nimi do spięć.

— Nie martw się o mnie. Jesteś zły, i nie dziwię ci się. Przepraszam za moją matkę. Nie wiem, dlaczego tak się zachowuje.

— Ja wiem. Ma właśnie jeden ze swoich tak zwanych ataków. Chciałaby, żebyś w to uwierzyła, a przynajmniej tak będzie się później tłumaczyć. Stres, przyjęcie, widziałem to już.

Szczerze mówiąc, Casey, myślę, że twoja matka uwielbia znęcać się nad Florą.

Wiedziała, że powinna bronić matki, ale Blake miał rację. Eve potraktowała Florę jak zero, i jej zachowanie było niewybaczalne.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— To nie twoja wina, Casey. Baw się dobrze. Podobno największą atrakcją są plotki w toalecie. — Przyciągnął ją do siebie, przytulił i pocałował w czubek nosa.

— Nie wiedziałabym. Blake, czy... czy zadzwonisz do mnie później? — Niechętnie o to zapytała, ale potrzebowała go bardziej, niż wydawało jej się to dotąd możliwe.

— Mam lepszy pomysł; przyjadę dziś wieczorem. Możemy przespacerować się o północy po ogrodach.

— Będę czekała niecierpliwie. — Miała nadzieję, że Hank będzie trzymać się od nich z daleka. Był ostatnią osobą, którą miała ochotę zobaczyć.

— Na razie. — Blake pocałował ją jeszcze raz. Usłyszała, jak woła „do widzenia” osobno do Flory i do jej matki. Eve nie raczyła odpowiedzieć.

\* \* \*

Casey miała wrażenie, że gdyby uśmiechnęła się jeszcze raz, jej twarz rozpadłaby się na milion kawałków. Rozmawiała o swoim powrocie do domu po kolei z każdą z mężatek zaproszonych przez matkę.

Panie wносиły pod niebiosa potrawy Flory. Mówiły, że nigdy nie jadły niczego tak dobrego jak jej



strudel z grzybami, do którego dodatkiem była zapiekana szalotka, i że Flora naprawdę zna się świetnie na gotowaniu. Przyjęcie okazało się sukcesem i personel Łabędziego Domu mógł podziękować swojej gospodyni za to, że zapewniła im dalsze zatrudnienie.

Gdy Eve ścisnęła ręce ostatnich kilku pań, Casey przeprosiła gości, zamierzając przejść do kuchni, żeby pomóc Julie przy sprzątanii. Jedna z zaproszonych przez matkę pań zastąpiła jej drogę. Casey nie chciała wydać się niegrzeczna, odsunęła się więc na bok, myśląc, że gość chce wejść do kuchni.

— Słyszałam, że przestałaś się ukrywać. Muszę przyznać — powiedziała wysoka, chuda kobieta, oglądając Casey tak, jakby była robakiem — że nie wyglądasz aż tak źle, jeśli wziąć pod uwagę lekarstwa, którymi faszrował cię Robert.

Casey cofnęła się o krok. Nie pamiętała, żeby matka przedstawiła ją tej kobiecie.

— Kim pani jest?

— Jestem żoną Roberta Bentleya. Twoja matka nie zechciała nas sobie przedstawić. To mnie nie dziwi. To dziwka.

— Jak pani śmie! — zawołała Casey.

— Przestań udawać. Cała wyspa zna prawdę o tobie, twojej matce i kochanym Robercie.

Wszyscy się ze mną zgadzają. Uważają, że obecna pani Worthington jest śmieciem.

Członkinie klubu przychodzą tu tylko z powodu Johna. Czemu nie zapytasz swojej matki o Roberta? Zapytaj ją też o Worthington Enterprises.

Choć raz matka przysłała jej z pomocą.

— Normo, czy nie czeka na ciebie jeszcze jakaś butelczyna? Albo może twoi krewni w stajniach potrzebują swojej popołudniowej przekąski, porcji owsa? Casey — Eve popatrzyła na córkę, potem zatrzymała lodowate, pełne nienawiści spojrzenie na Normie — słyszałaś o tym, że zwierzęta czasami są podobne do swoich właścicieli? Sądzę, że ciebie i Triggera można wziąć za bliźnięta.

— Mamo!

— Pieprz się, Eve! — krzyknęła Norma, a potem poszła chwiejnym krokiem w stronę drzwi frontowych. — I zostaw Roberta w spokoju, słyszysz! — Zatrzasnęła za sobą ciężkie drewniane skrzydło. Casey stała w jadalni, czekając, aż matka wyjaśni jej, dlaczego ta kobieta tak się zachowała.

— Było przyjemnie, Casey, ale jestem umówiona na spotkanie. Powiedz Florze, że jeśli jeszcze raz w sosie śmietankowym trafi się grudka, przestanie tu pracować. — Pocałowała szybko powietrze koło córki, pogłaskała ją po głowie jak psa i wyszła z jadalni.

Casey była zdumiona. To wszystko? Jedna z zaproszonych kobiet właśnie powiedziała do jej matki

„pieprz się” i matka pominęła to milczeniem? Dlaczego żona Roberta Bentleya nienawidzi Eve?

Miała coraz większy mętlik w głowie. Wróciła do kuchni i wzięła się do sprzątanía. Czuła, że oszaleje, jeśli nie będzie zajęta.

\* \* \*

Pędziła zygzakiem ku szczytowi wzgórze na złamanie karku, nie przejmując się tym, że jest pijana i że jej mercedes zajmuje całą szerokość drogi. Norma Bentley wiedziała, że zblądziła się wobec córki Eve Worthington, i tym też się nie przejmowała. Wódka, którą wypić, wraz z tym obrzydliwym ponczem zaprawionym alkoholem dała jej odwagę, której brakowało jej przez ponad dwadzieścia lat.

Czy rzeczywiście myśleli, że o nich nie wie? Robert był naprawdę głupi. Powinna była posłuchać ojca i wyjść za kogoś z tej samej sfery co rodzina Fultonów. Chociaż Bentleyowie mieli pieniądze i ich nazwisko trochę znaczyło na wyspie, Norma za późno zdała sobie sprawę, że Robert ożenił się z nią tylko dla majątku. Jednak dzięki testamentowi ojca Robert nie mógł tknąć jej spadku. I odtąd był na nią cały czas wkurzony.

W drodze do domu mijala szpital. Postanowiła zatrzymać się i odwiedzić Roberta.

Wiedziała, że tam jest. Pojechał do Atlanty, ale wczoraj wrócił i spędził noc w tej okropnej dziurze w ziemi. Wiedziała o jego kryjówce. Wszystko wiedziała o Robercie. Wiedziała nawet, że ostatnim razem pieprzył Eve Worthington w czasie przejażdżki promem. Tamtego dnia przypadkowo znalazła się na pokładzie. Zobaczyła ich razem i poszła za nimi. Stali na najwyższym pokładzie blisko dziobu i Robert pieprzył Eve szybko i mocno, czego z nią nigdy nie robił.

Nigdy w życiu nie spotkało jej takie upokorzenie jak dzisiaj — szepty, drwiny, brutalne uwagi członkiń Klubu Zamężnych Kobiet. A z jakiego powodu? Zaśmiała się histerycznie i sama sobie odpowiedziała:

— Żeby Robert mógł położyć rękę na pieniądzech tej suki!

Spojrzała we wsteczne lusterko i zobaczyła, że zbliża się czarne bmw Eve Worthington.

Norma gwałtownie dodała gazu, pozostawiając ją z tyłu w tumanie kurzu. Popatrzyła w boczne lusterko, spodziewając się, że zobaczy, jak Eve próbuje ją dogonić, ale najwyraźniej ta suka za nią nie jechała. Prawdopodobnie zamierzała odwiedzić biednego Johna i opowiedzieć mu, jaki straszny miała dzień.

Norma wiedziała, co naprawdę stało się tamtej nocy dziesięć lat temu. Żałowała, że Eve wtedy nie umarła.

Nadszedł czas, żeby odbyć rozmowę z Robertem.

\* \* \*

Eve nigdy w życiu nie była taka wściekła. Kiedy zobaczyła tylne światła samochodu Normy Bentley, miała ochotę zepchnąć jej auto z drogi, ale zdrowy rozsądek wziął górę. To nie pora na tracenie głowy.

Adam zapewnił ją, że potrzeby Johna są w pełni zaspokajane w domu opieki. Kiedy po południu pojechała na spotkanie ze swoim prawnikiem, zaręczył jej, że będzie miała kontrolę nad Worthington Enterprises i że bez problemu uda się doprowadzić do ubezwłasnowolnienia Johna. Z początku była zaniepokojona, kiedy Adam powiedział jej, że przeniósł Johna w takie miejsce, ale po rozmowie z prawnikiem zdała sobie sprawę, że Adam nieświadomie wyświadczył jej przysługę.

Uśmiechnęła się. Norma skręciła przed nią, najwyraźniej zmierzając do szpitala, aby poszukać Roberta. Eve pamiętała, że nie zadzwonił do niej w sprawie końcowej części ich planu. Zwolniła, pozwalając, żeby Norma zostawiła ją z tyłu. Ciemny mercedes rozpląnął się jak mgła. Eve wyłączyła silnik. Musiała pomyśleć. Niech Norma spędzi trochę czasu z Robertem. To mogło być ich ostatnie spotkanie.

Jason Dewitt otrzepał nieistniejący kurz ze swoich czarnych lewisów. Nie wiedział, dlaczego czuje taką wściekłość z powodu pary spodni. Swędziały go od nich nogi. Czarna bluza dresowa, którą kupił w Gapie, śmierdziała jego potem.

Po lunchu w Krystalu poszedł do śródmieścia Brunswicku i kupił strój, który teraz miał na sobie. Nie byłoby dobrze, gdyby widziano go w garniturze od braci Brooks i koszuli od Calvina Kleina. Mógł się założyć, że niewielu ludzi w tej dziurze wie, jak wygląda porządne ubranie, a nie chciał się wyróżniać. Mężczyźni w jego wieku w centrum handlowym mieli albo logo „Levis” odbite na tyłku, albo napis „Gap” pacnięty na piersi. Poszedł do Champ'sa i kupił czarną saszetkę do noszenia w talii, żeby trzymać w niej niezbędne rzeczy. Fiolka z LSD-25 tak wspaniałomyślnie dostarczoną przez Bentleya tkwiła bezpiecznie przy jego brzuchu.

Prom do Sweetwater dowiózł go na wyspę równo o dwudziestej pierwszej trzydziści.

Pasażerom pozwolono wysiąść, nim zjechały pojazdy, i Jason zanurzył się w tłumie schodzącym po drewnianych deskach. Rozejrzał się dokoła. Wszyscy pasażerowie się śpieszyli. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Było dokładnie tak, jak chciał. Wcześniej, w tak zwanym barze przekąskowym, jeszcze na promie, zapytał o transport, kiedy już dopłyne do Sweetwater. Sprzedawczyni powiedziała mu, że jeśli nikt na niego nie czeka, niech lepiej włoży wygodne buty, bo w Sweetwater nie ma taksówek, publiczny transport też nie istnieje.

Jason nie miał nic przeciwko spacerowi. Na promie wziął darmową mapę wyspy z zaznaczonymi wszystkimi ważniejszymi obiektami. Zatrzymał się na krótko przy automacie telefonicznym i przekartkował czterdziestostronicowy spis abonentów, aby znaleźć adresy, których potrzebował, żeby jego wycieczka zakończyła się sukcesem.

Szybko przebył trzy kilometry dzielące go od posiadłości Fultonów. Dom sprawiał

wrażenie opuszczonego. Białe kolumny, trzy kondygnacje, ciemne okna. Oparł się o elektrycznie sterowaną bramę, aby złapać oddech. Jeśli nie zdecydowałby się na przeskoczenie płotu, nie mógłby

dotrzeć do frontowych drzwi. Rozejrzał się, mając nadzieję, że zobaczy zwykłą furtkę, cokolwiek, co pozwoli mu wejść na teren posiadłości, ale bez skutku.

Nie rozważył takiej możliwości. Niewątpliwie trzeba było zastosować plan B.

Szpital. Dom był ciemny jak noc, co prawdopodobnie znaczyło, że Bentley jest jeszcze w pracy.

Musiał powstrzymać tego sukinsyna, bo nie mógł już nawet logicznie myśleć. Połknął trzy tabletki valium, zanim opuścił hotel w Brunswicku. Teraz żałował, że to zrobił. W głowie miał zamęt i nie mógł skupić wzroku. Rozłożył mapę i wyjął z saszetki małą latarkę. W

wąskim promieniu światła zobaczył, że szpital leży na północ najwyżej półtora kilometra od miejsca, w którym się znajdował.

Złożył mapę i wetknął ją do kieszeni. Zaczerpnął głęboko powietrza, a potem przebiegł

truchtem jakieś osiemset metrów, zanim skutki zażycia valium kazały mu szukać miejsca na odpoczynek. Popatrzył w czarną noc i zobaczył światła zbliżającego się samochodu. Oślepiły go, gdy padał na ziemię. Samochód się nie zatrzymał. Raz jechał po jednej stronie drogi, raz po drugiej, jakby kierowca był pijany. W ostatniej sekundzie Jason rzucił się na pobocze.

\* \* \*

Roland Parker czuł się jak nowo narodzony. Z jego szerokich barków zdjęto ogromny ciężar. Poprzedniej nocy po raz pierwszy od lat udało mu się zasnąć bez pomocy sześciopaku.

Wyznanie prawdy Blake'owi i Adamowi przyniosło mu ogromną ulgę. A teraz, gdy Johnowi Worthingtonowi być może groziło niebezpieczeństwo, dobry Bóg dał mu kolejną okazję do odpokutowania win w oczach dwóch mężczyzn, którzy zawsze mieli niezbyt pochlebne zdanie o jego umiejętnościach. Nie bez podstaw.

Rozmawiali do późna. Poprzednie podejrzenia Parkera, dotyczące przebiegu wydarzeń, które rozegrały się dziesięć lat temu, nabrały mocy.

Zawsze przypuszczał, że Eve Worthington i Robert Bentley byli zamieszani w tę sprawę.

Teraz rozumiał, dlaczego Robert był tam, kiedy umarł Ronald. Najwyraźniej Eve do niego zadzwoniła.

Zanim przyjechał, Casey zasyłała się w kącie korytarza jak przestraszone zwierzątko. Nie miała już wtedy władzy nad swoim umysłem, potworność tego, co zrobiła, przekraczała wytrzymałość młodej dziewczyny.

Przejrzał szereg samoprzylepnych karteczek na swoim biurku.

Vera zostawiła wiadomość, że przeszukały z Marianne strych, a jednak nie znalazły raportu, który włożył do teczki przed laty.

Parker go nie potrzebował. Od dziesięciu lat trzymał oryginał w bezpiecznym miejscu. Aż do wczoraj nie powiedział nikomu o jego istnieniu. Teraz Blake i Adam mieli po kopii. Na wszelki wypadek.

Nie zdawał sobie sprawy, co zaniepokoiło go tak bardzo tamtego wieczoru, dopóki nie wrócił do domu przy Back Bay, żeby jeszcze raz obejrzeć miejsce popełnienia przestępstwa.

Czas, zbyt liczni ciekawscy oraz pracownicy firmy przeprowadzającej Eve usunęli większość dowodów, ale najbardziej obciążająca rzecz ze wszystkich została na miejscu. Leży tam sobie i drwi ze mnie, pomyślał Parker, pyta, czy odważę się wykryć sprawcę. Zaplamiony krwią materac. Rozbryzgi krwi z jakiegoś powodu nadal nie dawały mu spokoju. Parker wiedział, że będzie musiał rozważyć możliwość wznowienia sprawy. Telefon późno w nocy do Waltera Watta w Atlancie, szefa Wydziału Analizy Przestępstw GBI, puścił maszynę w ruch. Parker z wielką niechęcią poprosił o pomoc z zewnątrz, bo sądził, że przez to wydaje się nieudolny, ale to nie był czas na unoszenie się dumą. Dalsze życie pewnego mężczyzny i zdrowie psychiczne młodej kobiety zależały od jego posunięć. Czekał na wiadomości od starego kumpla, przypominał sobie scenę w sypialni Casey zaraz po tym, jak zwymiotował.

*Kiedy Robert Bentley podał mu chusteczkę, żeby otarł twarz, Parker popatrzył znów na nieżywe ciało na łóżku i spróbował pomyśleć. Pamiętaj, że jesteś stróżem prawa, przestrzegaj procedury, powiedział sobie w duchu.*

*— Panie Bentley, będę musiał zadać panu kilka pytań — rzekł Parker drżącym głosem.*

*Wyjął mały czarny notes z kieszeni na piersi i otworzył go szybko na nowej stronie.*

*Bentley chodził po zakrwawionej sypialni, potem zatrzymał się koło Eve, która zdołała otrząsnąć się z szoku.*

*— No, no, Rolandzie. Widzisz, co się tutaj stało. Z pewnością nie wymaga to wyjaśnień.*

*— Ja nie... proszę pana, żeby pan to wyjaśnił, panie Bentley. Muszę wiedzieć, co pan tutaj robił. Czy coś pan widział? — Boże, to nie było łatwe. Żałował, że nie zatrudnił się w wytwórni dywanów w Ellajay.*

*Bentley wyprowadził Eve z pokoju i wrócił po paru sekundach.*

*— No więc, synu, myślę, że obaj wiemy, co się tutaj stało. Wyjaśnię ci to, żebyś miał pełny obraz sytuacji.*

*— Uhm, proszę pana, czy moglibyśmy zejść na dół? — Parker nie mógł zostać ani minutę dłużej w tym zabryzganym krwią pokoju, bo znów puściłby pawia.*

*— Jasne, synu, cokolwiek zechcesz.*

*Siedząc w saloniku od frontu, Roland poszukał wzrokiem Eve, ale nie było jej.*

*Bentley usiadł na kanapie; Parker zajął miejsce obok niego.*

*— Pani Eve zadzwoniła do mnie. Powiedziała, że zdarzyło się coś strasznego, i zapytała, czy mógłbym przyjechać. Cóż, oczywiście — powiedziałem jej. Wiesz, była całkiem sama i w ogóle, uważałem to za mój obowiązek. — Bentley zapalił pall malla i wydmuchał kłęb dymu przez nozdrza.*

*— Czy pani Bentley spodobało się, że został pan wezwany w środku nocy, i to przez niezamężną kobietę? — Parker z wielką niechęcią powiedział to głośno, ale wiedział, że musi.*

*Procedura i w ogóle.*

*— Cóż, mój Boże, synu, Norma rozumie takie rzeczy. Przyjechałaby ze mną, ale nie chciałem, żeby włóczyła się po nocy. — Bentley znów głęboko zaciągnął się papierosem i podszedł do frontowych drzwi.*

*Parker podążył za nim i zastanawiał się krótko, dlaczego pani Eve najpierw zadzwoniła do Bentleya, a dopiero potem do niego.*

*Trawnik przed domem zapelniali okoliczni mieszkańcy. Vera, jego dyspozytorka, stała tam ze swoją siostrą Córą, która próbowała rozpędzić tłumek, mówiąc ludziom, żeby poszli do domu. Parker pokręcił głową i poprowadził Bentleya z powrotem w stronę kanapy, zamykając za sobą drzwi.*

*Pomyślał, że może najlepiej będzie, jeśli zadzwoni do Grady'ego, i zapytał Bentleya, czy wie, gdzie jest telefon.*

*— Do kogo chcesz zadzwonić, szeryfie? Do Samotnego Jeźdźca? To twoje miasto, to ty masz chronić praworzędnych obywateli Sweetwater. Nie tylko przed ziem, ale też przed domysłami.*

*— O czym pan mówi?*

*— Tyłka pomysł. Pani Eve. Czy nie jest zaręczona z Johnem Worthingtonem? Z tym Johnem Worthingtonem? — zapytał Bentley.*

*— Chyba słyszałem o tym na mieście raz czy dwa. Ale co to ma wspólnego ze sprawą ?*

*— Wszystko. Wiesz, jak jej rodzina cierpiała po tym, jak Buzz zginął w tym cholernym wypadku samochodowym. Los nigdy się nie uśmiechnął do tej biednej kobiety. A teraz pan John Worthington, prominentny dżentelmen, wybitny biznesmen, chce się z nią ożenić. —*

*Bentley wydawał się zazdrosny.*

*— Nie rozumiem, panie Bentley. Rozumiem natomiast to, że mam martwe ciało na górze, coraz zimniejsze z każdą minutą, a także młodą dziewczynę i jej matkę, które doznały szoku.*

*Pozycja społeczna pani Eve jest najmniejszym z moich zmartwień.*

— *A więc posłuchaj. Młoda dziewczyna zabija swojego przyrodniego brata po tym, jak, zauważ, zgwałcił ją. Wielokrotnie. Wiem to, szeryfie, jej mama wie i jestem pewien, że ty wiesz. Ta młoda dziewczyna tylko wyświadczyła tam na górze przysługę jakiejś innej niewinnej dziewczynie. Porządkowi społecznemu również. Pytasz, co pan John Worthington ma z tym wspólnego. — Przerwał na wystarczająco długi czas, by móc sięgnąć do kieszeni nieskazitelnie białej koszuli po następnego papierosa.*

— *Proszę mówić dalej — ponaglił go Parker.*

— *Gdyby zechciał, mógłby przecież zrobić z tej sprawy ważny temat we wszystkich gazetach na Południu i także w telewizji. Na pewno przy jego wpływach mógłby nawet wystąpić w „Today”.*

— *Jakie to ma znaczenie? — zapytał Parker.*

— *Znaczy to, synu, że sprowadziłby ci na kark wszystkie instytucje strzegące prawa po tej stronie Linii Masona–Dbcona. Byłbyś poza nawiasem jak bałwan w Boże Narodzenie na Alasce.*

— *Bentley, czemu nie powie pan otwarcie, czego chce. Nie jestem w nastroju do gierek.*

*Jak powiedziałem, mam tam na górze ciało. — Wskazał ruchem głowy schody.*

— *Próbuję tylko chronić panie, to wszystko, ł ciebie.*

— *Więc niech pan mówi szybko, bo muszę wezwać doktora Huntera, żeby obejrzał denata, ponieważ pełni obowiązki koronera. — Ręce Parkera drżały. Do diabła, może Bentley coś wiedział.*

*Ale ciekawiło go, dlaczego ten mężczyzna tak się tym interesuje. Czy on i pani Eve...? Nie, była zaręczona.*

— *Właściwie to mamy tutaj oczywisty przypadek obrony własnej. Casey wbiła nóż do papieru w gardło swojego przyrodniego brata, bo ten ją zgwałcił. Pani Eve mówi, że wcześniej pobili się w budce na narzędzia. Casey zaatakowała go kołkiem ogrodowym.*

*Najwyraźniej dopadł ją w jej pokoju. To proste, synu, naprawdę. Musisz tylko wypełnić potrzebne papiery i pozostawić to za sobą. Wtedy pani Edwards i jej córka będą mogły żyć sobie dalej.*

*Parker pomyślał nad tym. Bentley mówił sensownie. Ronnie był małym złym sukinsynem.*

— *A co z dziewczyną? Widziałem ją na górze. Może jestem tyłka wiejskim szeryfem, ale rozpoznaję szok, kiedy go widzę, i ta dziewczyna zdecydowanie jest w szoku.*

— *O tym też pomyślałem. — Bentley podniósł głos pod wpływem emocji.*

*Parkera ciekawiło, czy jest coś, o czym tamten nie pomyślał.*

— *Jako dyrektor szpitala jestem uprawniony do przyjęcia dziewczyny. Jeden z naszych etatowych*

psychiatrów oceni jej stan. Mogłaby pozostać tam pod opieką w komfortowych warunkach tak długo, jak okazałoby się to konieczne. Za darmo.

— No, nie wiem, panie Bentley. Czy to nie jest łamanie prawa czy coś takiego?

— Oczywiście, że nie. Jak powiedziałem, oddalibyśmy, ty byś oddał temu wspaniałemu stanowi Georgia ogromną przysługę, nie mówiąc już o pieniądzach, które mogłyby dzięki tobie zostać w kieszeniach podatników. Właściwie, Parker, mógłbyś zostać prawdziwym bohaterem. Jestem pewien, że po dojsciu do siebie Casey uważałaby, że ma wobec ciebie dług wdzięczności. Jeśli wiesz, o czym mówię. — Bentley zaśmiał się.

— Boże, jak może się pan śmiać w takiej sytuacji? Nie wiem. To nie jest prawidłowe. —

Parker chodził po pokoju, pocąc się pod pachami.

— A więc zadam ci takie pytanie, synu: Czy byłoby prawidłowe wysłanie biednej Casey do Zakładu Karnego dla Kobiet Stanu Georgia? Słyszałem, że te kobiety są gorsze od niektórych z najbardziej zatwardziałych kryminalistów. Prawdopodobnie robiłyby tej młodej dziewczynie o wiele gorsze rzeczy niż to, co kiedykolwiek zrobił ten szalony Ronnie. Po prostu bardzo bym nie chciał, żeby ta dziewczyna trafiła do więzienia, to wszystko. — Bentley wstał, wcisnął ręce do kieszeni i poszedł do kuchni, gdzie czekała Eve.

Parker pomyślał o wszystkim, co tamten powiedział, i uznał, że Bentley ma rację. Casey nie zasługiwała na to, żeby trafić do więzienia za zabicie Ronniego.

Poszedł do kuchni, szukając Bentleya.

— Od czego mam zacząć? — zapytał niepewnie Parker słabym głosem.

Oczy Roberta Bentleya zaświeciły się, przywodząc Parkerowi na myśl zły błysk oczu wilka.

Bentley powiedział coś szeptem do Eve, zanim wyszedł z kuchni. Parker obserwował go.

Coś w tym facecie sprawiało, że skóra mu cierpła, ale o tym postanowił pomyśleć później.

Teraz potrzebował jego pomocy, żeby Casey nie trafiła do więzienia, a pani Eve nie umarła z powodu szoku.

— Posłuchaj mnie, synu. — Bentley wyjął paczkę papierosów z kieszeni, stwierdził, że jest pusta, i rzucił pogniecione opakowanie na stół do kawy, zanim się odezwał.

Parker piekielnie pragnął, żeby ten mężczyzna przestał zwracać się do niego „synu”. Facet nie był jeszcze w takim wieku, żeby być jego ojcem.

— Napisz raport. Zaczynaj od tego, że Vera odebrała telefon od pani Eve, która histeryzowała. Nie zapomnij tego tam umieścić. Napisz, co zrobiłeś. Poszedłeś na górę, zobaczyłeś Casey z nożem do papieru, miała na sobie to zakrwawione ubranie. Umieść tam też zeznanie Casey, że Ronnie ją



*zgwaltcił i chciał ją zabić. To ważne, synu, zanotuj to tam.*

*Tak na wszelki wypadek.*

*Parker przestał pisać i popatrzył na Bentleya.*

*— Na wypadek czego?*

*— Czegokolwiek. To musi wyglądać na obronę własną.*

*— Przecież powiedział pan, że to była obrona własna. Czy to nie dlatego piszę ten fałszywy raport? Aby uchronić panie przed... myślę, że użył pan słowa „domysły”.*

*— Raport nie jest fałszywy, synu. Przecież widzisz sam, że dziewczyna została zgwałcona.*

*Najwyraźniej jej psychika tego nie wytrzymała. Eve powiedziała mi coś, kiedy przyjechałem.*

*To także włącz do swojego raportu. Powiedziała, że coś jej mówi, że nie pierwszy raz spotkało to Casey.*

*— Dobry Boże, panie Bentley! Czemu, do diabła, tego nie zgłosiła? Czemu ten sukinsyn nadal jest w tym domu?! — krzyknął Parker.*

*— Ciii, przestraszy pan te biedne kobiety jeszcze bardziej.*

*— Przepraszam. Jeśli jej matka myślała, że ktoś ją krzywdzi, to nie mogę zrozumieć, dlaczego, do diabła, nie zrobiła czegoś w tej sprawie?*

*— Nie powiedziała, że wie to na pewno, Parker. Myślę, że nie jest w tej chwili przy zdrowych zmysłach. Jestem pewien, że nic takiego wcześniej dziewczyny nie spotkało.*

*Zapomnij o tym, nie umieszczaj tego w swoim raporcie. Jej matka by na to nie pozwoliła, to musi być wyobraźnia Eve. Wiesz, szok i tak dalej.*

*— Muszę zabrać stąd... ciało. Wezwę doktora Huntera.*

*Bentley chwycił go za rękaw, gdy wstał, żeby pójść do kuchni i zatelefonować.*

*— Nie rób tego! — zażądał Robert. — On jest osobą, której najmniej tu potrzebujemy.*

*— Jest koronerem do przyszłego miesiąca. Muszę do niego zadzwonić. — Parker popatrzył na rękę Bentleya na swoim rękawie i ją zepchnął.*

*— W porządku, ale posłuchaj. Cokolwiek zrobisz, nie dzwoń do niego, dopóki ciało nie będzie... nie będzie w worku. Doktor Hunter robi się za stary na takie rzeczy. Nie chciałbym, żeby dostał ataku serca. Wiesz, kiedy by zobaczył, co jest na górze.*

*Parker zgodził się. Nie chciał być sprawcą śmierci starego doktora. Sam ledwie mógł znieść ten widok, a przecież powinien być odporny.*

*Słusznie.*

*— A więc zrobmy to. — Parker zaczerpnął powietrza, przygotowując się psychicznie na widok na górze. Przypomniawszy sobie, jak czytał o zamordowaniu Sharon Tate i jej gości, o całej tej krwi, i zastanawiał się, czy tamta scena sprzed lat była równie makabryczna.*

*Sypialnia Casey wyglądała jak rzeźnia.*

*— Ty pracuj nad raportem, a ja w tym czasie... — Złe, gniewne spojrzenie Bentleya powędrowało w górę ku sufitowi — ...go przygotowuję.*

*Parker skinął głową, czując mdłości. Właśnie zlekceważył wszystko, czego się nauczył.*

*Mógł trafić do więzienia za zmienianie wyglądu miejsca popełnienia przestępstwa. Potem przypomniał sobie o Casey. Biedna dziewczyna nie wydała żadnego dźwięku w ciągu ostatnich piętnastu minut. Rzucił notes na stół i wszedł po schodach. Nadal tkwiła skulona w kącie, tylko że teraz trzęsła się niepohamowanie. Parker zdjął wiatrówkę i okrył nią jej chude ramiona. Poczul nagłe zadowolenie. Ten sukinsyn zasłużył na to, co go spotkało.*

*— Casey — szepnęła. Nic. Jej oczy były szkliste i ogromne. Popatrzyła na niego i Parker zorientował się, że ona go nie widzi. — No chodź, skarbie, zabiorę cię stąd. — Pomógł Casey wstać, otoczył ją ramionami, żeby miała się na czym wspierać, i zeszli po schodach.*

*Zatrzymała się, kiedy dotarli do podestu.*

*Wiedząc, że nie pora ją przesłuchiwać, poprawił obszerną wiatrówkę na jej ramionach i wyprowadził dziewczynę frontowymi drzwiami, Buddy Barrenton ze „Sweetwater Sentinel” przywitał ich błyskiem flesza swojego aparatu.*

*— Niech wszyscy się cofną. Buddy, zabierz stąd ten aparat!*

*Parker wziął Casey na rękę i zaniósł ją do radiowozu, nie przejmując się tym, że połowa Sweetwater na niego patrzy. Nie chciał zamknąć jej na tylnym siedzeniu jak zwierzęcia w klatce. Otworzył przednie drzwi samochodu i delikatnie usadowił ją na miejscu pasażera.*

*— Vero! Jedź do więzienia. Natychmiast! — krzyknął przez ramię.*

*Zostawił tego sukinsyna Bentleya, żeby posprzątał bałagan. Teraz wiedział, że po jego odjeździe Bentley wezwał dwóch sanitariuszy i że przyjechali oni karetką udostępnioną przez szpital. Zabrali zwłoki Ronniego do zakładu pogrzebowego. Nigdy już nie rozmawiali o tamtym dniu. Przez kilka tygodni opowiadał wszystkim swoim przełożonym wersję, którą uzgodnił z Bentleyem. Po pewnym czasie pytania się skończyły, ale podejrzewania pozostały.*

Teraz z pomocą Waltera Watts'a i dwóch lekarzy Parker miał narobić zamieszania.

Wiedział, że wkrótce rozpęta się piekło.

Casey nerwowo krążyła po pokoju. Żałowała, że nie mogła zostać na dole z Julie i Florą, ale Julie musiała wracać do domu, a Flora chciała iść wcześniej spać.

Blask szkarłatnych cyfr na budziku przy łóżku przyciągnął jej wzrok. Była dokładnie dwudziesta druga. Blake obiecał, że przyjedzie po spotkaniu z Adamem. Serce zabiło jej mocno na myśl o ich planowanej przechadzce.

Usiadła na łóżku i próbowała się odprężyć, ale nie mogła. Odczuwała niepokój, jakby coś miało się wkrótce zdarzyć — coś, na co nie miała wpływu. Była ciekawa, czy jej ojczym już umarł. Zrobiła, co mogła, żeby odsunąć tę myśl.

Matka pozostawała dla niej zagadką. Potraktowała Florę w szokujący sposób. Kiedy Casey próbowała przeprosić Florę, ta nie chciała jej słuchać; kiedyś powiedziała, że powinno się pamiętać o tym, że mama jest chora. Co rodziło cały następny szereg pytań. Jeśli jej matka była chora, to jak mogła kierować Worthington Enterprises? Co Flora rozumiała przez słowo

„chora”?

A Ronnie? Teraz pamiętała go aż za wyraźnie. Próbowwała nie dopuścić do siebie wspomnień, ale bezskutecznie. Przesuwały się szybko, jak klatki taśmy filmowej, i były tak bardzo żywe i tak bardzo prawdziwe... znów, teraz...

*Wyjedzie po szkole albo może po wizycie u doktora. Jeśli to się nie uda, wyjedzie po zmroku, kiedy wszyscy będą spali. Zamierzała pojechać do Atlanty. Miała rozkład jazdy autobusów w górnej szufladzie. Znajdzie pracę, może jako kelnerka albo kasjerka w Walmarcie. Kiedy zaoszczędzi dość pieniędzy, pójdzie do college'u. Będzie na siebie uważać i nigdy już nie będzie musiała się obawiać, że zostanie skrzywdzona.*

*Próbowała powiedzieć o Ronniem, ale matka była zawsze zajęta i nie chciała słuchać.*

*Nigdy nie miała dla niej czasu. Albo jechała do domu pana Worthingtona, albo gdzieś z tym padalcem panem Bentleyem. Nie rozumiała, jak matka może znosić tego człowieka ani dlaczego są przyjaciółmi. Był tak samo szalony jak pacjenci w domu wariatów, w którym pracował.*

*Pomyślała o „tej drugiej sprawie”, jak teraz to nazywała. Tym też się zajmie. Nikt się nigdy nie dowie. Doktor Hunter jej pomoże. Bez względu na wszystko pójdzie na umówioną wizytę.*

*Będzie jej brakować Flory, ale może przecież do niej pisać listy i kiedy znajdzie już mieszkanie i się zadomowi, Flora mogłaby ją odwiedzić. Czasami wydawało jej się, że Flora wie, co się dzieje w tym domu, szczególnie po upokarzającej wizycie w gabinecie doktora Huntera, kiedy ona, Casey, miała dziewięć lat.*

*To był pierwszy raz. Boże, chciała umrzeć! Matka była na jednej ze swoich „randek”. Ona leżała na łóżku, czytając książkę swojej ulubionej autorki, Carolyn Keene. Było gorąco i zdjęła spodnie.*

*Miała na sobie tylko swoje nowe różowe majteczki z napisem „Piątek” i zbyt duży podkoszulek z wyblakłym wizerunkiem Elvisa, prezent od Flory.*

*Kiedy zatrzymał się przed jej pokojem, na początku nie zwracała na niego uwagi. Po kilku minutach odłożyła książkę i usiadła na łóżku.*

*— Wiem, że tam jesteś i mnie szpiegujesz, Ronnie. Zostaw mnie w spokoju, słyszysz?! —*

*krzyknęła w stronę drzwi, wiedząc, że brat czai się tuż za nimi.*

*Zaśmiał się.*

*— Nie, Panno Nos w Książce, nie słyszę cię. — Zaśmiał się znów, ale tym razem otworzył*

*drzwi i zajrzał do jej pokoju.*

*— Wyjdź stąd, Ron! — powiedziała. Nie rozumiała, dlaczego ktoś w jego wieku nie włóczy się z chłopakami na dworze. Był zbyt dziwaczny i budził w niej niepokój. W przeciwieństwie do mamy nigdy nie polubiła swojego przyrodniego brata.*

*— No, co za widok. — Spojrzenie jego paciorkowatych oczu przesunęło się po niej i Casey żałowała, że zdjęła dzinsy. Podwinęła nogi, ciesząc się, że obszerny podkoszulek zakrywa jej pupę i uda.*

*Nadal się w nią wpatrywał, jego oczy były szkliste. Nagle się przestraszyła. Ronnie wyglądał inaczej niż zwykle i dziwnie oddychał. Podeszedł do łóżka i popatrzył na nią z góry.*

*Powoli przysuwając się do ściany, miała chęć zawołać mamę, ale przypomniała sobie, że nie ma jej w domu.*

*— O co chodzi? Nie podoba ci się to, że Ronnie jest w twoim pokoju? — Usiadł obok niej na łóżku.*

*Po raz pierwszy w ciągu swoich dziewięciu lat życia Casey doświadczyła prawdziwego, niekłamanego strachu.*

*— Wyjdź, Ronnie, bo powiem mamie, kiedy wróci.*

*— Myślisz, że mamę coś to obchodzi, mała Casey? No więc, do diabła, nie. Wiesz, co twoja mama teraz robi? — Ronnie nachylił się, jego twarz znalazła się tuż przed nią. Jego oddech miał zapach cebuli i wstrzymała powietrze w płucach, żeby się nie udusić.*

*— Twoja mama właśnie jest pieprzona przez pana Bentleya. — Ronnie odchylił głowę i się zaśmiał. — Zastanawiałaś się kiedyś, jak to jest, mała Casey? — Wstał i rozpiął pasek.*

*Gorące łzy potoczyły się po jej twarzy. Zacisnęła powieki i modliła się, żeby zniknął, modliła się, żeby Ronnie wyszedł z jej pokoju i dał jej spokój, modliła się, żeby mama wróciła do domu i odesłała Ronniego do tych ludzi, którzy kiedyś go nie chcieli.*

*Odgłos rozpinanego rozporka sprawił, że serce zaczęło jej łomotać. Nie musiała otwierać oczu, by wiedzieć, że cichy, głuchy odgłos spowodowały jego rzucone na podłogę spodnie. Nie musiała otwierać oczu, by wiedzieć, że on leży obok niej. Nie musiała otwierać oczu, by wiedzieć, co zaraz zrobi, kiedy złapał gumkę jej nowych „piątkowych” majteczek. I nie musiała zajrzeć ukradkiem do numerów miesięcznika „True Story” mamy, żeby wiedzieć, co Ronnie robi swoim ptaszkiem.*

*Jeżu Chryste! Minęło tyle lat, a nigdy nie powiedziała nikomu o tamtym dniu. A teraz, dziewięć lat później, nareszcie miało się to skończyć. Dziś wieczorem. Koniec z chowaniem się w szafach, koniec z nocami, kiedy nie spała, tylko czekała z przerażeniem, czy znowu przyjdzie do jej pokoju.*

*Nigdy więcej.*

*Usłyszała, jak wchodzi mama, prawdopodobnie po kolejnej randce z panem Worthingtonem. Nie, było za wcześnie. Mama zabrała ją tam raz i kazała jej czekać przed ogromną rezydencją, aż skończy rozmawiać z panem Worthingtonem. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego nie pozwolono jej wejść. Sądziła, że to nie pan Worthington nie życzył*

*sobie jej obecności, ale jej matka. A zresztą kogo to teraz obchodziło. Jutro wyjeżdża.*

*Na dole rozległy się głosy i uchyliła drzwi, żeby móc słyszeć rozmowę.*

*— Jesteś tylko kurwą, Eve. Wiem, o co ci chodzi. I to się nie stanie. Nie zostawisz mnie tutaj, żebym opiekował się tą dziwką na górze. Nie, Pani Zarozumiała, to się nie stanie —*

*skrzeczał Ronnie.*

*— Czemu się po prostu nie zamkniesz?! Przede wszystkim jesteś za stary, żeby tu mieszkać.*

*Musiałam prawie błagać Johna, żeby dał ci pracę w papierni. Słyszałam, że dziś ją rzuciłeś.*

*Dlaczego, Ronaldzie? Czego jeszcze chcesz ode mnie?*

*Podły śmiech Ronniego powędrował na górę po schodach.*

*— Wiesz, czego chcę. Chcę tego, co dajesz Bentleyowi i Worthingtonowi.*

*Casey usłyszała łomot, jakby coś upadło na podłogę.*

*— Słuchaj — głos jej matki był śmiertelnie spokojny — wiem, co robiłeś przez te wszystkie lata i co dalej robisz. Nie myśl ani przez chwilę, że nie wiem.*

*Nagle serce Casey skoczyło w piersi tak mocno, że myślała, że ją rozerwie.*

*Jej matka wiedziała! I niczego nie zrobiła! Casey uchyliła drzwi szerzej.*

*— Taak, stara kobieto. Wiem, że wiedziałaś o mnie i małej Casey. I myślę, że kiedy leżałaś w tym swoim łóżku, lubiałaś nas słuchać. — Ronnie znów się zaśmiał.*

*Jest obłąkany, pomyślała Casey. I może matka też. Następne słowa Ronniego sprawiły, że gwałtownie usiadła na łóżku. Słuchała.*

*— Wiesz, że była dziś u doktora Huntera?*

*— Kto ci to powiedział? — zapytała jej matka.*

*— Nikt mi nie musiał mówić. Poszedłem za nią. Do diabła, siedziałem przy samym gabinecie tego tępego doktora na najwyższym schodku i słuchałem. Twoja córka jest w ciąży, to pewne. Zastanawiałem się, czy nie pobiec do Łabędziego Domu, zanim mnie dźgnęła.*

*Pomyślałem, że drogi John może chciałby wiedzieć, z jakiego rodzaju kobietą się ożeni. —*

*Kolejny wybuch histerycznego śmiechu jej chorego umysłowo brata.*

*— Nie odważyłbyś się! — krzyknęła matka.*

*— Och, tak, odważyłbym się. Tak, odważyłbym się. Właściwie myślę, że wybiorę się tam później. Może jutro rano. Po tym, jak ja i Casey, cóż, wiesz, dziś wieczorem. — Casey usłyszała trzask tylnych drzwi i zaczerpnęła głęboko tchu, mając nadzieję, że uspokoi swoje walące tętno.*

*To nie mogło być prawdą. Matka w żadnym razie nie pozwoliłaby, żeby Ronniemu uszło płazem to, co robił. Była pewna, że blefował. Musiał blefować, bo jeśli tak nie było, oznaczało to rzeczy zbyt straszne, by o nich myśleć.*

*\* \* \**

*Drżały jej ręce. Łzy gniewu spływały po twarzy. To nie był sen. To wydarzyło się naprawdę.*

*Uzyskała odpowiedzi na tak wiele pytań w ciągu paru minut.*

*Wspomnienie o Ronniem wywołało u niej mdłości. Pobiegła do łazienki i tak długo wymiotowała, aż myślała, że umrze. Stała przed tym samym lustrem, które zaledwie kilka dni wcześniej ukazywało kobietę tak inną, że ją to przerażało. Wtedy nie miała pojęcia o cierpieniach, które zadał jej brat. Cieszyła się na odnowienie więzi z matką. Teraz jednak sama myśl o przebywaniu z nią w jednym pomieszczeniu sprawiła, że znów chciało jej się wymiotować.*

*Wszystkie te lata, kiedy Ronnie przychodził do jej pokoju! Matka wiedziała o tym! Jaką kobietą była?*

*I tamten wieczór, ten, o którym myślała jako o swojej ostatniej podróży do piekła. Ten wieczór, kiedy Ronnie przyszedł do jej pokoju po raz ostatni.*

*Przenikliwy dzwonek telefonu sprawił, że drgnęła nerwowo. Sięgnęła po słuchawkę telefonu, który stał obok jej łóżka.*

*— Halo — wymamrotała.*

— Casey?

— Och, Blake, dzięki Bogu to ty! Przypomniałam sobie... nie możesz sobie wyobrazić...

— Nie potrafiła mówić dalej. Jak miała opowiedzieć Blake'owi o potwornościach, które przeszła?

— Właśnie przejeżdżam przez bramę. Zadzwoń, by cię poprosić, żebyś spotkała się ze mną w ogrodzie. Myślisz, że możesz to zrobić? — Uspokajający głos Blake'a dodał jej otuchy.

Odchrząknęła, zanim się odezwała:

— Jasne.

— Poczekaj, skarbie, będę tam za parę sekund.

Casey położyła słuchawkę na widełkach i poszła do łazienki, żeby umyć twarz i zęby.

Popędziła na dół, potem przez kuchnię i tylne drzwi na dwór. Ledwie usiadła na najniższym schodku, poczuła, że Blake bierze ją w ramiona.

— Co się stało? I dlaczego się trzęsiesz, Casey? Co się stało, skarbie? No, powiedz mi.

— Przypomniałam sobie. Tamten dzień. Tamten wieczór. — Casey zaszlochała.

— Ciii, w porządku. Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz. Po prostu się odpręż. —

Wziął ją na kolana i kołysał, jakby była dzieckiem.

Minęło kilka minut, zanim poczuła się dość silna, by wysunąć się z pokrzepiającego uścisku Blake'a.

Popatrzyła w górę na pociemniałe niebo. Blade chmury wirowały jak mgła wokół

księżycy, sprawiając, że niebo wyglądało tak, jakby poruszało się z dużą prędkością. Trochę tak jak jej życie. Świerszcze i ropuchy wyśpiewywały swoje chrapliwe melodie.

Przypomniała sobie ich zgrzytliwe krzyki innego dnia i zadygotała, mimo że wilgoć przesyciała powietrze i było gorąco.

— Pamiętam ten wieczór, kiedy Ronnie przyszedł do mojego pokoju. Kiedy umarł. I wszystkie inne noce też. I ciążę. Poronienie było szczęśliwym trafem. — Wstała i przeszła na skraj długiej drewnianej werandy, oddalając się od Blake'a. Teraz akurat potrzebowała przestrzeni.

— Casey...

— Wszystko w porządku. Radzę sobie z tym. Są takie sprawy, Blake... O Boże! Może nie przypomnę sobie więcej! Mam taki zamęt w głowie. Pamiętam to tak wyraźnie. Ale potem wszystko robi się czarne. Blake — przeczesła ręką włosy, chodząc tam i z powrotem po werandzie — za nic w



świecie nie mogę sobie przypomnieć... że zabiłam Ronniego. Pewnie straciłam przytomność.

— To przeszłość, Casey. Adam i ja spotkaliśmy się z szeryfem dziś po południu, kiedy wyszedłem przed przyjęciem. Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. To może wyjaśnić, dlaczego nie możesz sobie przypomnieć, że zabiłaś swojego przyrodniego brata. — Głos Blake'a brzmiał prawie... złowieszczo.

Odwróciła się w jego stronę.

— Dlaczego? Co to takiego? Masz dziwny głos.

Przeniknęło ją przecucie, że coś się zaraz zdarzy.

— Usiądź, Casey— nakazał Blake.

Posłuchała go.

— Szeryf Parker skontaktował się ze swoim przyjacielem z Wydziału Analizy Przepływów GBI. Chce poznać opinię eksperta.

— Tak? Ale dlaczego? Lilah i wszyscy inni mówili, że tamtego wieczoru to on prowadził śledztwo. Dlaczego miałby teraz kwestionować własne ustalenia?

— Zawsze miał wątpliwości, czy właśnie to zdarzyło się tamtego wieczoru. Jeśli czujesz się na siłach, zrelacjonuję ci, o czym szeryf opowiadał mnie i Adamowi przez sporą część ostatniego wieczoru i dzisiejszego popołudnia.

— Nie jestem pewna, czy w ogóle będę jeszcze kiedyś „czuć się na siłach” do czegokolwiek, ale chcę wiedzieć.

— Chodźmy na spacer, który ci wcześniej obiecałem.

Trzymając się za ręce, przechadzali się po pachnących ogrodach Łabędziego Domu.

Kapryfolia, jaśminy z kwiatami otwierającymi się w nocy i róże rozsiewały wonie w wilgotnym powietrzu. Casey żałowała, że przypomniała sobie ten katastrofalny wieczór sprzed dziesięciu lat, ponieważ odzyskując pamięć, straciła matkę. Głos Blake'a brzęczał

monotonnie i nie potrafiła skupić się na jego słowach.

— Casey? Czy słyszałaś cokolwiek z tego, co powiedziałem? — zapytał Blake.

— Nie.

— Powiedziałem, że szeryf Parker uważa, że jest coś podejrzanego w... plamach krwi na materacu. Teraz, gdy rozmawiamy, jego przyjaciel z Wydziału Analiz jedzie tu z Atlanty, żeby zbadać

szczegółowo te rozbryzgi.

— Co to znaczy?

— Znaczy to, że są pewne wątpliwości dotyczące zgodności relacji twojej matki i Roberta Bentleya o tym, co się stało tamtego wieczoru. Na tyle znaczące wątpliwości, że trzeba to sprawdzić. Jeśli Parker mówi prawdę, a nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć, ktoś zamordował Ronniego, ale to nie byłaś ty.

Casey zatrzymała się na środku kamiennej ścieżki prowadzącej do fontanny, którą oglądała zaledwie kilka dni wcześniej. Cicha strużka wody odbijała się w jej uszach hukiem spadającego wodospadu.

— A więc... nie jestem... Och, Blake, czy wiesz, co to znaczy? Mój Boże! To jest... nie zabiłam go!

— Nie potrafiła wyrazić słowami radości, którą czuła. Zawsze istniały te dokuczliwe wątpliwości. Teraz miała się dowiedzieć, czy były one uzasadnione. Potem euforia zniknęła tak nagle, jak się pojawiła. Jeśli nie ona odebrała życie Ronniemu, który przez dziewięć lat dręczył ją i gwałcił, znaczyło to, że morderca ciągle był na wolności.

Zabójca, który nigdy nie zapłacił za swoją zbrodnię.

Doszli do skraju posiadłości, zatrzymawszy się raz po drodze, żeby się pocałować. Casey zaakceptowała rozwój jej związku z Blakiem. Pośród całego wzburzenia i dezorientacji, jakie czuła, jedyną rzeczą, która pozostawała tak klarowna i czysta jak woda płynąca z fontanny, było jej uczucie do tego cudownego, dobrego mężczyzny, który przez ostatnie dni wniósł

światło i porywy szczęścia w jej ponure i przerażające życie.

Zawrócili w kierunku werandy, oboje zatopieni w myślach. Casey zobaczyła małą wozownię na skraju ogrodów i zapytała o nią Blake'a.

— Mieszka tam Hank. Jest tak, odkąd twoja matka go zatrudniła. To chyba było zaraz po ślubie jej i Johna.

— Nie lubię go. — Dotknęła trzech małych szwów na swojej skroni. — Szeryf Parker powiedział ci, że uderzyło mnie skrzydło okiennicy, które porwał wiatr podczas burzy, ale ja znam prawdę.

— O czym mówisz?

— Uderzył mnie człowiek. W chwili gdy położyłam rękę na drzwiach z siatką, żeby je otworzyć, usłyszałam hałas. Padało tak mocno, że ledwie można było coś złowić uchem, ale usłyszałam, jak ktoś podchodzi do mnie z tyłu. Zostałam uderzona i napastnik uciekł, ale zdążyłam się odwrócić i zobaczyć go w przelocie.

— Czy powiedziałaś o tym szeryfowi? Casey, jest duże prawdopodobieństwo, że morderca wciąż przebywa na wyspie. Może znowu zaatakować! — Chwycił ją i przyciągnął do siebie.

— To był on. — Wskazała ruchem głowy wozownię.

— Hank?

— Tak, Hank.

Blake puścił ją.

— Zabiję go, Casey. Przysięgam, że go zabiję!

Rzucił się w stronę wozowni, a ona przez chwilę wpatrywała się ze zdumieniem w jego oddalające się plecy, po czym pobiegła za nim, mając nadzieję, że powstrzyma go od zrobienia czegoś, czego oboje będą żalowali.

— Blake, nie! — krzyknęła.

Wyszedł zza małej wozowni, kręcąc głową.

— Sukinsyna nie ma!

— Blake, to nie ma znaczenia. Proszę, nie rób niczego, kiedy on wróci. Nie zniosłabym tego, gdyby coś ci się stało.

— Nie martw się, Casey, raczej nie zabiję tego drania. Zabrał wszystkie swoje rzeczy, cały majdan. Nie ma go od dawna.

— Co to znaczy?

— Myślę, że Hank chciał zniknąć, zanim przypomnisz sobie to, co właśnie mi powiedziałaś.

— Blake — niepokój przenikał każde jej słowo — czy to możliwe, że Hank miał coś wspólnego ze śmiercią Ronniego?

— Nie sądzę. Dowiemy się, jak tylko przyjedzie ten kumpel Parkera. Najprawdopodobniej szeryf będzie wtedy miał od razu dość dowodów, by dokonać aresztowania.

Jeśli tak będzie, miała ochotę dodać Casey.

— Ale dlaczego Hank miałby chcieć mnie skrzywdzić?

— Tylko zgaduję, ale moim zdaniem ktoś poprosił go czy raczej zapłacił mu, żeby cię uciszył. Myślę, że oboje wiemy, kto to jest.

— Zawsze chodzi o tę samą osobę, prawda?

— Wydaje się, że dni drogiego Bentleya jako wolnego człowieka są policzone.

Jason Dewitt, potykając się, wszedł na pograżoną w ciemnościach werandę i opadł na jeden z białych wiklinowych foteli rozstawionych niedbale wokół stołu. Zaparło mu dech w piersi, kiedy zdał sobie sprawę, jak niewiele brakowało, żeby zabił go szalony kierowca.

Valium, które łyknął wcześniej, pozbawiło go przytomności i spał przez dwie godziny w przydrożnym rowie. Zgubił mapę i wędrował po wyspie, aż wylądował na frontowej werandzie domu doktora Blake'a Huntera. Gdzieś po drodze zgubił też zawartość saszetki.

Kiedy coś partolił, robił to maksymalnie.

Lekarstwa, które na pewno znajdzie w środku, legalne lekarstwa, doprowadzą do doktora Huntera. On wtedy będzie już znów na promie, wracając do tego okropnego hotelu w Brunswicku. Bentley nigdy już nie wymówi ani słowa. Najpóźniej w południe mógłby być z powrotem w Atlancie i szukać miejsca na nowy gabinet.

Doskonale.

Poruszył klamką u drzwi wejściowych. Zamknięte na klucz, tak jak powinno być. Teraz musiał tylko wymyślić, jak dostać się do środka. Rozejrzał się po werandzie, mając nadzieję, że znajdzie coś, czym wylamie zamek.

Miał już zrezygnować i obejść dom, żeby spróbować z tyłu, ale zatrzymał się nagle, kiedy zdał sobie sprawę, że nie potrzebuje żadnego narzędzia, bo poradzi sobie z zamkiem inaczej.

W kącie werandy stała ogromna gliniana donica z geranium. Ludzie trzymali klucze pod doniczkami. To wtedy poczuł, że coś twardego dźga go w plecy.

Upuścił donicę. Ziemia, kwiaty i gliniane skorupy poleciały we wszystkich kierunkach.

— Kim, do diabła, jesteś? — usłyszał. Nie poruszył się, ale tylko dlatego, że zamarł ze strachu. — Spytałem: kim, do diabła, jesteś?

Myśl szybko, skurwysynu, myśl szybko!

Nagle zachciało mu się płakać. To cholerne valium spowolniło jego myślenie i odruchy.

Obracając się jak zataczający kola dziecinnie bączek, zamierzył się na właściciela pistoletu.

Nie dość szybko, pomyślał, gdy poczuł, że pięść grzmotnęła go w szczękę. Upadł na podłogę i jęczał.

— No — ponownie odezwał się stojący nad nim mężczyzna — dam ci jeszcze jedną szansę, żebyś powiedział mi, co, do diabła, robisz na werandzie doktora.

— Jestem chory... — Naprawdę nie czuł się dobrze. Dotknął policzka i wiedział, że zsinieje za parę

minut.

— A więc dlaczego nie powiedziałaś od razu? Jezu Chryste! Chodź tutaj. — Jason został uniesiony w powietrze.

Potężna, niezgrabna postać opuściła go na fotel.

Siedząc w tym samym wiklinowym fotelu, gdzie kilka minut wcześniej planował

włamanie, próbował sobie wyobrazić straszliwą chorobę, która sprowadziłaby go do tego zapomnianego przez Boga miasteczka w środku nocy. Sam był lekarzem, więc nie wyglądało to za dobrze. Będzie się martwił, kiedy przyjdzie na to czas.

— No — mężczyzna zasiadł w fotelu — nie mogę pana zostawić w tym stanie. Zabiorę pana do Memorial i poproszę, żeby pana zbadali.

— Ehm... nie, czuję się świetnie, naprawdę. — Jason z wysiłkiem stanął na nogi. — To było chyba coś, co zjadłem. — Poklepał się po brzuchu, potem zgiął się wpół dla efektu. —

To przejdzie.

— Nie, nie zostawię pana tutaj. Uderzyłem pana, więc muszę zatroszczyć się o pana samopoczucie. Lekarze w szpitalu są tak samo godni zaufania jak doktor Blake.

Jason zrozumiał, że to ostatnia okazja, żeby zwiać. Zeskoczył z werandy po schodkach najszybciej, jak mógł, ale nie był wystarczająco szybki. Przeklął valium, gdy olbrzym chwycił

go od tyłu, szarpnął za ramiona, a potem boleśnie je przytrzymał, nakładając i zamykając kajdanki.

— Chodźmy.

Jezu, Święta Mario, Matko Boża! Wpadł w pułapkę.

\* \* \*

Norma Bentley rzuciła pustą butelkę po wódce na podłogę. Przez ostatnie trzy godziny te obrazy nadal przesuwały się przed jej oczami. Usiadła w łóżku, ściągnęła spódnicę i cisnęła na podłogę obok butelki po wódce. Jej rajstopy były podarte w strzępy. Rzuciła je na spódnicę. Zerwała z siebie bluzkę, nie dbając o to, że guziki z masy perłowej potoczyły się po podłodze. Miała tylko jeden but. Drugi zgubiła po drodze.

But. O, tak. To jej but znalazła wczoraj w głębi szafy męża. Tej dziewczyny. Kiedy zapytała o to Roberta, zachował się tak, jakby nie wiedział, o czym ona mówi.

— *Ile wypiałaś w czasie lunchu, Normo?* — zapytał.

— *O wiele za mało.* — *Pochodziła po jego biurze, otwierając i zamykając szuflady, przeglądając dokumenty.* — *Gdzie je włożyłeś?* — *spytała bełkotliwie.*

— *Co włożyłem, Normo? Mam dużo pracy. Musisz wrócić do domu. Powiem Becky, żeby cię zawiozła.* — *Stuknął w interkom stojący na biurku.*

*Norma, potykając się, podeszła do biurka i przesunęła ręką po jego nieskazitelnie czystym blacie, strącając urządzenie na podłogę.*

— *Słuchaj mnie, Robercie! Do jasnej cholery, tylko ten jeden raz chcę, żebyś po prostu słuchał!*

— *Nie cierpię, kiedy używasz brzydkich słów, Normo. To nie wypada. Jesteś damą.*

— *Czy naprawdę myślisz, że obchodzi mnie twoje zdanie, Robercie? Naprawdę? A odkąd to stałeś się autorytetem w kwestii poprawnego zachowania dam? Powiedz mi, Robercie?*

*Opadła na wyścielany fotel przed biurkiem męża i rzuciła w niego swoimi pantoflami na wysokim obcasie, omal go nie trafiając.*

— *But!* — *wrzasnęła.*

— *Nie wiem, o czym mówisz. Jak powiedziałem, mam dużo pracy. Teraz możesz albo pozwolić Becky odwieźć cię do domu, albo narazić się na to, że zgarnie cię za nietrzeźwość szeryf Parker. Wybór należy do ciebie.*

— *To właśnie najbardziej w tobie uwielbiam, Robercie. Twoje pieprzone współczucie, myślenie o potrzebach innych i ogólną dobroć serca. Prawie każdy mąż zawiózłby swoją żonę do domu, gdyby była w takim stanie jak ja.* — *Beknęła głośno, potem mlasnęła wargami.*

— *Mój Boże, Normo, wydajesz takie dźwięki, jak ryjąca ziemię świnia. Budzisz we mnie obrzydzenie.* — *Robert ułożył porządknie stos papierów, który przed chwilą rozrzuciła.*

— *Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie.*

— *Które brzmiało?*

— *Zachowaj ten zręczny ton dla kogoś, komu próbujesz zaimponować, Robercie. Ja poznałam się na twojej grze już wiele lat temu.*

*Robert podniósł głowę znad stosu papierów, nienawiść była widoczna na jego twarzy.*

— *A więc dlaczego ze mną zostałeś, Normo? Powiedz mi. Najwyraźniej od dawna jesteś przeze mnie nieszczęśliwa.*

— *Na pewno, do diabła, nie dla seksu. Nigdy nie zostawało ci już siły dla mnie. Ta suka wysysała z ciebie wszystko. Dosłownie.* — *Zaśmiała się z własnego żartu.* — *Naprawdę nie wiesz, zgadza się, Robercie?*

— *To się robi bardzo nużące, Normo. Czego, twoim zdaniem, nie wiem?*

— *Czegoś o testamencie taty.*

— *Trulaś mi o swoim spadku całymi latami, ty i ci ważniacy, których twój ojciec nazywał pełnomocnikami. Daj sobie spokój, Normo. Już nie interesują mnie twoje pieniądze.*

— *Tak, wiem, masz pieniądze Worthingtonów, to znaczy będziesz je miał, jak tylko John umrze. Słyszałam, jak rozmawiałeś przez telefon z Eve. Słyszałam, jak mówiła ci, że niedawno zmienił testament, zostawiając jej całą swoją fortunę. A w każdym razie prawie całą.*

*Twarz Roberta przybrała jaskrawy odcień czerwieni.*

— *Zastanów się dobrze, zanim znów to zrobisz, Normo. Moje interesy z panią Worthington nie mają z tobą nic wspólnego.*

— *Dobrze o tym wiem i prawdę mówiąc, mało mnie to wzrusza, Robercie. Możesz ją mieć.*

*Ale nadal chcę wiedzieć, dlaczego masz ten but. Widziałam, jak Marianne podniosła go w dniu, kiedy ta dziewczyna, hm... upadła na ulicy. Po tym, jak samochód ją potrącił. — Norma zobaczyła, że Robert wdycha mocno powietrze, i wiedziała, że zyskała nad nim przewagę.*

*Przynajmniej chwilowo.*

— *Marianne chciała, żebym dał go Eve, a ona przekaże go Casey.*

— *Brawo. Zapiszcie punkt Robbiemu. Pamiętasz czasy, kiedy tak na ciebie mówiłam?*

*Wiesz co, Robercie? Zawsze skrycie cię podziwiałam. Udajesz od tylu lat, że jesteś kimś, kim nie jesteś, i robisz to cholernie dobrze. Chciałabym spytać cię, Robercie, o to, co ona miała takiego, czego ja nie miałam? — Norma z gniewem otarła łzy z twarzy.*

*Znów zaczerpnął głęboko powietrza.*

— *Naprawdę chcesz wiedzieć?*

— *Przecież zapytałam.*

— *Tak, zapytałaś. I zaraz ci odpowiem. To naprawdę bardzo proste, tego pragnie każdy mężczyzna. Ona mnie kochała. Mnie. Nie coś, co miałem, nie mogła nic zyskać, po prostu mnie kochała.*

*To nie była odpowiedź, której się spodziewała. Nie wierzyła, że to prawda, ale to nie miało znaczenia. Dni Roberta i tak były policzone.*

— *A więc podziękuj jej ode mnie.*

— Nie zapomnę.

— Jeszcze jedno, potem wyjdę. Czy kiedykolwiek przyszło ci na myśl, że hm... jak to je nazwaliśmy parę dni temu? — Przerwała, żeby pomyśleć. — Och, pamiętam teraz. Twoje

„grzeszki”. Czy zdałeś sobie kiedyś sprawę, jak bardzo ty i wszystkie kurwy ze Sweetwater mnie upokarzacie?

— Przestań mówić głupstwa, Normo. Wcale cię to nie obchodziło. Nigdy nie chciałaś ze mną sypiać. Jestem mężczyzną, mam swoje potrzeby. Czy naprawdę myślałaś, że mógłbym żyć z tobą, skoro wiedziałaś, że jesteś oziębła? Przyznam, że interesowałem się twoimi pieniędzmi. Na początku. Potem cię polubiłem. Za każdym razem, kiedy próbowałem się z tobą kochać, wyganiałaś mnie z sypialni na wiele tygodni. Po pewnym czasie nie mogłem tego już znieść. Jak powiedziałem, mężczyzna ma swoje potrzeby.

— Jeśli wykładamy karty na stół, Robercie, może powiesz mi, co naprawdę stało się tamtego wieczoru, kiedy pojechałeś do jej domu, twierdząc, że pomagasz szeryfowi?

— Wiesz, co się stało. — Podeszedł do szafki i włożył teczkę, których zawartość porządkował.

— Masz rację. Wiem. Kolejny przypadek wtykania przeze mnie nosa w cudze sprawy.

— Naprawdę mnie zdumiewasz, Normo. Teraz, kiedy już wyznaliśmy sobie wszystkie nasze tajemnice, czy pomyślałabyś o wyjściu stąd, żebym mógł kazać posprzątać ten bałagan, który tu zrobiłaś? Wtedy będę mógł wrócić do pracy. Kieruję szpitalem, Normo, czy zapomniałaś o tym?

Nigdy nie miało znaczenia, co ona mówiła. Zawsze robił, co chciał, z kim chciał, kiedy chciał. Spędził ostatnie dwadzieścia lat na upokarzaniu jej. Służba, która kiedyś ją szanowała, teraz patrzyła na nią ze współczuciem. Rzucano w jej stronę chytre spojrzenia, kiedy pojechali kilka razy do The Oaks. Ciekawiło ją, z iloma członkiniami klubu się przespał.

Wiedziała, co zaplanowali. Nie zamierzała pozwolić na to, żeby Robert śmiał się ostatni.

A to wszystko z powodu testamentu taty.

Ojciec zabezpieczył byt jej i kilku przyszłym pokoleniom, jednak w testamencie był

warunek, o którym wiedziała tylko ona i pełnomocnicy ojca. Tata nie chciał ściągnąć hańby na nazwisko Fultonów. Przez całe swoje życie przypominał jej, jak daleko wstecz mogą wymienić swoich przodków. Była dobrą córką. Miała sześć lat, kiedy umarła jej matka, pozostawiając ją w surowych rękach ojca i licznej służby. Wyrosła na porządną dziewczynę, naprawdę tak było.

Była dziewicą, kiedy wyszła za Roberta, i naprawdę próbowała znajdować przyjemność we współżyciu z mężem, ale nie potrafiła. Robert miał rację. Była oziębła. Mogła to znieść. Do diabła, mogła znieść jego kochanki i upokorzenie.

Nie zniosłaby natomiast rozwodu.



*Wiedziała, że on i Eve Worthington mają zamiar się pobrać, jak tylko John umrze. Myślała nawet czasem, że Robert może spróbować ją zabić.*

*— Normo! — krzyknął.*

*— W porządku, w porządku.*

*Wstała, poszukała swoich butów, a kiedy znalazła tylko jeden, wcisnęła stopę do środka i sięgnęła po torebkę, która leżała na biurku Roberta. Boże, gdyby tylko wiedział!*

*— Jeszcze tylko jedno, Robercie, i pojedę do domu. Naprawdę czuję się świetnie. — Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy jego minę.*

*Wiedziała, że traci do niej cierpliwość, ale tym razem nie zamierzała się tym przejmować.*

*Nie miała niczego do stracenia.*

*— Tata był wspaniałym człowiekiem, Robercie. Wiesz, jak go szanowałam. Czasami nawet przypominał mi ciebie.*

*— To dla mnie zaszczyt.*

*— Chcesz wiedzieć, jaki był jego ostatni dobry uczynek?*

*Robert odwrócił się w jej stronę i odezwał się swoim zwykłym sarkastycznym tonem:*

*— Oświeć mnie.*

*— Och, zaraz to zrobię. — Zagłębiła rękę w torebce i wymacała tę małą kartkę papieru.*

*Trzymała zgniecioną kulkę w powietrzu, nie zadając sobie trudu jej rozłożenia.*

*— Brzmi to mniej więcej tak, przepisałam to z testamentu taty. Nie słowo w słowo, ale wystarczająco dokładnie. Jeśli moja jedyna córka, Norma Jean... — urwała i popatrzyła na Roberta, zanim zaczęła mówić dalej. — Czy możesz uwierzyć, że naprawdę dali mi takie imiona? Jeśli moja jedyna córka Norma Jean Fulton-Bentley rozwiedzie się, cały mój majątek, który tak pokornie bla bla bla jej zostawiłem, ma być rozdzielony między następujące instytucje charytatywne. Bla bla bla.*

*Norma wiedziała, że Robert jest zszokowany. Doszedł do siebie dopiero po paru chwilach.*

*— Przykro mi, Normo. Nie miałem pojęcia. To naprawdę nie ma znaczenia, bo zamierzamy dotrzymać naszych przysięg małżeńskich. Wiesz, póki śmierć nas nie rozłączy.*

*— Przynajmniej raz, Robercie, całkowicie się ze sobą zgadzamy.*

*Wyjęła mały rewolwer. Celując w pierś Roberta, powtórzyła jego ostatnie słowa, gdy odводziła*

*kurek:*

— *Póki śmierć nas nie rozłączy.*

\* \* \*

Adam czekał cierpliwie, aż Blake spotka się z nim w biurze Parkera. Zadzwoił w sumie dziewięć razy na jego numer domowy i do gabinetu, zanim w końcu złapał go w Łabędzim Domu, telefonując na komórkę. Było po północy i chciał tylko jednego: żeby ten wieczór już się skończył. Rano pojechał do Marietty, do ojca. Niechętnie go opuścił. Rozmawiali o Eve i jej możliwym związku z Robertem Bentleyem. Jego ojciec nie postępował tak głupio, jak Adam przypuszczał. Kiedy zapytał, dlaczego zmienił testament, ojciec wyjaśnił, że tak naprawdę wcale go nie zmienił. Od lat podejrzewał Eve.

Opowiadał, że kiedy Casey miała wrócić do domu, Eve zaczęła znów zachowywać się dziwnie, miała swoje „ataki”. Stała się bardzo skryta. Kiedy odwiedzała go w Memorial, chciała wiedzieć różne rzeczy o testamencie, o firmie i o mnóstwie innych spraw.

Miarka się przebrała, kiedy John dowiedział się, że zwolniła Morta Sweeneya, z którym przyjaźnił się od ponad pięćdziesięciu lat.

A szczytem wszystkiego było zatrudnienie Roberta Bentleya na miejsce Morta. To wystarczyło, by John dał się namówić na pozostanie w Carriage House w Mariettcie, dopóki sytuacja między nim a Eve nie zostanie uregulowana. Zamierzał wystąpić o rozwód, jak tylko jego prawnicy sporządzą dokumenty.

To smutne, pomyślał Adam, jak daleko ludzie potrafią się posunąć z powodu chciwości.

Parker wrócił do biura, niosąc trzy kubki świeżo zaparzonej kawy. Wcześniej zapoznał

Adama z Walterem Wattsem i teraz we trójkę cierpliwie czekali na Blake’a.

— Myślę, że nasz więzień poszedł spać. Ten facet jest chyba pod wpływem narkotyków. Z

wielką niechęcią zamknąłem go w celi, ale nie ma przy sobie żadnego dowodu tożsamości.

Naprawdę czuję się podle po tym, jak mu przysoliłem. Rano będzie miał piekielnego siniaka pod okiem.

— Chce pan, żebym obejrzał tego faceta, szeryfie? — zapytał Adam.

— To by nie zaszkodziło.

— Czy mógłbym się przyłączyć? — odezwał się Walter.

— Im nas więcej, tym weselej — rzucił Parker przez ramię. Cella, znajdująca się na końcu korytarza, była odgradzona tylko kilkoma prętami. Sprytny przestępca uciekłby bez problemu, zwłaszcza że nad

połowym łóżkiem było okno.

Adam i Walter odsunęli się na bok, gdy Parker otworzył drzwi. Więzień jęknął i przekręcił się na plecy.

Adam podszedł, żeby przypatrzeć się dokładniej. Delikatnie ujął ręką głowę mężczyzny i postukał go wyprostowanym palcem po nosie i pod oczami.

— Macie latarkę?

Parker wyciągnął latarkę z kieszeni na biodrze i podał mu ją. Adam uniósł powieki mężczyzny i poświecił latarką w jego oczy. Po paru chwilach oddał ją szeryfowi.

Wrócili do głównej części biura.

— Co robił, kiedy pan na niego natrafił? — zapytał Adam.

— Myślałem, że ma zamiar włamać się do domu Blake'a. Wtedy walnąłem go porządnie.

Powiedział mi, że jest chory, że szuka lekarza. Cóż, do diabła, poczułem się jak idiota.

Zaproponowałem, że zawiozę go do Memorial, wtedy zeskoczył z werandy i próbował uciec.

Myśli pan, że zrobiłem mu krzywdę? — zapytał Parker Adama.

— Nie. Nic mu nie będzie.

— Jest pan pewien?

Adam skinął głową, potem skierował następne pytanie do Waltera.

— Czy może pan wykorzystać teraz ten sprzęt? — Adam wskazał na laptop, który Walter postawił na biurku Parkera.

— Ten „sprzęt”, jak go pan nazywa, jest niezwykle pomocny. Chce pan zobaczyć? —

Walter uruchomił komputer i na ekranie pojawiło się jaskrawożółte logo GBI. Kliknął

myszką. Adam i Parker przysunęli krzesła, żeby lepiej widzieć. — Popatrzcie na to. — Walter wstukał kilka ciągów znaków i milczał, podczas gdy program przeszukiwał dane. — Ten program umożliwia analitykom takim jak ja przeprowadzanie skomplikowanych analiz krwi.

— Oczy Waltera rozjaśniły się, gdy mówił dalej: — Inny program, jeszcze nowocześniejszy, przyspiesza analizę krwi poprzez wykorzystanie cyfrowych obrazów poszczególnych plam krwi, uzyskanych za pomocą aparatu cyfrowego albo kamery. Właśnie tym programem mam zamiar posłużyć się, aby zbadać krople krwi, o które chodzi.

— To o wiele za mądre dla mnie, niestety — powiedział Parker.

— I dla mnie też. Gdybym dał panu teraz odcisk palca, czy mógłby pan wykorzystać program?

— Jasne, spróbujmy.

— Szeryfie, czy ma pan tu gdzieś zestaw do pobierania odcisków palców? — zapytał

Adam.

— Zaraz przyniosę. — Parker wstał i wrócił po kilku minutach z zestawem.

Po raz drugi udali się do celi. Walter pobrał odciski. Ich więzień nawet nie drgnął.

— To zajmie kilka minut, chłopaki. Parker, może dałbyś jeszcze trochę tej gównianej kawy, którą niedawno nam zaserwowałeś.

\* \* \*

Eve ściągnęła majteczki i stanik, komplet od Ralpha Laurena, i stanęła pod kojącym ciepłym strumieniem wody z prysznica. Straciła cały wieczór, czekając na Roberta. Norma najwyraźniej przekonała go, żeby tym razem został; inaczej Robert by się odezwał. Wiedział, że będzie czekała na parkingu dla pacjentów, skąd widziała okno jego biura. Znajomy błysk świateł wyłączonych i włączonych trzy razy z rzędu dziś się nie pojawił.

Musieli się spotkać, aby ustalić końcowe posunięcia. Moment, na który oboje czekali, nadszedł. John nie był już przeszkodą, bo zbliżało się jego ubezwłasnowolnienie, a Robert miał wkrótce wspólnie z nią kierować Worthington Enterprises. Od osiągnięcia celu całego jej życia dzieliło ją tak niewiele, że niemal wyczuwała go koniuszkami palców.

Koniec z błaganiami o pieniądze. Nigdy już nie będzie musiała dotykać flakowatego penisa Johna w nadziei, że hojnie powiększy limit jej karty kredytowej. Wzdrygnęła się, kiedy o tym pomyślała. Po Reedzie i Johnie Robert był prezentem od penisowej wróżki. Kiedy ona i John się pobrali i próbowali skonsumować swoje małżeństwo, jej nowy mąż był już zbyt stary, żeby tego dokonać, a jeśli nawet osiągał wzwód, ledwie mógł go utrzymać. Robert rozpieścił

ją — żaden mężczyzna by mu nie dorównał.

Potem Casey została zwolniona ze szpitala. Robert opowiedział jej o tym, jak Macklin porzucił pracę, nie zostawiając mu żadnego wyjścia poza wyrażeniem zgody na wypisanie Casey.

Jak na razie starania, żeby niczego sobie nie przypomniiała, skończyły się fiaskiem. Robert chciał pójść krok dalej, ale Eve nie miała ochoty rozmawiać o swoich planach co do Casey. I ta żalсна namiastka informatora, Hank. Zatrzymała się przy wozowni, zanim poszła na górę.

Jego półciężarówka nie stała ani w zwykłym miejscu, ani w jakimś innym, więc Eve zapukała do drzwi. Zaciekawiona, użyła swojego klucza, żeby wejść do środka. Zdumiona tym, że pomieszczenie

było puste, uznała za niezwykle korzystny fakt, że spakował się i wyjechał.

Kto wie, ile jeszcze pieniędzy by chciał za swoje milczenie. Dzięki Bogu przyznał się, kiedy zapytała go o świeżą ranę na głowie Casey.

Wyszła spod prysznic. Czując się już lepiej, próbowała dodzwonić się do Roberta na jego telefon komórkowy, ale nie odbierał.

To może poczekać do jutra. Eve wsunęła się pomiędzy chłodne prześcieradła na swoim szerokim łóżku, zamknęła oczy i natychmiast zasnęła.

Śniła o dziewczynie w poplamionej niebieskiej sukience.

— Powinnaś być w łóżku po tym dniu pełnym bolesnych przeżyć — powiedział Blake do Casey, gdy jechali cichymi drogami Sweetwater.

— Całe moje życie pełne było bolesnych przeżyć. Jeszcze jeden dzień nie zrobi mi wielkiej różnicy — odparła.

— To prawda. Ale i tak uważam, że powinnaś zostać w Łabędzim Domu. Adam powiedział, że musi porozmawiać ze mną, a nie z nami — przypomniał jej Blake.

— Wiem. Wyjdę z pokoju, jeśli nie będzie chciał przy mnie mówić. Nie mogłam zostać w tym domu. Zastanawiałabym się, co robi Hank. — I moja matka, chciała dodać, ale nie potrafiła. Jeszcze nie. Potrzebowała więcej czasu, żeby pomyśleć o zachowaniu matki, która dziewięć długich lat pozwalała, by krzywdzono jej córkę.

Zadzwonił telefon komórkowy Blake'a. Casey miała nadzieję, że to nie ze szpitala. Nie teraz.

— Doktor Hunter. Czekać chwilę, wolniej! Kiedy? Czy wiedzą, kto to zrobił? — Blake zjechał na pobocze i zahamował.

— Co się stało? — wyszeptała Casey.

Położył palec na ustach.

— Zapytam ją. — Nakrył ręką telefon. — Casey, czy widziałaś wczoraj Eve po przyjęciu?

Pokręciła głową.

— Nie. Zaraz będziemy. — Blake wyłączył komórkę.

— Co się stało?!

— Dzwonił Adam. Becky Trilling, sekretarka Bentleya, zatelefonowała niedawno do szeryfa Parkera. Powiedziała, że musiała wrócić do biura, i kiedy zajrzała do gabinetu Bentleya, żeby zobaczyć, czy czegoś nie potrzebuje, znalazła go. Dostał trzy kule w klatkę piersiową.

— Czy... czy on nie żyje?

— Nie, jest operowany. Adam rozmawiał z chirurgiem. Robią wszystko, co możliwe.

— Blake, nie chcę jechać do szpitala.

— Ja też nie. Jedziemy do biura Parkera.

— Czy wiedzą, kto... — Czy to jej matka strzelała do Bentleya? Może i była szalona i okrutna, ale Casey wiedziała, że nie strzeliłaby do nikogo.

— Nie są pewni. Parker zadzwonił do Brunswicku po posiłki. Przyślą ich zaraz z rana, przyplyną promem.

— Blake... — zastanawiała się, jak sformułować następne pytanie — gdybyś wiedział o Bentleyu to, co wiesz... gdybyś operował...

— Złożyłem przysięgę. Nic nie mogłoby skłonić mnie do jej złamania.

Przestała wstrzymywać oddech.

— Dzięki Bogu!

Blake zaparkował bmw obok jaguara Adama i radiowożu szeryfa. Adam wprowadził ich do środka i przedstawił Walterowi. Casey wiedziała, że ta noc nie skończy się dla niej prędko.

Adam rozdał kubki z kawą.

— Co się stało? — zapytał Blake.

— Bentley to tylko początek — odparł Adam. — Miał szczęście, że sekretarka wróciła.

Pomyślała, że pewnie zamknął się na klucz w gabinecie. Parker przesłuchuje teraz personel szpitala. Został trafiony trzykrotnie w pierś, walczy o życie. Według dyżurnego chirurga nie wygląda to dobrze.

— Jeśli ktoś może połatać tego biednego sukinsyna, to Byron — powiedział Blake. —

Bentley ma szczęście, że to on był na dyżurze. Nie pojawia się w Memorial tak często jak kiedyś, odkąd otworzył gabinet w Brunswicku.

Casey ściągnęła wzrokiem spojrzenie Blake'a i wskazała ruchem głowy Waltera.

— Przepraszam — powiedział Walter do Casey. — Zwykle się nie gapię. Próbuję ustalić, czy jesteś prawo-, czy leworęczna.

Z ulgą odparła:

— Leworęczna.

— Wiedziałem! — Walter zerwał się z krzesła i zaczął tam i z powrotem chodzić po biurze.

— O czym pan mówi? — zapytała.

— Roland miał kilka migawkowych zdjęć rozbryzgów krwi. Nie były zbyt dobre, jakiś Buddy je zrobił. Ale okazały się wystarczająco dobre, żeby po wskanowaniu ich do systemu dało się uzyskać odczyt.

— Komputer Waltera czyni cuda — wyjaśnił Adam.

Serce Casey zabiło szybciej i przez chwilę myślała, że zbliża się atak paniki. Czy zdjęcia krwi są dowodem, którego potrzebował szeryf? Zapomniała o Bentleyu, gdy udzieliło jej się podniecenie Waltera.

— Rekonstrukcja torów lotu...

— Poproszę o określenia zrozumiałe dla laika — przerwał mu Adam.

— Pamiętajcie, że to tylko domysły. Technika, którą wykonano fotografie, nie jest kompatybilna z moim systemem, ale teraz się bawimy. Rozbryzgi, szerokość plamy, kierunek kropelek, wszystko to wskazuje, że broń trzymała osoba praworeczna. Będę wiedział więcej, kiedy zrobię własne zdjęcia i zobaczę materac.

Modliła się, żeby miał rację.

— Blake, Casey, czy moglibyście oboje pójść ze mną na chwilę? Myślę, że mam coś, co może was zainteresować. Walterze? — powiedział Adam.

Popatrzyła na Blake'a, który tylko wzruszył ramionami. Krótki spacer korytarzem doprowadził ich do celi. Casey odwróciła się gwałtownie, czując nienawiść do kraty, bo przypomniała jej pokój, w którym spędziła lata w szpitalu.

Blake chwycił ją za ramię i zmusił do popatrzenia na aresztanta.

— Poznajesz go?

Przyjrzała się mężczyźnie, którego twarz była teraz opuchnięta i zaczynała ciemnieć od purpurowoczarnych sińców.

— Doktor Dewitt!

— We własnej osobie — powiedział Adam.

— Co on tutaj robi? — zapytała Casey.

— Sam się nad tym zastanawiałem, dopóki Walter nie użył swojego magicznego laptopa.

Najpierw pomyślałem, że wygląda znajomo, ale trudno było coś powiedzieć z powodu opuchlizny. Walter sprawdził jego odciski palców i w ten sposób odkryliśmy, kim jest. Kiedy Parker go zgarnął, nie miał przy sobie żadnego dokumentu.

— Za co, do diabła, zgarnął go Parker? — zapytał Blake.

— To najciekawsza sprawa. Zastał go na twojej werandzie, gdy próbował włamać się do domu!



— Po co? — powiedzieli jednocześnie Casey i Blake.

— Próbowaliśmy go przesłuchać, ale ciągle mówi coś o lekarstwach. Potem wspomniał o niesławnym Bentleyu. I znów laptop Waltera szybko dostarczył nam odpowiedzi.

Adam napełnił na nowo ich kubki, zanim zaczął mówić dalej.

— Blake, czy słyszałeś o młodej czarnoskórej dziewczynie w Savannah, którą znaleziono martwą w opuszczonym mieszkaniu? Jakies piętnaście lat temu. O tej, która została zwolniona na weekend z Mercy?

Blake odchylił się na krześle.

— Taak, wydaje się, że pamiętam.

— Według tej magicznej skrzynki Waltera — Adam popatrzył na laptop — to doktor Macklin wypuścił na weekend tę młodą dziewczynę.

Zaciekawiona Casey obserwowała wyraz twarzy Blake'a. Oszołomienie. Może dezorientacja.

— Próbuję się dodzwonić do Macklina od wielu dni. Jego gospodyni powiedziała mi, że wyjechał do Europy.

— Powiedziała mi to samo, kiedy zadzwoniłem. Mówiła, że przekazała Macklinowi wiadomość od ciebie i że obiecał wkrótce do ciebie zatelefonować.

— Co to ma wspólnego z tą sprawą? — zapytała Casey.

— Całkiem możliwe, że wszystko — odparł Adam. — To jeszcze nie koniec. Rodzina tej dziewczyny podejrzewała, że Amy nie popełniła samobójstwa, jak twierdziła policja Savannah. Błagali, żeby sprawdzono alibi jej dawnego kochanka, ale policja nigdy nie potraktowała ich poważnie.

— Skąd masz te wszystkie informacje? — zapytał Blake.

— Z magicznej skrzynki. Nie zapominaj, że Walter jest z GBI. Ma dostęp do kartotek i akt w całym kraju. Rodzice Amy wynajęli prywatnego detektywa, Dicka Johnsona. I chociaż nigdy nie zostało to udowodnione w sądzie, Johnson był pewien, że dziewczyna została zamordowana przez swojego chłopaka. — Adam popatrzył na Casey, a potem na Blake'a. —

Był nim Jason Dewitt, wnuk czcigodnego sędziego Williama Dewitta z jednej z najznakomitszych rodzin w Savannah. Według raportu z sekcji zwłok, była w ciąży. Niedługo po śmierci dziewczyny Jason rozpoczął studia na Harvardzie. Macklin został wyrzucony z Mercy z wilczym biletem. Po zaledwie kilku tygodniach zaczął pracować u Bentleya.

— Wiedziałam, że rozpoznaję to nazwisko! — wykrzyknęła Casey. — Skóra mi ścierpła na jego widok. Pamiętam, że Bentley wymówił jego nazwisko, kiedy pewnego razu czekałam na doktora

Macklina przed jego gabinetem.

— Czy myślisz o tym samym co ja? — Blake zwrócił się do Adama.

— Pewnie. Teraz musimy to udowodnić.

— Co udowodnić? — spytała Casey.

— Bentley szantażował Macklina.

— To najgłupsza rzecz, jaką słyszałam w życiu.

— Jeśli Bentley miał coś, co dawało mu władzę nad doktorem Macklinem, to czy Macklin nie musiałby robić tego, co mu kazał? Żeby utrzymać się na posadzie? — spytał Adam.

— Ale co takiego miałby robić Macklin na żądanie Bentleya? Gdyby chodziło o narkotyki, Bentley mógłby korzystać z zapasów szpitala, nie potrzebował do tego Macklina. — Casey wstała i zaczęła chodzić po biurze.

Adam i Blake popatrzyli na siebie, potem na nią. Blake odezwał się pierwszy.

— Casey, czy nie mówiłaś, że spędziłaś ostatnie dziesięć lat w zamroczeniu?

— Tak, z powodu lekarstw. Czasami, kiedy o tym pamiętałam, nie połykałam tabletek, które mi dawali. Gdy wydawało się, że nie jestem już taka otumaniona, jeden z sanitariuszy robił mi zastrzyk na polecenie lekarza. — Kiedy to powiedziała, szybko zrozumiała, do czego zmierzają. — Czy to znaczy, że przez ostatnie dziesięć lat Robert Bentley szantażował

doktora Macklina, żeby ten stale faszerował mnie lekarstwami?

— Nie uwierzcie w to! — wykrzyknął Parker, wpadając przez drzwi.

— Zaraz się przekonamy — powiedział Blake.

— Norma Bentley właśnie rozbiła swój samochód przed szpitalem. Nic jej nie będzie, ale ciekawi mnie, czy wie, że Robert jest operowany z powodu rany postrzałowej.

— Ta noc jest pełna niespodzianek — stwierdził Adam i poinformował Parkera o wszystkim, co odkryli pod jego nieobecność.

— Myślę, że moje usługi już się nie przydadzą, Rolandzie — odezwał się Walter.

— Jestem za tym, żebyśmy zakończyli ten wieczór. Muszę pilnować więźnia, a polowe łóżko w moim biurze zaczyna wyglądać zachęcająco. Jest trzecia w nocy i nie wiem jak wy, ale ja nie pamiętam, żeby tyle się działo w Sweetwater od czasu...

\* \* \*

Casey ciężkim krokiem zeszła na dół. Zapach świeżo zaparzonej kawy sprawił, że pośpieszyła do kuchni. Omal nie zemdląła, kiedy zobaczyła, że jej matka siedzi przy długim drewnianym stole i rozmawia z Florą.

— Co tutaj robisz? — Casey wiedziała, że w jej głosie słychać nienawiść, ale się tym nie przejęła.

— Widzę, że jesteś w złym nastroju. Mieszkam tutaj, jeśli przypadkiem zapomniałaś.

— Przepraszam. To była niespokojna noc. Dzień dobry, Floro. — Nalała sobie kubek kawy i popatrzyła gniewnie na matkę. — Jestem zaskoczona, że cię widzę. Sądziłam, że będziesz z Robertem. W szpitalu. — Miała nadzieję, że wywoła jakąś reakcję.

Eve nie okazała żadnych emocji.

— Dziś rano podano tę wiadomość w radiu — powiedziała. — Kiedy obudziłam się i to usłyszałam, omal nie umarłam. A potem się dowiedziałam, że biedna Norma miała wypadek samochodowy, więc nie jestem pewna, czy uda mi się przetrwać ten dzień. Najpierw John, teraz Robert i Norma.

— Czy wiadomo coś o stanie Bentleya?

— Jest pod stałą obserwacją lekarzy, tak informują w telewizji i w radiu — odparła Flora.

— Jestem pewna, że pan Adam i pan Blake dadzą nam znać, jeśli czegoś się dowiedzą. Stan Normy jest stabilny, ma złamaną nogę i pęknięte trzy żebra. Podobno była pijana.

— Wczoraj, kiedy wychodziła z lunchu, ledwie trzymała się na nogach — powiedziała Eve. — Casey, mówiłam ci, że kiedy przyjdzie na to pora, zajmujemy się twoimi włosami i wybierzemy się do salonu kosmetycznego. Właśnie ta pora nadeszła. Możemy zjeść razem lunch. Spędzić ten dzień na robieniu „dziewczyńskich rzeczy”. Co o tym myślisz?

Casey zrozumiała, że to jej matkę powinni zamknąć w szpitalu psychiatrycznym.

— Mówisz poważnie? Dzisiaj?

— Mała wycieczka dobrze ci zrobi, Casey. Jedź z mamą i baw się dobrze. — Flora uśmiechnęła się do niej. — Potrzebujesz tych dziewczynskich rzeczy, o których mówi twoja mama.

— Masz rację, Floro. Mama i ja już dawno powinnyśmy pobyć trochę razem. — Casey popatrzyła zwięzonymi oczami na matkę i zmusiła się do uśmiechu.

Spędzenie tego dnia z matką było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Liczyła jednak na to, że może, choć istniało tylko niewielkie prawdopodobieństwo, Eve wyjaśni, dlaczego pozwalała pasierbowi krzywdzić swoje jedyne dziecko.

\* \* \*

Prom był pusty, bo prawie wszyscy mieszkańcy wyspy zgromadzili się na parkingu szpitala

Memorial. Casey i jej matka oraz dwie starsze kobiety były jedynymi pasażerami płynącymi do Brunswicku.

Casey wpatrywała się w wybrzeże, ale czuła, jak przeszywa ją lodowate, pełne nienawiści spojrzenie stojącej obok niej matki.

— Wiesz, możesz przestać udawać — powiedziała Eve.

Casey odwróciła się gwałtownie i zobaczyła na twarzy matki grymas w niczym nie przypominający słodkiego, głupawego uśmiechu lekko pomyłonej dystygowanej damy z Południa ze znakomitej rodziny, która wypila o jedną szklaneczkę za dużo, chociaż Eve udawała kogoś takiego.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedziała niepewnie, przerażona nagłą zmianą nastroju matki.

— Och, myślę, że wiesz. Powiedz mi coś, Casey. — Eve poszła w stronę dziobu, a córka powlokła się za nią. Eve zatrzymała się zniecka, prawie doprowadzając do tego, że Casey zderzyłaby się z jej plecami. — Ta twoja luka w pamięci, jak jest duża? — Porywisty podmuch zmierzył fryzurę Eve, krótkie kosmyki zasłoniły jej oczy. Odgarnęła je ręką, jej gniewne spojrzenie ani na moment nie złagodniało. — A więc jak?

Casey rozejrzała się przestraszona. Dwie starsze kobiety zdążyły już zejść pod pokład, a załogi nie było nigdzie widać.

— Przypomniałam sobie coś niecoś, ale nic ważnego, przynajmniej ja tak uważam —

odparła Casey, uznając, że to nie jest odpowiednia pora na konfrontację.

Na twarzy Eve odmalowała się ulga.

— Jeśli po latach brania leków wróci ci pamięć, prawdopodobnie i tak nigdy nie będziesz wiedziała, co jest, a co nie jest prawdą. Tak będzie dla ciebie najlepiej.

W głowie Casey rozległy się sygnały ostrzegawcze. Jak mogła być taka głupia? Już miała zadać matce pytanie, zapominając o strachu sprzed paru chwil, kiedy strumień wspomnień zalał jej mózg.

Ogarnął ją zupełny spokój. Pozwoliła, by nią zawładnął. Szybowała na poziomie przedtem dla niej nieosiągalnym i wznosząc się, dotarła do królestwa świadomości w innym świecie.

*Wtedy sobie przypominała. Wcześniej była z Ronniem w budce na narzędzia. Walczyli.*

*Potem uciekła do swojego pokoju. Po paru godzinach cień. Ktoś nieokreślony wtargnął do jej przestrzeni. Okrył ją płaszcz ciemności. Zapewne straciła przytomność.*

— O Boże! — Casey nagle przycisnęła rękę do ust. Popatrzyła na matkę i zaczęła przyglądać się jej zwężonymi oczami, cofając się powoli w stronę dziobu, chcąc zwiększyć odległość między nimi.

— O co chodzi, Casey? — Matka zbliżyła się, zmuszając ją do zrobienia kolejnego kroku w tył.

— Byłaś tam. — Ręce Casey drżały, gdy wycofywała się w stronę dziobu. — W moim pokoju...!

Matka zaśmiała się demonicznie.

— A jednak miałam rację. Pamiętasz! — Eve wydawała się toczyć w myślach bitwę ze sobą, zanim skupiła zimne niebieskie spojrzenie na córce. — Tak, byłam tam tego wieczoru.

Powinnaś się z tego cieszyć. Gdyby mnie tam nie było, nie wiadomo, jak daleko posunąłby się Ronnie.

Wybuch gniewu dodał Casey odwagi.

— Wiedziałaś, że przychodził do mojego pokoju od dziewięciu lat? Dziewięć długich, strasznych, nieszczęśliwych lat?! — Krzyczała, i nie przejmowała się tym. Miała ochotę wymierzyć matce policzek, żeby zetrzeć nieznośny uśmiezek z jej twarzy.

— Och, przestań, Casey. Jesteś taka sama jak ten twój ojciec, prawiący morały dobroczyńca ludzkości. Jeśli byłaś taka nieszczęśliwa, trzeba było mi powiedzieć. Zrobiłabym coś w tej sprawie.

Casey zacisnęła pięści, potem wepchnęła ręce do kieszeni. Czowała, jak serce łomocze w jej piersi. Chciała poznać odpowiedzi, których mogła udzielić tylko matka. Zmusiła się do wzięcia głębokiego oddechu, zanim zaczęła mówić dalej.

— Jak mogłaś, mamó! Kilka razy próbowałam powiedzieć ci o Ronniem. Zawsze byłaś z Robertem Bentleyem albo z Johnem Worthingtonem. Dlaczego, mamó, czy możesz powiedzieć mi tylko: dlaczego? Jak mogłaś pozwalać temu psychopacie mnie gwałcić?! —

Miała ochotę uderzyć matkę pięścią w twarz, zmasać ten jej uśmiezek tak, żeby już nie powrócił.

Widać było, że Eve bije się z myślami. Odezwała się, gdy podjęła decyzję. Jej głos był

pewny i wyraźny, niebieskie oczy szkliste. W tym momencie Casey uznała, że jej matka jest naprawdę obłąkana. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłaby, żeby jej dziecko było molestowane.

— Mamó, jak mogłaś?! — krzyknęła. — Czy możesz przynajmniej podać mi jakiś cholerny powód?! Może wtedy zdołam zrozumieć! — Łzy gniewu płynęły po jej policzkach, gdy stała przed matką, czekając na jakieś wyjaśnienie, na cokolwiek, żeby zrozumieć tę kobietę, która nazywała siebie matką.

Eve westchnęła.

— Och, chyba rzeczywiście jestem ci winna jakieś wyjaśnienie. To wszystko było tak dawno temu. — Popatrzyła za dziób promu, potem usiadła na ławce przy sterburcie.

Casey siadła naprzeciw niej, czekając.

— Nie wiesz, jak to jest żyć w biedzie, Casey. Masz szczęście.

— Wolałabym być biedna niż gwałcona!

— To zaczęło się w dniu, kiedy poznałam Roberta. Poszłam do jego biura zaraz po tym, jak się urodziłaś. Zakochaliśmy się w sobie, i tak już zostało. Ronnie dowiedział się o nas.

John i ja zamierzaliśmy się pobrać. Ten szalony chłopak groził mi. Zagrażał wszystkiemu, do czego dążyliśmy Robert i ja. — Spojrzenie jej matki stało się nieobecne.

— Pytałam o siebie, mamó. O te wszystkie straszne rzeczy, które Ronnie mi robił.

*Eve podniosła pierwszą rzecz, która wpadła jej w rękę, i rzuciła nią w pasierba. Szkoda, że była to stara lampa jej teściowej, ale ona i tak nie żyła i się nie dowie.*

*— Słuchaj — powiedziała — wiem, co robiłeś przez te wszystkie lata i dalej robisz. Nie myśl ani przez chwilę, że nie wiem!*

*— Taak, stara kobieto. Wiem, że wiedziałaś o mnie i małej Casey. I myślę, że kiedy leżałaś w tym swoim łóżku, lubiałaś nas słuchać. — Ronnie zaśmiał się. — Wiesz, że była dziś u doktora Huntera?*

*— Kto ci to powiedział?*

*— Nikt mi nie musiał mówić. Poszedłem za nią. Do diabła, siedziałem przy samym gabinecie tego tępego doktora na najwyższym schodku i słuchałem. Twoja córka jest w ciąży, to pewne.*

*Zastanawiałem się, czy nie pobiec do Łabędziego Domu, zanim mnie dźgnęła. Pomyślałem, że drogi John może chciałby wiedzieć, z jakiego rodzaju kobietą się ożeni. — Znów się zaśmiał.*

*— Nie odważyłbyś się! — wrzasnęła.*

*— Och, tak, odważyłbym się. Właściwie myślę, że wybiorę się tam później. Może jutro rano. Po tym, jak ja i Casey, cóż, wiesz, dziś wieczorem.*

*Ronnie wyszedł wtedy, dzięki Bogu, bo musiała się zastanowić.*

*Pewna, że to dziecko Ronniego, Eve wiedziała, że będzie musiała zorganizować aborcję.*

*Robert wynajdzie odpowiedni numer telefonu i miejsce.*

*Zacznij intensywnie myśleć!*

*Podejrzewała wcześniej, że Ronnie dobiera się do Casey, ale nie miała pojęcia, że odbywa z nią stosunki. Casey powinna była jej powiedzieć, kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, ale, pomyślała Eve, nie są spokrewnieni. Może jej córka lubi wizyty Ronniego. Nie ma to teraz znaczenia, powiedziała sobie, ważne jest jedynie to, żeby Ronnie trzymał swój długi język za zębami.*

*Sama nie wiedziała, dlaczego zatrzymała go po śmierci Reeda. Musiała przyznać, że szczerze nie lubiła chłopaka, ale czasami potrafił być zabawny. Wszystkie te wycieczki do jego szkoły, oboje zawsze porządnie się uśmieiali. Szkoda, że rodzina Carolyn go nie chciała, ale Eve naprawdę im się nie dziwiła. Dlaczego mieliby wychowywać dziecko, którego ojcem był*

*jego dziadek? Genetyczne partactwo. Mogła to zrozumieć.*

*Zadzwoiła do Roberta do szpitala. On powie jej, co robić.*

— *O co chodzi, Eve? Nie powinnaś tutaj dzwonić. Jeśli Worthington się o nas dowie, będziesz mogła pożegnać się z tą jego rezydencją i wszystkimi udziałami w kwitnących firmach.*

— *Chodzi o Ronniego. Wie o nas. Powiedziałam mu, że wiem o nim i Casey. Zagroził, że pójdzie do Johna. Boję się, Robercie. Ten mały sukinsyn zrobi to.*

— *Gdzie jest teraz?* — *zapytał Robert.*

— *Właśnie wyszedł. I, Robercie, zgadnij, co jeszcze się stało.*

— *Nie lubię zgadywanek, Eve, wiesz o tym.*

— *Ona jest w ciąży. Ronnie straszył, że o tym też powie Johnowi. John nigdy się ze mną nie ożeni, jeśli będzie myślał, że nic nie robiłam i pozwalałam, żeby to spotykało moją własną córkę.*

*Boże! Żałuję, że nie oddałam jej Gracie. Nie nadaję się do macierzyństwa.*

— *Zamknij się, Eve, i posłuchaj. Jak często on przychodzi do jej pokoju?*

— *Prawie co noc, dlaczego pytasz?*

— *Chcę, żebyś zrezygnowała z wszelkich planów, jakie masz na dziś wieczór.* —

*Stonowany głos Roberta był pokrzepiający. Powie jej, co robić.*

— *Nie mam żadnych.*

— *Dobrze. Gdzie jest w tej chwili dziewczyna?*

— *Jest na górze w swoim pokoju. Dlaczego o to wszystko pytasz?*

— *Zrób, co będziesz musiała, żeby ją tam zatrzymać. Wymyślisz coś, zawsze miałaś sporo dobrych pomysłów.*

— *Robercie!*

— *Och, cholera, Eve, to jest ważne. Posłuchaj: czy chcesz całych tych pieniędzy?*

*Worthington nie pożyje już zbyt długo. Jeśli pożyje, pomożemy mu.*

— *Robercie, co masz na myśli? Przecież chyba nie planujesz...*

— *Nie, Eve, niczego nie planuję. Teraz posłuchaj.*

\* \* \*

Eve czekała w ciemnej, nagrzanej szafie, aż otworzą się drzwi sypialni Casey. Córka spała przez cały dzień i łatwo było wsunąć się ukradkiem do szafy. Coś zdecydowanie było nie tak z tą



dziewczyną. Cóż, nic nie mogła na to poradzić.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi i teraz była już pewna, że to tylko kwestia czasu. Spojrzała przez szparę w drzwiach i widziała, jak Ronnie stanął koło łóżka Casey, która leżała skulona w pozycji embrionalnej przy ścianie.

Przez chwilę pragnęła wybiec z szafy i go powstrzymać, ale pomyślała o wspólnej przyszłości z Robertem i całym majątkiem Johna.

Ronnie zdjął spodnie i Eve patrzyła, jak włązi na jej córkę. Casey nie stawiała oporu, a więc może Eve miała rację. Casey lubiła wizyty Ronniego.

Wtedy zobaczyła, że Casey wyciąga rękę w stronę nocnego stolika i chwyta coś błyszczącego. Światło księżycy sączyło się przez koronkowe firanki, co pozwalało wyraźnie widzieć parę na łóżku.

Casey szarpała się z Ronniem i to wtedy Eve zaczęła działać.

Jej córka trzymała w ręce nóż do papieru.

Eve podbiegła do łóżka i wyrwała nóż z jej ręki.

Musiała powstrzymać Ronniego. Wiedziała o incydencie w budce na narzędzia i o jego obrażeniach. Były poważne, ale na pewno nie śmiertelne.

Teraz będzie inaczej.

Bez dalszego namysłu Eve zatopiła tępe ostrze w szyi Ronniego i pomyślała, że zwymiotuje. Krew tryskała na wszystkie strony. Ciało Ronniego drgnęło po raz ostatni, potem opadło bezwładnie na Casey.

Przed chwilą dziewczyna zemdliała. Eve umieściła w jej dłoni nóż do papieru, prawie nie myśląc, co robi, i poszła na dół zadzwonić do Roberta.

— A wszystkie te lata, kiedy pozwalałaś, żeby Robert nakazywał doktorowi Macklinowi faszerować mnie lekarstwami, abym sobie niczego nie przypomniała? — Słowo „szok” nie wystarczało na opisanie uczuć wstrząsających Casey.

Eve patrzyła na córkę, nagle postarzała.

— I to by się udawało, gdyby doktor Macklin nie został oczyszczony z zarzutów. Nadal przepisywałby ci lekarstwa, jak kazał mu Robert. John już długo nie pociągnie, potem wszystko to będzie nasze.

Oczy Eve znów się zaszkliły.

— Mamo, a jeśli Robert nie będzie miał szczęścia? Jeśli umrze, co wtedy?

— Wtedy ja będę miała to wszystko. Też o tym myślałam. Kiedy Norma wyszła z gabinetu Roberta wczoraj wieczorem, pojechałam za nią. Zobaczyłam, jak wyrzuca pistolet na pobocze drogi. Do diabła, omal nie przejechała jakiegoś biedaka.

Dewitta, pomyślała Casey.

— Mamo, ktoś musi ci pomóc. Może Blake albo Adam znają jakiegoś dobrego lekarza. —

Casey podeszła do matki, która stała na końcu dziobu.

— Nie, to się nigdy nie stanie! Jestem Eve Worthington, najważniejsza kobieta w rodzinie.

Jestem teraz kimś, czy tego nie widzisz? — Łzy płynęły obficie po twarzy Eve. Prom zbliżał się do wybrzeża, własne łzy zamazały jednak Casey ten widok.

— Nie jestem już tamtą białą biedaczką! Czy tego nie rozumiesz?! Nigdy nie będę musiała nosić używanych sukienek, nigdy nie będę musiała zwieszać głowy ze wstydem. Nigdy!

Jestem teraz kimś! Jestem Eve Worthington! — Krzyki Eve były żałosne.

Casey zrobiła krok w stronę matki, z wyciągniętą dłonią, chcąc ująć jej rękę.

— No, mamo, zejdźmy na dół. Jesteśmy już prawie na drugim brzegu.

— Nie! Nigdy nie dam się wysłać w takie miejsce! — krzyknęła jej matka, unosząc wysoko pięści.  
— Nigdy!

Zanim Casey zdążyła chwycić matkę za rękę, Eve skoczyła w czarnozieloną głębię poniżej burty promu.

# EPILOG

Przejrzyste koronkowe firanki falowały od chłodnego jesiennego wietrzyka, wpadającego przez częściowo otwarte okno. Cichy szum liści tworzył tło dla żab i świerszczy, które wtórowały harmonijnie.

Płaczliwy krzyk obudził kobietę leżącą w łóżku. Obróciła się i wyciągnęła rękę w stronę drugiej poduszki. Gdy stwierdziła, że jest pusta, całkowicie się ocknęła. Wsunęła stopy w czerwone kapcie stojące na podłodze obok łóżka i udała się na poszukiwanie źródła tego dźwięku.

— Powinieneś spać — powiedziała Casey do Blake'a. — Za często zostajesz do późna w szpitalu. No, już dobrze — zagruchała, sięgając do kołyski po niemowlę, i przytuliła je do siebie.

— Trudno w to uwierzyć, prawda? — Usiadła w bujanym fotelu obok kołyski, którą Adam podarował swojemu synowi chrzestnemu w dniu, kiedy dziecko przyszło na świat. Huśtała Jonathana Adama Blakely Huntera, aż jego płacz ustał.

Casey trzymała syna blisko siebie i wdychała jego czysty niemowlęcy zapach. Patrzyła na uśpioną twarzyczkę i zdumiewało ją to, że jest matką tego maleństwa. Syn miał czarne kręcone włosy i ciemne oczy Blake'a. Pomyślała, że w przyszłości będzie łamał kobiece serca.

— Pierwszy raz od narodzin Johna wezmę udział w towarzyskim spotkaniu. Czekam niecierpliwie — powiedziała Casey. — To już dwa miesiące!

— Ja też. Według Julie, Flora i Mabel przygotowały ucztę. Mówiła, że nigdy nie widziała tyle jedzenia na chrzcinach niemowlęcia.

— Cóż, jestem pewna, że kiedy ty i mój przybrany brat wkroczyście do akcji, nic nie zostanie. — Casey roześmiała się.

— Cieszę się, że tak dobrze się rozumiecie z Adamem. Mówiłem ci, że on jest w porządku.

— Blake przesunął ręką po policzku syna, potem pocałował koniuszek jego palca i musnął wargami czubek nosa Casey.

— Staliśmy się sobie naprawdę bliscy przez ten ostatni rok. John traktuje mnie jak córkę.

Czuję się wielką szczęściarą, Blake. Mimo... cóż, mimo tego wszystkiego.

— Ja też czuję się szczęściarzem i nie pozwólmy, żeby przeszłość kładła się cieniem na naszej przyszłości.

— Zgadzam się z tobą, ale tak wielu ludzi ucierpiało z powodu chciwości mojej matki i Roberta Bentleya. — Casey popatrzyła przez okno, przypominając sobie, jak Robert próbował ją przejechać, a także przerażające telefony, szkło, które matka włożyła do słoika z balsamem w nadziei, że jej

córka zwariuje i będą mogli odesłać ją z powrotem do szpitala; Hanka, który uderzył ją w głowę. Casey myślała też o dziecku, które kiedyś w sobie nosiła, spłodzonym przez Ronniego, i wiedziała, że poronienie było błogosławieństwem losu.

Pamiętała też dobre chwile. Wspominała swoją babcię Gracie i wszystkie te radosne dni, które przeżyła ze swoim ojcem i z Florą. Wspominała nawet Kyle'a i ich tak zwany związek, ciesząc się, że nigdy go nie skonsumowali. Miłość do Blake'a była cały czas jasnym światłem na końcu długiego, ciemnego tunelu. Nie wiedziała, czy bez niej dałaby radę. Z

pomocą Adama znalazła dobrą terapeutkę, która była zdumiona postępami Casey; powiedziała jej to podczas ostatniej wizyty.

— Przestań i pomyśl, kochanie, ile mieli szczęścia. Robert i Norma oboje przeżyli, chociaż jestem pewien, że Robert wolałby być gdzie indziej. Sądzę, że nie zdoła się przystosować do więziennego życia.

— Wiem i naprawdę cieszę się, że przeżył, chociaż wtedy chciałam, żeby umarł. Maczał we wszystkim palce, prawda?

Blake stanął za żoną, która tuliła ich syna w ramionach.

— Rzeczywiście. Szkoda jednak, że Dewitt tak skończył. Chyba nie mógł znieść myśli, że zostanie ukarany za zabicie tej biednej dziewczyny. To było nieoczekiwane, że powiesił się, i to w tym samym budynku, w którym ją zabił.

— Szkoda. I biedny doktor Macklin, jego kariera została zrujnowana. Wiesz, myślałam, że będę go nienawidzić za to, że pozwalał Bentleyowi faszerować mnie lekarkami przez te wszystkie lata, ale tak nie jest. Chociaż słyszałam w zeszłym tygodniu na mieście, jak jacyś ludzie o nim rozmawiali. Mówili, że całkiem dobrze radzi sobie w Europie.

— To właśnie w tobie kocham. Jesteś wyrozumiała, dobra i masz wspaniałe serce, jesteś kochającą żoną i matką, a w dodatku jesteś piekielnie seksowna.

— Mów dalej — zachęciła go Casey.

— Czy masz cały dzień dla siebie?

— I dlatego tak ciebie kocham. Zaczęliśmy od szorstkich słów, prawda?

— A potem wszystko szło już gładko. Ale jeśli teraz nie zaczniesz się zbierać, to się spóźnimy. — Blake wziął od niej Johna i delikatnie ułożył śpiącego synka w kołysce.

— Nadal chcesz jechać sama? — zapytał.

— Jeśli w ogóle mam zamknąć ten rozdział, muszę to zrobić. Mam syna, który potrzebuje mojej opieki, męża, który potrzebuje mojej miłości. Jestem teraz kimś. — Casey przypomniała sobie słowa

matki.

— Nie zaczniemy, dopóki się tam nie zjawisz. Parker przyprowadzi swoją dziewczynę.

Casey podniosła się i spojrzała uważnie na swojego pięknego syna.

— Nie będziecie mogli zacząć. A kogo przyprowadzi Parker?

— Brendę. — Blake odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

— Nie mówisz poważnie! Ciekawa para. Blake, czy myślisz, że John i Flora się do siebie zbliżą? — zapytała Casey, idąc długim korytarzem domku należącego do Adama, w którym tymczasowo zamieszkali. Dom ich marzeń był w budowie.

Blake poszedł za żoną do łazienki i patrzył na nią, gdy stanęła pod prysznicem.

— Myślę, że więź między nimi istnieje od dawna, tylko musi minąć trochę czasu, żeby zaiskrzyło.

— Cieszę się z ich szczęścia. Naprawdę ją kocham, wiesz przecież.

— Wiem, i wiem też, że jeśli się nie ubierzesz, spóźnisz się, a wtedy będziesz musiała tłumaczyć się przed ojcem Troyem.

Casey wyszła spod prysznica prosto w ramiona męża. Była bezpieczna. Zawsze czuła się przy nim bezpieczna. Nie mogła uwierzyć, że jej życie tak dobrze się ułożyło.

Sprawdziła jeszcze raz fotelik syna, zanim zajęła miejsce kierowcy. Blake nauczył ją prowadzić samochód zaraz po ich ślubie, a z okazji otrzymania przez nią prawa jazdy w wieku „zaledwie” dwudziestu dziewięciu lat dał jej w prezencie jaskrawożółtego garbusa.

Była ostrożna, jechała powoli. Jej skarb spoczywał na tylnym siedzeniu i zrobiłaby wszystko, żeby go chronić. Dziś robiła następny krok w tym kierunku.

Wjechała jaskrawożółtym volkswagenem na parking szpitala. Musiała zobaczyć, upewnić się. Zastanawiała się nad tym milion razy. Po narodzinach Johna wiedziała, że ten dzień nadejdzie. Musiał nadejść, jeśli w ogóle miała uwolnić się od swojej przeszłości.

Tuląc synka w ramionach, Casey stanęła na schodach podniszczzonego budynku, w którym spędziła dziesięć długich lat. Rzuciła okiem na pierwsze piętro i wypatrzyła okno swojego dawnego pokoju. Teraz przebywała w nim jej matka.

Casey zobaczyła cień przy oknie i ruszyła z powrotem do samochodu, do swojego życia.

Dreszcz przebiegł jej po plecach i poczuła skurcz żołądka. Po raz pierwszy w dorosłym życiu była wolna.

Naprawdę wolna.